WIELKA BIBLJOTEKA
NR. 64

ZYGMUNT KACZKOWSKI

OLBRACHTOWI RYCERZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM TRZECI

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLJOTEKA POLSKA«

OLBRACHTOWI RYCERZE

ZYGMUNT KACZKOWSKI

OLBRACHTOWI RYCERZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM III

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

PRINTED IN POLAND

Tekst opracował według wydania z roku 1889 Dr. Stefan Vrtel-Wierczyński.

Zakłady graficzne Instytutu Wydawn. „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy.

I.

PO WOJNIE.

Wielkie to było zwycięstwo nasze pod murami Suczawy! Daleko większe, niżeli owa rozgłośna klęska w lesie bukowym, którą nienawiść do króla i polityczne kabały w późniejszych czasach rozdmuchały do tak ogromnych rozmiarów i nadały jej tak głęboko tragiczne znaczenie. Zwycięstwo to było o tyle jeszcze świetniejsze i godne wiecznej pamięci, ile żeśmy tam mieli przed sobą wielkiego wojewodę Stefana, człowieka potężnej głowy, niezwalczonej energji i niesłychanej chytrości, który natenczas cały swój lud do broni powołał, bardzo znaczne posiłki ze Siedmiogrodu skrycie sprowadził, około czterdzieści tysięcy Tatarów miał po swej stronie, drugie tyle Turków w odwodzie, i stanął przeciw nam w niezmiernie silnej pozycji, pod murami Suczawy — z naszej zaś strony tylko królewskie chorągwie były nietknięte i w dobrym ładzie, a całe pospolite ruszenie, choć jeszcze dość liczne, jednak rozbite i przerażone do najwyższego stopnia niespodziewanym w lesie napadem. Do tego jeszcze król chory, Fredro, najdoświadczeńszy i najprzytomniejszy z wodzów ówczesnych, zginął dniem przedtem wśród lasu, Mikołaj Tęczyń-

ski, najlepszy po nim, także zabity, nawet i Kamieniecki, który miał ducha po temu, ażeby objąć naczelne dowództwo nad całą armją, ranny, musiał zejść z pola; zgoła tak było, żeśmy dnia tego jeszcze nie ochłonęli z popłochu i nie mieli żadnej komendy. Chorągwie uderzały i biły się potem każda wedle własnej fantazji — a przecie zbiliśmy tę ogromną potęgę Wołochów, Tatarów i Węgrów na miazgę; zostały się z niej tylko niedobitki, z których jedne skryły się do fortecy, drugie uciekły za miasto do Tatar, a trzecie, jak powiadano, pod wodzą samego Stefana pociągnęły jeszcze w dość znacznych kupach brzegami lasu kędyś ku północnemu zachodowi.

Jakkolwiek te rozproszone kupy Wołochów mogły się jeszcze gdzieś zebrać za lasem i nam drogę zastąpić, jednak na teraz nie było wcale obawy nowego napadu. Armja nasza się rozłożyła obozem pod lasem w obliczności Suczawy i po różnych polanach leśnych, porozstawiano silne czaty dokoła z takich chorągwi, które wcale w boju nie były, długo w noc jeszcze nawoływano się, trąbiono, bębniono, karmiono konie i posilano się, gdzie kto mógł jaki kawałek jadła uchwycić — a potem całodzienną bitwą zmęczeni żołnierze ułożyli się do snu.

Wilczek, wytyczywszy stanowisko dla swojej chorągwi pomiędzy dworem królewskim i zdawszy resztę na Ramułta, jak tylko mu namiot rozpięto, wyciągnął się na swoich wojłokach i także zasnął snem twardym.

Spał wygodniej od innych, bo miał wiernego sługę, który niezmordowaną swą usłużnością wszystkich innych wyprzedzał, jego namiotów

i pakunków, jak pies, pilnował, zawsze wszystko przewidział i nigdy nie zapomniał o niczem; to też i teraz, kiedy inni dopiero swoich namiotów szukali, on dawno już rozpiął namiot swojego pana i bardzo wygodne mu łoże wyścielił. Tym sługą był ów Kostruban, którego Wilczek przeszłego roku spotkał był w lesie przy Chryzostoma eremie i przyjął do siebie na służbę.

Wilczek się tak przyzwyczaił do niego, że, gdziekolwiek się znajdował: w podróży, czy w domu, na służbie u króla, czy też na wojnie, — zawsze go miał nieodstępnym przy sobie. Jego dworzanie i pacholikowie zrazu śmieli się z niego, bo najprzód znajdowali go okrutnie brzydkim, — z tym długim nosem, ze swemi rybiemi oczyma i z ryżą czupryną, ledwie był do człowieka podobny — a potem mówił łamano z niemiecka i często takich dziwacznych używał wyrazów, że, kto nie znał gwary niemieckiej, nie zawsze mógł go zrozumieć. Ale i oni się zczasem przyzwyczaili do niego, zwłaszcza też widząc, że jest w łaskach u pana. Prócz tego Kostruban uwalniał ich od wielu trosk i zachodów, bo pracował za wszystkich, każdemu chętnie usłużył, w każdym trudnym terminie umiał sposób wynaleźć, a gdzie już nikt nie poradził, to on jeszcze zawsze człowieka jakąś sztuką wykręcił.

Wilczek przypominał sobie czasami wśród jakich okoliczności go wziął do siebie na służbę. Przesądny, jak wszyscy jego współcześni, niejednokrotnie, kiedy Kostruban jakimś niezwykłym odznaczył się sprytem, przypuszczał u siebie, że albo to sam djabeł jest, albo ma djabłów przy sobie, dlatego nigdy całem sercem go nie polubił,

a czasem nawet uczuwał jakby wstręt jakiś do niego. Ale zarazem czuł, że jużby nie mógł się obejść bez niego, co więcej, pomimo braku przywiązania i wbrew wstrętom chwilowym, tak przylgnął do niego, wśród swego rozpaczliwego usposobienia miał jakieś nieokreślone, ale tak silne przeczucie, że ten człowiek mu jeszcze kiedyś jakąś wielką wyrządzi przysługę, że, gdyby go był jakim przypadkiem utracił, to byłby całkiem zrozpaczał, bo byłby miał przekonanie, że ten słaby brzask jeszcze gdzieś wdali migocącej nadziei już zgasł na zawsze przed jego oczyma. Tak nieraz widzimy, jako niektóry człowiek, zacny i niezawisły, przywiązał się do takiego indywiduum, którego w gruncie serca nie lubi, od którego czasem wstręt go porywa, którego nawet się boi — a przecie go ciągnie do niego: filozofowie takie niewytłumaczone pociągi nazywają psychologiczną zagadką, albo szukają ich źródła w niedającem się dojrzeć duchowem powinowactwie; my wszakże, szukający każdej prawdy nie spekulacją, tylko naszemi żywemi oczyma, widzimy jasno, że źródłem takiego zagadkowego pociągu jest zawsze jakiś pożytek, albo przynajmniej nadzieja pożytku.

Toż takim samym, choć może niecałkiem świadomym pociągiem wiedziony Wilczek, nie tylko się do Kostrubana przywiązał, ale już dawno mu się zwierzył ze wszystkiemi swemi tajemnicami. Kostruban już znał bardzo dokładnie nie tylko jego wszystkie interesa w Tustaniu i jego stosunki z Kijasem, ale wiedział o jego nieugaszonej miłości dla Jagienki i jego nieprzepartem pragnieniu, ażeby ją dostać. Wilczek nawet czasem o tem

z nim mówił, a Kostruban go zawsze pocieszał, zapewniając go na wszystkie zaklęcia, że jego pragnienie będzie zadowolonem.

— Niech pan starosta będzie tylko cierpliwy, — powiadał mu wtedy — znajdzie się na to sposób swojego czasu: dostaniemy Jagienkę.

Kiedy Wilczek czasami nastawał na niego, aby mu powiedział, czyli i jakich szuka na to sposobów, zmyślny ten sługa, a niebardzo sumienny, ofiarował się przekraść do niej z listami, umówić z nią schadzkę dla niego, a nawet go kusił, ażeby nieposłuszną fortunę wziął za łeb i wykradł Jagienkę z Czorsztyna. Ale Wilczek zawsze sfukał go za to, mówiąc:

— Głupiś! Do takiego sposobu nie potrzebowałbym ciebie. Ale nie rycerska to rzecz. Gniewosz mi towarzyszem i przyjacielem, choć nie wiem, co mi tam życzy w tej swojej przyjaźni. Wszelako nie mnie w to wchodzić. Ja się dlatego nie zmienię i pierwiej zginę, niżelibym miał wykroczyć przeciwko temu zakonowi, pod którego prawami żyję.

Kostruban zapewne sobie głowę łamał nad wynalezieniem innego sposobu, ale dotąd nic nie wymyślił.

Tej nocy, kiedy Wilczek spał pod namiotem, on, wyspawszy się w dzień, przechadzał się po królewskim obozie, gdzie słudzy rycerscy jeszcze tu i owdzie ze sobą gwarzyli, wąchał na wszystkie strony, rozmawiał z nimi, podsłuchiwał, szpiegował. Nareszcie w jednem miejscu coś dojrzał, czegoś się tam dowiedział — a była to pewnie rzecz ważna, bo zaraz potem pobiegł do namiotu swojego pana.

Wtedy jeszcze ciemna noc była, księżyc już zaszedł, gwiazdy pobladły, jeszcze daleko było do świtu. Kostruban niecierpliwił się przed namiotem, co chwila kotarę odchylał i zaglądał wewnątrz namiotu i znowu powracał, przestępował z nogi na nogę i podsłuchiwał. Ale jak tylko na wschodzie cokolwiek szarzeć zaczęło, zebrał w sobie odwagę, wszedł do namiotu i zaczął chrząkać.

Wilczek się zbudził, spojrzał na niego i spytał, czy już oświtło.

— Panie starosto, — rzekł mu Kostruban — wstawaj jegomość! Wielka nowina.

— Cóż tam takiego? — zapytał Wilczek, wstając raźno z posłania.

— Pan Gniewosz zginął.

— Gniewosz zginął?! — zawołał Wilczek, chwytając go rękami za obydwa ramiona. — Gniewosz zginął? Gdzie? Kiedy? Skąd ta nowina?

— Zginął kędyś za miastem — powiadał mu prędko Kostruban. — Wczoraj wieczorem ze swoją chorągwią nie wrócił, a w nocy koń jego okulawiony przywlókł się na trzech nogach do naszego obozu. Żołnierze konia dobili, a teraz plondrują wojłoki pana Gniewosza.

— Chodź! — rzecze Wilczek, trzęsąc się cały z wzruszenia i z niecierpliwości — Chodź! Gdzie jest koń i gdzie są ci żołnierze?

Kostruban wybiegł pierwszy z namiotu, Wilczek za nim i obydwa szli prędkiemi krokami za namioty królewskie, gdzie nocowała chorągiew Gniewosza.

Przyszedłszy niebawem w to miejsce, do którego biegł pierwszy Kostruban, spostrzegli pomiędzy krzakami kilku żołnierzy, należących zapew-

ne do służby dworskiej, jako, wypatroszywszy kilka sporych wojłoków, leżących przed nimi na ziemi, dzielili się znalezionemi w ich wnętrzu rzeczami. Jeden z nich, przeszukując wojłok już wypróżniony, znalazł w nim kieszeń, a wydobywszy z tej kieszeni jakoby skórzany pulares, pokazywał go drugim. Obaczywszy to Wilczek, krzyknął na nich surowo:

— A co to tu plondrujecie, złodzieje! Gdzie jest koń pana Gniewosza?

A kiedy to mówił Wilczek, Kostruban wyrwał żołnierzowi z ręki ów skórzany pulares i został przy wojłokach, zaś wystraszeni żołnierze poprowadzili Wilczka do konia.

O kilkadziesiąt kroków od tego miejsca leżał istotnie na ziemi zabity koń Gniewosza. Już wtedy świtać zaczęło. Wilczek obszedł konia dokoła, aby go dobrze obejrzeć i poznał go bez wątpienia, bo go znał dobrze; był to bułany *dextrarius* Gniewosza, jeden z największych, a zarazem najszybszych koni w całym dworze królewskim, którego rozum i zręczność podziwiali nawet cudzoziemscy rycerze. Teraz miał nogę przednią złamaną i łeb zakrwawiony, który mu roztrzaskali żołnierze.

— Teraz wierzę, że go zabito, jak skoro koń pod nim szwankował — rzekł Wilczek do siebie i zaraz szedł do wojłoków.

— Popakujcie nazad te rzeczy — zawołał do żołnierzy — i zanieście je za mną do namiotu porucznika. A tam was każę zakuć w łańcuchy! To wy tacy słudzy, co okradacie własnego pana?

I łajał ich dalej, obiecując im srogie kary za to łotrostwo.

A wtedy Kostruban przystąpił do niego i podając mu ów skórzany pulares, rzekł:

— I to także ukradli.

Wilczek, wziąwszy pulares do ręki, rzucił nań okiem i dostrzegł, że była na nim żółtawa pergaminowa kartka, przyszyta lub przyklejona, a na niej napis. Przypatrzył się bliżej temu napisowi i wyczytał na niej te słowa:

— „IMĆ Pana Gniewoschowy testhament".

Wilczek otworzył prędko pulares i wydobył zeń dużą ćwiartkę pergaminową, złożoną we czworo, którą też zaraz rozwinął, lecz, kiedy ją rozwijał, coś z niej wypadło i brzękło na ziemi, uderzając o jakieś metalowe przybory.

Kostruban się pochylił i podał mu ten przedmiot.

Wilczek go wziął do ręki i niepomału się zdziwił; była to bowiem połowa złotej obrączki ślubnej, nie przepiłowanej, tylko przełamanej gwałtownie. Wilczek nie mógł zrozumieć, coby ta połowa obrączki miała znaczyć, zaczem wyprostował na kolanie kartkę pergaminową i zaczął ją czytać. I czytał w ten sens:

— „Chwała Panu Bogu wszechmogącemu w Tróycy szwienthey yedynemu, Panu Jezusowi y Duchowi szwenthemu. Nayszwienthszey Pannie, opyekuntse chrzestsyanskyego rycerstwa, nuszky całuye y oblewam ye łzami, ażeby, za yey przyczyną testhament then był wypełnyony. A oto moy testhament. Kthoby nalazł tę okruschyenę moyey schlubney obrątschky, proschę go, aby yą zanyosł żenie moyey, Yejmość Paniey Agnieschce Gniewoschowey z domu Kmythów, Stharoszczynye na Zamku w Cszorschtynye, w Małey Polsce, nad

Dunnaytsem, przy scianye wengyerskiey. Z czego pozna, yako pomyendzy namy yesth umówiono, żem na they voynye zabith yesth. Zaczem dawschy odprawycz przysthoyne nabożeństhwo za zbawyenye duschy moyey, thoż darowawschy mnie grzechy a wyny moye, z dopuschczenya Bożego przeczyw nyey popełnyone, nyech nye czekayąc ydzie w drugye małżeństwo według swego natchnyenya, czem też za łaską Bożą skruci moye menki tschystcowe. A kthory yey te okruschynę zaniesie, yestli yesth rycerz, zdobendzye sobye łaskę u Panny Maryey nayschwietszey; yestli zasie yesth pacholyk albo drugy tschłek pospolyty, wynna mu dać z moyey schkathuły sowytą nagrodę, o co yą proschę dla nyego. Boże! Zmyłuy ssyę nade mną a nye sądź thych, co mnie sądzyli za życya, nye wyedząc wschystkich sspraw moych. Cherubyn Gniewosch z Olexowa, Rothmagister Jego Kr. M. a Stharosta Csorschtynski".

Kiedy Wilczek ten list przeczytał, łzy mu w oczach stanęły. Żal mu się zrobiło tego zacnego człowieka; jakiekolwiek się w jego sercu chwilowo dla niego obudzały uczucia, dziś musiał przyznać, że był to jeden z najlepszych -- a zginął tak młodo. Żal mu było także Formozy, los ją właśnie uwolnił od męża, upadła połowa przeszkód połączenia się z swym ulubionym — a niebawem będzie musiała się dowiedzieć o śmierci swego oblubieńca i pogrzebać na zawsze swoje najpiękniejsze nadzieje.

Jednak te łzy ustąpiły po chwili, bo przecież on sam, który o ziszczeniu swych własnych nadziei już wcale nie myślał i w najczarniejszej utonął rozpaczy, skutkiem tego samego wypadku

śmierci całkiem niespodziewanie otwarte niebo przed sobą obaczył. Jagienka wolna! Teraz już niemasz żadnej przeszkody dla niego. Matka Gniewosza żadnej już władzy mieć nad nią nie może, Chryzostoma, jej opiekuna, już niema na świecie, o wolę Kmitów sobieńskich wcale nie potrzebuje się pytać, — Jagienka jest wdową, panią swej woli, zrobi, co zechce. Wilczek odżył na nowo, stanął silnie na nogach, był siebie pewnym, był w niebie. Obejrzał jeszcze raz okruszynę obrączki, zawinął ją w testament, włożył do pularesu, pulares w zanadrze — i poszedł do króla po rozkazy, jak zwykle.

Nie potrzebując już teraz niczyjej protekcji, podniósł głowę jeszcze wyżej, niżeli ją nosił w swojem nieszczęściu, ale pomimo to nie chciał dumnym być w szczęściu i postanowił sobie postępować rozumnie i honorowo, jak zawsze: Gniewoszowym żołnierzom zasłużoną karę darował, Kostrubanowi kazał milczeć o wszystkiem, co widział i sam nikomu, ani nawet królowi, nie wspomniał nic o tem, co znalazł.

Nie była to zresztą pora na sprawy miłosne. O wschodzie słońca obóz zaczął się zbierać do pochodu. Gdyby król nie był chory, to po tem świetnem zwycięstwie byłby się może jeszcze raz pokusił o wzięcie Suczawy. Ale po wczorajszych wzruszeniach i wysileniach jego niemoc się wzmogła do tego stopnia, że ledwie mógł doleżeć na wozie. Prócz tego cała okolica była już tak objedzona i wyniszczona, że nie można było o tem ani pomyśleć, ażeby tak liczną armję wyżywić.

Armja zatem puściła się w pochód przez ten sam las bukowiński. Wśród tego pochodu pozbie-

rano jeszcze niemało naszych żołnierzy, rannych i zdrowych, którzy się pochowali w gęstwinach, zabrano z sobą ciała niektórych zabitych, które ich krewnym lub przyjaciołom udało się poodszukiwać, poodbijano jeszcze dużo wozów z namiotami i bronią, tylko straconych armat blisko sześćdziesiąt już nie odbito, które dopiero w kilkanaście lat potem wielki hetman Tarnowski odebrał i w wielkim tryumfie przywiózł do Krakowa.

U wyjścia z lasu Wołosi jeszcze raz próbowali nam drogę zastąpić, a nad Prutem zebrali się wraz z szeklerami i, mając Tatarów w odwodzie, bitwę nam dali; ale już wtedy żadna potęga nie mogła się na nas porywać bezkarnie, bo duch w całej armji był wielki i ognista przeciwko Wołochom zawziętość: toż ich tam haniebnie pobito nad Prutem, a jeszcze im i ich kraj spustoszono i niemało nabrano zdobyczy.

Tak cała armja, opłakawszy swe straty, a powetowawszy je za bożą pomocą w dwójnasób na skórze wołoskiej, z dobrą fantazją stanęła w Śniatynie, gdzie król na kilka dni spoczął i całe pospolite ruszenie rozpuścił.

W Śniatynie Wilczek się już zniecierpliwił, bo radby był na skrzydłach polecieć na Czorsztyn. Jakoż zaraz nazajutrz poszedł do króla i prosił go uniżenie, aby także i jego na mały czas puścił do domu.

Król spojrzał zrazu chmurnie na niego i milczał przez okamgnienie. Widać było po jego twarzy, że mu się nie podobała ta prośba. Ale niebawem się ocknął, a wtedy już łagodniejszemi oczyma patrzył na Wilczka i rzekł:

— Twoja panna dziś wdową jest na Czorsztynie, to pewnie dlatego ci się tak śpieszy.

— Jużci dlatego — rzekł Wilczek — bo inaczejby mi ani na myśl nie przyszło oddalać się od mego miłościwego króla, zwłaszcza kiedy jest chory.

Zaczem król jeszcze trochę pomyślał, a potem tak mówił:

— Słysz, Wilczek! Widziałem ciebie, jakeś twojego zdrowia za mnie nadstawiał pod murami Suczawy i tak ci powiadam, że nigdy tego ci nie zapomnę, bo nikt tam lepiej nie stawał od ciebie i takem czuł, patrząc na twoją odwagę i pracę, że się bijesz za honor twojego króla. Powiedzą ci to naoczni świadkowie, żem nawet raz krzyknął za tobą, spostrzegłszy, żeś się za daleko zapędził, żebyś nie wpadł w jaką połapkę, jak się to właśnie mało co potem temu biednemu Gniewoszowi zdarzyło. Aleś mi też dlatego tak przyrósł do serca, że już nie widzę, kogoby miał wierniejszego od ciebie. Do tego popatrz, co się tu stało koło mnie! Kamieniecki jeszcze się nie obaczył, Gniewosz spoczywa w Bogu, inni moi rotmistrze i porucznicy, co nie zginęli, to młodzież i sami panicze, jako ich znasz, — cały mój dwór jest jakby w rozsypce... Pospolite ruszenie się rozjechało, królewicz, brat mój, dziś do Krakowa wyjeżdża, jam chory; jeżeliby mnie w drodze kto napadł, to nawet nie wiem, ktoby mnie bronił. Słysz, Wilczek! Rozumiem dobrze, jak ci pilno do twojej wdowy, ale ona ci nie ucieknie — a jabym tu cale już osierociał bez ciebie. Owo więc, o co cię proszę: zdaj twoją chorągiew twemu namiestnikowi, weź rotmistrzowską buławę nad chorągwią Gniewosza, weź ko-

mendę nad moim dworem i odprowadź mnie jeszcze do Lwowa. A ze Lwowa już cię puszczę na Czorsztyn i zabawisz się tam, jak długo zechcesz.

Wilczek, wierny sługa królewski, słuchał z wzruszonem sercem tej serdecznej mowy swojego pana. Jużci taka gorąca miłość, jaką on miał dla Jagienki, grzeje okrutnie; ale łaska królewska i grzeje i łechce i opromienia. Jagienka mu nie ucieknie, sam król to powiedział. Zaczem ucałował rękę królewską — i został.

Król jeszcze trzy dni leżał w Śniatynie — a potem krótkiemi noclegami ruszył do Lwowa.

Bardzo to smutny był pochód. Dwór jego, chociaż zwycięski, a nawet świadomością swych przewag wysoko podniesiony na duchu, zdarł się okrutnie. Bardzo wielu rycerzy miało tak potrzaskane zbroje, że nawet ich przywdziać nie mogli, niektórzy z nich potracili swoje pakunki i poubierali się w pakłakowe kubraki, a nawet i w chłopskie opończe, wszyscy byli zmizerowani, wynędzniali, wychudli, a ten i ów nawet pożółkł, jak wosk, nabawiszy się febry wołoskiej, która mu wyżerała wnętrzności. Konie ich wyglądały już, jak szkielety, zwłaszcza też owe wielkie ogiery rycerskie, przyzwyczajone do wygód, wiele z nich nawet wyginęło w tych trudach niezwykłych, a panowie ich siedzieli na małych bachmatach, albo też na zdobycznych koniach wołoskich i siedmiogrodzkich, z pięknemi grzywami prawie do kolan, ale z łbami, jak cebry, i garbatemi nosami. Wleklić oni za sobą niemało wozów z rozmaitą zdobyczą, prowadzono w tej karawanie bawoły i kilkanaście wielbłądów, a między niemi i jeńców cokolwiek, ale wieźli za sobą także i trupy.

Ciało walecznego Fredry, które odszukano na pobojowisku, a nad którem cała armja płakała, zostało po drodze w Niżniowie; ale zwłoki dwóch Tęczyńskich, wojewody ruskiego i jego synowca, wieziono w trumnach na wielkim wozie sześciokonnym, woskowanemi płótnami nakrytym, a w otoczeniu sług tego znakomitego domu Toporów.

Za nimi ciągnął Kergolaj z wozem, na którym była złożona trumienka z ciałem Tigranesa. Chorągiew Kergolaja była zdarta do niepoznania, chociaż przed wojną była tak znakomicie złożona. Ale ten rycerz francuski „bez lęku ni zmazy“ był w okrutnych opałach pod murami Suczawy, bił się, jak lew, ze wszystkich stron osaczony, a chociaż poszarpany na szmaty, powziął jeszcze myśl heroiczną, Tigranesa zdjąć z pala, aby tej smutnej trofei nie zostawić w rękach Wołochów. Krew swoich i Tigranesowych żołnierzy tak mało ważył, jak swoją własną, gdzie chodziło o honor; zaczem prawie trzy czwarte części tych ludzi wytracił — a teraz zostało mu swoich żołnierzy ledwie trzydziestu, pomiędzy którymi wszyscy trzej Bernatowicze, chociaż także obdarci, pozostali nietknięci. Jednak jeszcze i z ich czarnych płaszczów tyle zostało, że, otaczając wóz z trumną, wyglądali właśnie, jak owi żałobni rycerze, co kruszą tarcze herbowe po zmarłych ostatnich potomkach rycerskich rodów i odprowadzają ich zwłoki do grobu. Nad tym pogrzebowym konduktem powiewała czarna chorągiew Kergolaja ze złotym lewkiem, z której wprawdzie także już strzępie wisiały, ale której nie dał sobie wydrzeć, chociaż Bóg sam wie tylko, ile razy był z nią w takiej ciasnocie, że po sto ramion po nią sięgało. Za wozem postępowała reszta

Tigranesowych żołnierzy. Stracili swojego rotmistrza i swoją chorągiew także stracili: w podartych płaszczach błękitnych i żółtych, w poszczerbionych pancerzach siedziało ich ledwie dwudziestu na koniach, ale Pretficza pomiędzy nimi nie było...

Za temi trumnami ciągnęło jeszcze sporo piechoty pod komendą Frąca Ajchingera. On sam siedział na dobrym koniu i rumiano wyglądał, bo mu się też tak szczęśliwie udało, że w żadnej bitwie się nie bił; ale jego łucznicy i halabardnicy byli już prawie w łachmanach, wychudli i poobdzierani, jak gdyby istna armja żebraków.

Olizar ze swoją sotnią kozaków był także przy tym pochodzie, ale wcale się ładu nie trzymał, tylko się odsadzał od armji to w tę stronę, to w ową i po dworach nocował, gdzie i on sam i jego kozacy bardzo dobrze się mieli. Jednak z wszystkimi razem przyciągnął do Lwowa.

Biłowus, obładowany tak ciężkiemi łupami, że jego ludzie musieli iść pieszo, ażeby konie mogły udźwignąć wojłoki, już w Śniatynie pokłonił się Wilczkowi, prosząc go, aby go puścił do domu, na co mu Wilczek pozwolił, zaczem Biłowus najął sobie dwa wozy w Śniatynie i pojechał stamtąd prosto na Tustań.

Kiedy król przyciągnął nareszcie do Lwowa, z Bramy Halickiej wyrunęli przeciwko niemu wszyscy halabardnicy miejscy i niezliczone gromady ludu. We Lwowie mało jeszcze wiedziano o odniesionem zwycięstwie, ale natomiast miano już nieprzeliczone i najpotworniejsze wieści o klęsce w lesie bukowym, do których przymieszały się także wiadomości o stratach, poniesionych pod

murami Suczawy. Ci, co pierwsi uciekli z lasu, roznieśli już taki popłoch po mieście, iż zrazu zrozumiano, że w tym lesie piekielnym, gdzie według tradycji Polacy już za Kazimierza Jagiellończyka równie tragiczną klęskę ponieśli, poprostu wszyscy zginęli. Lecz za pierwszymi przybywali drudzy, a potem pospolite ruszenie ziemi lwowskiej i bełskiej przez Lwów przeciągnęło — a tak miano już i całkiem wiarogodne podania od świadków naocznych. Zaczem już wiedziano napewno, jaka śmierć Tigranesa spotkała i że Gniewosz został od Tatar zabity, a jego koń okaleczony do obozu powrócił. Wiedziano także, że Kergolaj wiezie zwłoki Tigranesowe.

Stąd poszło, że z ludem miejskim, który się na przyjęcie króla za bramę halicką wysypał, wybiegli także stary Kijas i Kundrat.

Lud przyjął króla z spuszczonemi głowami i bez żadnych okrzyków, przypatrywał się jeszcze przez jakiś czas ciągnącym za królem chorągwiom i wozom, i pomału nazad się wcisnął do miasta; ale Kijas i Kundrat czekali z godzinę, nim wreszcie Kergolaj z trumną nadciągnął.

Kijas był bardzo zgryziony, wszelako, jako człowiek rozumny, wytrawny i już licznemi klęskami doświadczany przez swoje życie, zdawał się być spokojnym i zrezygnowanym. Ale o wiele młodszy od niego Kundrat, który zresztą nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego się ludzie zabijają między sobą, kiedyby jedni z drugimi mogli żyć w szczęściu i w zgodzie, był, jak na sprężynach, nie mógł ustać na jednem miejscu, patrzał wytrzeszczonemi oczyma na poszarpane chorągwie, otwierał gębę naściężaj, kiedy obaczył którego

z bogatych panów w łachmanach, a kiedy nadciągnął wóz ze zwłokami Tęczyńskich, podparł sobie ręką podbródek i mówił półgłosem do siebie:

— Taki pan wielki! Wojewoda ruski! Jego zamków i włości niktby nawet nie zliczył! I trzeba mu było iść między Wołochów i dać się im zabić, jak prosty chłop, jak halabardnik, co nie ma w gębę co włożyć...

A kiedy nareszcie Kergolaj nadjechał z trumną Tigranesową, jemu już ledwie oczy nie wyskoczyły z powiek, przybliżył się do wozu, podniósł płócienne nakrycie i patrzał na trumnę zadziwionemi, ale zarazem niedowierzającemi oczyma. Kergolaja nie cierpiał, miał go za awanturnika, co gotów sobie zadrwić z rzeczy najświętszych, chciałby był podnieść wieko od trumny, aby obaczyć, czy Tigranes istotnie tam leży. Szczęściem, nadjechał właśnie w tej chwili Olizar, Kundrat spojrzał na niego i od wozu odskoczył; przypomniał sobie zapewne jego buty kowane, z któremi nie chciał się jeszcze raz spotkać.

Tymczasem wszakże Kergolaj, podniósłszy głowę miernie do góry, zabrał głos i bardzo wymownemi słowy do Kijasa przemówił, opowiadając mu krótko, jak jego syn zginął śmiercią bohaterską, a zarazem męczeńską, za co już dotąd otrzymał niebieską nagrodę. Potem delikatnie nadmienił, jako on sam swoje życie zaważył, ażeby jego zwłoki z pomiędzy barbarzyńców wyrąbać i przywieźć je jego rodzinie — a wkońcu pięknym zwrotem dołożył, że jego misja w tej chwili się kończy, oddaje mu ciało swojego towarzysza i przyjaciela i prosi, aby je obyczajem rycerskim kazał pochować.

Wśród tej przemowy Kijas rozpłakał się rzewnemi łzami, chciał odpowiedzieć, ale napróżno się silił: jego słowa zawsze mu łzy w gardle zalały. Co widząc Olizar, człowiek złotego serca, zeskoczył z konia, objął go w swoje ramiona i rzekł:

— *Ta szczo!* Niema co płakać! Twój syn zginął śmiercią poczciwego człowieka. Taki los jest każdego żołnierza. Dziś jemu, a jutro mnie. I ciebie także niebawem czort weźmie, choć-eś nie żołnierz...

Chociaż Olizar był także bardzo wzruszony, a nawet i łzy mu się w oczach kręciły, jednak tą swoją przemową uspokoił Kijasa, który też, odzyskawszy całą swoją przytomność i powagę, serdecznie podziękował Kergolajowi za tak wielką usługę, oddaną jego rodzinie, i, odciągnąwszy go trochę na stronę, zaczął z nim rozmawiać półgłosem. Zdarzyła się bowiem pewna trudność co do pogrzebu, w której stroskany ojciec chciał się z tym doświadczonym rycerzem poradzić.

Kijas, jak tylko się na pewno o śmierci swojego syna dowiedział, zaraz pomyślał o przyzwoitym pogrzebie i chciał go w ormiańskiej cerkwi pochować, gdzie miał niejako swój grób familijny, bo już jego ojciec tam leżał. Ale biskup ormiański, wiedząc już o tem, że Tigranes przeszedł na łono katolickiego Kościoła, chociaż mu był przyjacielem, powiedział stanowczo: *Quod non!* i przyjęcia zwłok do swej cerkwi odmówił. Zaczem Kijas udał się do katedry łacińskiej; ale tam kanonicy także mu odmówili, zastawiając się tem, że o przejściu Tigranesa na wiarę katolicką urzędownie nie wiedzą. Wychrzcił się tam gdzieś w zamkowym kościele — powiadali mu zgryźliwie — i to Bóg wie,

po jakiemu, niechże go tam także pogrzebią. Żądali dokumentów — a dokumentów nie było, bo się to stało naprędce. Stroskany Kijas, znalazłszy się w takim kłopocie, udał się do kościoła N. Panny Marji, i proboszcz tamtejszy, po długich błaganiach wprawdzie go przyjął, ale tylko pozwolił, ażeby zwłoki Tigranesa pochowano tymczasowo na tamtejszym cmentarzu, do kościoła zaś dopiero wtedy go przyjmie, jak mu Kijas urzędowne świadectwa przedłoży, jako jego syn został po wszelkiej formie na łono katolickiego Kościoła przyjęty. Główna trudność została zatem usuniętą, ale mimo to jeszcze ciężka troska mu pozostała, albowiem kościołek N. Panny Marji, była to wtedy bardzo nizerna budowa, leżąca *extra muros,* pomiędzy Wysokim a Niskim zamkiem, na terytorjum starościńskiem, niezawisłem od miasta, i nieużywająca w mieście żadnej konsyderacji.

Takie spospolitowanie jego godności, oddanie zwłok syna pod jurysdykcję starostów i odroczenie paradnego pogrzebu dla niego, kto wie, na jak długo, bardzo go zabolało. Więc radził się Kergolaja, coby miał zrobić, mówiąc, że mógłby się teraz udać z tą sprawą do arcybiskupa Boryszewskiego, który właśnie z królem powrócił, ale nie może sobie robić wielkich nadziei, bo i arcybiskup nie załatwi tej sprawy narazie. Kijas opowiadał mu te swoje boleści ze łzami w oczach, a już mu prawie głos w gardle zamierał, kiedy dodał na końcu te słowa:

— Nie dziwuj się wasza miłość, że mi głosu nie staje na moje skargi. Ale zważ tylko, jaka to nieprzetrawiona boleść dla ojca, którego syna nielitościwy los prześladuje tak strasznie. Z pierw-

szego mieszczanina, gdzieby był w szczęściu i znaczeniu opływał, stał się rycerzem — i za to wbito go na pal na wałach Suczawy; porzucił wiarę swych ojców i przeszedł na wiarę łacińską — za to łacinnicy mu odmawiają ludzkiego pogrzebu!

I płakał biedny starzec, jak dziecko.

Ale Kergolaj odpowiedział mu na to przytomnie i trafnie:

— Nie skarż się waszmość na Pana Boga, bo On wie lepiej, co robi. Im więcej twój syn ucierpiał na ziemi, tem lepiej będzie mu w niebie. A na sprzeczki z księżami także teraz nie pora. Idź zatem za moją radą. Pochowajmy go zaraz na cmentarzysku u Panny Marji — a potem już ja się sam o to postaram, ażeby go przyjęto do katedralnego kościoła.

Tak się też stało. Ci sami żołnierze, z Kergolajem na czele, odprowadzili zwłoki Tigranesa przez miasto na cmentarzyk około kościoła Panny Marji i tam je pochowali w cichości.

Wśród wielkiego rozgwaru w mieście nikt na ten skromniutki kondukt nie zważał. Za trumną szli tylko oprócz Kijasa i wiernego Kundrata, Kergolaj, Olizar i Frąc Ajchinger, który po starej dla domu Kijasa przyjaźni w mieście się do nich przyłączył. Trumnę pokropił wikary i odmówił cichą modlitwę. Zaczem każdy rzucił grudkę ziemi na trumnę i wszyscy się w milczeniu rozeszli.

Kergolaj, Frąc i Olizar, zapomniawszy niektórych wzajemnych niechęci przy tak smutnym obrzędzie, wziąwszy się pod ramiona, poszli sobie do Bazaru — na stypę.

Kijas zaś oparłszy się na ramieniu Kundrata, poszedł wolnym krokiem do domu.

Kijas w smutnych utonął myślach: jedyny jego syn, cała jego nadzieja, która miała oświecać ostatnie dnie jego życia, marnie zszedł z tego świata; on, starzec bezdzietny, został osierocony i nie ma nawet nikogo ze swoich, ktoby mu zamknął powieki... Kundrat także był bardzo zamyślony, także się na swój los skarżył i także był przepełniony goryczą; ale jemu przychodziły myśli więcej światowe. Rzucając gniewliwem okiem na owych trzech rycerzy, co poszli się poweselić ze sobą, powiadał sobie:

— Ot, głupi ludzie, że się biją ze sobą, ale też i swoje wojny po głupiemu prowadzą. Dali wbić na pal Tigranesa, co nigdy nikomu wody nie zmącił; dali zabić Gniewosza, takiego zacnego pana, ba i najpiękniejszego rycerza, co był tak grzeczny dla wszystkich, a z tych trzech drabów żaden nie zginął, ba, nawet i po łbie nie dostał... Nie wiem ja, kto tam rządzi temi wojnami, ale to widzę, że niemasz sprawiedliwości na świecie.

Kergolaj, wyspawszy się po sutej libacji w Bazarze i urządziwszy nazajutrz rano swoją kwaterę na Niskim zamku, uczuł się bardzo zadowolonym ze siebie. Wybił się pod Suczawą od stu tysięcy, był w tak gorących opałach, jak mało kiedy w swem życiu, i wyszedł z nich cało, zaś nadto jeszcze dokazał takiej sztuki rycerskiej, na jaką nikt inny się nie odważył: to wszystko razem czyniło go tak szczęśliwym ze siebie i dumnym, że każdy rycerz musiał mu tego szczęścia zazdrościć. Bo taki rycerz ówczesny nigdy niczego więcej nie pragnął, jak wybić się setnie, stawić odważnie czoło największym niebezpieczeństwom, a wreszcie czegoś niezwyczajnego dokazać: mniejsza o to,

czy ta rzecz nadzwyczajna służyła jakiemuś wyższemu celowi i czy się komu na co przydała, dobre i to, ale nie koniecznie o to chodziło, tylko o to, aby to była sztuka nad sztuki. To się więc stało: on jeden wdarł się na wały Suczawy i zdjął z pala ofiarę, kroniki o tem będą pisać i sława jego dojdzie do Francji i do Sabaudji. Ale za takie przewagi należała się rycerzowi nagroda od dam, bo ta według pojęć ówczesnych była niejako bukietem jego czynów rycerskich. Jednak i taka nagroda była, jego zdaniem, gotowa i tylko czekała na niego.

Formoza została wdową — i oczywiście teraz zechce wyjść zamąż powtórnie. A komużby chętniej oddała rękę, niż jemu, który życie swoje zaważył, aby jej się przysłużyć? Formoza jest nadzwyczajnie piękną kobietą; piękności tak doskonałych i tak świetnego blasku bardzo jest mało na całym świecie. Diana i Juno musiałyby się wzajemnie dopełnić, ażeby tak wykończoną całość utworzyć. W promieniach jej oczu serce się topi i mdleje, okrągłość i miękkość jej form wlewają jakby lawę kipiącą w żyły człowieka. Jakie tam ciało cudowne! — A do tego jest jeszcze, jak Wenus Afrodite, co dopiero co wypłynęła z pian morskich w niepokalanej czystości. Dusza także wspaniała, może nawet zanadto. Ma trochę za mało humoru... za wiele surowej powagi; ale kiedy mnie nie chciała dopuścić do swojej sypialni, to i humor się znalazł i dzisiaj sam z tego się śmieję, jakem jej wtedy te pudełka wytrzaskał. O majątku już nawet i wspominać nie trzeba: Kijas nie ma już dzieci, nawet i o krewnych nigdy nic nie słyszałem, wszystko ona zabierze i będzie to krezusowa fortuna. Więc...

To rzekłszy, zatarł ręce, ubrał się bardzo paradnie i z południa poszedł odwiedzić Kijasa.

Kijas go przyjął bardzo serdecznie, objął go w swoje ramiona, spłakał się nad nim i zapewnił go, że jest mu wdzięcznym i będzie do śmierci.

— Moja kasa chudobna — rzekł Kijas — moje magazyny i sklepy, mój cały dom, moje wszystkie usługi są na rozkazy waszej miłości. Siadaj waszmość tu przy mnie. Jak ciebie widzę, to mi mój syn staje przed oczyma, jak żywy. Jest to jedyna moja pociecha. Och, jakżebym pragnął go tylko raz jeszcze obaczyć, a potem już pójść za nim w te kraje, gdzie niemasz żadnej zgryzoty!...

Kergolaj był tem przyjęciem niezmiernie uradowany: wszakże to było prawie już oświadczenie, jakoby go chciał mieć wiecznie przy sobie.

Zaczem siadł przy nim i podał mu się do bardzo długiej rozmowy. Albowiem Kijas wypytywał go bardzo ciekawie o wszystkie szczegóły śmierci swojego syna. Kergolaj mu opowiadał wszystko, co wiedział; czego nie wiedział, to zmyślił, a aby go wreszcie pocieszyć, zapewnił go, że Tigranes był już zabity, kiedy go zawieszono na palu, zaczem żadnej męki nie cierpiał.

Bardzo to uspokoiło nieszczęśliwego ojca, poczem już o wiele swobodniej rozpytywał go o tę wojnę nieszczęsną, która, jego zdaniem, była bardzo lekkomyślnie poczętą, a prowadzoną tak niezdarnie i głupio, że nawet trudno zrozumieć, jakim sposobem król, taki rozumny, mógł za jednym zamachem tyle błędów popełnić. Kergolaj usprawiedliwiał króla, jak mógł, lecz przytem starał się Kijasowi wytłumaczyć, że piękność i całą wartość wojny nie należy sądzić po skutkach, tylko po tem,

z jakiemi niebezpieczeństwy miało się w niej do walczenia. Owóż on, chociaż już ze trzydzieści wojen odprawił, może go zapewnić, że na tak pięknej wojnie jeszcze nigdy nie bywał; bo to tam nie tylko że się miało najrozmaitszych nieprzyjaciół na wybór: Wołochów, szeklerów, Węgrów, Tatarów, a nawet i chłopów, nie tylko, że na pale wbijano i bito się młotami i siekierami, ale jeszcze i popodrzynane buki na żołnierzy leciały, a to jest rzecz, z jaką tylko taki rycerz się spotkał, co nadzwyczajne miał szczęście.

Kijas tylko z wielką trudnością pojmował te rycerskie wyobrażenia o szczęściu, a Kundrat, który był przy tem, cale go nie rozumiał i, mówiąc sobie, że albo ten człowiek już doreszty rozum utracił, albo też może ma djabła przy sobie, jeszcze głębiej w kąt się zasunął.

Tymczasem Kergolaj, nabawiwszy się z tymi mieszczany dowoli, bo też ich miał ledwie za boże stworzenia, zaczął się niecierpliwić i wreszcie rzekł do Kijasa, że chciałby się pokłonić pani Formozie. Ale Kijas odpowiedział mu na to z boleśnym uśmiechem:

— Tej sztuki wasza miłość trudno dokażesz. Formoza od śmierci męża czerni się w żałobie, i, oprócz księdza, nikogo nie wpuszcza do siebie. Nawet i ja bardzo ją rzadko widuję. Biedna kobieta! Jeśli ten ciężar, co serce jej gniecie, nie ulży się, jak się dowie, żeśmy jego ciało tu pogrzebali i że będzie się mogła modlić na jego grobie, to bodajby Bóg to odwrócił, ale tak mi się zdaje, że jego śmierci pewnie nie przeżyje.

Kergolaja, znawcę ludzkiego serca, bardzo to zadziwiło. Jużci wiedział, że wdowy ówczesne bar-

dzo surową po swoich mężach zachowywały żałobę, ale, żeby ona do tego stopnia i to jeszcze za nominalnym mężem bolała, jakoś mu się to nie zdawało. Zaczął więc na Kijasa mocno nalegać, ale napróżno. Kijas mu odpowiedział, że go Formozie oznajmi i wstawi się za nim, lecz bardzo wątpi, ażeby to jaki skutek odniosło. Może za sześć miesięcy, jak minie połowa żałoby; ale pierwej to będzie trudno...

— Za sześć miesięcy! — zawołał Kergolaj, udając, że go to śmieszy. — Ja za sześć godzin byłbym wziął Suczawę, gdyby mi był król tylko trochę dopomógł.

— Ale w tym razie i król nie pomoże waszmości, — rzekł Kijas — bo żałobna komnata wdowy, to kościół, a do kościoła i król się przemocą nie wdziera.

Kergolaj myślał zrazu, że z niego żartują, ale teraz się spostrzegł, że nie, bo dlaczegożby Kijas miał z niego żartować, dlaczegożby wreszcie miał mu bronić przystępu do tej kobiety, która teraz już nawet nie jest jego synową? Ale go to dziwnie zniecierpliwiło.

— *Voyons!* — zawołał do siebie. — Jam dla niej łba nastawił i przywiozłem jej zwłoki jej męża, a onaby mnie nawet nie przyjęła u siebie? To przecie jest niemożebnem.

Jakoż teraz poszedł, ale nazajutrz znów przyszedł i dnia następnego, a potem codziennie przychodził przez cały tydzień, jednak zawsze bez skutku. Formoza kazała mu podziękować przez teścia za oddane usługi, ale go nie przyjęła.

A wtedy Kergolaj już całkiem stracił cierpliwość. Tego postępowania sam nie mógł zrozumieć,

musiał się kogoś poradzić i poszedł na radę — do Pachny.

Tymczasem Formoza była istotnie w bardzo ciężkiej żałobie.

Kiedy nowiny z pola bitwy zaczęły dobiegać do Lwowa, wiadomość o okrutnej śmierci Tigranesa przyszła najpierwsza, zaraz po przerażających powieściach o niesłychanej klęsce na Bukowinie i po wiadomości o śmierci Tęczyńskiego i Fredry. Wiadomość o śmierci Gniewosza przyszła dopiero nazajutrz.

W zniepokojone serce Formozy uderzyły dwa gromy, jeden po drugim.

Po pierwszym gromie, acz go uczuła boleśnie, niebo rozgorzało płomieniem w jej oczach i świeciło przed nią jasną światłością. Ból przejął jej serce za przyjacielem i zacnym człowiekiem, ale otworzył zarazem widok na lepsze nadzieje w przyszłości.

Ale drugi grom, uderzając w nią jeszcze daleko gwałtowniej, olśnił oczy jej ducha zupełnie i zostawił po sobie noc czarną dokoła. Grom ten rozdarł jej duszę do dna, zagasił świtające zdaleka blaski nadziei i zostawił bezdenną rozpacz po sobie.

Dwa takie gromy, jeden po drugim, był to cios tak gwałtowny i nielitościwy, że Formoza znieść go nie mogła i upadła pod jego ciężarem, który ją zmiażdżył i przygniótł do ziemi.

Nawet i ziemia jej się z pod nóg usunęła, jej umysł się rozchwiał, straciła zupełnie świadomość siebie, była bez czucia i myśli i nic wiedziała wcale, co się z nią dzieje.

Kiedy nazajutrz rano wróciła do przytomności

i spostrzegła, że jeszcze żyje, kazała wybić swoją sypialnię czarnem suknem od góry do dołu, łóżko swe czarną kapą nakryła, czarną suknię przywdziała na siebie, wszystkie sprzęty błyszczące kazała wynieść do innych pokojów, zostawiła tylko klęcznik przy łóżku i zapowiedziała wszystkim domownikom przez teścia, że zgoła nikogo nie przyjmuje u siebie. Nawet sługi swe oddaliła od siebie, sprowadziła sobie mniszkę z ormiańskiego klasztoru panien do zwykłej usługi, a do swojej sypialni wpuszczała tylko księdza franciszkana, który codziennie rano i wieczorem przychodził i czytał jej łacińskie modlitwy za dusze zmarłe. Zgoła za życia zamknęła się w grobie; tak w owych czasach wdowy za swymi mężami odprawiały żałobę.

W ciągu następnych dni jej umysł zaczął zwolna się uspokajać. Modlitwy, czytane przez pobożnego mnicha w języku łacińskim, który rozumiała, wywierały na nią wpływ bardzo zbawienny. Ten język martwy, a przytem język kościelny, przynosił jej głosy, jakby nie z tego świata i przypominał jej, że za tą ziemią jest jeszcze świat inny, w którym po śmierci żyć będziemy na wieki. W tym świecie znajdziemy tych wszystkich, którycheśmy stracili na ziemi, i tam połączymy się z nimi, aby już nigdy się nie rozłączyć. Słowa te, któremi mnich do niej z książki przemawiał, zdawały jej się być słowami tych, którzy już są na tamtym świecie i tam na nią czekają. Na ziemi już się wszystko skończyło, ale jest inne życie — i tam będzie lepiej...

Wszelako, mimo tej rezygnacji, im więcej odzyskiwała władzę myślenia i czucia, tem częściej

przychodziły jej myśli ziemskie. Po modlitwach wypytywała mnicha o dalsze wiadomości z teatru wojny: kto jeszcze zginął, azali który, miany za poległego, nie odszukał się później? — Mnich wiedział wszystko; ale nie miał dla niej wiadomości pocieszających. Nietylko, że kogo miano za poległego, ten pewnie zginął, ale okazuje się jeszcze, że wielu innych zginęło, o których rozumiano, że żyją. Podobno tam niemało Wołochów, Węgrów i Tatar nabito, aleśmy to zwycięstwo bardzo drogiemi opłacili ofiarami. Mnich zdawał się nie być stronnikiem królewskim, bo już wtedy powiadał jej, jako ludzie sobie powtarzają *dictum:* „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta".

Nie było więc żadnej nadziei...

Wśród tego czasu król wrócił do Lwowa.

Kiedy Formoza się dowiedziała, że z królem Wilczek przyjechał, przyjęła tę wiadomość prawie z radością. Kergolaja kazała przeprosić, ale, gdy Wilczek się zameldował, zaraz go przyjęła.

Kiedy Wilczek wszedł do jej sypialni, serce jej roztajało, rzuciła mu się z rozgłośnym jękiem w ramiona i całe strumienie łez jej się potoczyły po twarzy.

Dotychczas jeszcze ani jedna łza nie wytrysnęła jej z oka; z wielkiego bolu, w którym zakrzepło jej ciało, wszystkie łzy w jej piersiach zamarzły; dopiero teraz, na widok duszy przyjaznej i sobie pokrewnej, serce jej się rozgrzało i wszystkie łzy wyskoczyły, jak wodotrysk, z jej oczu i całą twarz jej zalały.

Biedna ta męczennica długo nie mogła słowa przemówić, płacząc głośno, oparta głową na jego ramieniu, tak, że i żelazny Wilczek, który, jak długo

żył, nie miał nigdy łzy w oku, był do głębi wzruszony i uczuł wilgoć w swych oczach.

Po tym gwałtownym wybuchu żalu, który rozgrzał oddawna zakrzepłą krew w jej żyłach, usiadła w głębokiem krześle naprzeciw Wilczka i, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy, zawołała rozdzierającym głosem, spuszczając rękę, w której łzami zwilżoną chustkę trzymała, na swoje kolano:

— Miałam wiarę, ale mnie moja wiara zawiodła. Pan Bóg rozrządził inaczej!...

Na to Wilczek powiedział jej, może nierozmyślnie cokolwiek:

— Wierz dalej! Wiara czasem góry przenosi.

Wtedy Formoza zadrgnęła, otworzyła oczy szeroko, wpiła je w twarz Wilczka i zapytała spokojnie, usiłując panować nad sobą:

— Czy mogę mieć jeszcze jaką nadzieję?

Tu Wilczek się spostrzegł, że owe słowa niebacznie powiedział; będąc zaś przekonanym, że po stracie doznanej robienie sobie próżnych nadziei jest podwojeniem nieszczęścia, bo też według tej samej zasady po stracie Jagienki postępował ze samym sobą, odpowiedział jej głosem wdzięcznym, ale stanowczym:

— Dałbym pół życia za to, gdybym cię mógł pocieszyć, ale nie mogę. Gniewosz zginął z pewnością, nie może być o tem najmniejszego wątpienia.

Słowa te jednakże nie sprawiły spodziewanego wrażenia na Formozie. Albowiem przyszło jej na myśl w tej chwili, że, jeżeli ona pragnie, ażeby wiadomość o śmierci Gniewosza okazała się mylną, to on przeciwnie musi sobie życzyć, ażeby była prawdziwą, inaczej bowiem Jagienka nie będzie

wdową. Pod wpływem tej myśli zaczęła patrzeć z niedowierzaniem na niego. Byłaby poniosła największą ofiarę, aby mogła pierś jego rozedrzeć i na jej dno zajrzeć, ażeby widzieć, co on istotnie o tem rozumie. Ale wydrzeć mu tę tajemnicę było niepodobieństwem, bo, choćby nawet dopuszczał, że Gniewosz może żyć jeszcze, to mimo najserdeczniejszej przyjaźni nawet jej tego nie powie. Wszelako ciekawość jej nad nią całkiem zapanowała i zaczęła go wypytywać, mówiąc:

— Powiedzże mi otwarcie i szczerze... Wiesz przecie, że ciebie nie zdradzę, bo zresztą tem samem i siebiebym zdradziła; powiedz mi, czy niemasz już żadnego podobieństwa, ażeby się Gniewosz odszukał? Przecież tyle a tyle razy słyszeliśmy, że ten i ów zginął, już go jego krewni opłakali i *requiem* kazali za niego odprawić i podzielili się jego dobrami — a on żyw wraca z jakiejś niewoli...

Tu przyjaźń Wilczka dla Formozy ustąpiła jego miłości dla siebie samego, jej przewidywania zaczęły go niecierpliwić, jakoż odpowiedział jej sucho:

— Jużci to czasem się zdarza, ale tym razem się zdarzyć nie może, bo Gniewosz zginął na pewno, jego konia ze złamaną nogą sam widziałem, jak do obozu powrócił...

Na te słowa Formozę znowu żal ścisnął za serce i rzekła smutno, prawie bez myśli:

— Mógł jeszcze pieszo się bronić; ani siły, ani odwagi mu pewnie nie brakło...

Wtedy Wilczek już całe się niecierpliwił i rzekł porywczo:

— Jużci pewnie się bronił, ale się nie obronił. A tu masz dowód, że zginął...

To mówiąc, wydobył z zanadrza ów znaleziony pulares Gniewosza, pokazał jej połowę jego obrączki, a testament dał jej do przeczytania.

Formoza wzięła pergamin z żywością do ręki i lotem błyskawicy go przeczytała. Przy czytaniu jej kolory się dziwnie mieniły, lecz, kiedy skończyła, twarz jej się nagle rozpromieniła — i tutaj przenikliwy rozum kobiety odniósł świetne zwycięstwo nad rozumem zaślepionego swym interesem mężczyzny. Albowiem Formoza raźnie zerwała się z krzesła i, pokazując mu ten pergamin, zawołała z zachwycającą energją:

— Jakto? To dowód? Cóż to za dowód, że zginął? To dowód, że zrobił testament przed wojną i że ten testament znaleziono w jego wojłokach. To dowód, że był człowiekiem szlachetnym i zacnym do uwielbienia, bo nie chciał dopuścić, ażeby jego żona zagrzebała się w wiecznej po nim żałobie. To może dowód, że w owej chwili zacnemi uczuciami był przejęty dla ciebie. Ale gdzie tu jest dowód, że zginął?... O, wy mężczyźni! Wy macie bardzo mądre głowy, ale niezawsze je nosicie na karku!

Na te słowa Wilczek zbladł, jak ściana, i zdrętwiał. Dotąd ani mu przez myśl nie przeszło, aby ten pergamin nie był niezbitym dowodem śmierci Gniewosza. Zerwał się z krzesła i wyjął Formozie pergamin z ręki, składając go i chcąc go schować napowrót w zanadrze.

Formoza przeszła się parę razy niespokojnym krokiem po swojej sypialni. W jej wnętrzu kipiało, jak w kotle. Niebo nadzieci i piekło rozpaczy cho-

dziły tam w walce zażartej z sobą o lepsze. Nie zwyciężyło wszakże ni jedno, ni drugie, tylko głębokie rozrzewnienie wzięło górę nad niemi. Formoza odebrała znowu Wilczkowi testament, mówiąc:

— Pokaż mi jeszcze to pismo! Są to jego słowa ostatnie... Ja nie mam żadnej od niego pamiątki... oprócz tego krucyfiksu, na który wierność mi przysiągł, a który tu widzisz na moim klęczniku. Modląc się przed nim, jestem pewną, że Zbawiciel mnie słyszy i on, nieszczęsny, mnie słyszy...

Powiedziawszy te słowa, przeczytała jeszcze raz cały testament. A kiedy czytała te słowa: „Boże! Zmyłuy syę nade mną a nye sądź tych, co mnie sądzyli za życya...", głośnym wybuchnęła płaczem i konwulsyjnie przez długą chwilę szlochała. Poczem mu pergamin oddała.

Alc oddając go i widząc, że Wilczek go drżącą ręką odbiera, a przytem wygląda, jak struty, znowu się jej twarz rozpromieniła i zawołała do niego znów z wielką energją i prawie jakby w natchnieniu:

— Jedź! Jedź, nie trać czasu i żeń się! Jedź, żeń się! Przynajmniej wy oboje będziecie szczęśliwi!

Wilczek patrzył na nią nieświadomemi oczyma, bo sam nie wiedział, co się w nim działo. Tu go brał jakiś lęk, którego sam nie mógł określić, tu znowu żal krajał mu serce na widok tej męczennicy. Wiedziony lękiem, chciał zerwać się z krzesła i lecieć zaraz na Czorsztyn, ale żywe współczucie dla Formozy ciężyło na nim i nie chciało go

puścić. Tymczasem Formoza, patrząc na niego z miłością siostry, tak dalej mówiła:

— Słuchaj, Lenarcie! Oprócz mojego spowiednika, ty jeden tylko znasz wszystkie tajemnice mojego serca. Niechże ci jeszcze co powiem. Dla mnie już się wszystko skończyło na tym świecie. Napróżno ludzie będą mi gadać, że żałoba przeminie, że żal się zapomni, że świat się znowu dla mnie otworzy. Dla mnie na tej ziemi już się nic nie otworzy. Ja tylko jego mam w sercu, mam w duszy, mam jego w całej krwi mojej. Bez niego świat dla mnie nie istnie... Postanowienie moje jest już prawie powzięte. Nie mogąc usłużyć ni sobie, ni ludziom, stanę na służbę u Pana Boga. Jak się moja żałoba skończy i ten ostatni obowiązek światowy się spełni, za mój majątek zbuduję klasztor i w nim się zamknę na całe życie. Nie mam nikogo na całym świecie, czyj losby mnie bliżej obchodził, ludzie o mnie prędko zapomną, ja o nich — i dobrze mi będzie w tej samotności. Ale, jeżeli ty się z Jagienką ożenisz, to przy was osiędę, będę wam opiekunką i matką, będę wam dzieci niańczyć, będę je wychowywać i będę żyć waszem szczęściem. Jedź! Żeń się — i przysyłaj mi lotem wiadomość, że już jesteście po ślubie...

Wilczek bardzo był roztargniony. Patrzał, nie widząc, słuchał, nie słysząc, jakiś wewnętrzny niepokój mącił mu zmysły. Wszakże te ostatnie słowa dosłyszał. Jakoż zerwał się z krzesła i rzekł znów nieopatrznie:

— Masz rację! Nie tracić mi czasu i jechać zaraz na Czorsztyn. Czasem i cuda bywają na świecie...

I z temi słowami wybiegł prawie bez pożegnania z sypialni.

Dlaczego Formoza tak nagliła na Wilczka, ażeby jechał czem prędzej żenić się z Jagienką? Czy tylko z szczerego pragnienia, ażeby jak najprędzej dostąpił tego szczęścia, które już miał za stracone? Czy więc zrobiła to z bezinteresownego uczucia przyjaźni?... Czy odezwała się w niej ta cudowna przytomność umysłu, która jest tylko kobietom właściwa, a która jej podszepnęła, że trzeba, ażeby się Wilczek jak najprędzej ożenił, bo w takim razie i z tamtej strony zostanie usuniętą przeszkoda na wypadek, jeżeli Gniewosz nie zginął?... Czy zatem było to u niej natchnieniem interesownego instynktu? Na to ona sama nie mogła odpowiedzieć.

Po jego wyjściu miała tylko to jedno uczucie, że jej się lżej cokolwiek zrobiło. Wypłakała się przy nim — a łzy zawsze ulgę przynoszą. Rozbudziła w sobie przeróżne myśli, które ją zajmowały — a każde zajęcie także koi żałobę. A wreszcie zaczęły się w jej wyobraźni snuć rozmaite obrazy, wprawdzie na tle bardzo ciemnem, ale jak tylko choćby na najczarniejszem tle rysują się jakieś kształty, to już przez to samo się widok rozjaśnia. Dotąd żyła tylko samą rozpaczą, odtąd tę rozpacz zaczęły przerywać jakieś senne marzenia...

Tragedja, którą matka Gniewosza, wiedziona zbyteczną gorliwością o przyszłość swojego syna, odegrała na zamku sobieńskim, jeszcze się tam nie skończyła. Dalsze jej sceny przeniosły się na zamek czorsztyński. Było to w głównej rzeczy winą

jej samej, lecz przyczyniła się do tego także Jagienka.

Kiedy Gniewoszowa przywiozła państwa młodych na Czorsztyn, serce jej było przepełnione tem niewysłowionem uczuciem szczęścia matki, która ożeniła świetnie swojego syna, a zarazem uczuciem dumy, że to małżeństwo dzięki swojej energji i przytomności umysłu przeparła przeciwko tak wielu trudnościom. Tryumf ten jednak trwał zaledwie dni kilka. Albowiem ta tak rozumna i tak przenikliwym wzrokiem obdarzona matrona nie mogła już w dni kilka nie spostrzec, że pomiędzy małżonkami nie wywiązują się takie stosunki, jak to zazwyczaj bywa u państwa młodych. Gniewosz był zanadto grzeczny dla żony, Jagienka za mało rozweselona; po nim nie było widać tej ciepłej czułości dla żony, jaką młody małżonek wszystkich uderza, a często nawet i nudzi — a po niej tego uczucia zadowolenia, jakiem młoda małżonka zazwyczaj sama jaśnieje i rozpromienia wszystkich, którzy dobrze jej życzą. Gniewoszowa była pewną, że małżonkowie jeszcze dotychczas są sobie obcy...

Smutne to spostrzeżenie ją mocno zniepokoiło. Jak kobieta się czem zniepokoi, to ją zaraz i korcić zaczyna, najprzód, ażeby się całej prawdy dowiedzieć, a potem, ażeby na to coś radzić. Bardzo ją też korciło z synem o tem pogadać, ale nie mogła się zrazu zdobyć na tę odwagę; są to przecież rzeczy, o których kobieta, chociażby matka, niełatwo może wspomnieć mężczyźnie, chociażby ten mężczyzna był własnym jej synem. Zwróciła się zatem z tem do Jagienki: kobiety mogą przecież mówić ze sobą o wszystkiem.

Ale Jagienka okazała się dla niej zamkniętą, jak skrzynia żelazna. Kiedy Gniewoszowa zaczęła ją wypytywać o jej szczęście małżeńskie, Jagienka odpowiedziała jej z lekkim przekąsem:

— Stała się wola waszej miłości — a więc musi być dobrze.

A kiedy zaczęła mocniej naciskać na struny swej lutni i uderzać w aluzje, Jagienka jej nie mogła zrozumieć.

Powtórzyła takie same ataki po kilka razy, ale zawsze z tym samym skutkiem.

Musiała zatem zdobyć się na odwagę i zwrócić się do swego syna.

Syn ją wysłuchał, nie udawał, że nie rozumie, ale, mając już teraz także więcej odwagi, odpowiedział jej z cierpkim uśmiechem:

— Wypiłem posłusznie to piwo, coś mi jejmość dobrodziejka raczyła nawarzyć, ale nie powiem, aby mi to smakowało.

— Ale czyś tylko wypił? — zapytała go matka.

Na to wszakże Gniewosz bez wahania odwrócił się od niej i wyszedł.

Gniewoszowej, jak każdemu, co chciałby kielich goryczy odwrócić od siebie, jeszcze wtedy przyszła myśl, że jej syn może się sromał jej odpowiedzieć i dlatego wyszedł z komnaty. Postanowiła przy drugiej sposobności jeszcze raz go o to samo zapytać, ale nazajutrz właśnie przybiegł goniec królewski — i Gniewosz w ten moment do Krakowa wyjechał.

Ze sposobu, w jaki pożegnał się z żoną, a jeszcze bardziej z tej okoliczności, że ani wspomniał o tem, jakoby miał zamiar żonę do Krakowa sprowadzić, musiała koniecznie wysnuć sobie wniosek,

że jej podejrzenie jest zupełnie ugruntowane: małżeństwo to jest chybione, — Jagienka ma oczywisty wstręt od swego męża, o co jeszczeby mniejsza, — ale jej syn nie może znieść swojej żony, a to jest wielkie nieszczęście. Zamiast uszczęśliwić swojego syna, zawiązała mu świat i zrobiła go nieszczęśliwym — i kto wie jeszcze, jakie stąd później mogą się wywiązać nieszczęścia.

Dalsze zachowanie się jej syna względem swej żony, a nawet względem niej samej, utwierdziło ją wreszcie jak najzupełniej w jej przekonaniu. Gniewosz tylko raz na miesiąc przysyłał gońca na Czorsztyn z listami do żony i matki: dla żony był grzeczny i o jej spokój troskliwy, dla matki uniżony, lecz zimny — a w żadnym liście nie było najmniejszego wyrazu tęsknoty za żoną...

Gniewoszowa była w gruncie rzeczy bardzo zacną matroną. Nie było nigdy żadnej skazy na jej sumieniu, ani w jej uczuciach, ani w jej myślach. Była tylko dzieckiem swojego wieku i odbijała w sobie wiernie jego wyobrażenia. Miała potężny rozum — a to nie jest wadą; miała temperament, zdolen wielkiej energji — a i to nie jest grzechem; nie kajała się kabał, aby cel swój osiągnąć — a to jest nieodłącznym przymiotem prawie wszystkich ludzi rozumnych i energicznych. Żeniąc syna według swego wyboru i zmuszając go do tego małżeństwa, nie miała sobie nic do wyrzucenia, bo wedle pojęć ówczesnych było to jej prawem, a zarazem jej obowiązkiem. Ale obaczywszy skutki tego małżeństwa, dojrzała jasno, że się omyliła w wyborze. A tego nie mogła sobie darować. Uczuła się strasznie upokorzoną w swej dumie, że ją jej rozum tak fatalnie omylił — i uczuła

nieprzeparty, śmiertelny ból w swojem poczciwem sercu, że unieszczęśliwiła swojego syna. Sumienie jej zaczęło się kruszyć pod tem ciężkiem brzemieniem...

Nieprzyzwyczajona zaraz rozpaczać w nieszczęściu, usiłowała na to coś poradzić; ale naprożno. Rozwodów niema. Albowiem Chrystus Pan powiedział Symonowi Bariona, budując na nim kościół swój: „A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech...“ I powiedział faryzeuszom: „A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza“. Chrześcijanin, bojący się Boga, nie może nawet myśleć o rozwodzie bez grzechu. Niemasz na to żadnego ratunku.

Jakkolwiek ciężko jej było radzić się drugich, bo jest to zawsze upokorzeniem, jednak w tym razie, gdzie już zwątpiła o swoim własnym rozumie, musiała i na to się zdecydować. Miała dwóch ludzi pod ręką, którym nie odmawiała rozumu i dla których miała szacunek.

Jednym z nich był namiestnik Gniewosza, rezydujący na zamku. Był to człowiek mający pięćdziesiąt lat zgórą, potężny budową i wzrostem, z ogromnemi siwemi wąsami, z głębokiemi siwemi oczyma, które ocieniały brwi siwe, żołnierz z profesji, a przytem surowy biurokrata wojskowy. Nazywał się Paweł Zaklika Wolski, był herbu Topór, pochodził od tej najstarszej szlachty małopolskiej, której jedna para wyszła z arki Noego, miał przodków świetnych i sławnych, miał własną posiadłość pod Starym Sączem, mógł był się piąć na wyższe urzędy, ale, służąc od pachołęcia wojskowo, pozostał w tej służbie i nietylko był rad, ale nawet dum-

ny był z tego, że się zawczasu dosłużył urzędu namiestnika na zamku czorsztyńskim.

Według jego rozumienia, był też to urząd nielada, albowiem Czorsztyn był jednym z najznamienitszych zamków granicznych w królestwie (z jego krużganków patrzało się Węgrom w sam brzuch aż do nerek). Było to także najznamienitsze starostwo wojskowe. Starosta bawił się zawsze kędyś przy królu, namiestnik go zastępował we wszystkiem, a grzeczni ludzie tytułowali go nawet podstarostą. Kiedy się sam na jakim dokumencie podpisywał *vice-capitaneus,* to mu także nikt tego nie bronił. Miał zawsze do stu żołnierzy pod swoją komendą, kilkanaście wiosek należało do zamku, miał starościńską jurysdykcję nad nieni, kilka mil ściany węgierskiej było na jego pieczy, — mucha tamtędy nie mogła przelecieć, jeśli nie miała glejtu od niego — a więc to był w samej istocie urząd, respektowany nie żartem po obydwóch stronach Dunajca, a o którym też i w całej Polsce wiedziano.

Wolski był to człowiek bardzo surowy dla innych, ale też i sam pracowity. Wszyscy jego żołnierze byli zawsze tak ubrani i uzbrojeni, jak gdyby dziś mieli się popisywać przed królem. W jego zbrojowniach panował zawsze taki ład, jakby w sklepie, administracja starościńskich majątków szła, jak ten zegar, co bił regularnie godziny na wieży, sądy się odprawiały każdej soboty i nigdy nikt na sędziego nie czekał, a ład, porządek służby i pracy i czystość na całym zamku były tak wielkie, że nawet zamek królewski w Krakowie, jak mu to nieraz powiadali gońcy królewscy, musiałby się przed Czorsztynem w kąt schować.

Ale też Wolski bardzo mało troszczył się o to, co się działo poza granicami czorsztyńskiego starostwa. Wiedziałci o tem, że jest król w Krakowie i jest polskie królestwo, co ledwie nie co rok zmienia z którejś strony swoje granice, że w Polsce są wielcy panowie, co mają własne chorągwie i chodzą z niemi na wojny, że wreszcie jest szlachta, która w razie potrzeby zbiera się pospolitem ruszeniem, ażeby Polskę od obcych najazdów oganiać; ale od ściany węgierskiej jest Czorsztyn, tutaj granica się nigdy nie zmienia, — a gdyby kiedy, co nie daj Boże, to węgierskie hultajstwo przełamało tę ścianę, natenczas bywaj zdrów, królu, bo wtedy nie pomogą ci ani panowie, ani pospolite ruszenie. Czorsztyn był, według niego, najpierwszą twierdzą i głównym puklerzem całego królestwa, jego żołnierze pierwsi żołnierze świata, a niemały to był honor dla młodego człowieka dostać się na służbę pod jego komendę. Jego najstarszy syn służył u niego prostym żołnierzem, byli i drudzy synowie szlacheccy w terminie na zamku, ale nie każdemu się dostał ten zaszczyt, kto go zapragnął...

Taki był horyzont Wolskiego i taki zakres jego zajęcia. Zresztą wszystko mu było obojętnem. Oprócz Gniewosza, nikogo zbytecznie nie kochał, lecz oprócz Węgrów nikogo też nie nienawidził. Matkę Gniewosza respektował, miał pilne oko na to, aby jej na niczem nie brakowało, ale w jej sprawy się nigdy nie mieszał. Dla Jagienki był jeszcze z większym respektem, bo tak mu Gniewosz nakazał, ale ani mu na myśl nie przyszło zastanawiać się nad tem, jakie są między nią a jej mężem stosunki.

Babskie to sprawy, żołnierz nie powinien się tem zajmować.

Drugim człowiekiem, którego Gniewoszowa miała pod ręką, był proboszcz w Krościenku, najgłówniejszej osadzie w starostwie czorsztyńskiem, która już wtedy była miasteczkiem. Nazywał się Jędrzej Pudełko i był młodszym bratem owego przezacnego biskupa łuckiego, który na sejmie piotrkowskim był jedynym z senatorów duchownych i świeckich, co występował w obronie dawnych swobód wiejskiego ludu. Był on w wieku Wolskiego i także był silnej budowy, lecz chudy; jako pochodzący z rodu kmiecego, nosił całą twarz ogoloną, miał gęstą siwą czuprynę i oczy siwe, ale pełne słodyczy i nigdy niezmąconego spokoju. Od tego kapłana bił jakby jakiś duch apostolski, tak był pracowitym, tak troskliwym o wszelkie dobro swych gromad i tak niezmordowanym w swoim nauczycielskim zawodzie. Obok kościoła założył z własnej ochoty szkółkę dla dzieci wiejskich, które do wyższych szkół przygotowywał. Jak w całej Polsce w tym wieku, tak i u niego tak tłumny był napływ synów chłopskich do nauki, że, jak w szkołach wyższych musiano prawem ograniczyć liczbę uczniów, tak i on musiał się od nich opędzać; ale on dla tych, których jego szkółka nie mogła pomieścić, miewał wykłady w otwartem polu, albo gdziekolwiek się po temu zdarzyła sposobność.

Jakoż niejednokrotnie można go było widywać na rynku, na górnem pastwisku pod lasem, nad brzegiem rzeki, gdzie bydełko pojono, nawet i na drodze publicznej, jako pastuszkowie go obskoczyli, a on ich nauczał, jako trzeba Pana Boga

kochać ze wszystkiej myśli i ze wszystkiej duszy swojej, a swego bliźniego jak siebie samego. Widząc go starsi, porzucali robotę i także się gromadzili około niego, a on ich odsyłał, mówiąc: „Nie porzucajcie pracy dla słuchania słów moich, bo z pracy człek żyje, a wy macie żony i dzieci do wyżywienia, ale przyjdę do was o zachodzie słońca i będę wam słowo boże powiadał, a wtedy mnie słuchać będziecie choćby do nocy, bez szkody dla waszego dobytku". — Żył też ze swemi gromadami, jak z braćmi, strzegł zbawienia ich duszy i opiekował się ich dobrem doczesnem, pomagał im dobrą radą w ich gospodarstwach, zachęcał wymownem słowem do wytrwania w nieszczęściu, ostatni grosz swój wydawał na wspomożenie ubogich, sam żył w ubóstwie, a może i cierpiał, bo często widywano go w połatanych trzewikach i w sukni tak wyszarzanej, że był raczej żebrakowi podobien.

Pomiędzy nim a Wolskim wielka była zażyłość. Pudełko bywał w piątek na zamku, odprawiał mszę św. w zamkowej kaplicy, spowiadał żołnierzy i komunikował, potem zostawał na postnym obiedzie u namiestnika, a po obiedzie miewał z nim długie rozmowy. Jakoż bardzo często mu mawiał:

— Mam ja szczere poszanowanie dla waszmości, a to dlatego, że umiałeś swojemu zawodowi pewien zakres naznaczyć i nie wychylasz się poza te granice. Albowiem powiadam tobie, że człowiek nie jest nato stworzony od Pana Boga, ażeby się dziesięciorgiem rzemiosł zajmował i gromadził na sobie dziesięcioro urzędów, a który to czyni, nie zasłuży się ani Panu Bogu, ani też ludziom. Może to dogadzać próżności człowieka, jeżeli występuje

z hałasem na wielkiej arenie i swoim tygrysim kożuchem a pióropuszem nawet i tam zabłyśnie, kędy go nie posiano; jego praca nie wyda pożywnych owoców, a pismo mówi: „Poznacie ich po ich owocach". Ale jeżeli człowiek oddał się jednemu rzemiosłu, a pracy swej słuszny zakres naznaczył, to owoce tej pracy będą pożywne dla ludzi i podobają się Bogu. Jakoż powiadam tobie: Będą się tam ponad nami zmieniać króle jeden po drugim, będą swemi wojskami toczyć wojny z nieprzyjacielem, będą zwyciężać i znów będą pobici, będą odpierać najazdy, albo też im ulegać, będą burzyć stare rządy, a nowe budować, będą dawne prawa odsuwać, a inne narzucać, zgoła całe królestwo się na nice wywróci i takie przyjmie oblicze, że, gdyby ojce z grobu powstali, toby go nie poznali, ale to, co my tutaj zbudujem, co zaszczepimy w serca i sumienia tych gromad naszego ludu, nad któremi piecza nam jest powierzona, to się nie ruszy z miejsca, tak, jak ta czerwona skała, na której ten zamek stoi, bo jest napisano: „Że ziemia przeminie i gwiazdy przeminą, a co syn człowieczy w imię boże zbuduje, to nigdy nie minie".

I miał słuszność Pudełko, bo żołnierz-rolnik, co uczył młodzież ziemię ojców uprawiać i bronić orężem jej granic, daleko głębiej podmurowywał niepożyte podstawy narodu, niżeli ci wszyscy, co na sejmikach i sejmach gardłowali o nowe prawa, a kapłan-apostoł, nauczający ludzi wszech stanów, aby się między sobą kochali, tkał niespracowanie i utrzymywał w całości tę więź społeczną, która wieki przetrwała i trwa jeszcze do dziś dnia.

Byli to zatem bardzo rozumni ludzie: ale mieli swoje rozumy nato, ażeby budować, a nie rozwa-

łać, ażeby prawa Boże utrzymywać w powadze i poszanowaniu, a nie wynajdywać sposoby, jakby je złamać bezkarnie lub obejść.

Gniewoszowa nie znalazła u nich pomocy na zgryzoty swego sumienia.

Wolski, wyrozumiawszy rzecz, zbył ją cierpką uwagą, mówiąc:

— A co jejmość pani się mieszasz w nieswoje rzeczy! Rzeczą rodziców jest związać przystojnie małżeństwo, a co się tam między małżonkami dzieje, to już nie należy do ich jurysdykcji. Chyba, żeby się bili pomiędzy sobą, ale i wtedy jeszcze nie godzi się męża chwytać za rękę, kiedy żonę strofuje, boć to jest jego prawo. Wszelako tu tego nie było. Jeżeliś zaś jejmość co przeskrobała przy tem swataniu i masz to na swojem sumieniu, to już z tem raczej się udaj do księdza, a nie do żołnierza.

Wszakże z proboszczem poszło jej jeszcze daleko gorzej, albowiem Pudełko, wypytawszy ją, o wszystkie okoliczności, bardzo głową pokiwał i rzekł:

— Pan Bóg dał władzę rodzicom nad dziećmi, ażeby jej używali, ale nie, aby gwałty im zadawali. Pani starościna nadużyłaś swej władzy, bo, kiedy ci syn twój powiedział, że ma wstręt od tej dziewki, ba, nawet, że się dał innej uplątać, to trzeba było stemporyzować, ażeby mieć czas do wyrozumienia obojga i do perswazji.

— Ale tam nie było ani jednego dnia do stracenia! — przerwała mu starościna.

— A więc jejmość nie oglądałaś się wcale na wolę bożą, — odpowiedział jej Pudełko — bo,

gdzie jest wola boża, tam jest i czas, aby ją spełnić. Jest tu zatem, jak widzę, więcej grzechów, niż jeden. Trzeba będzie te rzeczy zbadać bardzo sumiennie, nim się będzie mogło powiedzieć, ilekroć jejmość tym jednym czynem zgrzeszyłaś. Tymczasem zaś radzę jejmości najprzód, wcale nie myśleć o tem, jakby złe dokonane odrobić, bo tu jest dopełniony sakrament, a kto podkopuje sakrament, ten swoje sumienie nowym obładowuje grzechem. Grzechów już jejmość masz dosyć, nie trzeba do nich nowych dodawać. Druga zaś rada jest ta, ażebyś jejmość odprawiła pokutę, a Pana Boga prosiła, żeby On się nad jej dziećmi zmiłował, bo tylko On może na to poradzić.

Te słowa świątobliwego kapłana uderzyły, jak grom w starościnę. Łudziła się dotąd w swoim rozumie, że potrafi wynaleźć środek, którym złe wyrządzone naprawi, środek taki, który cel zamierzony osięgnie, a nie będzie wierze przeciwny, a tymczasem nieodwołalny sędzia ludzkich uczynków i stróż jej sumienia nauczył ją, że już sama myśl o takim środku zaradczym jest nowym grzechem. Starościna była nietylko pobożną, ale głęboko przejęta wiarą; wyrok ten skruszył jej sumienie doreszty i obalił ją w proch. Przekonana dotychczas o swojej nieskazitelnej zacności, uczuła się teraz grzesznicą. Dumna ze swego rozumu, imponująca innym swoją mądrością, zdolna rządzić nietylko rodziną, ale może nowet całem królestwem, zrozumiała sama w swem wnętrzu, że odtąd nie pozostaje jej nic, jak pokuta. Ten kolos świadomej siebie i energicznej kobiety padł teraz na ziemię, jak dąb niebotyczny, co burza go powaliła, i odtąd, niższy od krzewin najmniejszych

a żywych, będzie trupieszeć i nie wypuści nigdy zielonej gałązki ze siebie: na jego pniu obalonym igrać będą najdrobniejsze zwierzątka, a płaz maluczki, co dotąd nie mógł dojrzeć jego wierzchołka, roztoczy jego potężne słoje na popiół, który wichry rozniosą po lesie.

Starościna, palona wewnątrz, jak ogniem, wyrzutami sumienia, że unieszczęśliwiła swojego syna, rozdarta rozpaczą, że tego błędu nigdy nie zdoła naprawić, skruszona wreszcie nauką kapłana, że jest pełną grzechów przeciwko Kościołowi i Bogu, oddała się dobrowolnie jak najcięższej pokucie.

Przywdziała włosiennicę, nałożyła sobie post nieustanny i prawie całe dnie trawiła na modłach bądź w zamkowej kaplicy, bądź w swojej sypialni.

Wszelako modły przynosiły jej tylko tę ulgę, że odwracały jej myśli od ziemi. Natomiast wszakże każda wiadomość od syna z Krakowa, nie wspominająca ani słowem o tem, że albo zamierza na Czorsztyn przyjechać, albo też żonę sprowadzić do siebie, przygniatała ją nową boleścią.

Cierpienia jej były wielkie i niewysłowione, ale do ich nieznośnej goryczy przyczyniała się jeszcze niemało Jagienka.

Jagienka, przecierpiawszy także męki piekielne, jak długo Gniewosz bawił na zamku, po jego wyjeździe odetchnęła cokolwiek.

Nie potrzebowała się przynajmniej tego obawiać, że swoją miłość i wierność dla Wilczka będzie musiała opłacić życiem.

Kto uniknął szczęśliwie większego nieszczęścia, ten, chociaż pozostał w mniejszem i choć to nieszczęście niezmiernie go boli, przecież czuje pewne

zadowolenie, znosi łatwiej swoje zmartwienie i pomału się przyzwyczaja do niego. Tak i Jagienka, urządziwszy sobie wygodne mieszkanie w skrzydle wschodniem, o całą szerokość zamku odległem od mieszkania macochy, zaczęła się przyzwyczajać do swego więzienia i wyczekiwać spokojniejszym umysłem swojej przyszłości od dalszych wypadków. Wyglądała codziennie całemi godzinami przez wąskie okno swojej komnaty na wschód, marzyła o nim, snuła sobie rozmaite fantastyczne widoki, skubała listki kwiatków, zerwanych w ogrodzie: Wróci? Nie wróci? Ej, wróci! A jeśli wróci, to przyjedzie stamtąd, gdzie słońce wschodzi, gdzie między temi czarnemi lasami leży zamek tustański...

Czasami, w dniach cięższej tęsknoty, robiła mu ciche wyrzuty: Gdzie jest? Co robi? Dlaczego mi nie przysyła wiadomości o sobie? Dlaczego nie napadnie na czele zbrojnych na Czorsztyn i nie porwie mnie z tego więzienia? Grzeszne to myśli, ale tak mi tu ciężko, że już się nawet grzechu nie boję. Niechby mnie porwał, niechbyśmy jednę chwilę z sobą przeżyli i niechby się potem świat zawalił pod nami...

Wszakże po takich paroksyzmach niecierpliwości znowu się uspokajała, bo Wilczka gorąco i szczerze kochała — a szczerze kochająca kobieta wierzy, że jej ulubiony jest najzacniejszy i najrozumniejszy ze wszystkich. On wie, co robi: czekajmy. Tak żyjąc nadzieją i wiarą, spędzała swe dnie w znośnym spokoju, będąc przytem dobrą dla wszystkich, obsypując podarunkami żołnierzy, mając zawsze garść groszy szerokich dla księdza proboszcza, aby je rozdawał ubogim, żartując na-

wet czasem ze starym Wolskim i rozweselając go swemi figlarnemi komplementami. Zczasem stała się też oblubienicą wszystkich zamkowych mieszkańców i była dla nich, jak promień słoneczny, co, gdziekolwiek zabłyśnie, radość i szczęście rozsiewa.

Ale kogo cierpieć nie mogła, to swojej macochy. Dość jej było dzwonek usłyszeć, który dawał znak do obiadu i do wieczerzy, aby jej całą twarz zmienić i osadzić gradowe chmury na jej czole. Toż, przychodząc do stołu, zawsze zdaleka kłaniała się swojej macosze, zginając się pokornie ku ziemi, nigdy nie dotykała jej ręki, przy stole milczała. Jeżeli byli jacy goście, to z nimi rozmawiała z żywością, lecz obracając się zawsze plecyma do Gniewoszowej. Jeżeli musiała jej odpowiedzieć, to odpowiadała krótko, sucho i cierpko — a wstawszy od stołu, znowu jej się kłaniała zdaleka, zgięta we dwoje, i odchodziła krokiem człowieka, który ucieka od wstrętnego widoku.

Z początku starościna próbowała po kilka i kilkanaście razy wciągnąć ją w dłuższą rozmowę i nie szczędziła pięknych słów i słodyczy. Czuła to, że i przeciw niej także jest winną i szczerze pragnęła gorycz jej położenia przynajmniej dobrem słowem złagodzić. Ale Jagienka była tak zaciętą i tak niewzruszoną w swojej zaciętości, że nigdy się nie dała w żadne konfidencje uwikłać, zawsze stawała od niej zdaleka, zawsze ją tytułowała waszą miłością i zawsze odpowiadała tak sucho, ażeby z jej odpowiedzi nie wywijały się dalsze pytania.

To zachowanie się Jagienki bardzo jej macochę bolało, bo jej przypominało, do jakiego stopnia i ją

także nieszczęśliwą zrobiła; ale na to nie było ratunku.

Kiedy Jagienka spostrzegła, że jej macocha się gryzie, że pości, że włosiennicę przywdziała, że ustawicznie się modli i pokuty odprawia, wcale nie ulitowała się nad nią, nie przyczyniła się niczem, aby jej ulżyć, albo ją czem pocieszyć, owszem przeciwnie, kazała jej powiedzieć, że ona nie ma żadnego powodu do martwienia się postem i odtąd będzie jadać osobno.

A kiedy po raz pierwszy sama ze swemi służebnemi pannami do stołu zasiadła, rzekła do nich:

— Ja się tu w mojej samotności zagryzę, ale ona się pierwej zagryzie.

Odtąd widywała starościnę tylko co niedzielę na mszy w zamkowej kaplicy.

Tam także zawsze się jej tylko zdaleka ukłoniła i nigdy do niej słowa nie przemówiła; natomiast wszakże uważnie się jej przypatrywała, jak wygląda.

I bardzo być może, że znajdowała w tem swoją pociechę, widząc, jak starościna niknie z dniem każdym. Jakoż istotnie do tego czasu zrobił się stwór z tej kobiety. Już wtedy się właśnie wiosna rozzieleniła, każdy twór boży odetchnął ciepłem powietrzem i ożywił skrzepłą od zimy krew w swoich żyłach, a ona miała twarz wychudłą do niepoznania, skórę na niej, jak stary pomarszczony pergamin, pod jej suknią, skrojoną w kształcie habitu, czuć było tylko chodzący kościotrup, ledwie że jej oczy się jeszcze niedogasłym blaskiem świeciły.

Wtedy też przyszła wiadomość, że król ciągnie

na wojnę. Goniec przywiózł dwa wielkie listy od Gniewosza: jeden do matki, a drugi do żony.

Kiedy Jagienka ten list odebrała i otworzyła, znalazła w nim najprzód połowę złotej obrączki, co ją niezmiernie zdziwiło. Oglądnęła ją pilnie i poznała; ale nie mogła zgadnąć, coby ta połowa przełamanej obrączki miała znaczyć. Serce jej uderzyło gwałtownie, a twarz jej zaczęła się mienić, przechodząc z ciemnego ponsu w bladość śmiertelną. Czuła, że nie ma siły listu przeczytać. Odetchnąwszy po chwili, wzięła się do czytania. Nie będąc biegłą w czytaniu, po kilka razy zaczynała i skończyć nie mogła, potem zaczynała we środku, to znowu niecierpliwie ostatnie wiersze czytała i znów do początku wracała. Trwało to bardzo długo, aż nareszcie skończyła i zrozumiała. Poczem list opuściła na kolana, na twarzy jej odbiło się bardzo głębokie wzruszenie i długo myślała. A wkońcu łzy jej zakręciły się w oczach i strumieniami spłynęły po twarzy, i rzekła do siebie:

— Nie życzę mu śmierci... Bóg widzi. Prosi o przebaczenie... Padł tak samo, jak ja, tyrańską ofiarą tej nielitościwej kobiety. Bóg łaskaw... może to inaczej obróci.

Przesiedziawszy tak jeszcze długą godzinę z listem na kolanach, zawinęła weń napowrót połowę obrączki, schowała go do srebrnej szkatuły, która stała przy jej łóżku, szkatułę na klucz zamknęła i klucz schowała do kieszeni, czego dotąd nigdy nie czyniła.

Starościna także listem swojego syna została głęboko wzruszoną. Nikt nic wiedział, co w nim stało, bo i ona go także po przeczytaniu zamknęła

do skrzyni. Ale wszyscy widzieli, że ten list ją dotknął bardzo boleśnie. Albowiem od tego listu już tylko kilka dni się trzymała na nogach.

Jednej niedzieli wyspowiadała się i przystąpiła do stołu Pańskiego, po mszy posłała po panny klaryski do Starego Sącza — a sama się położyła do łóżka. Nazajutrz dwie mniszki przyjechały na zamek i już przy niej zostały. Odtąd nie mogła już podnieść się z łoża, ale i umrzeć nie mogła. Ciało jej bardzo powolnie, ale bezustanku niszczało. W kilka miesięcy stała się kościotrupem żyjącym, zawiniętym we włosiennicę, włosy jej pobielały, jak mleko, pomarszczona skóra na twarzy przybrała kolor żółtawo-brunatny, jak u mumji egipskiej, usta jej pobielały, jej oczy błyszczały już tylko, jak próchna, wkońcu już ledwie się mogła o własnej sile przewrócić na łóżku; ale potężne jej ciało jeszcze opierało się śmierci.

Tak przeszły pierwsze dnie listopada — a wtedy zaczęły przybiegać pierwsze wieści o klęsce na Bukowinie.

Wiadomość o śmierci Gniewosza przybiegła wraz z niemi. Wolski czekał z nią dzień jeden i drugi; ale kiedy przyjechał szlachcic z pospolitego ruszenia, który się zaklął na słowo rycerskie, że sam widział Gniewosza, jak został usieczon od Tatar, Wolski kazał strąbić całą załogę w zamkowy dziedziniec, ogłosił jej urzędownie śmierć swego starosty, a ks. Pudełko odprawił nabożeństwo za jego duszę w zamkowej kaplicy.

A wtedy ta przerażająca wiadomość musiała się donieść do starościny. Sam ks. Pudełko do jej łoża przystąpił i powiedział jej, że jej syn zginął śmiercią walecznych.

Kiedy starościna go zrozumiała, energicznym ruchem podniosła się do połowy na swojem łożu, jej twarz się ożywiła, oczy zabłysły, usta się do połowy rozwarły, podniosła rękę do góry, aby coś powiedzieć; ale w tej samej chwili znów między poduszki upadła.

Ks. Pudełko się nad nią pochylił: matka Gniewosza nie żyła.

A wtedy ten zacny kapłan podniósł oczy i ręce do nieba i rzekł do mniszek:

— Niech będzie Bóg pochwalony! Tak umierają tylko ludzie poczciwi.

W małą chwilę potem zapalono dwie świece woskowe przy ołtarzyku, który stał przy jej łożu, wszyscy zamkowi mieszkańcy zbiegli się do jej sypialnej komnaty, a uklęknąwszy, modlili się za zbawienie duszy swej pani.

Im więcej się wieść o jej śmierci rozbiegała po skrzydłach i dalszych zabudowaniach zamkowych, tem gęściej się napełniały nawet dalsze komnaty, a ktokolwiek przybiegł, zaraz rzucał się na kolana i składał ręce do modłów; aż wreszcie tak mnogie nagromadziły się tłumy, że niktby się przez nie nie potrafił przecisnąć, — ale Jagienki pomiędzy niemi nie było.

Razem z owym szlachcicem, co przyniósł pewną wiadomość o śmierci Gniewosza, zjawił się ksiądz Wara na zamku.

Wara, jedząc i pijąc przy stołach rycerskich w obozie pod Lwowem, odgrażał się okrutnie, że i on także pójdzie na wojnę. Na ten rachunek jeden z bogatszej szlachty darował mu konia, drugi kawałek pancerza, trzeci opończę, a ten i ów kilka groszy. Ale Wara nie głupi nadstawiać łba za to,

ażeby jakiś królewicz otrzymał osobny kraik dla siebie; królewiczów bez ziemi jest po świecie bezliku; gdyby przyszło dla wszystkich ziemie zdobywać, toby człowiekowi nareszcie i łba dla nich nie stało.

Warę już brzuszek zabolał w Śniatynie i został tam z tymi, którzy politykować zaczęli, a wyłożywszy jedni drugim do zrozumienia, że król wielki błąd popełnił, uwięziwszy posłów wołoskich, że, Bogiem a prawdą, nie ma żadnych sojuszów, że sam jeden porywa się na Wołochów, Tatarów i Turków, właśnie, jak z motyką na słońce, że wreszcie zażegnał tę wojnę w celach osobistych, a familijnych, także się tam zatrzymali i stamtąd jeden za drugim wracali milczkiem do domów. Czekał więc spokojnie w Śniatynie, powiadając sobie: jeśli zwyciężą, toż mi nie wielka rzecz za nimi pośpieszyć i przybyć zawczasu do podzielenia z nimi sławy i łupów; jeśli zaś będą pobici, to i ja z pobitymi powrócę i znajdę takiego, co mnie nieszczęśliwego, obdartego na wojnie, do siebie przytuli. Tymczasem zaś bacznie rozważał, gdzieby się mógł przytulić. Wara był, jak ów wół, co, pasąc się na łące, jak jedno miejsce wypasie, już na nie nie wraca, chyba, żeby tymczasem znów trawa podrosła. Tak wiedział, że na Sobniu mu się już nie pokazywać, boby go tam o konia knitowskiego spytano, do Tigranesa i Kergolaja także nie lża mu było powracać, bo go tam ubrano i uzbrojono, a nie widziano go potem na wojnie, Jagienkę zaś już mu chyba objeżdżać za milę, bo łańcuch wziął od niej i przehulał, a zabałamuciwszy się, poselstwa jej nie sprawił na czasie.

Ale wypadki tak zrządziły, że właśnie na łące

Jagienki świeża mu trawa odrosła. Otrzymując w Śniatynie wiadomość z pola bitwy, dowiedział się jednego dnia, że Gniewosz został zabity. Gniewosz zabity, Jagienka wdowa, może teraz pójść zamąż za swego ulubionego; jeśli jej pierwszy tę wiadomość przywiezie, to Jagienka nie tylko mu tamtego łańcucha zapomni, ale jeszcze da drugi. A może też da dawno obiecane w swych dobrach probostwo. W każdym zaś razie zwiastuna tak pomyślnej nowiny za drzwi nie wyrzuci...

Zerwał się więc, wsiadł na koń i kopnął się najkrótszą drogą na Czorsztyn. I gdyby nie to fatalne nieszczęście, co go tak zawsze i wszędzie prześladowało, to byłby istotnie pierwszy przyjechał z tą wiadomością. Ale to nieszczęście... Po drodze miał tu i ówdzie takie dwory, gdzie dawniej już coś przeskrobał, musiał je zatem omijać i drogi nakładać, tam zaś, gdzie jeszcze trawy nie wypasł, zatrzymywano go, kazano sobie opowiadać wszystkie szczegóły klęski i odniesionego zwycięstwa, a Wara, jak tylko mógł kłamać przy pełnym dzbanie i woniejącej pieczeni, tracił siłę nad sobą i nie mógł się oderwać od swoich słuchaczy. Był on, jak wszyscy fałszywi prorocy, którzy zawsze nadużywają swojej wymowy i, choćby najliczniejsze rzesze zgromadzili około siebie, wykładają im swoje brednie tak długo, aż póki się próżnia koło nich nie zrobi. Jednak przyjechał jeszcze zawczasu, bo właśnie w dzień otrzymanej pewnej wiadomości o zabiciu Gniewosza i w chwili śmierci jego matki na zamku.

Zsiadłszy z konia w zamkowym dziedzińcu, szedł zaraz do pokojów Jagienki.

Jagienka znajdowała się w tej chwili w tak

niesłychanem rozstrojeniu umysłu, przez jakie przechodził rzadko który z ludzi żyjących.

Śmierć męża i śmierć macochy uderzyły w nią tak potężnym gromem i olśniły ją tak rażącemi błyskawicami, że całkiem straciła przytomność. Najprzeciwniejsze uczucia się krzyżowały w jej sercu, najdziwaczniejsze myśli przelatywały jej przez głowę. Mąż zginął, spadły z niej więzy i otworzyły się przed nią widoki szczęścia — a przecie nie godziło się radować jego śmiercią, bo był to człowiek nieszczęśliwy, jak ona, i niewątpliwie szlachetny. Macocha uległa nielitościwej karze za fatalny błąd popełniony, którym dwoje ludzi rzuciła w przepaść niewysłowionych boleści — ale już teraz nie żyje, a umarła dlatego, że nie mogła przeżyć tych nieszczęść, które na drugich ściągnęła. Gniewosz zginął, ale i tylu innych zginęło. Cóż z Wilczkiem się dzieje? Na tę myśl brał ją lęk niesłychany, który ją dreszczem przejmował i targał wnętrzności. Natenczas ręce łamała przed sobą z obawy i grozy — i w takich chwilach czuła się prawie nieszczęśliwszą, niżeli była przez cały czas swego więzienia.

W takiej chwili wszedł Wara do jej komnaty. Warze powodziło się dobrze w ostatnich czasach, był zatem ubrany dostatnio, a nawet dosyć pokaźnie. Miał na sobie żupan długi poniżej kolan z przedniego sukna, na nim pas wyzłacany klamrowy i mieczyk, w srebro oprawny, a na tem wszystkiem opończę sukienną, pięknemi łasicami podbitą, i czapkę aksamitną ze stojącemi uszami, a bramowaną kunami. Ażeby zaś każdy poznał odrazu, że jest osobą duchowną i bywał pątnikiem do Ziemi Świętej, przyszył sobie kilka muszli na pier-

siach żupana i dwie muszle u czapki. Być może nawet, że miał cienką koszulę na sobie, bo jakąś białą kryzę mu było widać u szyi. Wyglądał przytem rumiano i zdrowo, i miał brodę uczesaną starannie, a długie siwe włosy spadały mu w kędziorach na plecy.

— Wara! Wara! — zawołała Jagienka do niego, rzucając się szybkim ruchem ku niemu, że ledwie mu nie padła w ramiona — Bóg ciebie przynosi! Skąd jedziesz? Pewnie z wojny. Powiadajże mi prędko, coś słyszał.

— Miłościwa pani, — rzekł Wara, spuszczając głowę ku ziemi, ale uśmiechając się przytem zpodełba — smutne wieści przynoszę. Stała się wola boża, — pan Gniewosz jest pod Suczawą usieczon.

— Wiesz pewnie? — spytała, zmuszając się do powagi Jagienka.

— Wracam z Śniatyna, — rzekł Wara — widziałem tam kilkuset szlachty, co własnemi oczyma na jego śmierć heroiczną patrzyli.

— Biedny człowiek! — zawołała z szczerego serca Jagienka. — Być może, że się umyślnie dał zabić. Ale gdzie Wilczek? Cóż słyszałeś o Wilczku?

— Pan Wilczek zdrów, — odpowiedział jej Wara na domysł — wraca z królem do Lwowa.

— Prawda to? Skądże wiesz o tem?

— Sam go na własne oczy widziałem w Śniatynie. Poklepał mnie po ramieniu i rzekł: Wara! Leć, nie czekając, na Czorsztyn i powiedz Jagience, żem zdrów, a Gniewosza wziął Pan Bóg do swojej chwały. Muszę mały czas zostać przy królu, ale, jak tylko król mnie puści, zaraz do niej polecę.

Na tę wiadomość, chociaż się jej spodziewała, Jagienka nie mogła słowa przemówić, tylko drżała na całem ciele, a łzy radości potoczyły się po jej licach. Dopiero po małej chwili zawołała z niecierpliwością:

— To czemuż już nie przyjeżdża? Co tam król! Ja mam moje własne królestwo. Jemu także majątku nie braknie. Słysz, Wara! Jedź lotem do niego! Dam ci pieniędzy, dam koni, weźmiesz, co chcesz, jedź dzisiaj, zaraz, i powiedz mu, żem teraz wdowa, żem jego własna, jakem mu ślubowała, niechaj wszystko porzuca, a zaraz przyjeżdża!

— Miłościwa pani, — rzekł Wara — jam jest najniższy sługa waszej miłości, gotów lecieć na dzień i noc, ale to niepotrzebne. Bo najprzód jegomość pan Wilczek sam mi powiedział, że, jak tylko król go uwolni, zaraz na skrzydłach tutaj przyleci. Znam ja pana starostę i wiem, że tam się ziemia pali pod jego nogami, więc go też wcale naglić nie trzeba. A potem — mówił dalej Wara z uśmiechem zadowolenia — mam ja też łaskę u niektórych św. Pańskich, którzy mi się też objawiają i powiadają, co trzeba...

— Widziałeś może św. Agnieszkę, moją patronkę? — zapytała porywczo Jagienka.

— Nie, — rzecze Wara — do św. Agnieszki nie trzeba się w takich sprawach udawać. To jest trzynastoletnia panienka, co, poślubiwszy czystość dziewiczą Panu Jezusowi, sama wzgardziła Sempronjusza, syna rzymskiego starosty, i za to śmierć męczeńską poniosła. Gdybym się do niej udał, ażeby mi dopomogła skojarzyć małżeństwo, pewnieby mnie napędziła i jeszczeby mi może drzwi do innych św. Pańskich zaparła.

— Prawdaż to? — zawołała Jagienka. — A jam się zawsze do niej modliła! Teraz już wiem, dlaczego mi się tak nie wiodło dotychczas! To może widziałeś św. Lenarda?

Tu Wara, kuty na cztery nogi *in puncto* żywotów świętych, litościwie się nad nią uśmiechnął i rzekł:

— Takiego świętego niemasz w całem Królestwie Niebieskiem, które, nie chwaląc się, znam przecie od kołka do kołka. Być może, że kiedy będzie, ale dotąd jeszcze żaden Lenard nie został przyjęty na służbę do dworu Chrystusa Pana.

— Więc kogoż widziałeś? Mów prędko!

— Nocując wczoraj w gospodzie pod Starym Sączem, — powiadał Wara — jakom to był tą nagłą jazdą bardzo zmęczony, trochę twardo przysnąłem nad ranem. Aż tu czuję, że mnie ktoś targnął za ucho. Otwieram oczy i patrzę, a tu mój stary dobrodziej, św. Stanisław stoi nade mną i mówi: „Wstań, Wara, a nie zasypiaj gruszek w popiele. Jeszczem też nie miał takiego durnia, jak ty, pomiędzy moimi sługami, co mieszkają na ziemi. I tak tobie powiadam, że podobno już durniem zostaniesz, aż póki cię nie wezmę na dwór mój własny do nieba. Owom tobie dla Kmity odpuszczenie grzechów śmiertelnych wyrobił, co mnie też kosztowało niemało deptania, a uczyniłem to tylko dlatego, ażeby ci Kmita dał to mizerne probostwo na Lesku, a ty z twojej głupiej dobroci serca odbiegłeś tej sprawy, właśnie kiedy ci Kmita naprzekór swojej żonie miał dać tę prebendę". I powiada mi św. Stanisław: „A poleciato prawda, ale czasem pusto w ich głowach, co też

łeś z poselstwem tej tam Jagienki do tego tam Wilczka, co była rzecz bardzo głupia, a czem nawet omało, że nie popełniłeś brzydkiego grzechu, bo, kiedyś do Wilczka przyjechał, Jagienka już była po ślubie. Pięknażby to była rzecz, zwłaszcza dla księdza, nosić listki od kobiety zamężnej do gacha! Szczęście, żeś o tem nie wiedział, zaczem ci tego za grzech nie nakarbowano, inaczej byłbym się musiał kryć pod stół ze wstydu, że takiego kalafaktora mam swoim sługą na ziemi". Więc mówi mi św. Stanisław: „Tak więc znowu i teraz, niby to śpieszysz się do Jagienki, jakom cię natchnął, abyś jej pierwszy przywiózł wiadomość, że owdowiała, za coby ci pewnie dała dobre probostwo u siebie, jako ci obiecała — a ty, niedosyć, żeś przez twoją uczciwość nie wziął jednego rączego bachmata w Śniatynie, ano się wleczesz na twojej chudej szkapie na Czorsztyn, jeszczeż i takeś sobie chrapnął w tej gospodzie, że aż sam muszę cię budzić. Wiedzże o tem, że Wilczek już wyjechał ze Lwowa — a on jeździ inaczej na swoim wronym, niżeli ty na twoim woziwodzie. Niechżeż przyjedzie przed tobą, to ci znów wszystkie twoje zasługi przepadną, wyrzucą cię za drzwi z twoją starą nowiną i jeszcze wyśmieją, a potem, jak twego ucha, tak i twego probostwa nie obaczysz na życiu. Zaczem — powiada mi św. Stanisław — zostaniesz już pątnikiem do śmierci, a ja będę musiał dalej przestawać na takim mizernym słudze, co lada wczorajszy święty, co mi nie dorósł do pasa, nawetby się nie przyznał do niego..." Więc z tego wnoszę — zakończył Wara — że jegomość pan Wilczek już jest na drodze. I tak rozumiem, że za trzy, a najdalej za cztery dni upadnie do

nóg waszej miłości, jeżeliby zaś zaszła jaka przeszkoda, to św. Stanisław znów mi się objawi.

— Słysz, Wara! — zawołała do niego, trąc ręce, Jagienka. — Dam tobie wszystko, co chcesz, i dam ci najlepsze probostwo, ale idź, módl się do św. Stanisława, aby Wilczek jeszcze dzisiaj przyjechał. On przecie może to zrobić. Idź, Wara, idź módl się — dziś jeszcze!

Więc Wara się mile uśmiechnął i mówił:

— Pojmuję ja niecierpliwość waszej miłości, chociażem sam miłości nie zaznał, bo my, duchowni, nie zażywamy tych rzeczy. Będę się też modlić rzetelnie. Ale chciałbym waszej miłości powiedzieć, że nie trzeba się Świętym Pańskim zanadto naprzykrzać, zwłaszcza, kiedy już dla nas coś uczynili. Albowiem nie trzeba myśleć, że oni tam siedzą z rękami założonemi za pasem, jako to prostaczkowie sobie wyobrażają, co ich też bezustannie molestują prośbami. Mają oni niemało roboty, że nawet i trudno człowiekowi zrozumieć, jak się z nią mogą uporać. Bo zważ tylko wasza miłość, że to tysiące a tysiące próśb do nich codziennie dochodzi, a przecie każdą trzeba jakoś załatwić. Dalej więc każdy z nich ma tysiące kościołów, po całej ziemi rozsianych, a zbudowanych pod jego wezwaniem, więc na każdy z nich musi mieć oko, ażeby też wiedział, jak tam w nim księża gospodarują. Nuż wreszcie te nabożeństwa solenne, co się w niebie wciąż odprawiają, którym każdy z nich asystować musi, a czasem i sam celebruje — że już nie wspomnę nic o aniołach, których także trzeba utrzymać w ryzach, a to jest rzecz cale nie łatwa, bo to młodzież bardzo zacna,

niedziwno, bo im się dobrze dzieje — a są ich chmury nieprzeliczone i wszyscy skrzydła mają, więc też i Bóg sam wie tylko, kędy czasem latają. Zgoła, chociaż to człowiek widział na własne oczy, przecie mu się ani w głowie pomieścić nie może, jak taki święty Pański może nastarczyć takiej robocie. Jakoż ja sobie nieraz tak myślę, że, jeśliby mnie łaska boska...

Ale tu mu Jagienka przerwała, mówiąc:

— Słysz, Wara! Jabym ciebie do ciemnej nocy słuchała, ale nie mogę ustać na nogach. Idź, módl się, a zrób to, ażeby Wilczek jeszcze dzisiaj przyjechał. A jeśli już dzisiaj na żaden sposób nie może być, to jutro. Trzy dni czekać, to wieczność! Ja zginę z niecierpliwości. Idź, Wara, jest tu na zamku kaplica...

Więc Wara musiał już iść. I poszedł, obiecawszy Jagience, że zaraz się weźmie do modłów, a może być, że będzie widział św. Stanisława jeszcze tej nocy.

Ale do kaplicy nie poszedł, tylko, jako człowiek przezorny i mądry, szedł pokłonić się imć panu Wolskiemu, najprzód, aby sobie zaskarbić łaskę komendanta fortecy, a potem, aby się też trochę dowiedzieć, jacy tu ludzie są na tym zamku, co wiedzą o Gniewoszu, i jak są usposobieni dla jego wdowy.

Wolskiemu prezentował się jako ksiądz Biały, szlachcic *possessionatus* w ziemi sanockiej, pielgrzymujący tymczasem po miejscach świętych, zanim na stare lata odpocznie na jakiej kanonji, albo może i na stolcu biskupim.

Wolski był człowiek surowy, ale nie podejrzli-

wy, a przytem bardzo nabożny, przyjął go więc bardzo uprzejmie i zapewnił, że niemasz gościnniejszego zamku na świecie, jak Czorsztyn.

Wara mu opowiedział, że wiosną wracał właśnie ze Ziemi Świętej i już był doszedł do Lwowa, ale zastał tam obóz, skąd go już nie puszczono — najprzód dla jego świątobliwości, którą ludzie radzi mu przypisują, a potem dla osobliwszego daru, który ma z łaski bożej, wpajania w ludzi ducha odwagi.

— Choćby największy tchórz, jako to bywa — powiada Wara — jak go wyspowiadam raz, drugi i trzeci, a dam mu naukę, jakoś Pan Bóg tak daje, że potem z niego najwaleczniejszy rycerz się robi, któremu rzadko kto na placu dotrzyma.

Na co Wolski odpowiedział mu sucho:

— U nas tu, chwała Bogu, tego nie potrzeba. My rzniem na sieczkę każdego, kto nam drogę zastąpi. A któryby się wybrał z takiem kazaniem do moich żołnierzy, temuby się mogło co zdarzyć, bo żołnierze wzięliby to pewnie za obrazę i poleciałyby z niego otręby, nimby się jeszcze obaczył. To tam dobre dla pospolitego ruszenia w obozie, ale tutaj tylko ja miewam kazania do moich żołnierzy.

Wara spojrzał na niego z uwagą i znalazł, że jest to człowiek bardzo zajmujący, ale lepiej jest siedzieć od niego zdaleka.

Poczem Wolski wypytywał go o Chryzostoma, o którego cudach we Lwowie i śmierci pod Suczawą już wiedział. Chciał się teraz dowiedzieć, jaki to był człowiek i jak przyszedł do tego, że takie porywające kazania miewał w obozie pod Lwowem i w mieście. Wara mu to wytłumaczył bardzo dokładnie.

— Chryzostom Kmita, — powiadał Wara — mój powinowaty, bo wszyscy Kmitowie to moi krewni, był swego czasu bardzo pięknym rycerzem, ale głowę do nauk miał trochę przytępą. Kiedy poczuł wokację do stanu duchownego, jam go uczył w Rzymie św. teologji, z czem miałem pracy niemało, ale, że był dwa razy u grobu Chrystusa Pana i miał niejakie zasługi, więc mi się udało wyrobić mu kapłańskie święcenia, pomiędzy nami mówiąc, raczej *honoris causa*. Wymowę miał bardzo piękną, ale kazania sobie wymyśleć nie umiał. Ja więc koncypowałem jemu wszystkie kazania, które miał z takim cudownym skutkiem w obozie i we Lwowie. I tak było dobrze. Ale, jak pod Suczawą raz tylko przemówił z własnego konceptu, zaraz go zabito. Prawda, że było to nierozważnie iść między zbuntowanych husytów, bo to są poganie — a już i Pismo przed niewiernymi ostrzega, mówiąc u Mateusza: „I nie uczynił tam cudów wiele dla niedowiarstwa ich".

Potem skierował zręcznie rozmowę na Jagienkę i dotknął oględnie kwestji Wilczka, bo to bardzo łatwo mu było przewidzieć, że Wilczek prędzej lub później przybiegnie na Czorsztyn i wdowę zaswata, a on chciałby był przecie odegrać jaknajważniejszą rolę przy tych swatach. Ale stary żołnierz odpowiedział mu na to całkiem otwarcie:

— Już tu i wróble świszczą o tem na dachach, że nasza młoda pani była pierwej zmówiona z panem starostą tustańskim. I o tem wiemy, że nasza stara pani — Panie Boże świeć nad jej duszą — swaty te rozerwała i prawie gwałtem ożeniła swojego syna z Jagienką. Człowiek złączył — a Pan Bóg rozłączył. Starosta zginął, Jagienka wdową.

jeżeli więc Wilczek wyszedł żyw z wojny, to mogą się teraz pożenić ze sobą. Babskie to rzeczy, ja się tam w takie sprawy nie mieszam. Jeśliby Wilczek chciał brać zamek z pode mnie, albo mi zabierać armaty, albo wysnuwać moich żołnierzy z załogi, ach... tobym mu drogę zastąpił i tak waści powiadam, żeby się o mnie roztrącił. Ale, jeżeli babę zabierze — i owszem. Baba z wozu, konikom lżej.

Więc Wara rzecze mu na to łaskawie, obdarzając go swem zaufaniem:

— Kiedy waszmość, jak widzę, wiesz już o wszystkiem, więc mu jeszcze powiem cokolwiek. Ów Kmita węgierski, ojciec pani Jagienki, był ze mną od młodu w nierozerwanej przyjaźni. Przez całe życie byliśmy z sobą, jak dwa palce u ręki. Kiedy na wojnie został usieczon od Turków, byłem przy nim, wyspowiadałem go i pomazałem olejem świętym. Owóż, konając na moich rękach, zlecił mi opiekę nad swoją dzieweczką, mówiąc do mnie te słowa: „Wydaj ją zamąż, jak możesz najlepiej, a wedle twego własnego wyboru". — Zaczem ja dla niej wybrałem Wilczka, co jest pan wielki i kawaler wielkiego serca, nie przymierzając, prawie jak nieboszczyk pan Gniewosz.

— Już to tam do Gniewosza pono jemu daleko — powie mu Wolski.

— To też właśnie powiedziałem: „nie przymierzając" — poprawił się Wara. — Więc tedy zaswatałem ich, jak należy, i była rzecz ułożona. Ale licho nadało, że właśnie, kiedy Wilczek pojechał poszukać swatów, a ja tymczasem poszedłem był w góry, ażeby kazać tamtejszemu ludowi, i jak to z woli bożej zawsze już bywa, takie nieprzeli-

czone rzesze się do mnie zbiegły, żem się z pomiędzy nich nie mógł cale wydobyć; owo więc właśnie wtedy licho nadało, że starościna nieboszczka — niechajże jej tego Bóg nie pamięta — spadła, jak jastrząb, na zamek sobieński, sprowadziła tam syna bodaj nie powietrzem, sprowadziła i Chryzostoma, także Bóg nie wie, jakim sposobem, i ożeniła go, bez zapowiedzi, bez indultu, a między nami mówiąc, nawet i bez spowiedzi...

— Już to tam pono nie całkiem po katolicku odbyły się te śluby — rzekł Wolski z uśmiechem — ale co nam do tego.

— Owo więc Wilczek, — powiadał dalej Wara — dowiedziawszy się o tem, tak się tem nieszczęściem sfrasował, że byłby pewnie rozum utracił, gdyby nie to, żem go od tego czasu ani na krok nie odstąpił.

— A co to waść gadasz? — przerwie mu Wolski. — Dopieroś powiedział, żeś wracał ze Ziemi Świętej, kiedy się obóz zbierał pod Lwowem, teraz zaś mówisz, żeś był ciągle przy Wilczku.

— Toż to ja właśnie dlatego chodziłem do Ziemi Świętej, — rzekł prędko Wara — ażeby u Pana Boga łaskę uprosić dla niego, żeby się przecie ożenił z Jagienką.

— A toś się tam modlił o śmierć dla pana Gniewosza! — zawołał Wolski, marszcząc brwi i patrząc surowym wzrokiem na niego.

— Chowajże Boże! — zawołał Wara, zmuszając się do uśmiechu. — Co też waszmość powiadasz! Przecież ja pana Gniewosza znałem także od dziecka i kochałem go, jak mego własnego syna. Co waszmość gadasz! Obraziłeś mnie ciężko tą myślą, niechże ci Pan Bóg przebaczy! Jabym

jemu był nieba przychylił — a waszmość mnie o taką zbrodnię przeciwko niemu obwiniasz. Ja właśnie dlatego poszedłem do Ziemi Świętej, że mi tak ciężko było na sercu, a chwiejno w mojem sumieniu, aby mnie też Pan Bóg oświecił. Bo tu miałem obowiązki względem nieszczęśliwej Jagienki, aby też ją z tego pieprzu wydobyć, a tu znów respekt dla nieboszczyka Gniewosza...

— Coś tam waść bałamucisz, jak widzę — przerwał mu Wolski — ale co mnie do tego. Powiedziałem już waści i jeszcze raz mówię, że ja się tam w wasze babskie kabały mieszać nie myślę, bo to nie należy do mego włodarstwa. Ani wam przeszkadzać, ani pomagać nie będę, bo to nie moja rzecz. Ale ponieważ mi waść wspomniałeś o tem, że rad rzesze gromadzisz po górach, aby im kazać, więc i to waści powiem, że w tutejszem starostwie nikomu kazać nie wolno, bo tu jest ks. Pudełko, który ma jurysdykcję duchowną nad całym ludem — a gdybyś ty chciał jakie nauki wykładać jego ludowi, to onby ci dopiero takiego dał pieprzu, żebyś się z niego, jak żyw, nie wykichał. Dobrze to wiedzieć zawczasu. A tak, jeśli wola, zostań sobie gościem na zamku, w skrzydle pani Jagienki. Ona ma dwór swój i kuchnie, i sługi, i wszystko, co trzeba, więc ci tam niczego nie braknie. A jeśli poczciwe rzeczy macie na myśli, to niech wam Bóg dopomaga.

Tak więc Wara dowiedział się już teraz wszystkiego. Słyszał on zdawna o wielkiej zacności i surowych obyczajach Gniewosza i musiał sobie powiedzieć: „Jaki pan, taki kram“. Ten Wolski za byle co gotów zerznąć człowieka na sieczkę, a to jest jurysdykcja wojskowa i cywilna; zaś

jurysdykcję duchowną ma jakiś ks. Pudełko, co gotów znowu za byle co dać pieprzu, że się człowiek z niego, jak żyw, nie wykicha. Trzeba tu po tem starostwie chodzić na palcach. Wszelako w gruncie rzeczy był kontent, bo się upewnił, że będzie mógł odgrywać rolę protektora i swata, a przytem też tę i ową pieczeń upiec dla siebie.

We dwa dni potem odprawił się pogrzeb starościny.

Z księży, których zresztą w bliskości było niewiele, tylko jeden proboszcz z Starego Sącza przyjechał. Wara był zatem gościem upragnionym. Ksiądz Pudełko w innym razie byłby go widział niechętnie i z nieufnością, bo nie lubił tych księży bez parafji i bez *locum standi,* których się wówczas po wszystkich krajach włóczyło tak wielu, a o których nawet nie można było wiedzieć dowodnie, czyli i jakie mają święcenia; ale dziś, pragnąc, ile możności, podnieść splendor pogrzebu swej kolatorki, przyjął go rad, zaprosił do uczestnictwa w tej uroczystości i kazał mu dać ornat, który się znajdował w kaplicy, leżącej na Podzamczu pod lasem. Wara uderzył w strunę skromności, wypraszał się od ornata, mówiąc, że przy tak świątobliwym prałacie, jak ks. Pudełko, przystoi mu raczej poprzestać na komży; ale Pudełko, chcąc, aby było przynajmniej trzech księży, uparł się przy swojem — i Wara figurował na pogrzebie w ornacie.

Szlachty się także bardzo mało zjechało, bo jeszcze mało kto z wojny powrócił. Natomiast wszakże zbiegły się takie tłumy wiejskiego ludu, że się nie mogły w zamkowych dziedzińcach pomieścić. Załoga zamku wystąpiła także w wielkiej paradzie pod komendą Wolskiego — a tak temu

smutnemu obrzędowi przybyło cokolwiek świetności. Jagienka była także na pogrzebie, modliła się, klęcząc, i rzewnemi łzami płakała: nieboszczka wprawdzie ciężką wyrządziła jej krzywdę, ale teraz już stała przed Bogiem — a zresztą, już to minęło i teraz się wszystko zmieniło.

Starościnę pochowano w grobach zamkowych, gdzie się starostowie czorsztyńscy chowali — a po pogrzebie tłumy się w cichości rozeszły.

Po pogrzebie, który się skończył dopiero z południa, Jagienka wróciła do swoich pokojów. Zaledwie przestąpiła próg swojej sypialni, już zapomniała o swojej macosze — a natomiast coraz większa zaczęła ją brać niecierpliwość, że dotąd niemasz jeszcze żadnej wiadomości od Wilczka. Kazała wołać Warę do siebie, ale jej powiedziano, że Wolski dla znamienitszych gości małą stypę u siebie wyprawił i Wara — naturalnie — nie mógł mu się wymówić. Jagienka przystąpiła do okna i stęsknionemi oczyma patrzała na drogę, która od Krościenka wiodła do zamku. Jeżeli przyjedzie, to stamtąd powinien przyjechać...

Późna jesień już była natenczas; niebo ołowiane, cały świat szary, dzień już zaczynał zapadać, tylko jasne blaski padały od śniegów, które już grubemi warstwami leżały na górach. Jagienka wytężała swe biedne oczy, ile siły im stało, ale nic dostrzec nie mogła. Jeszcze dużo ludzi się snuło po drodze, ale byli wracający z pogrzebu; wszyscy szli od zamku, gubiąc się tu i owdzie po drodze. Nareszcie i ludzi już brakło, droga stanęła pustką.

Jagienka ręce opuściła po sobie, mówiąc z ciężkiem westchnieniem do siebie:

— Już dziś nie przyjedzie, jeszcze jedna noc takiej męczarni...

Jednak dalej patrzała. Już się zmierzchać zaczęło, ale wzrok bystry mógł jeszcze rozróżniać przedmioty. Jej wzrok tak się wytężał, że byłby najmniejszy ruch na tej drodze dojrzał wśród ciemnej nocy. Lecz jeszcze zmrok całkiem nie zapadł a śniegi dobrze błyszczały. Tak patrząc, nagle zadrgnęła. Jacyś jeźdźcy się pokazali na drodze. Było ich trzech, albo czterech. Jechali rysią, jak gdyby się wielka kula toczyła po drodze i w oczach wzrastała. Jeden z nich jechał na przodzie; widać hełm jego, na którym się pióra kołyszą. Koń kary z białemi nogami... To on! Jagience serce uderzyło tak mocno, że jej się w oczach zaćmiło; musiała się uchwycić żelaznej poręczy u okna, aby na ziemię nie padła.

Kiedy jej się wzrok znowu rozjaśnił i wyjrzała przez okno, rycerze już w bramę wjeżdżali.

Jagienka stanęła na środku komnaty i oddech w piersi zaparła. Teraz już nie wzrok, ale słuch wytężyła; byłaby usłyszała muszkę, brzęczącą w dziedzińcu.

Przez chwilę cisza.

Służebna weszła i postawiła oliwny kaganiec na stole.

— Idź sobie — powiedziała do niej Jagienka.

Służebna wyszła. Cisza znowu zapanowała. Potem usłyszała jakieś głosy pod bramą. Głos Wolskiego, który jakoby witał kogoś z wielkim respektem, jakoby raport mu zdawał...

— Na Boga! Co to jest... Gniewosz?...

Ta myśl jej przeleciała, jak błyskawica, przez głowę. Jagienka cała zakrzepła.

Potem znów cisza. Jagienka stała, jakby w głaz zamieniona, na środku komnaty. Myśl jej zamarła i bicie serca stanęło.. Raz czuła niebo nad swemi głowami, to znowu piekło pod nią się otwierało. Cisza trwała przez chwilę. Potem usłyszała kroki butów rycerskich z ostrogami na kamiennych posadzkach. Serce jej znów uderzyło. Aż wreszcie drzwi się rozwarły — i Wilczek prędkiemi krokami wszedł do komnaty.

Wilczek otworzył szeroko swoje ramiona, Jagienka z krzykiem, jak gdyby jej się serce rozdarło z radości, rzuciła mu się na piersi — i stali tak chwilę, jak posąg podwójny, w nierozerwanych ze sobą objęciach.

Wilczek pierwszy przyszedł do przytomności i rzekł:

— Bóg łaskaw! Nad wszelkie nasze nadzieje...

Jagienka zbudziła się, a wysunąwszy się z jego ramion, ale trzymając się silnie za rękę, zapytała:

— Zginął? Wiesz pewnie?

— Wszyscy już wiedzą. Mam zresztą dowody. Masz okruszynę obrączki?

— Obrączki? — zawołała Jagienka, przypominając sobie list swego męża. — Mam. Ale gdzie druga połowa?

— Jest u mnie — rzekł Wilczek.

— Masz? Pokaż! — krzyknęła Jagienka i skoczyła do swojej szkatuły.

Otworzyła ją prędko i przyniosła list męża z połową obrączki. Tymczasem Wilczek wydobył z zanadrza testament Gniewosza i drugą połowę

obrączki. Jagienka wyrwała mu ją z ręki i pobiegła do kagańca, gdzie zaraz obydwie połowy ze sobą złożyła. Wilczek patrzał na to i oboje widzieli, że były to obie połowy tej samej obrączki. Jagienka spojrzała z zachwyceniem na Wilczka, a on jej podał testament Gniewosza do przeczytania.

— Czytaj — powiedziała Jagienka.

Wilczek, także nie bardzo biegły w czytaniu, jąkał się trochę, ale nareszcie przeczytał.

A wtedy Jagienka sama mu się rzuciła na szyję, wołając:

— Teraz już nas nikt nie rozłączy!

Wilczek ją znowu przez długą chwilę trzymał w swoich objęciach, a czując bicie jej serca na swojej piersi i jej oddech gorący przy swoich ustach, wszystka krew mu uderzyła do twarzy, co było bardzo niedobrze.

Toż nie chciał jej już wypuścić, ale mu się sama wydarła. Zaczem oboje usiedli naprzeciw siebie i zaczęli sobie opowiadać urywanemi słowy, ile cierpieli.

Wilczek mało mówił, tylko, trzymając jej rękę w swojej gorącej dłoni, połykał jej słowa i patrzał jej w twarz rozpłomienionemi oczyma. Natomiast Jagienka opowiadała mu wszystko: jak ją na Sobniu zgwałcono do ślubu, jak nikt nie miał nad nią litości, jak sobie święcie przysięgła, że raczej się da rozedrzeć w kawałki, niżeliby miała dopuścić, ażeby Gniewosz się tylko dotknął jej ręki, jak jednak Gniewosz przez czas podróży i swego pobytu na zamku obchodził się z nią, jak z świętą.

Opowiedziawszy to wszystko, zerwała się z miejsca i zawołała z zapałem:

— Pan Bóg dopomógł mojej stałości. Dziś je-

stem twoją, a chociaż wdowa, jestem, jak gdybym dopiero dzisiaj na świat przyszła!

Natenczas Wilczek spłonął ogniem miłości, jak kierz Mojżeszowy, porwał ją, jak łąteczkę w swoje żelazne ramiona, ona go objęła za szyję i na jego piersi zawisła, a wtedy ziemia im się z pod nóg usunęła, niebo się otworzyło przed nimi, trzydzieści sześć gwiazd zapłonęło w ich oczach, a aniołowie grali im hymny niebieskie do świtu.

II.

UMARLI WSTAJĄ.

Pod zamkiem czorsztyńskim leżały porozrzucane niektóre chaty a inne budynki, co nazywano Podzamczem, a między niemi obszerna i bardzo dostatnio zaopatrzona gospoda, w której mieścili się podróżni, mając sprawy do załatwienia na zamku, i kupcy węgierscy, przejeżdżający wciąż z towarami do Polski. Jakkolwiek Wolski przyjął Wilczka z rewerencją, królewskiemu rotmistrzowi należną, zdał mu raport ze stanu rzeczy w tej królewskiej fortecy i zaprosił go, ażeby stanął ze swymi ludźmi na zamku (co Wilczka zatrzymało tak długo pod bramą zamkową), jednakże Wilczek podziękował mu za gościnę, dając do zrozumienia, że mu się nie godzi u młodej wdowy zamieszkać. Wolski, człek obyczajów surowych, zrozumiał tę delikatność rycerską i kazał zaprowadzić jego sługi i konie do owej gospody, zapewniając go, że arendarz, jako zależny od zamku, otrzyma dokład-

ną instrukcję, jak się ma obchodzić z gościem tak wysokiej godności. Ludzie Wilczka umieścili się zatem w gospodzie; ale było ich tylko dwóch, Włostek i drugi żołnierz, i dwa konie podwodne. Inni żołnierze Wilczka dopiero w kilka dni mieli przyjść za nim.

Albowiem, kiedy Wilczek otrzymał pozwolenie od króla pojechać na Czorsztyn, wyprawił Ramułta ze swoją chorągwią na Tustań, do swojej służby zachował tylko dwunastu zbrojnych, a że pomiędzy nimi była większa połowa młodzi szlacheckiej, których potrzebował dla okazałości swojego dworu, a którzy jeszcze niebardzo umieli się rządzić w podróży, więc zostawił przy nich Kostrubana, aby im był na wysłudze. Ci ludzie, idąc zwykłemi etapami, powinni byli przyjść po nim we trzy dni, ale dopiero piątego dnia nadciągnęli, bo Kostruban kazał im leżeć przez całą dobę w Wiszni, a sam przez ten czas wałęsał się kędyś po puszczach tamtejszych.

Kiedy Wilczek nazajutrz po ich przybyciu kazał im wystąpić przed sobą na popis, znalazł wszystko w porządku, lecz zauważał, że Włostek był zapłakany, ba, nawet i w jego obecności się na nowo rozpłakał.

— Czego ten błazen tak beczy? — zapytał Wilczek.

Kostruban poskoczył na to ku niemu i rzekł:

— Nic to. Opowiem potem jegomości.

Ale Wilczek był ciekawy i pociągnął zaraz Kostrubana na stronę. A wtedy Kostruban powiedział mu, że stało się nieszczęście z Ofką i Włostek dlatego tak płacze.

— Cóż się tam stało? — zapytał Wilczek, blednąc cokolwiek.

— Proszę jegomości, — powiadał mu Kostruban — kiedy mnichy się dowiedzieli, że ks. Chryzostom zabity, zaraz kazali Marusze, aby się wynosiła ze swojej zagrody. Właśnie niedawno jej mąż był umarł, więc powiadali, że ona nie ma prawa do tej zagrody. Marucha nie chciała — i tak to jakiś czas było. Ale przeszłego tygodnia jacyś zbrojni ludzie napadli na chatę Maruchy i wszystkich wymordowali, a chatę złupili.

— Kogóż zabili?

— I Maruchę i Ofkę.

— A dziecko?

— Także zabili.

— Byłeś tam? Widziałeś?

— Byłem, a powiadali mi to ci ludzie, co Maruchę grzebali.

Więc Wilczek się nad tem zamyślił, a potem rzekł:

— Cóż ty mi gadasz? Przecie księża takiej rzeczyby nie zrobili.

— Ale to nie księża, — rzekł Kostruban — księża ją tylko chcieli napędzić. Jeno, jak to zazwyczaj po wojnie, dużo rozpuszczonego żołdactwa się włóczy po kraju, co nie mają żyć z czego, więc tak rozumiem, że to oni chałupę złupili, a baby pomordowali.

Wilczek jeszcze trochę nad tem pomyślał, a potem rzekł do siebie:

— Jam temu nie winien. Bóg wie, co robi. Panie, świeć nad jej duszą.

Żołnierze Wilczka rozlokowali się w tej obszernej gospodzie i bardzo dobrze im się tam dzia-

ło. Wolski, oddając królewskiemu rotmistrzowi, co mu się należało na stacji królewskiej, przysłał im wina, mięs, chlebów i furażów dla koni, w gospodzie także im win przednich węgierskich nie brakło; Wilczek, w rzeczach służby niezmiernie surowy, ale po pańsku hojny dla swoich ludzi, nie żałował im grosza, było im więc daleko lepiej w tej gościnie, niż w domu.

Wara, mający okrutny respekt przed Wolskim i nie chcąc mu się naprzykrzać, przepędzał u nich długie zimowe wieczory, jedząc, jak wilk, pijąc, jak wór dziurawy, i opowiadając im bardzo ciekawe historje ze swoich niezliczonych podróży. Gdzie on nie był, czego nie widział, ile razy był w Rzymie i u Grobu Chrystusa Pana, ile dobrych rad dał papieżowwi, ile ufundował klasztorów, ile pogan nawrócił, ile świętych relikwij z rąk ich wydobył, ilu świętych Pańskich widział na swoje oczy, ile absolucyj od grzechów śmiertelnych przez nich dla biednych ludzi wyrobił: tego nie potrafiłby nawet przez cały rok opowiedzieć. A opowiadania te płynęły z ust jego właśnie, jak ten Dunajec, co się sączył bez zatrzymania prawie pod ich stopami. Były to rzeczy bardzo zajmujące — a po staremu tem więcej podziwiane przez jego słuchaczy, ile że w nich ani krzty prawdy nie było. Ale i najsłodszy piernik nareszcie się przeje... Tak więc i tej młodzi żołnierskiej zaczęły się przykrzyć pomału te piękne powieści, zwłaszcza że były, jak dwie krople wody, do siebie podobne; bo, jak dziś jest, tak i dawniej bywało, że rób, co chcesz, i nadrabiaj coraz to nowym konceptem, wymyślaj niesłyszane dotąd zdarzenia, zmieniaj za każdym razem i ton i tok twego powiadania, przecie z jednego

dzbana zawsze ten sam płyn płynie. Tego prawa natury żadna moc ludzka nie zmieni: całe zadanie ludzkiego rozumu tylko w tem leży, ażeby miarę zachować. Ale Wara nie miał rozumu — a więc nie miał i miary. Młodzież więc zaczęła się nudzić — a to tem bardziej, ile że już zima nie żartem ziemię ścisnęła, zaczęły się śnieżne zawieje i czasem przez cały dzień nie można było nosa wyścibić za bramę.

A tu Wilczek siedzi i siedzi w Czorsztynie: niby to mieszka w gospodzie, ale całe dnie i całe wieczory przesiaduje na zamku, ba nawet i noce kędyś przepędza, bo zwykle wraca dopiero o świcie.

Żołnierze z nudów zaczęli już sobie żartować, mówiąc:

— Pan się przy swoich swatach nie nudzi, może się też obejdzie i bez wesela.

Któryś złośliwy, a niecierpliwy powiedział.

— Będziem tu siedzieć tak długo, aż póki małe wilczątko nie powieziemy na Tustań.

Zaś Włostek był zły naprawdę i mówił:

— Taki to pański obyczaj. Przed nim żadna się nie utrzyma. Co zrobił tej biednej Ofce, to i tej zrobi.

Słysząc takie niepoczciwe gadania, Kostruban starał się je łagodzić, wykładając żołnierzom, że obyczajów rycerskich nie znają, że rycerz nie tak się żeni, jak chłop, co jeno raz dziewkę obaczył, zaraz też ze swatami przychodzi, — rycerz się pierwej na wszystko ogląda, aby też wyrozumiał, z kim się wiąże na całe życie; dlatego też panowie żyją w zgodzie ze swemi żonami, nie tak, jak chłopi, co biją swe żony zaraz po ślubie, a potem

się rozpijają z rozpaczy, że się na nich zawiedli. Ale żołnierze, jako to głowy u nich zazwyczaj są puste, nawet i z tego się śmieli, mówiąc:

— Chyba, że tam u was pomiędzy Niemcami takie przewrotne są obyczaje. Bo u nas chłop, pan i rycerz spowiada się, pości i suszy przed ślubem, aby też potem się poweselił, pan zaś się najprzód weseli, chyba, że po weselu mają przyjść post i suchoty.

Kostruban tak się tem niecierpliwił, że postanowił rzucić o tem słówko Wilczkowi; ale zabierał się po kilka razy, a nigdy nie miał odwagi. Wilczek późno się kładł spać i późno wstawał, potem nagle się zrywał, czy deszcz, czy śnieżnica, czy zawierucha, kazał na koń wsiadać żołnierzom, odprawiał z nimi musztry i marsze do Krościenka, do wiosek przyległych, czasem nawet do Węgier — a kiedy wrócił, zawsze mu było tak śpieszno na zamek, że już trudno mu było jedno słowo powiedzieć.

Tak minęło trzy tygodnie.

Jagience przesunęły się te trzy tygodnie, jak sen wiosenny na zielonym kobiercu wonnej zieleni, wśród róż i latających motyli, przy odgłosie anielskich harf, które rozkoszą przejmowały jej duszę, a nie budziły jej ze snu. Nieznająca rzeczywistego świata, przyzwyczajona z dziecka nienawidzić każde prawo, co wiąże swobodę człowieka, czująca się teraz nieograniczoną panią swej woli — a nad to wszystko, dostąpiwszy teraz tego szczęścia, o którem przez półtora roku w swojem więzieniu w łzach ustawicznych i niewymownych cierpieniach marzyła, ani na chwilę nie pomyślała o tem, gdzie jest i co robi. Upojona swem szczę-

ściem, zamykała oczy do snu, pełnego marzeń rozkosznych — a kiedy się przed południem zbudziła, jej rozkosznym uczuciom przewodniczyła tylko równie rozkoszna tęsknota, ażeby jej ulubiony przyszedł jak najprędzej i ażeby jej serce stęsknione mogło się znowu rozpłynąć w jego gorących objęciach. Jeżeli kiedy w chwili samotnej przyszła jej myśl, że mógłby się zjawić ktoś taki, jakiś zły duch, może Gniewosz albo kto inny, coby chciał przerwać jej szczęście, to wtedy budziła się w niej tak silna wola i powstawała w niej taka energja, iż miała pełną świadomość, żeby go potrzaskała w kawałki.

Ale był ktoś na zamku, który tam, gdzie chodziło o dopełnienie obowiązku, nie bał się żadnej woli opornej, ani żadnej energji.

Po trzech tygodniach, jednego rana, bardzo rano, kiedy Wilczek dopiero co się chyłkiem wyślizgnął ze zamku, zjawił się Wolski w pokojach Jagienki i rzekł do służebnej, że się chce z panią rozmówić. Służebna mu odpowiedziała, że pani śpi jeszcze, nie wolno nikomu jej budzić, póki nie zadzwoni. Ale Wolski rzekł na to surowo:

— Przy twojej pani jest dzwonek, a przy mnie trąba. Jak ja zatrąbię, kto mieszka na zamku musi wstawać w tem okamgnieniu, a bez oporu. Idź i zbudź starościnę!

Służebna poszła. Jagienka przetarła oczy niechętnie, a dowiedziawszy się, kto kazał ją zbudzić, rzekła kwaśno:

— Czego mnie nudzi tak rano? Powiedz mu, niech przyjdzie w południe.

— Wolski czeka, — rzekła służebna — jakoś straszno wygląda, musi być coś ważnego.

Wtedy Jagienkę lekki dreszcz przeszedł i serce jej bić zaczęło. Ubrała się prędko i kazała zawołać Wolskiego.

— Moja miłościwa pani, — rzekł Wolski — wiadomo jest waszej miłości, że ja się w babskie rzeczy nie mieszam. Pan Gniewosz zginął. Nie wiem ja naprawdę, czy zginął...

— Jakto nie wiesz? — zawołała, blednąc, Jagienka, a krew w niej zaczęła zastygać.

— Nie wiem, bom ani sam nie był przy jego śmierci, anim żadnego naocznego świadka nie widział. Ale mam pismo z kancelarji królewskiej, jako pod Suczawą jest zabit, więc zginął. A kiedy zginął, to wasza miłość jesteś wdową i możesz sobą rozporządzać dowoli, mnie tam nic do tego.

Jagienka odetchnęła cokolwiek.

— Przyjechał tu imć pan Wilczek, — mówił dalej Wolski — bywa na zamku, powiadają, że idzie w konkur o rękę jejmości: to mnie tam nic do tego, niech Bóg błogosławi.

Jagience się całkiem lekko zrobiło i rzekła:

— Tak jest, więc o cóż chodzi?

— Ale imci pan Wilczek wylega się tutaj po nocach — powiadał dalej Wolski tym samym tonem — i już o tem zgorszeniu głośno jest na zamku i po wszystkich gromadach. Owo więc, ja mam instrukcje względem imci pana Wilczka jeszcze od pana Gniewosza i mam obowiązki, których sam jestem świadom i deklaruję waszej miłości, że na to pozwolić nie mogę.

A wtedy Jagienka się straszliwie zmieszała, ale się zebrała, jak mogła, i zaczęła mówić w pomieszaniu, ale z pewną niecierpliwością:

— Każdemu wolno plotki nosić, jeśli mu się to

podoba. Ale nic niemasz w tem złego. Tobie wiadomo, mój panie Wolski, że, jeśli się jest po zrękowinach, to nikt nie ma prawa liczyć zmówionym godziny i zaglądać przez okna, czy słońce już zaszło...

Ale Wolski jej przerwał, mówiąc:

— To tam ekskuzy dla innych. Jam pana Wilczka sam dzisiaj widział, jako się z zamku wykradał dopiero o świcie i deklaruję waszej miłości, że ja tu w tych murach porubstwa nie znoszę.

Na to słowo, chociaż ewangeliczne, Jagience wszystka krew uderzyła do twarzy. Porwały ją razem gniew i oburzenie, ścisnęła pięści, usta jej drgały i zawołała:

— Ty śmiesz! Precz! Za drzwi!

Ale Wolski stał, jak mur, i rzekł spokojnie, ale dobitnie:

— Daję waszej miłości dzień cały, ażebyś zarządziła wedle swej woli, co trzeba. Mnie tam nic do tego. Lecz deklaruję, że, jeżeliby imci pan Wilczek chciał wejść do zamku o zmroku, to bramę przed nim zatrzasnę.

To rzekłszy, wyszedł.

Po jego wyjściu Jagienka otrzeźwiała zupełnie. Trzechtygodniowy raj unosił się wprawdzie nad nią w całej swej pełni czarownej, ale czuła się odgrodzoną od niego gorzkiem zbudzeniem. Przejrzała instynktem całą nielitościwość rzeczywistego świata, zmierzyła niezaćmionym wzrokiem całą głąb tej przepaści, w którą się nieświadomie zsunęła. Przyszła odrazu do przekonania, że tak dalej zostać nie może. Ale przypomniała sobie zarazem, że Wolski powiedział, jako nie jest całkiem pewnym śmierci Gniewosza. Ta myśl, lubo całkiem

nieprawdopodobna, przecież przejęła ją dreszczem. A wtedy powiedziała sobie: Niech się dzieje, co chce, tu niemasz jednej chwili do stracenia.

I posłała w ten moment po Wilczka.

Kiedy opowiedziała Wilczkowi, co się stało, młody jej oblubieniec w pierwszej chwili strasznym zapłonął gniewem. Jego godność rycerska się w nim odezwała, a ręka rycerska, gotowa zawsze bronić tak dobrze prawa, jak i bezprawia, uderzyła o miecz. Jakto! Taki mizerny ciura, taki zamkowy namiestnik, śmie mnie prawo dyktować? Kroki moje nadzorować? Bramę zatrzasnąć przede mną?... I gdyby nie wzgląd na położenie, gdyby nie poczucie się do występku, gdyby nie wzrok zatrwożonej Jagienki, byłby pewnie Wolskiemu łeb mieczem rozszczypał, a zapewne i zamek zabrał pod swoją komendę.

Ale Jagienka stała nad nim drżąca i wystraszona i takiemi oczyma na niego patrzała, że nie mógł dalej się gniewać.

A wtedy i on się z tego snu obudził, w którym, równie jak ona, bez świadomości siebie, bez myśli, a w upojeniu rozkoszy, prześnił całe trzy tygodnie tak prędko, że ani się spostrzegł. I wtedy sam się zasmucił i rzekł:

— Moja to wina. Ta nagła zmiana, żem ciebie, już stokroć opłakaną przeze mnie, znowu obaczył, odebrała mi zmysły, a miłość dla mnie ogłupiła doreszty. Teraz sam nie wiem i nie pojmuję, jak mogłem zapomnieć o tem, że przedewszystkiem trzeba było o ślubie pomyśleć. Wciąż o tem myślałem, ażeby się za swatami obejrzeć i wciąż odkładałem z dnia na dzień, bom się ani na jednę chwilę nie mógł od ciebie oderwać. Sama myśl o tem,

że będę cię musiał na dni kilka porzucić, napełniała mnie strachem, że może potem znowu cię nie obaczę i odbierała mi odwagę, do tej podróży. Ale nie mamy czego żałować, teraz się to zrobi bez zwłoki.

— Ale dziś! — zawołała Jagienka. — Ja się czegoś boję, sama nie wiem czego i kogo, ja ani jednego dnia czekać nie będę.

— Jakże dziś? — zapytał Wilczek. — Do ślubu potrzeba swatów i drużbów i księży i godzi się przecież odprawić wesele.

— Nie potrzeba żadnego wesela, — wołała niecierpliwie Jagienka, nie mogąc ustać na miejscu — ja jestem w żałobie. Nie potrzeba i swatów. Drużbów ty masz przy sobie, ja znajdę drużki między mojemi pannami. Ks. Pudełko jest w Krościenku, to dobry człowiek, da nam ślub zaraz bez zapowiedzi. Mój Lenardzie! Dzisiaj, dziś jeszcze!

Wilczek zastanowił się nad tem, ale, jako był prędkiej determinacji, rzekł zaraz:

—Więc dobrze. Dziś, zaraz. Nagotujże sobie suknię do ślubu i drużki i każ do karocy zaprzęgać — a ja pójdę się przebrać i moich drużbów namówić.

Jagienka się rozpłakała z radości, wielki ciężar spadł jej ze serca. Wilczek, objąwszy ją w swoje ramiona, wybiegł także z radośnem sercem do swojej gospody.

Wróciwszy do siebie, posłał przedewszystkiem jednego ze swojej szlachty do Krościenka, do ks. Pudełka, zapowiadając mu, że się żeni z Jagienką, i prosząc, aby mu dał ślub dzisiaj zpołudnia.

Zpołudnia zaś, kiedy już wszystko było gotowe, wyruszył orszak weselny do Krościenka: Wilczek

ze swoją młodzieżą naprzód na koniach, Jagienka w poszóstnej karocy ze swemi drużkami za nim.

Zajechawszy przed kościół, Wilczek i jego żołnierze pozeskakiwali z koni, kobiety wysiadły z karocy, Wilczek wziął Jagienkę za rękę i szli do kościoła.

Kościół zastali otwarty i spostrzegli, że ks. Pudełko oczekiwał ich w kruchcie zaraz przy samej bramie. Ta rewerencja powinna była ująć państwa młodych; ale Wilczek zauważył, że Pudełko nie miał ani komży, ani stuły na sobie, tylko był w swojej wytartej rewerendzie, w której chodził codziennie. To spostrzeżenie go trochę ubodło; ale nie zważał na to, tylko, zbliżywszy się do niego, opowiedział mu, poco przyjeżdża i prosił go, aby się pośpieszył ze ślubem.

Pudełko mu się bardzo pokornie ukłonił, ale odpowiedział opornie, mówiąc:

— Jestem zawsze gotów wypełniać rozkazy urzędników królewskich, ale ja jestem przedewszystkiem sługą Kościoła i muszę wykonywać prawa boże. Ja nie wiem o tem napewno, że pan Gniewosz nie żyje. Czy wasza miłość masz na to jakie dowody?

— Jakto, nie wiesz? — zawołał Wilczek niecierpliwie. — Przecież Wolski otrzymał instrukcje królewskie, w których o śmierci Gniewosza stoi wyraźnie.

— To dla mnie nie wystarcza — rzekł mu spokojnie Pudełko. — Rzekomo zabici na wojnie często po latach w dobrem zdrowiu wracają. Czy masz wasza miłość jaki akt śmierci, albo też akt pogrzebu?

Na te słowa Jagienka zbladła, jak śmierć,

i chwyciła Wilczka pod ramię, aby nie upadła. W Wilczku zaczęła się krew niepokoić, raz mu się zimno robiło, to znowu gorąco, przez okamgnienie nie wiedział, co robić: czy ma księdza bić w łeb, czy też mu perswadować. Jednak w tej samej chwili przypomniał sobie, że za namową Jagienki wziął z sobą testament Gniewosza z okruszyną obrączki i list jego, do Jagienki pisany, z drugą połową obrączki: zaczem dobył to wszystko z zanadrza, dał księdzu i rzekł:

— Masz dowód.

Ks. Pudełko, stojąc ciągle w kruchcie przy samym progu, jak gdyby im nawet chciał bronić wejścia do kościoła, wziął te obydwie skryptury do ręki i przeczytał z uwagą. Lecz, przeczytawszy, zwrócił je Wilczkowi i rzekł:

— To nie jest dowód. To pisał pan Gniewosz, kiedy żył jeszcze.

— Głupiś! — rzekł Wilczek ze złośliwem szyderstwem. — Przecież po śmierci nikt do ciebie listów pisać nie będzie. Więc czegoż ci trzeba?

Ale Pudełko wcale się tem nie obraził, — ludzie nieszlacheckiego stanu byli przyzwyczajeni do gwałtowności owoczesnych rycerzy — owszem, odpowiedział mu z cierpliwością i pokorą, chociaż zarazem z powagą kapłańską:

— Radbym waszym miłościom dopomóc, choćby tylko dlatego, ażeby drogę zawalić dalszemu zgorszeniu; ale praw bożych nawet dla samego króla łamać nie mogę. W takich wypadkach, gdzie niemasz dokumentnych dowodów, jako mąż umarł, wdowa ma czekać rok i sześć niedziel. A i wtedy dopiero biskup może dać pozwolenie do wejścia powtórnie w śluby małżeńskie, chociaż *urgente ne-*

cessitate może takie pozwolenie dać także i wcześniej.

A wtedy Wilczek, jako był zawsze okrutnie porywczy, już kipiał.

— Rok i sześć niedziel! — zawołał drżącym głosem od gniewu. — Ani sześć godzin! Dasz ślub w ten moment, czy nie dasz?

— Nie dam — odpowiedział mu Pudełko, rozszerzając ramiona. — Nie dam! Ani was nawet do kościoła nie wpuszczę, chyba, że chcecie iść do spowiedzi.

Na te słowa Wilczek już wściekł się ze złości. Twarz jego stała się sinawo-czarną, jak gdyby była z żelaza, oczy piorunami zagrały, wargi mu się tak trzęsły, że aż zęby szczękały.

— Nie dasz! — zawołał głosem przerywanym, a jego słowa wylatywały sylabami, jak kule, z pomiędzy zębów. — Nie dasz! Otóż ja ci pokażę, że dasz! Albo dasz, albo zaraz cię zetnę!

A to mówiąc, dobył miecz z pochwy i świsnął nim wgórze.

Natenczas Pudełko padł przed nim na kolana, jak gdyby do ścięcia, a złożywszy ręce, zawołał:

— Tnij w imię złych duchów, co nad tobą panują. Panie! W ręce Twoje oddaję duszę moją!

Ale w tej samej chwili Jagienka z podniesionemi wgórę rękami rzuciła się, jak błyskawica, pomiędzy niego i księdza i tym silnym rzutem zachwiała go na nogach; tymczasem zaś jego młodzi żołnierze, przejęci zgrozą, nabrali odwagi, chwycili go silnemi rękami za ramię i porwali na próg kościoła, sprowadzając go, jak pijanego, ze schodów.

Widząc ich odchodzących, Pudełko wstał z ko-

lan, poszedł wolnym krokiem przed ołtarz, tam klęknął na pierwszym schodzie i modlił się długo, dziękując Bogu, że go cudownie ratował od śmierci, ale ofiarując Mu się zarazem, że zawsze gotów jest swoją krew przelać za Jego prawa odwieczne i prosząc pokornie o taką śmierć świątobliwą.

Tak o tych dwóch ludzi, bardzo maluczkich, ale żelaznej woli i niewzruszonego sumienia, roztrąciła się nieokiełzana samowola takiego potężnego rycerza, jak Wilczek. Bo też tak było po całej Polsce natenczas: u góry szumiały, jak wichry śród burzy, najgwałtowniejsze namiętności, wypiętrzone ambicje, rwanie się o zaszczyty i władze, gwałty o dziedzictwa, o posagi, o wiana, niejednokrotnie występki i zbrodnie, a na tych maluczkich, co w imię czy to praw boskich, czy ludzkich sprawowali sumiennie swe obowiązki, nie wychodząc poza obręb swoich urzędów, opierała się, jak na opoce, moralność publiczna i na nich stała rodzina, i społeczeństwo, i naród, i państwo.

Wilczek, sprowadzony prawie gwałtem ze schodów kościoła, był w samej istocie, jak człowiek pijany. Jego gorąca krew, rozpalona do żaru, odebrała mu przytomność umysłu. Dał się bez oporu prowadzić, bo w tej chwili nie wiedział, co się z nim dzieje.

Jagienka, chociaż wcale krwi w sobie nie czuła, była przecież przytomniejszą od niego. Za jej radą wsiadł z nią do karocy, żołnierze pobrali panny służebne i powsadzali je na swoje kulbaki przed siebie, trzymając je wpół, aby nie spadły, i tak ta kalwakada weselna puściła się wolnym krokiem nazad na Czorsztyn.

Wilczek, trzymając Jagienkę za rękę i cisnąc

ją konwulsyjnie, patrzał przez długą chwilę przed siebie w milczeniu, a oprzytomniawszy cokolwiek, rzekł do niej:

— Nie wiem zaprawdę, jaki zły duch nas prześladuje, że nam się tak wszystko nie wiedzie. Cóż teraz robić?

Jagienka odpowiedziała mu na to przytomnie:

— Ofiarujmy te przeciwieństwa Panu Bogu za grzechy nasze. Taki jest świat! Jeżeli ten świat będzie nam wstręty czynił, abyśmy żyli z sobą po ludzku, to pluniemy mu w twarz, a przecie żyć będziemy ze sobą, bo teraz żadna moc ludzka już nas nie rozłączy.

To mówiąc, mocno go cisnęła za rękę. Wilczek oddał jej uścisk i rzekł:

— To pewna. Ale co robić? Bo przecie zawsze lepiej żyć w zgodzie ze światem.

A na to Jagienka:

— Uważałam, jako Pudełko powiedział, że biskup może wyjątkowo dać pozwolenie na ślub takiej wdowie, co nie może dokumentnie dowieść śmierci swojego pierwszego męża. Trzebaby więc udać się do jakiego poczciwego biskupa.

Te słowa otrzeźwiły Wilczka, jakoż odpowiedział jej na to:

— Masz rację. Ale ja nawet takiego poczciwego biskupa długo szukać nie potrzebuję. Jest przecie królewicz Fryderyk, biskup krakowski i kardynał; służyłem trzy lata na jego dworze, kochał mnie bardzo, ma on władzę nad wszystkie biskupy, a potem, nie jest to kapłan takiego ciasnego łba i takiego nieużytego serca, jak inni; on sam sobie wielu rzeczy pozwala, na które nie dały mu pozwolenia kanony... Zaraz jadę do niego.

To rzekłszy, zaczął kręcić się w powozie, ażeby jak najprędzej wyskoczyć.

Jagience przyniosły ulgę te słowa, ale na myśl, że Wilczek odjedzie, zarazem ciężka ją porwała tęsknota. Prawie już żałowała, że mu to powiedziała. Ścisnęła go znowu za rękę, łzy jej w oczach stanęły i rzekła:

— Ty jedziesz! A ja tu sama zostanę? Lenardzie, ja nie chcę. Ja nie wyżyję bez ciebie. A potem, ja się boję. Albo nie jedź, albo ja z tobą pojadę.

Wilczek zastanowił się nad tem, a potem rzekł:

— Czegoż się boisz? To tam bajki, co o Gniewoszu gadają. Nie chciałbym ja tak żyć, jak on żyje. Umarli z grobu nie wstają. A co do twojej podróży, to byłaby to rzecz także niemądra. Widzisz, jakie śniegi pozawalały drogi; nimbyś ty przyjechała do Krakowa, ja już nazad powrócę.

— Ja wsiądę na koń i przy tobie pojadę — zawołała Jagienka.

Ale Wilczek się na to uśmiechnął, objął ją w swoje ramiona, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Wszystkoś dla mnie zrobić gotowa! Ale dzisiaj na koniu tybyś umarzła. Ja sam może nieraz piechotą będę się musiał przebijać przez zaspy. Ale już ja się przebiję. Nie pośpieszę, jak w lecie, ale tak sądzę, że za dwa dni tam będę, dwa dni napowrót, a więc czwartego, a najdalej piątego dnia będę nazad w Czorsztynie. I da Bóg — z dokumentnym rozkazem, a z tęgim nosem dla ks. Pudełka!

Z temi słowami przyjechali przed Wilczkową gospodę. Tutaj się rzewnie żegnali i jeszcze raz im

się serce z bolu rozdarło. Jagienka zalała się łzami i tak mu się uwiesiła na szyi, że jej nie mógł od siebie oderwać. Ale nawet i nie chciał jej od siebie odrywać, bo i jemu łzy zakręciły się w oczach, i tak zwiądł cały, że nie czuł sił w sobie. Dopiero po długiej chwili wypuścili się z objęć; Jagienka, rozpłynięta we łzach, odjechała na zamek, a Wilczek został w gospodzie i kazał sobie konie kulbaczyć i juki gotować.

Zima onego roku nie była mroźna, lecz śnieżna. Cała Małopolska tak była zasypana śniegami, jak gdyby ją białą płachtą kto nakrył. Cały Kraków ugrzązł, jak w puchu, na dachach kamienic leżały grube płachty białego śniegu, zwieszając się zębatemi rąbkami ze strzech i krużganków, cały zamek królewski wyrastał jak gdyby z góry białych obłoków, trzy wieże katedry były śnieżnemi płachtami nakryte, a w ulicach widać było tylko wąskie drożyny pomiędzy napiętrzonemi wałami śniegu. Jasno i biało było dokoła, choć w nocy, — niebo się wyiskrzyło gwiazdami, powietrze zdało się być jakoby przejrzystem morzem opałów, cisza objęła wszystkie dzielnice miasta, a nad miastem unosił się w tem opałowem powietrzu uroczy obraz Matki Boskiej Śnieżnej.

Kiedy Wilczek, kopiąc się przez trzy dni przez śniegi, wjeżdżał do miasta, właśnie północ wybiła, a na Wawelu zadzwoniono na jutrznię. Nabożeństwo zaczynało się wtenczas o samej północy. Jak tylko dzwon zamkowy uderzył na jutrznię, budziły się za nim natychmiast wszystkie klasztory męskie i żeńskie — i zaczynały nabożne śpiewy każdy w swoim kościele. Przodowała im wszystkim, w drogie kamienie, w srebro, złoto i św. Pań-

skich relikwje niezmiernie wówczas bogata, a już pięć wieków licząca katedra, a nabożeństwa w jej murach, ze wszystkich stron we wspaniałe nagrobki ozdobnych, nie ustawały ani na chwilę. Po jutrzni i *Laudes,* które przez dwie godziny trzydziestu wikarjuszów śpiewało, intonowali inni kapłani *Officium* św. krzyża, *Officium* za dusze zmarłe, a w końcu *Officium B. Virginis Mariae.* Następnie ośm mszy się odprawiało jedna po drugiej, po których psałterzyści śpiewali Psałterz aż do nieszporów, zaś po czworakich nieszporach znów psałterzyści wracali i śpiewali psalmy do samej północy. Tak przez cały dzień boży, od jednej jutrzni do drugiej, i tak przez cały rok i po wszystkie lata Kraków brzmiał chwałą Pańską bez odetchnienia, czego nie można było widzieć w żadnem mieście całego świata.

Wilczek zajechał na zamek i tam przenocował.

Nazajutrz wstał rano i chciał iść zaraz do kardynała. Ale ani do kardynała, ani do kogo innego dostać się nie mógł, był to bowiem trzynasty dzień grudnia, dzień św. Łucji, w którym właśnie z rozporządzenia królewicza Fryderyka odbywały się solenne nabożeństwa w katedrze.

Królewicz został pierwotnie mianowany kardynałem św. Sergjusza i Bacha, ale że tytuł Bacha z powodu jego zamiłowania w kielichach i nimfach, kusił złośliwych ludzi do rozmaitych konceptów, papież mu zmienił tego tam Bacha na św. Łucję, za co wdzięczny królewicz obrał sobie tę świętą patronkę i jej dzień święcił nabożeństwem tak uroczystem, jakich rok rocznie niewiele bywało w katedrze.

Kto zatem żył na zamku i w mieście, wszyscy

byli w kościele. Nawet i król, w pozłociste szaty przybrany, z koroną na głowie, a berłem w ręku, siedział pod baldachinem na tronie po prawej stronie wielkiego ołtarza, i otoczony całym swym dworem, błyszczącym od aksamitów, srebra, złota i drogich kamieni, dotrwał aż do końca uroczystości.

Już było dobrze z południa, kiedy król, wróciwszy na swoje pokoje i przebrawszy się w suknie codzienne, siadł do obiadu. Wilczek przyszedł także do stołu, jako miał prawo i obowiązek. Król, spostrzegłszy go między panami, sam przystąpił do niego i rzekł:

— Jakże tam? Czy już mi cię witać kosmato?

Wilczek odpowiedział mu, że jeszcze się to przewleka i że właśnie dlatego do Krakowa przyjechał. A król na to:

— Przyjdźże po obiedzie do mnie na pokój, radbym się tobą nacieszyć.

Obiad trwał ze dwie godziny, już i świece pozapalano, a król jeszcze kazał wina dolewać swoim dworzanom i bawił się z nimi. Wilczek siedział, jakby na węglach. Wstano wreszcie od stołu, król poszedł na swoje pokoje, ale poszedł za nim najprzód kanclerz koronny, potem marszałek, nuż Kamieniecki za nimi, który siedział niezmiernie długo u króla. Wilczkowi już mdło się robić zaczęło od samego czekania. Przecież nakoniec przyszła kolej na niego.

Król przyjął go, stojąc o stół oparty i bardzo zamyślony. Ale jakoś niebardzo go wypytywał o to, gdzie przez ten czas bywał, tylko mu opowiadał, jako jego dworskie chorągwie są teraz w nieładzie, i że trzeba je uporządkować przez zi-

mę, bo bardzo być może, że na wiosnę znowu będziemy mieć wojnę, teraz już nie z wojewodą wołoskim, z którym za wdaniem się króla węgierskiego zawarł sojusz bezpieczny, ale z Tatarami, a może nawet z Turkami.

Wilczek skorzystał z tej sposobności i powiedział mu, że na taki wypadek lepiejby było, gdyby mu król rozkazał zostać u siebie, bo zamek tustański jest najsilniejszą fortecą na całej Rusi w tych stronach, o który się pogańska nawała pewnie pokusi. Król mu powiedział:

— Właśnieśmy o tem z Kamienieckim mówili i podobno tak będzie.

Dopiero potem spytał:

— Jakże tam? Czy już jesteś po ślubie?

Więc Wilczek mu opowiedział, koloryzując rzecz wedle potrzeby: jako z powodu pogrzebu matki Gniewosza trzeba było przeczekać czas jakiś, jako potem pani młoda potrzebowała cokolwiek czasu dla przygotowania się do wesela — a kiedy nareszcie pojechali do ślubu, owo więc co mu się stało.

Król myślał nad tem przez okamgnienie, a potem rzekł:

— Ci nasi księża, gdzie tylko mogą, wstręty nam czynią. Cóż teraz zrobisz?

— Chcę iść do księdza kardynała, przecie jest od tego biskupem, aby prawa dyktował proboszczom.

— Idźże więc do niego, — rzekł na to król prędko — a powiedz mu, że ja go proszę, aby to *stante pede* załatwił, bo jest *periculum in mora.*

Więc Wilczek bardzo się uradował, ale to *pe-*

riculum in mora trochę go przeraziło, zaczem spytał:

— Czy może są jakie wieści o Gniewoszu?

Tu król znowu się małą chwilkę namyślił i rzekł:

— Nic. Ale, żeby Kmitowie tymczasem się w to nie wmieszali. Idźże więc zaraz, zastaniesz teraz mojego brata przy dobrej myśli; jak się rączo weźmiesz do niego, to ci jeszcze dzisiaj da indult i pozwolenie do ślubu.

Wilczek pobiegł więc zaraz na ulicę Kanonną do biskupiego pałacu.

Jako dawny dworzanin królewicza jest zaraz przez wszystkie sługi poznany, bardzo serdecznie witany i prowadzony na pokoje, do których pierwsze drzwi mu otworzono naścieżaj.

Wilczek wiedział dobrze, jakie życie prowadził ten młody kardynał.

Bardzo wyniosłej postaci, o pięknej twarzy, o płci wiele jaśniejszej od króla, a pełnej wyrazu ujmującej dobroci, chociaż także nie próżnej uczucia swojej wysokiej godności, o dużych, szeroko otwartych oczach i ciemnych bogatych włosach, spadających na kark w wdzięcznych kędziorach, umiał on wszędzie, gdzie tego była potrzeba, zachować prawdziwie książęcą powagę i budzić rzetelny respekt dla siebie u wszystkich; ale, kiedy siedział z przyjaciółmi przy stole biesiadnym, gdzie nie było mowy ani o sprawach kościelnych, ani nawet publicznych, bo trzymał się ściśle zasady *ne misceantur sacra profanis*, tam był najweselszym ze wszystkich i każdego traktował, jak brata. Bardzo rozumny i ukształcony, może najrozumniejszy ze wszystkich swych braci, znający jak

najdokładniej prawa i interesa kościoła, widzący bardzo daleko i trafnie we wszelkich sprawach publicznych, ilekroć urzędowo wystąpił, zawsze trafił w rdzeń rzeczy i sprawił swój urząd sumiennie, dokładnie i z niezwyczajną energją; ale w życiu prywatnem miał temperament niepowściągliwy do swawoli i zbytków i swojej konduity fatalnej nie umiał na żaden sposób utrzymać w szrankach. Królewicz z rodu, udzielny książę siewierski, kardynał Stolicy Świętej, biskup krakowski i kanclerz akademji krakowskiej, arcybiskup gnieźnieński, prymas i pierwszy senator królestwa, wszystkim tym tak rozlicznym obowiązkom czynił zadość sumiennie, z hojnością wielkiego pana i z dobrocią serca najzacniejszego człowieka, ale za jego czasu nikt go nie przesadził w najwyuzdańszej swawoli, nikt nie był zapaleńszym i niepowściągliwszym wielbicielem płci pięknej, nikt nie potrafił więcej wypić od niego.

Dzień w dzień wieczorami gromadziły się tłumy duchów hulaszczych u niego, noc w noc wyprawiały się orgje przy instrumentach dętych i rzniętych do brzasku, a o wschodzącej jutrzence wymykały się z jego pałacu wystrojone kobiety, nakrywając głowy kapturem, jak duchy ponocne, niemogące znieść jasnych promieni słońca...

Wilczek już w pierwszych komnatach spotykał grupy takich biesiadników, którzy królewiczowi nie mogli dotrzymać, jednych śmiejących się do rozpuku, drugich kłócących się z sobą, a innych trzymających się muru, bijących się w piersi i żałujących za grzechy.

W komnacie jadalnej tłum jeszcze był gęsty, ale już wszyscy stali na nogach około stołu. Już

świece się dopalały, drugie pogasły, napełniając komnatę swędem i dymem, już powietrze w komnacie było gęste i siwe, w którem stojące osoby szarzały tylko, jakby we mgle. Już wtedy grubego i korzennego piwa Piątkowskiego wypito jednę beczkę i drugą, już wypróżniono dzbanów wina niemało, już muzykanci tylko ochrypłemi się odzywali głosami, już w dalszych komnatach słychać było szelesty sukien jedwabnych, już każdy musiał stołu się trzymać, aby nie upadł — a królewicz w kardynalskiej purpurze stał jeszcze twardo na nogach, trzymał czarę, napełnioną winem, w podniesionej prawicy i wołał:

— *Bibamus papaliter!* Jeszcze jedna, a potem was puszczę.

Wtedy wszedł Wilczek do komnaty.

Królewicz spojrzał na niego szklanemi oczyma, ale go poznał i zaraz zawołał:

— Wilczek! Mój stary druhu, jakiż duch ciebie przynosi? Masz, wypij tę czarę na powitanie i niech ci będzie na zdrowie!

To mówiąc, podał mu swoją czarę, którą właśnie trzymał w ręku.

Inni biesiadnicy, korzystając z tej sposobności, pousuwali się — i jedni usiedli, pochyliwszy głowy nad stołem, a drudzy patrzali, kędy mogli się wynieść.

Wilczek wypił czarę duszkiem — a nie chąc czasu tracić, zaraz powiedział kardynałowi, że przychodzi od króla.

Na to królewicz stanął mocniej na nogach i oparł się ręką o wysoką poręcz swojego krzesła — a chociaż był nalany po samą szyję, widać było

po jego twarzy, że usiłuje zebrać swoją przytomność.

— Cóż mi więc przynosisz od króla? — zapytał Wilczka.

Wilczek, jak mógł najprędzej, opowiedział mu swoją sprawę, prosząc o rezolucję.

— Tak ci to pilno? — zapytał kardynał.

— *Eminentissime,* — odpowiedział mu Wilczek, zmuszając się do uśmiechu — tak mi pilno, że chciałbym tam jeszcze dziś lecieć, choćby powietrzem. Jest *periculum in mora,* sam król to powiedział.

Kardynał nad tem się zastanowił. Widać było, że niełatwo zbiera swe myśli, ale je zebrał, a potem rzekł:

— Radbym ci pomóc. Ale takich rzeczy tak *primo impetu* rezolwować nie można, bo przecież są prawa kościelne. Maszże jakie dowody na to, że Gniewosz nie żyje?

— Mam — rzecze Wilczek, a sięgnąwszy w zanadrze, podał mu dokumenty.

Ale kardynał te papiery odsunął od siebie, wszelako rzekł bardzo łaskawie:

— Więc dobrze. Więc kiedy ci tak pilno, to idźże zaraz do Konarskiego, on jeszcze nie śpi, i powiedz mu ode mnie, żeby się w tej sprawie rozpatrzył. Ale dokument ci wydam przecież dopiero jutro rano, bo, ponieważ ci tam proboszcz wstręt czyni, więc dla większej powagi muszę sam go podpisać.

Kardynał był tak głęboko przejęty swemi obowiązkami, iż mimo to, że prawie był nieprzytomnym, przecież zachował wszelką ostrożność.

Bardzo się to Wilczkowi nie podobało, ale, pokłoniwszy się, poszedł do Konarskiego.

Królewicz miał swój dwór duchowny, który za niego pracował w sprawach kościelnych.

Kanclerzem krakowskiego biskupstwa był wtedy Zygmunt Targowicki, ale był to człowiek już bardzo stary, nie mógł pracować i prosił oddawna o uwolnienie od służby. Król Tomickiego na kanclerza zawołał, ale Tomicki był wtedy w Rzymie i nie przyjeżdżał. Na czele duchownego dworu stał zatem ksiądz Jan Konarski, ten sam, który po kardynale Fryderyku pod imieniem Jana XLI został biskupem krakowskim.

Konarski miał wtenczas lat równo pięćdziesiąt, był prawie słusznego wzrostu i silnej budowy, nosił krótko ostrzyżoną siwą czuprynę i całą twarz ogoloną, był poważny bez surowości i zawsze jednostajnego humoru, niezmiernie był pracowity, ale niewiele się ruszał, bo niedomagał na nogi, dlaczego też wszystkich, siedząc, przyjmował.

Pochodził ze starożytnego wielkopolskiego rodu, herbu Abdank, miał senatorów w swym rodzie i miał sam trochę majątku, ale należał do tych kapłanów, którzy zawód swój opierają wyłącznie na pracy i rzeczywistej zasłudze. Wolny od fanatyzmu, był w rzeczach wiary nieubłaganie surowym dla siebie i drugich i był w owym czasie jednym z najpotężniejszych filarów Kościoła w Polsce. On pierwszy postawił dla wszystkich tę gruntowną naukę: „że takie bogactwo najlepsze, co go złodziej nie wyniesie, a woda nie zabierze, ani ogień nie spali". Będąc podówczas kanonikiem krakowskim i proboszczem u św. Michała, był niejako duchownym *majordomus* u kardynała, zawiadywał

wszystkiemi jego dobrami, zarządzał wszystkiemi kościelnemi sprawami jego obydwóch episkopatów i był stróżem jego sumienia. Od swawoli powstrzymać go nie mógł, bo żadna siła ludzka nie byłaby w to potrafiła, ale patrzał, aby królewicz nie zaniedbywał przeto swoich obowiązków duchownych, aby ludzie uczeni miewali poszanowanie u niego, ażeby młodzież szlachecka, co się na jego dworze chowała, nie psowała się jego zbytkami; jakoż sam kardynał tak go poważał, że, kiedy go spostrzegł wchodzącego na pokoje podczas biesiady, to roztruchany się pod stół chowały i wszyscy udawali, jakoby nic złego nie było.

Konarski Wilczka znał z dziecka, a ceniąc wedle wartości jego rycerskie zalety i rygor wojskowy, dosyć go lubił, zaczem uprzejmie go przyjął, naprzeciw siebie za stołem posadził, a rozpytawszy o wszystko, wziął się do przeczytania dokumentów i obejrzenia na dwie połowy rozłamanej obrączki.

Lecz przeczytawszy, oddał mu te pergaminy napowrót i rzekł głosem jasnym i pewnym:

— Panie bracie, nic z tego nie będzie. Pani Gniewoszowej pozwolenia do ślubu na teraz nie damy. Te pergaminy nic nie dowodzą. Ks. Pudełko miał rację, jak zawsze.

Na ten piorunujący wyrok Wilczek zbladł, jak gdyby wszystka krew mu z twarzy uciekła i na chwilę zaparł mu się głos w gardle. Zaczerpnąwszy powietrza, zaczął mu dowodzić wszystkiemi możliwemi argumentami, że niemasz najmniejszego wątpienia, jako Gniewosz nie żyje. Ale Konarski był niewzruszony i stał tak przeciw niemu, jako bazylika św. Piotra stoi niewzruszenie na swych

fundamentach i najwścieklejsza burza nigdy nią nie zachwieje.

— I ja tak rozumiem — powiadał mu ten niezachwiany sędzia w rzeczach religji — i ja tak rozumiem, że Gniewosz nie żyje. Król, który go tak kochał, że dałby wszystkich swoich rotmistrzów za niego, pewnie nie zaniedbał niczego, aby go odpytać, jeśliby był w niewoli, a i on go już także opłakał. Ale to są dowody dla ludzi świeckich. Kościół zaś, znając kruchość ludzkiego rozumu, a wiedząc, że z woli bożej bardzo często dzieją się rzeczy, których najrozumniejsi ludzie nie przewidzieli, nie poprzestaje na takich dowodach. Kościół nie może ścielić drogi ciężkiemu grzechowi bigamji i obładować się odpowiedzialnością za to, coby właśnie się stało w tym razie, gdyby dla ciebie prawo przełamał i gdyby potem Gniewosz powrócił.

Ale Wilczek już tych rozumnych wywodów wcale nie słuchał. Jemu już wtedy znowu jego niespokojna krew puściła się w obieg po żyłach i żółć mu się zaczęła przelewać.

— Więc nie? — zapytał, patrząc gniewnie na Konarskiego.

— Nie — odpowiedział mu stanowczo Konarski. — Poczekacie rok i sześć niedziel, a potem, jeżeli przez ten czas żadna wieść o Gniewoszu nie przyjdzie, potrafimy to od księcia kardynała otrzymać, że na te śluby zezwoli.

— Od kardynała! — zawołał Wilczek szyderczo, nie umiejąc już powściągnąć swego oburzenia i zrywając się z krzesła. — Od tego kardynała, co się tak spił, że ledwie mnie poznał? Od tego kardynała, co swój pałac zamienił na dom publiczny,

na dom obżarstwa, opilstwa i wszelakiej rozpusty? To są ojcowie waszego Kościoła? To są wasze powagi, które mają rozrządzać losami swych wiernych? Niechżeby raczej piorun trzasł w wasze kardynalskie pałace...

Konarski słuchał zrazu tego niepowściągliwego wybuchu tylko z głębokiem oburzeniem, a z jowiszowym wyrazem na twarzy. Ale w tej chwili zerwał się raźnie i, stojąc, odpowiedział mu głosem wielkim od gniewu w ten sens:

— Waść jesteś głupi, jak stołowa noga, jeżeli rozumiesz, że Kościół boży ma takie kruche podstawy, jak ułomna natura ludzka z ciała i krwi! Ty błazen jesteś, jeżeli myślisz, że on się opiera na takich biskupach, co ze względu na związki rodzinne otrzymali swe pastorały! Albo na takich książętach, co w swojej królewskiej kolebce prymasostwa znaleźli! Albo i na takich papieżach, którym, na przestrogę dla innych, nie była dana od Boga moc poskromienia gorącej krwi swojej! Właśnie na tych wyjątkowych wypadkach, że bywali i zawsze będą tacy książęta Kościoła, co, uwiedzeni zbytkiem doczesnych dostatków, puścili wodze swoim ludzkim namiętnościom, a mimo to, nie przynieśli uszczerbku naszej świętej wierze, owszem, nawet nie przeszkodzili jej ustawicznemu wzrostowi, — właśnie w tem każdy rozumny człowiek, choćby nawet poganin, powinien widzieć niezbity dowód, na jak niewzruszonej opoce Kościół nasz stoi! A opoką tą nie jest ciało i krew ludzka, u każdego człowieka ułomnościom podległe, ani są ludzkie rozumy, zawsze skłonne do błędów, a bardzo chwiejne w swoich postanowieniach, tylko jest nią słowo boże, które jest wieczne! A fundamen-

tem ludzkim, na którym opiera się Kościół i żyje bez przerwy i wciąż się dalej rozwija, nie są ci książęta Kościoła, albo też obłąkani kapłani, co, jak pasorzyty się uczepili Chrystusowego drzewa i ciągną zeń soki dla siebie; ale te tysiące i drugie tysiące ubogich sług bożych, co w wytartych chodzą sutannach, albo też gruby habit przywdziali, co się ciała wyrzekli, a Bogu poślubili swe dusze, co z zaparciem się siebie, a przepełnieni miłością ludzi, w pocie swojego czoła, o głodzie i chłodzie, w dzień i w nocy, bez przestanku i bez odetchnienia pracują nad tem, ażeby ludzie wzajemną dla siebie miłością a uczynkami swemi mnożyli chwałę bożą na ziemi i sobie ścielili drogę do wiecznego zbawienia! Opoki nie wzruszysz, bo ona jest Słowem, a Słowa ludzkiemi rękami nie dotkniesz! Tych zaś tysiąców i drugich tysiąców także nie pokruszysz, bo jest ich na ludzkie ręce za wiele. Jeżeli zaś którego zabijesz, to z krwi jednego wyrastają nowe tysiące, bo *sanguis martyrum est semen Christianorum!* Musiałeś ty umysł twój dziwnie obłąkać — zakończył łagodniej Konarski — albo też djabła masz w sobie, jeżeliś się nie udławił temi bluźnierstwy, które dopiero co wyleciały z twej krtani. Idź i pomódl się Bogu, ażeby twój łeb zagorzały oświecił!

Mówiąc te słowa Konarski, wyglądał wspaniale i imponująco, jak każdy człowiek, co w dopełnieniu swych obowiązków mówi z głębi swoich przekonań, i jak właśnie wtenczas mówili ci, co się czuli reprezentantami i obrońcami katolickiego Kościoła.

Wszelako wymowne te słowa, obiły się o Wilczka, jak o skałę. Słuchał ich, stojąc, kręcąc się w miejscu i posuwając się zwolna ku drzwiom

komnaty. Zaś kiedy Konarski skończył, zawołał niepowściągliwie ku niemu:

— Co mi tam wasze wywody! Stara to pieśń, a przecie jej nuta fałszywa. Kiedy czas na was przyjdzie, to was nie mieczem wojować będą, lecz także słowem, jakoście na tych widzieli, coście ich popalili na stosach. Ale, co mnie tam na tem! Nie o wasz Kościół mi idzie, tylko o mnie samego. Ja chcę żyć uczciwie, a wy się murem kładziecie przede mną. Jeżeli mi pozwolenia do ślubu nie dacie, to wiedzcież o tem, że ja przeto jej nie opuszczę, a będę z nią żył w konkubinacie.

Konarski mu na to odpowiedział spokojnie:

— Ja radzę cierpliwość i wstrzemięźliwość. Ale rób, co chcesz. Konkubinat jest wielkiem zgorszeniem; robimy też, co możemy, aby mu ułatwiać poddanie się pod prawa Kościoła. Ale bigamji za żadną cenę dopuścić nie możemy, niechaj się dzieje, co chce! Bo małżeństwo jest sakramentem, na którym stoi rodzina, a na rodzinie opiera się chrześcijańska społeczność. Idź i pomódl się Bogu...

Jednak Wilczek dalej już słuchać nie chciał. Zawołał jeszcze:

— Jam chciał jak najlepiej. Wyście nie chcieli, wy za to odpowiecie przed Bogiem.

— Odpowiemy! — zawołał stanowczym głosem Konarski.

Tymczasem Wilczek rzucił się do drzwi i zniknął z komnaty.

W drodze do zamku okrutnie mu ciężko było na sercu. Chciał jak najlepiej, ale czekać nie chciał. Według swego uczucia nawet czekać nie mógł, bo przecie zupełnej pewności nie było, że Gniewosz nie wróci — a tak jego najlepsze chęci musiały się

rozbić o przepisy Kościoła. Rozmyślał nad tem, czy jeszcze jakiego ratunku nie znajdzie, ale go nie znalazł. Konarski odmówił, więc i kardynał odmówi, z królem już mówił, a król go odesłał do kardynała. Na nich dla niego kończył się świat.

Wilczek przespał się na zamku — a nazajutrz przed świtem puścił się nazad na Czorsztyn.

Tego dnia nowa się puściła śnieżnica. Wilczek musiał się przekopywać przez zaspy od wsi do wsi, idąc więcej piechotą, niż jadąc na koniu, i dopiero szóstego dnia rano dokopał się do zamku Gniewosza.

Jagienka spędziła te kilkanaście dni w śmiertelnej tęsknocie i w śmiertelnej obawie.

Dzień jeszcze jakokolwiek jej mijał na wyglądaniu przez okno, na rozmowie ze swemi pannami i na rozmaitych rojeniach. Ale, kiedy noc przyszła, niewysłowione zaczynały się męki. Do północy zasnąć ani sposobu, potem sen jej kleił powieki, ale wzburzony umysł snu nie dopuszczał; kiedy zaś nad ranem usnęła, przywidywały jej się takie straszliwe mary, że się co chwila ze snu zrywała...

Raz zdało jej się, że Gniewoszowa stoi nad jej łóżkiem z trupią twarzą, a otwartemi oczyma, białą kościstą ręką jej grozi i ciężkie jej robi wyrzuty, że zamek ten, który po wszystkie wieki był niepokalanym przybytkiem zacności i cnoty, oddała na bożnicę bezcześci i obyczajów pogańskich. Jagienka broniła się we śnie przed tym straszliwym upiorem, wznosiła ręce przed siebie, uderzała całem swem ciałem o łóżko, chciała uciekać — a nie mogła się zbudzić...

Innym razem zdawało jej się, że jest gdzieś na

nieskończonej pustyni, zaścielonej gruzem i popiołami, a zarośniętej głogami i cierniem. Jest sama jedna w koszuli, bosa i z rozpuszczonemi włosami. Zdala jakiś rycerz się zjawia w bronzowej zbroi, na karym koniu — to Gniewosz. Uderza na nią i goni, ona przed nim ucieka, kaleczy sobie nogi o ostre kamienie, koszula się na niej rozdziera o ciernie, ona wciąż pędzi, już jest prawie naga, już całe jej ciało jest zakrwawione, już jej oddechu nie staje: czuje nareszcie, że śni, ale oczu otworzyć nie może...

W innych chwilach miała sen spokojniejszy. Lecz wtedy nieznośny ból ściskał jej serce i krajał je, jak gdyby ostrem żelazem. Zdawało jej się, że Wilczek już nie powróci. I widziała go wtedy, jak stał w własnej osobie na zamku w Krakowie, ręce założył przed sobą, patrzał na nią szyderczemi oczyma i śmiał się. Brało ją takie oburzenie natenczas, że chciała go zabić, ale nie mogła. Poczem ją lęk zdejmował i uciekała od niego — i ukryła się w jakiejś jaskini, zarośniętej gęstemi krzewami, i w tej jaskini wydała na świat dzieciątko, i musiała się kryć przed ludźmi, i była szyderstwem i pośmiewiskiem całego świata...

Były to wszystko wytwory rozgrzanej imaginacji, nieokiełzanej oświeconym rozumem, a podniecanej przesądami owego wieku. Ale być może, że niezwyczajność i nieregularność jej położenia jeszcze daleko więcej się przyczyniała do takich nieposkromionych rzutów jej wyobraźni. Albowiem rzeczywistość także w sposób nieposkromiony rzucała jej losem. Poszedłszy zamąż, została panną, owdowiawszy, została kobietą, a może jeszcze czemś więcej, a nie była zamężną; dziś już

napozór wszystko się ułożyło po temu, ażeby była żoną i matką, jak inne, — a tu całkiem niespodziewane stanęły temu na drodze przeszkody. Nadto zaś wszystko jeszcze i Wilczek pojechał i tak długo nie wraca.

W samą niedzielę, na dwa dni przed wilją Bożego Narodzenia, wrócił nareszcie.

Jagienka mu się rzuciła na szyję i długo na jego piersiach płakała. Smutne miała przeczucia, ale radość je zwyciężyła: przynajmniej jest przy niej; jeżeli ma zginąć, to razem z nim zginie.

Jednak, kiedy po tym długim uścisku w twarz mu spojrzała, zbladła, jak ściana, bo wtedy już wyraźnie z niej wyczytała, że Wilczek z niczem powrócił.

Był on także blady, zwiądł, jak powismo, i widać było po nim, że sam nie wie, od czego ma zacząć.

Ale wtedy Jagienka się ożywiła. Na jej twarzy zajaśniała determinacja, stanowczość i zadziwiająca energja — a mówiła, nie, jak nieszczęśliwa, uwiedziona dziewczyna, ale, jak matka.

— Odmówili ci? — spytała go głosem jasnym i czystym.

— Odmówili na teraz.

— Boją się, że Gniewosz powróci?

— Nietyle tego się boją, bo wszyscy wiedzą, że zginął, ale mają tam jakieś kanony.

— Więc dobrze — powiedziała Jagienka — oni mają kanony, a my obowiązki. Słysz, Lenard! A słuchaj dobrze, abyś zrozumiał. Ja ani jednej doby nie zostanę w tem położeniu. Albo jadę zaraz z tobą na Tustań, choćbym miała brnąć pieszo

przez śniegi, albo zaraz ślub ze sobą weźmiemy. A czy jedno, czy drugie — dziś, zaraz.

Na to Wilczek, doświadczywszy już tyle zawodów, spojrzał na nią boleśnemi oczyma i rzekł:

— Zażądaj życia mego ode mnie i bierz je! Ale nie żądaj cudu, albo też zbrodni. Z tych śniegów tylko ptak dzisiaj może wylecieć — a ja ci księdza nie stworzę, ani mu głowy nie utnę. Czekajmy. Jak tylko drogi się trochę przetrą, ja najprzód przed tobą wyjadę i kędyś znajdę jakiegoś księdza, co nam ślub da, jak trzeba. Wyjeżdżać razem, cóżby świat na to powiedział? A księdza także nie wydobyć z pod ziemi, kiedy go niema.

A na to mu powiedziała Jagienka:

— Może jest, ano go nie widzimy. Był u mnie wczoraj Kostruban, człek zmyślny, a rozumniejszy ode mnie i od ciebie, i tak mi powiedział: „Pan starosta niepotrzebnie się porwał do miecza na tutejszego proboszcza, bo ludzie za to sarkają na niego. Niepotrzebnie też do Krakowa pojechał, bo to tam wszystko kurki czubate, prędzejby kazali jejmości do sądnego dnia czekać na nieboszczyka pana Gniewosza, niżeliby mieli na ten ślub zezwolić. A tu jest przecie ksiądz Biały, ten pewnie tej posługi nie odmówi. Jeśliby zaś chciał się namyślać, to niech pan starosta weźmie w jednę rękę miecz, a w drugą worek czerwonych złotych i każe mu wybrać. Jak znam księdza Warę, tak myślę, że worek wybierze".

Na tę wiadomość Wilczek uderzył się w czoło i zawołał:

— Człek zawsze głupi! Ani mi to na myśl nie przyszło...

Jagience się twarz rozpromieniła z radości, tymczasem Wilczek się trochę namyślił i rzekł:

— Ba, dobrze. Ale ks. Pudełko kościół zatrzaśnie przed nami.

A na to Jagienka:

— Na Podzamczu pod lasem jest słuszna kaplica, odprawiają się w niej msze po kilka razy do roku, jest tam ołtarz, są ornaty, są świece, jest wszystko.

Więc Wilczek już prawie nie mógł się posiąść z radości, objął Jagienkę w swoje ramiona, rozpłakali się oboje uśmiechnionemi twarzami, poczem Wilczek rzekł: — Ubierajże się zaraz do ślubu! — i wybiegł do swojej gospody.

W gospodzie żołnierze siedzieli już przy rannym obiedzie, a Wara między nimi rej wodził. Wilczek kazał go zaraz zawołać do swojej izby.

— Słysz, Wara! Ty przecież jesteś księdzem, jak trzeba.

— A jakżeż, panie starosto! — zawołał Wara — Przecież Kmitowie mnie znają od wieków i wiedzą, ile mszy świętych odprawiałem za nich u grobu Chrystusa Pana, nimem dla Kmity rozgrzeszenie otrzymał. Kmita mi nawet dawał probostwo na Lesku, jeno, że to chuda fara...

— Więc dobrze. Gotujże się wlot, dasz mi ślub z panią Jagienką.

Na ten całe niespodziewany rozkaz Wara jakoś, jakby zdechł pies. Otworzył gębę, patrzał na Wilczka, zaczął się jąkać, ale nic nie wyjąkał.

— Więc cóż? — zagrzmiał Wilczek ku niemu. — Coś ci się to nie podoba? Chyba, że księdzem nie jesteś, tylko jakimś oszustem a drabem, co księdza udaje.

— Chowajże Boże! — zawołał Wara, obawiając się, ażeby go za jednym rzutem nie wyrzucono z jego przybranej roli. — Chowajże Boże! Tylko, że ludzie rzadko mnie proszą do dania ślubu, bo to zawsze proboszcz miejscowy...

— W Czorsztynie niemasz miejscowego proboszcza — rzekł Wilczek — jeno w Krościenku, a ten się na mnie pogniewał, jak wiesz. Więc ty mi dasz ślub.

Wara się jeszcze namyślał, chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. Wilczek mu przerwał, mówiąc:

— Nie rozmyślaj o rzeczach, które ciebie nie tyczą. *Urgente necessitate* każdemu chrzcić wolno, toż i innych sakramentów udzielać. Będzie worek złotych węgierskich i probostwo w dobrach pani Jagienki na wybór. Śpiesz się więc, idź do kaplicy i czekaj nas, my tam zaraz przyjdziemy.

Wara, choć jeszcze zamyślony, ale już z uśmiechem na twarzy, wyszedł do sieni, aby iść do kaplicy.

I to jeszcze nie było łatwo, bo i do kaplicy nie można było się dostać przez śniegi. Wilczek posłał swoich żołnierzy, ażeby drogę rozmietli. Żołnierze, przywiązani do niego, a radzi, że się im już kończy nareszcie to czorsztyńskie więzienie, przekopali drogę w godzinę.

Jagienka przyszła pieszo ze swemi pannami.

Orszak weselny był jeszcze dość okazały. Że to była niedziela, więc i z zamku i z Podzamcza nagromadziło się rozmaitego ludu niemało — a tak i świadków nie brakło.

Wara w komży i stule oczekiwał młodą parę u ołtarza, dziadek, pilnujący kapliczki, mu służył.

Zaczem dał im ślub po wszelkiej formie, zamienił pierścionki i pobłogosławił.

Nie było nikogo, coby się na tem znał, więc nie można było wiedzieć, czy przy tym obrzędzie się w czem nie pomylił; natomiast wszakże, kiedy po dopełnieniu obrzędu ze stopni ołtarza jął prawić kazanie, jednogłośnie uznano, że takich predykantów nie codzień się słyszy nawet i w Krakowie, które to miasto w całem chrześcijaństwie jest sławne ze swych kaznodziei.

W tem kazaniu wprawdzie mniej mówił o obowiązkach małżeńskich, a natomiast zajechał do Rzymu i do Ziemi Świętej, na czas nawet wstąpił do nieba i opowiadał, jak wyglądają święci Pańscy, z którymi z woli Bożej dobrą ma komitywę, ale to właśnie tak wzruszające sprawiło na słuchaczach wrażenie, że wszyscy płakali.

Stary szafarz zamkowy, człowiek nieufny, a znany powszechnie ze swego gderania, zauważył wprawdzie, że jakiś to dziwny ksiądz musi być z niego, kiedy ślub daje w sam adwent, co jest przeciwko wierze, a nawet i niepotrzebne, bo przecie niedaleko Trzech Króli. Ale inni powiedzieli mu na to, że taki ksiądz, co zna samego papieża, a nawet i świętych widuje, wie przecie dobrze, co robi, ludziom zaś świeckim nie wolno jest dyskutować o wierze. A tak i ta gderliwa opozycja umilkła — i wszystko odbyło się bardzo pięknie ku powszechnemu zadowoleniu.

Jagienka i Wilczek odetchnęli przecież swobodnie.

Już teraz nie pozostało im nic, jak gotować się do wyjazdu. Ale o tem jeszcze nie można było ani

pomyśleć dla śniegów. Po wszystkich wąwozach i przesmykach pomiędzy górami takie ogromne zaspy leżały, że ani pieszo nie można ich było przebrodzić — a tymczasem co drugi lub trzeci dzień nowe zrywały się burze ze śniegiem i leżące już zaspy jeszcze wyżej spiętrzały. Żadna siła ludzka nie była w stanie walczyć zwycięsko z tą dziką i nielitościwą naturą, przeciwko której człowiek, jako jedyną broń ma tylko cierpliwość.

Małżonkowie zatem musieli czekać. A to czekanie, jak każda niewola, nie tylko, że im się niesłychanie przykrzyło, ale jeszcze i dlatego stało się dla nich nieznośnem, że Wilczek nie mógł widywać swej żony wieczorem.

Jużci wziął ślub po wszelkiej formie, miał wszelkie prawa, lecz mimo to liczył się z Wolskim. Wolski powiedział, że go o zmroku nie wpuści do zamku; nieużyty ten człowiek nie był nawet na ślubie, kto wie, co on tam rozumie o księdzu Warze, gotów jeszcze jaki gwałt zrobić i wywołać procesy z duchownemi sądami; kto przeszedł już tyle przeciwieństw i nareszcie je zwalczył, ten nie mógł się narażać na nowe zgryzoty. Wilczek niejednokrotnie się niecierpliwił, mówiąc, że Czorsztyn to stacja królewska, a on jest rotmistrzem królewskim, — jak zechce, to w zamku zamieszka, a biada temu namiestnikowi, coby śmiał mu się sprzeciwić. Ale Jagienka zawsze go ugłaskała, odpowiadając, że tej małej ofiary wymaga po jego miłości, że śniegi przecie wieki leżeć nie będą, a jak tylko drogi się przetrą, zaraz wyjadą.

Miłość przeszkód nie lubi, im więcej zapór spotyka, tem więcej się wzmaga i, choć pozornie przycicha, tem gorętszemi w głębi serca się żarzy

ogniami. Miłość Jagienki i Wilczka nie potrzebowała takiej podniety, ale to ograniczenie, ta niewola widywania się tylko w dzień biały, a spędzania wieczorów samotnie i w odosobnieniu, jeszcze ją bardziej rozpłomieniła i otoczyła tym niewysłowionym urokiem, jaki tworzy tęsknota. Szczęście ich nie było jeszcze zupełnem, pragnęli gorąco, aby się mogli jaknajprędzej z tej niewoli wydobyć.

Cały miesiąc z okładem trwała ta zima, pamiętna po wszystkie czasy swojemi nieprzebytemi śniegami. Dopiero na Pannę Gromniczną mróz ścisnął ziemię, niedźwiedź swoją budę rozwalił, nastały dnie pogodne i ciepłe — a wtedy i drogi przebito.

Toż w parę dni potem nowożeńcy ruszyli w podróż bardzo ludnym i okazałym taborem. Najprzód jechało pięciu żołnierzy Wilczkowych, ażeby drogę torować, patrzeć, azali niemasz jakiego niebezpieczeństwa i przygotowywać noclegi. Za nimi jechała Jagienka w sześciokonnej karocy, położonej na saniach, za tą karocą troje czworokonnych ogromnych sani z jej fraucymerem i bagażami. Zaś za tą kawalkatą na samym końcu jechał sam Wilczek konno na czele reszty swoich żołnierzy, nad którymi starszym był Włostek.

Wolski pożegnał swoją starościnę z wielkim respektem na czele całej zamkowej załogi, dziękując jej za łaski, jakie na niego zlewała, życząc jej szczęścia i powodzenia i zgoła, jak gdyby pomiędzy nimi nic nigdy nie było.

Wara, wziąwszy worek złotych węgierskich, o probostwo wcale się nie upomniał na teraz, zastrzegając je sobie wszakże na później, tymczasem zaś wziął sobie tylko dobrego konia ze stajni

zamkowej i razem z nowożeńcami wyjechał, ale gdzieś został po drodze; żołnierze opowiadali sobie, że go w Starym Sączu zaproszono na chrzciny.

Długi a ciężki ten konwój wlókł się bardzo pomału, po dwie mile na dzień, po cztery najwięcej. Jagienka, dla dróg sposobniejszych, musiała często kołować. Uważano także za rzecz rozsądną ominąć zamek sobieński. Zaczem musiano góry chwaniowskie objeżdżać na Przemyśl i Sambor i stamtąd dopiero spuszczać się ku Drohobyczy.

Wilczek czasem brał krótszą drogę, czasem zaś odskakiwał, nawiedzając przyjaciół, opowiadając wszędzie, jako się z wdową po Gniewoszu ożenił i wiezie ją na Tustań. Gdzie niegdzie z nią nawet na zamki zajeżdżał i nocował, jako w Przemyślu u Koniecpolskich i w Samborze u Melsztyńskich, tamtejszych starostów. Wszyscy jego przyjaciele witali go kosmato i szczerze mu szczęścia życzyli. Ci, którzy znali Jagienkę dawniej na zamku sobieńskim, znajdowali, że wypiękniała nad podziw, stała się nawet wspaniałą, zaczem winszowali mu, mówiąc, że, chociaż kawalerowi jego rodu i tak wysokiego znaczenia zacna dziewka się należała, przecież musiał się w czepku urodzić, dostawszy damę tak gładką, Kmitównę z domu, a jeszcze do tego dziedziczkę trzech kluczów. Wilczek rósł, jak na drożdżach, i nie posiadał się w szczęściu.

Wyprawiwszy Jagienkę z Sambora raniutko, ażeby mogła wygodnie do Drohobyczy na noc zajechać, sam jeszcze zabawił się z Melsztyńskimi i dopiero o południu wyjechał. Jadąc stępą, był wesół i miał serce rozradowane, jak nigdy, albo-

wiem, rozważywszy wszystkie okoliczności, co dla tej swojej miłości przecierpiał, jak wszystko było przeciwko niemu i z jak zupełnem zwycięstwem wydobył się z tych przeciwności, przyszedł do przekonania, że teraz już skończyły się wszystkie jego zgryzoty. Jagienki mu teraz już żadna moc ludzka nie wydrze, tustańskiego zamku z pod niego nikt nie dobędzie — a gdyby nawet i Gniewosz, przeciwko wszelkiemu podobieństwu, kiedyś po latach się zjawił, to niemasz najmniejszego wątpienia, że ani mu na myśl nie przyjdzie odbierać mu żonę, owszem rad będzie, że się jej pozbył. Tak więc jego życia widokręg, według jego uczucia i przekonania, jak najzupełniej się wypogodził, słońce na nim w pełnym blasku świeciło i nie powinno było się zaćmić najmniejszą chmurką aż do zachodu.

Ale widokręg rzeczywistości niezawsze jest w zgodzie z widokręgiem naszego umysłu.

Kiedy Wilczek śród takiej jasnej pogody w swej duszy dojeżdżał do Drohobyczy, słońce już zaszło, niebo było okryte ciężkiemi chmurami barwy żelaznej, duszno, było w powietrzu, ziemia okryta topniejącemi śniegami błyszczała tem światłem szarawo-białem, w którem wszystkie przedmioty wyglądają, jak widma, i które też duszę smutno nastraja, bo ustawicznie ciemnieje, ustępując miejsca nocy czarnej i głuchej, w której tylko duchom żyć, ale nie ludziom.

Wilczek właśnie ścisnął kolanami swojego konia, ażeby kroku przyśpieszył, kiedy wtem usłyszał za sobą głos Kostrubana, który coś pokazywał jego żołnierzom. Wilczek zatrzymał konia, a wte-

dy po prawej stronie drogi dziwny widok go w oczy uderzył.

Pod częstokołem, który w lesie jakąś pasiekę ogradzał, a teraz był w znacznej części porozrywany, na białym śniegu leżała wyciągnięta na plecach kobieta, wyglądająca, jakby umarła. Twarz miała żółtawo-białą, jak z wosku, usta zsiniałe, oczy zamknięte, a jasne jej włosy leżały porozwiewane około jej głowy po śniegu. Jakkolwiek ciało jej było wypłowiałemi łachmanami nakryte, widać było po jej nadzwyczaj pięknej twarzy i delikatnej cerze, że dawniej nie była żebraczką i musiała być córką zamożniejszych rodziców. Leżąc nieruchomie, lewą rękę trzymała przy swojem ciele, a prawą wyciągniętą i odrzuconą daleko: zdawało się, jak gdyby przed śmiercią chciała się tą ręką częstokołu uchwycić, ale w tej chwili siły ją opuściły i padła. Pomiędzy tem wyciągniętem ramieniem a ciałem stało na nogach dziecko, mające może półtora roku, albo cokolwiek więcej, o ile się zdawało, chłopaczek, dobrze żywiony, starannie wełnianemi łachmanami okryty, w dostatnich skórzanych trzewikach, o bardzo pięknej okrągłej twarzyczce z niebieskiemi oczyma i bogatych ciemno-blond włosach, porozrzucanych w nieładzie. Na częstokole siedziało kilkudziesięciu kruków i jeszcze inne do nich się zlatywały, krocząc na żer. Trzy albo cztery z tych kruków już spadły na ziemię blisko ciała kobiety i skakały na miejscu, krocząc ku sobie i wyciągając dzióby, jakby się naradzało pomiędzy sobą, który z nich pierwszy ma rozpocząć biesiadę. Na starem zmurszałem drzewie, o kilkanaście kroków odległem, żbik siedział

i patrzał swojemi zielonemi oczyma, kiedyby mógł zeskoczyć na ziemię, żarłocznych ptaków rozpędzić i sam pożreć ofiarę.

Dziecko patrzało na te kruki szeroko otwartemi oczyma, pełnemi łez, które jednak nie chciały mu z oczu wypłynąć, bo zapewne ból nieświadomy i strach zatrzymywał mu je w powiekach... Ta młoda i piękna kobieta, która ze znużenia i głodu umarła, i to dziecko, którego niewinna duszyczka przeczuwała zapewne, że będzie świadkiem, jako żarłoczni krucy będą jego matkę pożerać, przedstawiały widok wzruszający serce do głębi i dziwnie przerażający.

Kiedy Wilczek ten obraz obaczył, zrazu tylko się mocno zadziwił; ale, kiedy się wpatrzył w twarz umarłej kobiety, wszystka krew się w nim ścięła i stał tak nieruchomy przez chwilę, jak gdyby go jakaś wyższa potęga wraz z koniem zamieniła w posąg kamienny.

Tymczasem, kiedy Kostruban się śmiał swojemi rybiemi oczyma i pokazywał żołnierzom to widowisko, Włostek pierwszy zawołał takim głosem, że wszystkim poszedł jak gdyby zgrzyt po wnętrznościach:

— Dla Boga! To Ofka!

Na te straszliwe słowa Wilczek się zbudził, zatrząsł się, jak gdyby go sam szatan za duszę zatargał i zawołał ku swoim żołnierzom:

— Hej! Zbierzcie tę kobietę i zawieźcie wraz z dzieckiem do wsi — a nie żałujcie pieniędzy na pogrzeb i na opatrzenie dla dziecka.

I dawszy koniowi ostrogę, popędził cwałem ku Drohobyczy.

Waleczny Wilczek nigdy nie uciekał przed

wrogiem. Zawsze każdemu nieprzyjacielowi stawił czoło z nieprzepartem zuchwalstwem i raczejby się dał w kawałki posiekać, niżeliby mu na jeden krok gruntu ustąpił. Ale teraz parł ostrogami swojego konia, co mu tchu stało — a chociaż pędził, jak opętany, że śnieg się rozbryzgiwał pod kopytami na wszystkie strony, zimny dreszcz mu przebiegał przez cały krzyż pacierzowy: zdało mu się, że Ofka pędzi za nim powietrzem i dziecko mu wtyka pomiędzy ramiona, a stado kruków leci nad nimi, krocząc mu w uszy najohydniejsze bluźnierstwa.

Włostek był pierwszy, co Ofkę poznał i pierwszy zeskoczył z konia, aby ją ratować. Przypadłszy do niej, porwał ją w swoje żylaste ramiona, przykląkł na ziemi, oparł na swoich kolanach i zaczął ją trzeźwić. Ofka jeszcze była ciepła.

Włostkowi serce uderzyło gwałtownie, — zawołał na żołnierzy, aby mu podali gorzałki. Porwawszy prędko manierkę, nalał jej w zaciśnięte usta gorzałki i zaczął jej skronie nacierać. Ofka odetchnęła i oczy otworzyła pomału. Na widok jej oczu otwartych poczciwy Włostek głośnym płaczem wybuchnął. Poczem zaczął jej twarz okrywać pocałunkami, oblewając gorącemi łzami jej blade policzki.

Wszyscy żołnierze mieli łzy w oczach i raźnie mu pomagali. Okryli Ofkę ciepłemi burkami, nacierali jej ręce i dali jej wina, aby się pokrzepiła. Napiwszy się wina i ogrzawszy się, spowita po samą szyję burkami i wojłokami, zaczęła oddychać i patrzeć szeroko otwartemi oczyma, co się z nią dzieje.

Wkrótce potem, wpatrzywszy się silnie w twarz Włostka, powiedziała te słowa:

— Niech ci Bóg nagrodzi... a jemu niech Bóg nie pamięta.

A potem spytała:

— I on był tutaj?

— Był! — zawołał Włostek przez łzy. — Był ten zbój. Ukradł żonę takiemu drugiemu zbójowi, jak sam, i wiezie ją sobie na Tustań.

Ofka myślała przez chwilę, a potem rzekła, jakby do siebie:

— Nie o mnie mi chodziło, tylko o dziecko.

Poczem zaraz się wyswobodziła z powicia. wzięła dziecko do siebie i okryła je wojłokami. Włostek, trzymając ją wciąż na kolanach, rzekł do niej:

— Nie bójże się już teraz! Już ja ci nie dam zginąć, choćbym miał służbę porzucić i niechby ojciec mnie przeklął.

Potem znowu dano jej wina i kawałek kołacza, a kiedy już cakiem przyszła do siebie, Włostek ją wypytywał, jakim sposobem się tutaj znalazła na drodze.

Bardzo to zwykła była historja, chociaż bardzo boleśna. Ofka kryła się przez półtora roku u starej Maruchy, która ją chowała u siebie, jak własną córkę. Pod jesień Maruszyn mąż umarł i wypowiedziano jej zagrodę. Marucha, mając dosyć pieniędzy, niebardzo się tem zafrasowała i zaczęła się zbierać pomału, aby się przenieść do Wiszni. Ale tymczasem włóczący się około Lwowa żołnierze, co z wojny wrócili, napadli na zagrodę Maruchy i ją zabili, a chatę złupili. Ofka przez zmiłowanie boże nad niewinnem dzieciątkiem ocalała w ko-

morze i przez jakiś czas jeszcze żyła w zagrodzie z resztek niezłupionych dobytków Maruchy. Ale niedawno nielitościwy włodarz klasztoru wypędził ją z zagrody. Szła o żebranym chlebie, ażeby się dostać do miasteczka Tustania i tam już zginąć, ale przynajmniej dziecko oddać pod opiekę starosty. Tak doszła aż do tej wsi nieszczęsnej, którą stąd widać, ale tam niepoczciwi ludzie nie dali jej chleba i psami wyszczuli. Myślała, że jeszcze dojdzie do Drohobyczy, ale tutaj opuściły ją siły — a dalej już nie wie, co się z nią stało.

Włostek, wysłuchawszy tej smutnej powieści, płacząc ciągle szczeremi łzami, kiedy skończyła, rzekł do niej:

— Już ja cię do tej djabelskiej wsi nie powiozę, a chyba ją spalę. Ale cię zawiozę do Drohobyczy i tam opatrzę — a potem już nie zapomnę o tobie.

Zaczem otulił ją w burkę i posadził na koń przed siebie; drugi żołnierz zawinął dziecko i pomieścił je u siebie na łęku, — i tak ciemną nocą pojechali do Drohobyczy.

A odtąd, dzięki zacności Włostka, nie było już obawy, ażeby Ofka z głodu umarła.

Wrażliwy Wilczek, przyjechawszy do Drohobyczy, tak był przerażony widokiem umarłej Ofki i swego dziecka pomiędzy krukami a trupem matki, że zaproponował Jagience, aby tutaj nie nocowali, tylko jechali zaraz na Tustań, choćby na całą noc. Drogi były utarte, konie wypoczęte i nakarmione, lepiej nocą nadłożyć, a w domu wypocząć, niżeli nocować w brudnej gospodzie. Jagienka nie pragnęła niczego goręcej, jak spocząć nareszcie we własnym zamku, więc propozycję tę radośnem

sercem przyjęła. Zaczem wyjechali w nocy — i nad ranem stanęli w Tustaniu.

Jagienka tak była uradowana przybyciem na miejsce, że już tego dnia cale spać się nie kładła, pragnąc jak najprędzej rozgospodarować się u siebie. Rozejrzawszy się po wszystkich murach i skrzydłach, znalazła, że zamek czorsztyński ani się równać może z tustańskim. Bo — najprzód — czorsztyński, chociaż cokolwiek większy, przecież nie jest taki skalisty i tak silnie obronny, a potem tamto napoły kordegarda żołnierska, napoły klasztor. W tych zakopconych wiekami murzyskach, pomiędzy temi drewnianemi sprzętami, które jeszcze od czasów Łokietka tam stoją, najweselsze serce musi wpaść w melancholję; podczas gdy tutaj całe drugie piętro nabite jest złoconemi sprzętami a makatami, które trzeba tylko z prochu odmuchać, aby się roześmiały weselem, a dość wyjrzeć przez okno, ażeby się oko i dusza rozradowały promienistym widokiem krajów, miodem a mlekiem płynących i uszczęśliwionych wszelakiemi darami bożemi. Jeżeliby Jagienka ze swoim najukochańszym Wilczkiem była i w najuboższej chacie szczęliwą, to tutaj, w tej wspaniałej rycerskiej siedzibie, była jeszcze stokroć szczęśliwszą i czuła, że, aby przeżyła całe swe życie, jak w raju, nic jej brakować nie będzie.

I odtąd zaczęli żyć tem niezmąconem szczęściem, co każdą chwilą się cieszy, a o jutrze nie myśli, bo jutra jest pewnem.

Wszelako na tem pogodnem niebie zjawiła się niebawem mała chmureczka, bo gdzież jej niema? Wilczek, pragnąc do szczęścia Jagienki przyczynić także trochę rozrywki, a jak najwięcej świetno-

ści, chciałby był dwór wielki prowadzić, na co miał teraz aż nadto majątku, bywać z wielką paradą po wszystkich sąsiedztwach i przyjmować u siebie po pańsku. Myślał o tem, ale sam nie wiedział, jakby się wziąć do tego, bo jakiś głuchy wewnętrzny głos mu mówił, że możeby wypadało się nad tem namyśleć. Tymczasem, nim się jeszcze namyślił, zajechał do niego Paniowski, starosta stryjski, jego serdeczny przyjaciel. Wilczek, ugościwszy go po staremu, zwierzył mu się z tą myślą. Paniowski był zrazu tem zakłopotany cokolwiek, ale potem wywnętrzył mu się z szczerego serca i rzekł:

— Słysz, Wilczek! Wiesz, żem ci jest przyjacielem, co gotów ci nawet krwią swoją usłużyć; zaczem przyjmij ode mnie tę radę, żebyś się z tem nie śpieszył, bo to tam ludzie teraz jeszcze różnie o tem gadają.

— Cóż mówią? — zapytał Wilczek, chmurząc się trochę.

— Ot, głupstwa, jak zwykle. Powiadają, żeś był u biskupa w Krakowie, aby ci dał dyspensę, czy indult, czy jak to tam nazywają, — ale że ci odmówił, a tyś się przecie ożenił. Więc mówią, co to tam za ksiądz być musiał, co mu dał ślub przeciw prawu i przeciw zakazowi biskupa? A jeszcze do tego w sam adwent; cóż to go tak nagliło, zwłaszcza, że niedaleko mu było do Trzech Króli? Takie to rzeczy tam sobie plotą. Więc ja tak mówię, że lepiej może mało nie wiele zaczekać, aż się to utrze, bo żeby tam prawowierne matrony nie kręciły nosem na twoją żonę.

Wilczek się na to zaraz okrutnie zgniewał i rzekł szyderczo:

— Może też jeszcze kto gada, że Gniewosz nie zginął!

— To nie, — rzecze Paniowski — bośmy przecie wszyscy tam byli i wiemy, że zginął. Ale tak... wedle tego tam ślubu, co przeciw prawu. Jakoż, jakem tobie przyjaciel, tak tobie mówię: dajże im wyczekać ich rok i sześć niedziel, a potem już nikt o tem nie piśnie.

— Jeśli tak — zawołał Wilczek — to poczekają sobie przez całe życie. Ani Wilczkowie, ani Kmitowie nie potrzebują nikogo, aby żyć sobie szczęśliwie i coś znaczyć w królestwie. Zaczem tak sobie mówię i możesz im to powiedzieć, niechże się te baby mojej żonie nie pokazują, bo i po roku i po trzech latach drzwi przed niemi zatrzaśnie.

Po wyjeździe Paniowskiego Wilczek się trochę smucił, ale niebawem gniew smutek zadusił, bo powiedział sobie: Niechże ich jasny piorun powybija do nogi! Ani ja nigdzie nie pojadę, ani nikogo u siebie nie przyjmę; obaczę wprędce, że się bez nich obejdę.

Wszelako, kiedy w parę dni potem, kiedy jeszcze śniegi leżały, pani Pretficzowa ze Sokołowa przyjechała na zamek, serce mu uderzyło z radości i sam wybiegł w dziedziniec, aby ją wysadzić z powozu.

Jagienka i Wilczek przyjęli tę zacną matronę nadzwyczajnie serdecznie. Zdało się im, że przez nią serce wszystkich sąsiadów się dla nich otwarło. Pretficzowa ich sobie jeszcze tem bardziej ujęła, ile że po kilkakrotnie ściskała Jagienkę, przy tych uściskach łzy jej w oczach stawały i widać było, choć nie wiedzieli dlaczego, że żywą a szczerą

uczuła dla niej sympatję; stało się to oczywiście dlatego, że jej syn tę kobietę tak serdecznie ukochał, a miłość ukochanego syna znalazła odgłos w sercu poczciwej matki. Przez cały obiad poranny rozmawiano o wszystkiem, a zawsze serdecznie; ale pod koniec obiadu Pretficzowa wydała się, z czem przyjechała. Chciała się od Wilczka dowiedzieć, czy niemasz jeszcze jakiego podobieństwa, że Lubek może nie zginął. O to pytała się Wilczka, mówiąc:

— Mój mąż nie chce na żaden sposób w to uwierzyć, że zginął, a jako doświadczony żołnierz, powiada, że byłby ktoś przecie jego trupa obaczył, a to tem bardziej, że miał bardzo lśniący pancerz na sobie, płaszcz jasno-błękitny, żółto podbity, a białe i żółte, bardzo puszyste pióra na hełmie, jako je niesie herb Wczele. Co wszystko tak wpada w oko, że niepodobna przypuścić, ażeby w bitwie, która trwała dzień cały, nie dojrzał go ktoś, leżącego na ziemi. Ta śnieżna zima nas zaskoczyła tak nagle, żeśmy nic zrobić nie mogli, ale jak tylko śniegi tajać zaczęły, mój mąż puścił się w drogę pomiędzy tych wszystkich rycerzy, którzy tam byli, był i w Krakowie — nigdzie się nic nie dowiedział; właśnie wczoraj powrócił, ale trochę zaniemógł, że nie może się ruszyć, więc mnie do waszmości wyprawił, abym się go rozpytała o Lubka. Wszyscy nam powiadają, że waszmość byłeś prawie przez cały ten dzień pod murami Suczawy, widziano waszmości po kilka razy właśnie w tem miejscu, gdzie Lubek miał zginąć, powiedzże nam w swej łasce: Widziałeś go zabitego? Widział go który inny? I co sam o tem rozumiesz?

Wszakże Wilczek nie wiedział o tem więcej,

jak wszyscy inni, co też jej opowiedział. Jednak, namyśliwszy się, dodał:

— Na pal go Wołosi nie wbili, bobyśmy o tem wiedzieli. Jam go zabitego nie widział i nie słyszałem, aby go widział kto inny, alem nie słyszał także, aby go uprowadzono w niewolę. Jednak, jeżeliby kto mógł o tem co wiedzieć, to chyba ten rycerz francuski, co zaraz za nimi na Wołoszę uderzył, a po południu zebrał Tigranesowych ludzi i wdarł się z nimi na wały, ażeby trupa Tigranesa zdjąć z pala. On mógł co widzieć, albo też ci ludzie, którzy z nim byli.

— Już nam o tym francuskim rycerzu mówiono — rzekła na to Pretficzowa — ale nie mogliśmy się dowiedzieć, gdzie bywa. Memu mężowi powiadano, że w Krakowie, że jest rotmistrzem królewskim i ma być w Krakowie, a jeśli go niema, to chyba już wrócił do Francji. Mój mąż go nie mógł odpytać narazie. Różni też różnie go nazywają, drudzy zaś powiadają, że się zwie Kmita.

Na to zaś odpowiedział jej Wilczek:

— Rycerz ten zwie się Kergolaj, a tylko z matki krewny jest Kmitom; znam go tak zbliska, właśnie jak pana Pretficza. Jeśli wrócił do Francji, tego ja nie wiem, ale rozumiem, że, jeśli jest w kraju, a nie bywa w Krakowie, to ani chybi, że się zabawia we Lwowie. Tam także można odpytać tych ludzi, co razem z Lubkiem służyli. A z tem się trzeba udać do kamienicy starego Kijasa, gdzie jest jego włodarz, nazwiskiem Kundrat, ten tych ludzi dla Tigranesa spisywał, ubierał ich i żołd im wypłacał, musi zatem znać wszystkich, którzy żywi wrócili.

Jak tylko Pretficzowa dowiedziała się tych

ważnych rzeczy, zaraz wstała, a podziękowawszy za przyjacielską gościnę, brała się do wyjazdu. Już było dobrze z południa, a sześć mil do Sokołowa, zaczem oboje Wilczkowie bardzo ją prosili, ażeby przenocowała. Ale ona na żaden sposób nie chciała, wszystkim naleganiom uparcie się obroniła i wyjechała.

Po jej wyjeździe Wilczek mocno się zafrasował. Nie dlatego, że swemi informacjami może otworzył drogę kwerendom, które jemu samemu mogły zaszkodzić, bo o tem wcale nie myślał, ale dlatego, że Pretficzowa nie chciała na zamku nocować! Wilczek, zbudzony przez Paniowskiego ze swoich snów o niebie bez żadnej chmurki, stał się niezmiernie drażliwym. Matrona ta przyjechała nie w odwiedziny, ale po interesie, a upaliwszy już sześć mil drogą zimową do południa, woli jeszcze drugie sześć mil męczyć się w drodze, niżeli u nich nocować; bardzo to przykro Wilczka dotknęło. Być może, że było to tylko przywidzenie śledzienne, bo przecież matce, poszukującej syna, musi być pilno; ale jemu to sprawiło niewysłowioną zgryzotę.

Odtąd już nikt więcej nie przyjechał na zamek. Już się wiosna rozzieleniła, już i lato zaczęło, a ani żywy duch się u nich nie zjawił. Młodzi małżonkowie musieli przyzwyczaić się do samotności. Ale się nie skarżyli. Po tylu burzach życia spokój nie był im wstrętnym. Dobrze im było, byli ze sobą szczęśliwi, a szczęście ich miało już wkrótce do najwyższego wynieść się szczytu, bo z końcem sierpnia, a najdalej z początkiem września oczekiwali bociana, co miał im przynieść maleńkie dzieciątko i, zawinięte w puchowe koronki, złożyć na

zamku. Obeszli się bez sąsiadów, gdy byli sami, obejdą się bez nich jeszcze daleko łatwiej, jak między niemi zamieszka aniołek boży, co doda ich serdecznej miłości rodzicielskiej powagi i silniej, niżeli jakikolwiek sakrament, o który nielitościwe matrony takie wstręty im robią, zwiąże ich serca w ich dziecku na zawsze.

U Pretficzów, na Sokołowie, wszystek ten czas przepłynął w jednostajnej ciszy, jak zawsze. Tam nigdy nie ustawały: praca około roli, troska około dzieci, ażeby je jak najlepiej wychować i jak najwięcej dobytku im zostawić, i pieczołowitość około poddanych i domowników, powierzonych opiece dworu.

Sejmy nie sejmy, wojny nie wojny, — obowiązki te musiały tam być wypełniane przynajmniej o tyle, o ile wypadki, silniejsze od ludzkiej woli, nie postawiły im przemijającej przeszkody.

Wszelako Pretficz, przesłużywszy całą swą młodość wojskowo, a nie wymawiając się jeszcze i teraz od żadnej służby obywatelskiej, dźwigając zaś na swych barkach obowiązki względem swej własnej rodziny, uważał za rzecz godziwą nawet od takich przemijających przeszkód się, ile możności, ochraniać. Kiedy król przeszłej zimy zaczął się gotować na wojnę, konferował mu kasztelanję halicką, wakującą właśnie natenczas. Pretficz chciał się zrazu od niej wyprosić, mówiąc, że ani się podjąć nie może jakokolwiek porządne pospolite ruszenie zwołać w tej ziemi, ani się czuje na siłach, zależawszy pole od lat tak wielu, powiatowym chorągwiom rotmistrzować, jak trzeba. Jednak natenczas o zwołaniu pospolitego ruszenia w Halickiej ziemi nie mogło być mowy, bo najprzód w tych

stronach jeszcze niewiele było szlachty pomniejszej, a prawie sami panowie, co własne mieli chorągwie; ile zaś drobnej szlachty się między nimi znalazło, tę zawsze przed wojną porozrywali pomiędzy siebie starostowie stryjscy, haliccy, tustańscy, samborscy i lwowscy, tak, że na pospolite ruszenie nic nie zostało. Pretficz zatem przyjął kasztelanję, ale tylko z tym obowiązkiem, że w czasie wojny będzie czuwał nad królewskiemi stacjami i bezpieczeństwem publicznem w powiecie. Swojego syna radby był lepiej pomieścić, niżeli na urzędzie porucznika w małej chorągwi mieszczańskiej, ale nareszcie nie sprzeciwiał się temu, bo był zdania wszystkich doświadczonych rycerzy, że wojennego rzemiosła najlepiej ten się nauczy, który od knechta zaczyna. Tak więc siedział spokojnie u siebie przez cały czas wojny, aż do powrotu armji z pod Bukowiny.

Kiedy wieść o śmierci Lubka przybiegła do Sokołowa, wielki lament się rozległ po całym dworze. Matka nie mogła utulić się w żalu — a cały niewieści dwór obyczajem Rusinów głośnym płaczem za nim zawodził. Tylko mały Bernard otarł łzy prędko i ku wielkiemu zgorszeniu swojej nauczycielki, mniszki, powiedział: — Źle się bił Lubek, kiedy się dał zabić chłopom wołoskim.

Rozumny a doświadczony ojciec także się nie odrazu poddał żalowi i nie pozwolił nawet odprawić mszy żałobnej za jego duszę, mówiąc: — Że Fredro zginął i Tęczyńscy i Chryzostom Kmita, o tem nie wątpię, bo też ich trupy widziano. Ale jego ciała nikt nie widział — a nieprzyjaciel nie zbiera trupów po polu. — Potem, jak tylko się drogi przetarły, do Krakowa wyjechał, ale z dobrą wia-

domością powrócił, bo nikogo nie znalazł, ktoby zabitego Lubka był widział. Powróciwszy, zaniemógł, ale tylko trochę pocierpiał i, za wskazówką, przywiezioną przez jego żonę od Wilczka, do Lwowa pojechał.

We Lwowie Kergolaja nie zastał, bo ten rycerz francuski, służący z upodobania Wenerze, lecz z obowiązku Marsowi, już się był wtedy dowiedział, że król zamierza nową armję wystawić na wiosnę, pobiegł więc do Krakowa, ażeby sobie u króla wyrobić komendę, a potem do Newistki zajechał, aby zebrać trochę szerokich groszy i konie swoje odświeżyć. Wszelako Pretficz zastał Kundrata, a przez niego wszystkich żołnierzy odszukał, którzy z Lubkiem służyli i zdrowo wrócili.

Żołnierze ci mocno się teraz rozhultaili, stali się nawet prawdziwą plagą miasta i przedmieść, jedząc i pijąc na kredkę, biorąc gwałtem, gdzie kredka już pisać nie chciała, łuszcząc nawet prawie w sposób zbójecki przedmieścia; trudno więc było z takimi hultajami dojść czegoś pewnego. Ale przecież pomiędzy nimi znalazł jednego, który mu opowiedział dokładnie i wiernie, jako widział na własne oczy, że Lubka, tak samo jak Tigranesa, Wołosi zerwali z konia, ale trupa Lubka nie widział, chociaż się w owej chwili bił w tem samem miejscu, aż póki Kergolaj nie uderzył, a potem znów z Kergolajem w tym samym punkcie się wdzierał na wały i zdaje mu się, że tam Lubek był z nimi.

Natenczas Pretficz był przekonany u siebie, że Lubek, jeżeli nie został zamęczony w fortecy, musi się znajdować w niewoli.

I wówczas bez zwłoki, znów zapomocą Kun-

drata, wyszukał bardzo zmyślnego i zaufanego, chociaż ubogiego, Ormianina we Lwowie, który za handlowemi sprawami Kijasa jeździł po całym Wschodzie, wyrobił mu królewski glejt u wojewody i kredyty u Kijasa na Suczawę, na Kaffę i na Carogród i wyprawił go na kwerendę za Lubkiem.

Wtedy Formoza dowiedziała się o tem i kazała bardzo prosić Pretficza, aby ją na chwilę odwiedził, co też Pretficz z chęcią uczynił.

Formoza była jeszcze zawsze w ciężkiej żałobie, ale już się z swym bolem cokolwiek przegryzła, bo nie porzuciła nadziei. Pretficz był trochę tem zdziwiony, że go Formoza tak szczegółowo wypytuje o sposoby i środki, jakich użyć zamyśla, ażeby nabyć pewności o losie Lubka, bo przecież jej mąż leżał już na cmentarzu we Lwowie, jakoż spytał ją o to; na co Formoza odpowiedziała mu niebacznie:

— Chciałabym się dowiedzieć napewno o losie pana Gniewosza, bo jego ciała także nie znaleziono.

Powiedziawszy to, spostrzegła się i żałowała, że się niepotrzebnie zdradziła, ale słówko już wyleciało. Jednakże Pretficz tylko machnął ręką na wspomnienie Gniewosza, mówiąc:

— To rzecz całkiem inna.

Formoza zaczęła bardzo ciekawie rozpytywać Pretficza, jakie jest jego zdanie o rzekomej śmierci Gniewosza; ale to, co jej Pretficz powiedział, niezmiernie ją zasmuciło. Ażeby ukryć ten smutek, zaczęła mu opowiadać o Lubku, jako go znała, wiele z nim rozmawiała i pokochała go, jak brata, — a tem jego stroskanego ojca tak za serce chwyciła, że stary Pretficz pokilkakrotnie ją ściskał za rękę i wyszedł od niej pełen szczerego współczucia

dla tej nieszczęśliwej kobiety, która, jak się trafnie domyślał, nieszczęśliwie wyszedłszy zamąż, straciła męża, lecz oddawszy serce innemu i tego także straciła, a teraz łudzi się próżną nadzieją, że jeszcze go kiedyś obaczy.

Odkąd Pretficz powrócił ze Lwowa, w Sokołowie niecierpliwie czekano, kiedy i z czem też ów Ormianin powróci.

Ale minęły wiosna i lato i jesień i już się zima zaczęła — przez ten czas nowa wojna się zakurzyła na Rusi i także się już skończyła — a o Ormianinie żadnej wieści nie było. Przy zbliżającem się Bożem Narodzeniu rozumiano już prawie napewno, że i Lubka nie znalazł i jego zabito. Tymczasem w sam dzień św. Szczepana jeszcze przed zmrokiem zajechały małe saneczki przed ganek środkowy — a z nich wysiedli najprzód Ormianin, a za nim Lubek.

Wielkaż tedy pociecha i radość bez wszelkiej miary. Ojciec i matka wydzierali go sobie zkolei, a cały dwór zbiegł się do ostatniego sługi, bo każdy chciał tego prawdziwego zmartwychwstańca własnemi oglądać oczyma. Najserdeczniej zaś i najhałaśliwiej cieszyły się nim dzieci, wieszając mu się na szyję i macając jego dziwaczny ubiór, uszyty modą turecką, — a mały Bernard, co często wszystkich zadziwiał nad wiek swój trafnemi spostrzeżeniami, rzekł z wielką powagą: — Jak Turcy dostali od nas po skórze, tak i ciebie puścili, takem to sobie rozumiał.

Przy wieczerzy, do której przeszło trzydzieści osób zasiadło, Lubek musiał opowiadać historję swojej niewoli; wszelako z jego opowiadania do-

wiedziano się tylko bardzo wielu ciekawych szczegółów, ale bez związku, bo ze wszystkich stron rzucano mu zapytania, na które musiał odpowiadać wyrywkiem.

Dopiero po wieczerzy, kiedy domownicy się po pokojach rozeszli, a on sam z rodzicami został przy stole, ojciec kazał mu tę całą historję opowiedzieć porządnie. Lubek opowiedział więc wszystko z wielką szczerością, a często i z tą naiwnością, która była głównym przymiotem jego zacnego serca i prostego umysłu.

— Bogiem a prawdą — mówił ten młody rycerz, w którym wszakże więcej było trubadura, niżeli rycerza — dopiero na tej wojnie zrozumiałem, że podobno Pan Bóg nie stworzył mnie na żołnierza. Jużci siedzę na koniu nie gorzej, jak inni, umiem narabiać wszelaką bronią tak samo, jak drudzy, i strach mnie przed nieprzyjacielem nie bierze; ale widok krwi ludzkiej mnie ściska za serce, a kiedy na kogo uderzam, to czuję drżenie w mojem sumieniu, że niewinnego człowieka chcę zabić i tak moją rękę prowadzę, abym go niebardzo uszkodził. A potem nie mam przytomności umysłu, tom dobrze widział na sobie. Kiedy Wołosi tego poczciwego Tigranesa zerwali z konia i, jak dzikie zwierzęta, zaczęli krzyczeć: „Na pal! Na pal!", mnie się tak serce ścisnęło, żem nie wiedział, co się ze mną dzieje, a dopiero wtedym się ocknął, kiedym już sam leżał na ziemi.

Stary Pretficz się nad tem bardzo zamyślił, a Lubek tak dalej powiadał:

— Niebardzo też wiem, co potem działo się ze mną, bo mi okrutnie w głowie szumiało; musiał mnie któryś zaćmić młotem żelaznym. Pomnę tyl-

ko, żem jeszcze raz szedł do szturmu i jeszcze raz zwalono mnie z konia, potem Wołosi zdarli ze mnie cały rynsztunek i wrzucili mnie do ciemnych piwnic, których mają dosyć pod wałami fortecy. Trzymano mnie tam o chlebie i wodzie, na co niebardzom się skarżył, ale to mnie serce krwawiło i spać nie dawało po nocach, że było tam dużo drugich żołnierzy, co mieli członki poszarpane i kości podruzgotane i umierali w jękach takich boleśnych, że mi się darły wnętrzności, a nie mogłem im pomóc. I musiałem spać z ich trupami, a dusze ich się nade mną wieszały. W kilkanaście dni potem wojewoda Stefan przyjechał, kazał wszystkich jeńców prowadzić przed siebie i sam każdego oglądał. Wojewoda, człowiek już stary, ze siwą brodą i przeszywającemi do głębi duszy czarnemi oczyma, spokojnego rozumu, ale nielitościwie okrutny, niektórych jeńców kazał zaraz pościnać, mianowicie Rusinów z Pokucia, mówiąc, że to jego poddani; innych zaś kazał w jarzma zaprzęgać i orać nimi, jak wołmi, których też, orzących na polu, mało co potem sam na własne oczy widziałem. Kiedy na mnie kolej przyszła, że to już po moich łachmanach nie można było poznać, jakiegom jest rodu, powiedziałem, że jestem synem ubogiego mieszczanina ze Lwowa, ale że umiem kilka języków i piszę barwnemi inkaustami na pergaminie. Więc wojewoda kazał mnie na bok odstawić, a potem dano mnie do kancelarji i kazano mi różne listy łacińskie tłumaczyć na język ruski i przepisywać. Wtedy już lepiej mi było, i dano mi szaty i jużem nie cierpiał głodu. A niebawem wojewoda, mając swego syna Negrula zakładnikiem u cesarza Bajazeta, wyprawił poselstwo do Carogrodu,

z raportami o wojnie do carza, a z upominkami do syna — i mnie z tymi posłami wyprawił, zakazując pod stryczkiem wydania się z tem, że jestem jeńcem Polakiem, a pozwalając mi zostać przy Negrulu, jeśliby chciał mnie zatrzymać. Więc Negrul upodobał mnie sobie, każąc sobie grać na cytrze i na mandolinie i już mnie od siebie nie puścił. Zaczem jesienią ów Ormianin przekradł się do mnie, wysiedziawszy parę miesięcy w Suczawie, nim się wywiedział, żem posłan jest do Negrula, a potem znowu parę miesięcy w Stambule, nim się mógł do mnie przedostać. A przedostawszy się do mnie, chciał zrazu Negrulowi ofiarować za mnie okup sowity; aleśmy się namyślili, że Negrul, sam będąc w więzieniu, nie potrzebuje pieniędzy, więc Ormianin zaczął na niego podarunkami najeżdżać, aż mu nareszcie serce tak zmiękczył, że mnie wypuścił. Puścił mnie już z początkiem zimy, jeno że śród tej wojennej powodzi musieliśmy nieraz manowcami wielkie trakty objeżdżać, a Suczawę zdaleka omijać, więceśmy dopiero teraz zdążyli.

Taka była historja niewoli Lubka. Rodzice bardzo nad tem cierpieli, że ich syn musiał przez takie poniewierki przechodzić; ale, miawszy go już za umarłego, chwalili Pana Boga, że się na tem skończyło. Zaczem stary Pretficz wąsa poprawił i brodę sobie pogłaskał i rzekł:

— Niechaj tam ludzie mówią, co chcą, przecież to zawsze rozum jest najprzedniejszym sługą człowieka. Mój rozum nie chciał w to nigdy uwierzyć, żeś ty tam zginął. Pokazało się teraz, że miałem słuszność.

A potem spytał:

— Powiedzże nam, mój Lubku, czy zasłysza-

łeś tam co o innych Polakach, co są u Turków w niewoli?

— Jest ich tam trochę — rzekł Lubek — ale niewielu. Jedni pływają na tureckich galarach, inni się zasię sturczyli. W więzieniu u Bajazeta tylko kilku ich siedzi.

— Którzyż to są? Bo byłaby to ludzka rzecz zawiadomić o tem ich krewnych.

— Jest ich tam ośmiu albo dziesięciu, bo tam w tem więzieniu, wewnątrz carskich pałaców, gdzie Negrul siedzi, tylko co najprzedniejszych chowają, a że nam nie wolno było z nimi się komunikować, więc też i nie wiem, jak ich wołają. Wiem tylko, że jest między nimi wojewodzic ruski Odrowąż, jest także Cherubin Gniewosz.

— Gniewosz tam jest? — zawołał Pretficz niezmiernie zdziwiony. — Wieszże to pewnie?

— Jużci wiem pewnie, jak skoro mówią.

— Ej, Lubku, — rzecze mu ojciec — pono plotkę ci w ucho włożono. Gniewosz, to nie taki chudzina, jak ty, co nikt się nie pyta o niego, jeno pan wielki a ulubieniec królewski; gdyby on tam był, jużby król był się dawno o tem dowiedział i byłby posłał okup za niego, choćby i dziesięć tysięcy czerwonych.

— Ale jest pewnie, — rzekł Lubek — przecie go nieraz zdaleka na własne oczy widziałem, a raz nawet z nim rozmawiałem.

Więc stary Pretficz krzesło sobie przysunął do niego i rzekł:

— Powiadajże mi wszystko, co o nim wiesz i co on ci powiadał. Jakimże więc sposobem dostał się w ręce tureckie?

Zaczem Lubek opowiadał w ten sens:

— Jak mi to sam Gniewosz opowiedział naprędce, pod Suczawą zapędził się był za jakimś znacznym Tatarem, chcąc go koniecznie wziąć jeńcem, ale koń upadł pod nim, złamawszy nogę na pniu przewróconym. Nim Gniewosz w swej ciężkiej zbroi się z pod konia wydobył, cała chmura Tatarów się rzuciła na niego i nakryli go sobą, właśnie jak gdyby kto cały ul pszczół na niego wysypał. Wstawszy na nogi, chociaż bez broni, mógł ich i pięścią natłuc niemało, ale, rozważywszy u siebie, że przecie go wkońcu przemogą, a z niewoli może się jeszcze wykręcić, dał im się wziąć. Tatarzy, rozumiejąc po jego wzroście i zbroi, że może samego króla, albo choć królewicza złowili, pomknęli z nim zaraz na całą noc i potem dalej, aż póki się nie przebrali do Turków, a tam go Turkom oddali, posyłając go w darze tureckiemu carzowi. To mi powiedział sam Gniewosz, a potem nasi słudzy tureccy bardzo dziwne rzeczy mi o nim opowiadali. Kiedy carz się o tem dowiedział, — powiadali mi słudzy — że mu przywieziono jeńcem jakiegoś polskiego chana, kazał go najprzód zaprowadzić do pałacowego więzienia i zakuć w kajdany, a potem prowadzić przed siebie. Gniewosz zakuć się dał, ale, jak go zakuto, zaraz kajdany potargał, jak nici. A kiedy mu drugie, jeszcze grubsze kajdany włożono, on i drugie potargał, jak nici. Zaczem im rzekł: „Widzicie, że mógłbym was wszystkich pobić, jak myszy, a przecie wam szkody nie czynię, powiedzcież więc waszemu carzowi, że i jemu nic złego nie zrobię, a jako pan z panem zachowam się wobec niego przystojnie". Carz zatem, namyśliwszy się mało niewiele, bo bardzo był ciekaw go widzieć, kazał go wolno

przywieść przed siebie, a przyjął go w ganku, otoczony wielkim dworem pomniejszych sułtanów i baszów. Zaczem obejrzawszy go dobrze, rzekł do sułtanów: — „Azaż to dziwno, że tym Polakom nie możemy dać rady, kiedy ich armja składa się z takich olbrzymów? Ten jeden mógłby cały mój dwór wyharatać, jeno widzi mi się, że jest dosyć pokorny". — A potem carz rzekł do Gniewosza: — „Twój Bóg chrześcijański dał tobie wzrost i siłę nad podziw. Musisz ty być albo bratem królewskim, albo też jakimś wielkim hetmanem, a pewno niewielu takich jest między wami". — A Gniewosz na to: — „Nie wiesz ty, carzu, co mówisz. Jam jest tylko polskim rycerzem, jakich jest u nas więcej, niżeli ciurów u ciebie, a jam jest między nimi najmniejszy; są, którzy mnie wzrostem o dwie głowy przenoszą, a dęby stuletnie wyrywają z korzeniem, właśnie, jak gdyby tobie twój balwierz ząb wyrwał". — Więc na to carzowi oczy wywróciły się białkiem, a język zaczął mu latać w gębie, jak pytel we młynie, sułtanom i baszom także oczy latały, jak gałki, i bełkotali coś z sobą przez trzy pacierze. Zaczem carz rzecze: — „Nie boję ja się twoich Polaków, bo mam tyle żołnierzy, że, jak ciebie zasypali Tatarzy, tak ja nimi całą Polskę zasypię. Ale z tobą obejdę się grzecznie, bo chcę, aby cię moi baszowie mogli codzień oglądać, ażeby też wiedzieli, z jakimi żołnierzami będą się musieli borykać, kiedy na wiosnę na Polskę najadę. Powiedzże mi więc, jak mam się z tobą obchodzić, abym cię zachował żywego, a wiedz o tem, że ja znajdę na ciebie takie kajdany, których nie przerwiesz". — A Gniewosz na to: — „Bardzo mądrze to czynisz, że się chcesz ze mną układać, albowiem masz

wiedzieć o tem, że rycerz polski jest tobie równy, możesz więc, jak pan z panem, zawrzeć z nim traktat, — nic ci to nie ubliży. Więc najprzód, kiedy chcesz ze mną żyć w zgodzie, masz mnie trzymać u siebie z respektem, jaki się panu należy. A potem, jeżeli ty się względem mnie zobowiążesz, że mnie u siebie przetrzymasz przez rok i sześć niedziel i przez ten czas to w sekrecie zachowasz, jakom jest u ciebie w poniewolnej gościnie, tedy ja tobie dam parol rycerski, że ci nie ucieknę, a i w twoich ludziach ci szkody nie zrobię". — Więc carz się znowu z sułtanami naradzał, a potem rzekł: — „A co będzie po roku i sześciu niedzielach? Albowiem wiedz o tem, że, jeśliby mi twoi Polacy w tej wojnie, na którą się właśnie gotuję, wzięli, co nie daj Boże, jakiego zacnego sułtana albo zgoła krewnego w niewolę, to ja będę wolał dać ciebie wzamian za niego, niżelibym miał okup posyłać". — A na to Gniewosz: — „Kiedy panowie zawierają ze sobą traktat na czas oznaczony, to nigdy sobie nie wymawiają, co ma się stać po ekspiracji traktatu. Potem stanie się to, na co się znowu ze sobą namówią". — Zaczem carz i sułtani i wszyscy baszowie na to kiwali głowami i cmokali ustami, mówiąc, że ten rycerz polski przedni ma rozum i zdaje się być godzien respektu. A tak pomiędzy carzem Bajazetem a panem Gniewoszem stanął traktat, który też między sobą dotąd chowają.

Stary Pretficz słuchał tego opowiadania z wielką uwagą, a potem rzekł:

— Powiadajże nam teraz, jakoś sam widział Gniewosza i jako z nim rozmawiałeś.

Więc Lubek opowiadał dalej w ten sens:

— Negrula tam w tem samem więzieniu trzymają, co i Gniewosza, ale każdego osobno i każdy ma sługi osobne. Jeno, że jeden jest ogród, więc oba po tym samym ogrodzie się przechadzają. Carz taki dał rozkaz, ażeby zakładnicy, albo też jeńcy nigdy się z sobą nie spotykali, zaczem my zabawialiśmy się w ogrodzie o innych godzinach, a Gniewosz o innych. Ale, żem ja do sług Negrula należał, więc mi też nie broniono zabawić się w ogrodzie o każdej porze, kiedy mnie Negrul przy sobie nie trzymał. Tak nieraz Gniewosza zdaleka widziałem, i Odrowąża także zajrzałem, chociaż jego z takim respektem trzymają. I Gniewosz musiał także mnie poznać, bo uważałem, że na mnie spogląda i pewnie chciałby do mnie przemówić, jeno, że mu to nie wolno dla straży. Aż jednego dnia w lecie, kiedy okrutny upał panował, a jego strażnicy posnęli pod drzewem, dał mi znak i sam zbliżył się do mnie i rzekł: — „Tyś to jest ów Pretficz, coś był mały czas paziem u króla, a potem cię król na rycerza pasował we Lwowie?“ — Ukłoniłem mu się niziutko i odpowiedziałem: — Tak jest, jak wasza miłość powiadasz. — A on na to: — „Przecz mi się kłaniasz tak nisko? Takiś ty rycerz, jak ja, a dzisiaj taki sam niewolnik“. — Potem mnie pytał, jakim sposobem dostałem się do niewoli. A kiedym mu opowiedział, rzekł: — „Mądrześ to zrobił, żeś się małym uczynił, będziesz się mógł wypsnąć przy jakiej okazji, jako to muszka i przez gęstą sieć się prześliźnie, a bąk w niej uwiąźnie“. — Więc ja mu na to: — Wszelako częściej muszka w sieci uwiąźnie, a bąk się przebije. Jakoż już nieraz głowę sobie nad tem łamałem, jakim sposobem waszą miłość wzięto ży-

wego. — A wtedy Gniewosz mi opowiedział, jak się to stało. Poczem rzekł, kładnąc mi rękę na ramieniu: — „Słysz, Pretficz! Wiesz o tem, że my, rycerze, jesteśmy, jako mnichowie jednego zakonu, co zawsze i wszędzie stają wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich. Jest też i obedencja, którą młodszy powinien starszemu. Owo więc ja biorę od ciebie parol rycerski na to, że, jeślibyś się wypsnął z tej niewoli, a wrócił do domu, tedy do roku i sześciu niedziel nie powiesz nikomu, żeś mnie tu widział i żem żyw na tym świecie. Mam wiadomości od drugich jeńców, co ich pod Czerniowcami zabrano, że cała Polska rozumie, jakom jest zabit pod Suczawą; potrzeba, aby tak rozumiano przez cały ten czas dla szczęścia ludzkiego. Zaczem liczę na ciebie, że nic nie powiesz, choćby cię kto rzezał po gardle". — Zaczem dałem mu rękę, a on sobie poszedł. A potem jeszcze go nieraz widziałem, alem już z nim drugich dyskursów nie miewał.

Stary Pretficz, wysłuchawszy reszty tego opowiadania, wstał i dał znak Ormianinowi, który się z dworzanami w rogu komnaty zabawiał, aby szedł za nim i poszedł z nim do ostatniej izby w lewem skrzydle dworzyska, gdzie miał swoją kancelarję i swoje archiwa. Tam, siadłszy przy stole i posadziwszy Ormianina naprzeciw siebie, zaczął go rozpytywać, azali słyszał co o jeńcach polskich, znajdujących się w ręku tureckich. Ale Ormianin nic o tem nie wiedział i odpowiedział mu krótko:

— Ani wiem, ani nawet o nich się nie pytałem z obawy, aby się nie dowiedziano, że jestem z Polski. Albowiem, jak skoro mi syn waszej miłości powiedział, że mu wojewoda zakazał pod stracz-

kiem przyznawać się do tego, że jest Polakiem, zaczem on przed Turkami udaje się za Niemca, tak też i ja powiedziałem się Grekiem i nigdy słówka nie pisnąłem o Polsce.

Na co rzecze mu Pretficz:

— Siedźże sobie spokojnie, a pocierp tutaj cokolwiek, zaczem cię o coś poproszę.

Potem zaraz jął pisać i napisał list bardzo długi, zamknął go w jednę kopertę, a potem w drugą, wielką pieczęć na kopercie przyłożył, a oddając mu go, rzekł:

— Chciałem, abyś tu u nas dzień jaki odpoczął, ale zważywszy, żem się powinien pośpieszyć z uregulowaniem moich rachunków z domem Kijasa, proszę cię, abyś jutro raniutko jechał do Lwowa. A tu masz list, który tam oddasz, gdzie też będą wiedzieć, co mają z nim zrobić.

Ormianin, rad w duszy, że go nie zatrzymują i że będzie mógł pośpieszyć do żony i dzieci, pobiegł zaraz do Lubka, aby się z nim pożegnać, i jeszcze tej nocy wyjechał do Lwowa.

Lubek, kiedy go ojciec samego z matką zostawił, kręcił się przez chwilę na krześle, bladł i czerwieniał, ale nareszcie zdobył się na odwagę i spytał matkę, co się stało z Jagienką.

Matka mu powiedziała.

Na tę niespodziewaną wiadomość Lubkowi zaszumiało w głowie, nieopisany chaos uczuć i myśli zaczął się kłębić w jego sercu i duszy, a wśród tego chaosu całkiem stracił przytomność. Kiedy się swego czasu o zamęściu Jagienki z Gniewoszem dowiedział, za zbawienną pomocą nerwowej gorączki cios ten jakokolwiek przeboleł, przyznał

sam, że był dla niego nieuniknionym, oswoił się z swem położeniem i pocieszał się żywem a nieustającem w swem sercu życzeniem, ażeby przynajmniej ona była szczęśliwą. Domysł, albo wiadomość, — bo to nie było sekretem dla ludzi ciekawych, — że Gniewosz z Jagienką nie żyje, obudziła w jego sercu dwa dziwnie ze sobą niezgodne uczucia: pod wpływem szczerej przyjaźni dla niej bolał nad tem, że nie jest szczęśliwą, a pod wpływem miłości znajdował w tem pewne zadowolenie. Na wiadomość o śmierci Gniewosza odetchnął lekko, jego żartka wyobraźnia grać w nim zaczęła, otwierając mu tak rozkoszne widoki, o jakich dotąd nigdy nie śmiał zamarzyć. Kiedy Gniewosza obaczył żywego, znowu ból głęboki go przejął, bo znowu z nieba upadł na ziemię; jednak po dokładniejszej rozwadze znów się pocieszył, bo Gniewosz był jeńcem i zdało się, że sam się nie śpieszył, ażeby się wydobyć z niewoli. Jakkolwiek Lubek nie był człowiekiem czynu, tylko marzycielem, a marzycieli zawsze więcej pociąga ku sobie marzenie, niż rzeczywistość, częstokroć nawet, chociaż bezwiednie, sami opóźniają spełnienie się rzeczywistości, ażeby marzeń nie stracić, jednak w podróży ze Stambułu do domu jego marzenia zaczęły pewne przybierać kształty i przeczuwać, że może teraz zamienią się w rzeczywistość. Tymczasem właśnie teraz się dowiedział od matki, że Jagienka poszła powtórnie zamąż za Wilczka! Kto tak kochał, jak Lubek, kto cały swój świat widział tylko w Jagience, a poza nią nic, tylko puszczę bezludną, śmierć i nicestwo, temu nie można się dziwić, że pod ciosem tej wiadomości zakłębiło się w jego umyśle i całkiem stracił przytomność.

Spostrzegła to matka po jego twarzy i, milcząc, dała mu czas, aby przyszedł do siebie.

Lubek potrzebował długiego czasu, nim zebrał swe myśli, poczem rzekł z przejmującą goryczą w głosie:

— Jakże oni się mogli pożenić, kiedy Gniewosz żyje?

A wtedy matka, chcąc go uspokoić, odpowiedziała mu zapewne wbrew swemu przekonaniu:

— Alcż oni byli pewni, co też i wszyscy mówili, że Gniewosz jest zabit, zaczem grzechu nie mają.

Patrząc zaś nań, po chwili dodała:

— I tak rozumiem, że Jagienka jest zadowolona z swojego męża.

Natenczas Lubek, już oprzytomniawszy zupełnie, powiedział z ciężkiem westchnieniem:

— Ja też niczego nie pragnę, jak tylko, ażeby ona była szczęśliwą.

W tej chwili wszedł Ormianin, ażeby się z nim pożegnać, a za nim stary Pretficz do jadalnej komnaty.

Żegnając się z poczciwym Ormianinem, który mu tak ważne oddał usługi, Lubek rozczulił się, lecz, widząc go odjeżdżającego i spojrzawszy w twarz ojcu, jakieś złowrogie przeczucie ukłuło go w serce, uderzył się ręką w czoło i rzekł do ojca:

— Znowuin głupstwo zrobił! Nawet nie głupstwo, tylko poprostu występek. Dałem Gniewoszowi parol rycerski, że go nie zdradzę, a przecież się z tem wygadałem. Spodziewam się przecież, że ojciec tego nikomu nie powie.

Ale stary Pretficz się na to uśmiechnął i rzekł:

— Twój ojciec twego parolu nie złamie, ale

i tyś go nie złamał, jenoś się z czasem nie obliczył. Przecież od owej pory, kiedy Gniewosz dostał się do niewoli, minęło już więcej jak rok i sześć niedziel.

Lubek nad tem się zastanowił, odetchnął swobodniej i rzekł:

— Ale zawsze nie trzeba o tem nikomu powiadać.

Lubek w tej chwili więcej o tem nie myślał, ale mimo to miał noc niespokojną.

Jakież to zmiany zaszły podczas jego nieobecności!

Lubek potrzebował kilku dni czasu, nim się wmyślił w ten nowy stan rzeczy. Lecz, jak się wmyślił, powiedział sobie, że właściwie się nic nie zmieniło. Przecież on nigdy o tem nawet nie marzył, ażeby mógł posiąść Jagienkę. A czy ona tego ma męża, czy którego innego, to w gruncie rzeczy jest jedno. Owszem, ta zmiana wyszła jej bezwątpienia na lepsze. Gniewosza nienawidziła — a kiedy poszła z własnej woli za Wilczka, to przecież musiała wiedzieć, dlaczego to robi. Jak to tam było w rzeczywistości, Lubek nie wiedział. Stąd wpadł na domysł, iż może być, że Jagienka tylko dlatego poszła za Wilczka, aby się od Gniewosza uwolnić. A wtedy przypomniał sobie, jak zawsze na Sobniu miłościwemi oczyma na niego patrzyła i jak mu w tej ciężkiej chwili, kiedy ją gwałtem zamąż wydawano, bukiecik kwiatów rzuciła do okna. A potem grał jej na lutni, a ona go do późnej nocy słuchała. Jakiekolwiek później zaszły wypadki, Jagienka go nie mogła zapomnieć. Zaczem uczuł tęsknotę i zapragnął ją jaknajprędzej oba-

czyć, i postanowił sobie w przyszłą niedzielę pojechać na Tustań.

Od czasu, jak Wilczek przywiózł Jagienkę na Tustań, zamek tustański nabrał dziwnej reputacji w bliższych i dalszych sąsiedztwach.

Ludzie ówcześni, mimo to, że im ich rozum nie tylko do życia, ale do spełniania tak wielkich czynów wystarczał, na jakie późniejsze wieki nie mogły się zdobyć, byli niezmiernie przesądni i zawsze skłonni do uwierzenia każdej plotce, którą inni opowiadali. Lada drobna bajeczka, którą ktoś zmyślił, przebiegając z ust do ust i bogacąc się w ustach każdego w nowe dodatki, wyrastała w legendę, która stawała się wprędce artykułem wiary dla całego powiatu, często nawet dla całego kraju i nieraz później przechodziła w kroniki jako najprawdziwsza, bo wszystkim znajoma historja. Tak i o Wilczku, niewiadomo skąd, urosła powieść, jako nieludzkim sposobem wziął Gniewoszowi żonę z Czorsztyna. Opowiadano o nim, że djabłu duszę zapisał i djabeł zabił Gniewosza pod murami Suczawy; inaczej nie rozumiano, jakim sposobem taki żelazny rycerz mógł się dać zabić chłopom wołoskim, których Biłowus tłukł pałką, ile mu się podobało. Mówiono dalej, że djabeł się przebrał za księdza i dał mu ślub w czorsztyńskiej kaplicy przeciwko prawu i naprzekór zakazowi biskupów. Inni zasię utrzymywali, że djabeł nie zabił Gniewosza, tylko go trzyma ukrytego w lasach wołoskich i jednego dnia puści go, aby odebrał żonę Wilczkowi...

Te bajki otoczyły zamek tustański, jak gromady złych duchów, i zamieniły go w wyobraźni okolicznego ludu jakoby w jakąś zaczarowaną sie-

dzibę, którą trzymają w swych ręku moce piekielne i już jej nie wypuszczą, aż póki ludzie w niej mieszkający nie odpokutują swych grzechów. Stąd poszło, że zamek ten już w owe czasy każdy chrześcijanin omijał i żaden gość nigdy doń nie zajechał. Wilczek z Jagienką znaleźli się zatem całkiem odosobnieni od ludzi — i widywali tylko swoich własnych sług i żołnierzy i mieszczan z Tustania. Nawet Auctus Paniowski, jedyny wierny przyjaciel Wilczka, jeżeli czasem przyjechał, to tylko nato, aby go z obowiązku przyjaźni próżnemi słowami pocieszyć i do cierpliwości zachęcić, ale i on bawił zawsze tylko kilka godzin i nigdy za żadną cenę nie chciał nocować.

Wilczek i Jagienka czuli to przez kilka pierwszych miesięcy głęboko i bardzo boleśnie. Przyzwyczaili się zczasem. Niczem niezamącona ich miłość im wystarczała do szczęścia. Prześliczne i zdrowiuteńkie dzieciątko rozpędzało swoim anielskim uśmiechem wszystkie powieści o duchach, które czasem im dochodziły do uszu, i rozpościerało w ich uczuciu jakoby niebieską opiekę nad zamkiem. Wiodło im się zresztą wszystko nad podziw. Wilczek kazał pozbierać nagromadzone pieniądze po kluczach Jagienki i najprzód Baranów wykupił. Potem przez Ramułta wyrównał wszystkie zaległe rachunki z domem Kijasa. Nikomu nic nie był winien, jego zapasy się wciąż pomnażały, dom jego opływał we wszelkie dostatki, zaczem mu wszelkiego szczęścia nie brakło. Ale to nieszczęśliwe odosobnienie przecież napełniało ich smutkiem, bo i najzupełniejsze szczęście jeszcze nam nie wystarcza, jeżeli nie możemy się niem z innymi podzielić. Często z nieopisaną tęsknotą wyglą-

dali przez okna, mówiąc sobie: „Gdyby już wreszcie ktokolwiekbądź, choćby jaki rybałt wędrowny, albo szlachcic ubogi, któregoby można nakarmić i odziać". Ale nigdy żywa dusza się nie zjawiła...

Toż kiedy między Bożem Narodzeniem a Nowym rokiem Lubek wjechał w dziedziniec zamku, oboje Wilczkowie wydzierali go sobie i nie mogli miejsca mu znaleźć. Jagienka, porwawszy go za rękę, nie chciała jej wcale wypuścić z swojej gorącej dłoni, jak gdyby się obawiała, że, jak ją wypuści, to i on sam się ulotni. Lubek uczuł ciepło jej krwi, a wtedy taka błogość jego duszę objęła, jakiej jeszcze nigdy nie doznał w swem życiu.

Przez cały wieczór musiał im opowiadać, przez jakie losy przechodził czasu swojej niewoli i jak się z niej nareszcie wydobył. Jagienka go słuchała z natężoną uwagą i czasem dziwny jakiś niepokój malował się na jej twarzy; zdało się, jakoby go chciała o coś zapytać, ale nie miała odwagi. Wszelako Lubek na to nie zważał. Kiedy go zaś Wilczkowie zaprosili, ażeby na noc pozostał, a on zaproszenie przyjął radośnem sercem, wszyscy troje byli tem nadzwyczajnie uszczęśliwieni — a Lubek najwięcej.

Lubek bawił trzy dni na zamku. Przez ten czas spostrzegł, że Jagience niczego nie brakuje do szczęścia. Stąd powziął w swojem poczciwem sercu szczerą sympatję i szacunek dla Wilczka. Lecz obok tego jego miłość dla Jagienki także się ożywiła. Jagienka mówiła mu „ty", jak dawniej, rozmawiała z nim sercem otwartem, jak z bratem, opowiadała o przebytych przez siebie cierpieniach i swojem szczęściu dzisiejszem, a czasem go brała za rękę i mówiła głosem, który, jak dźwięk na-

tchniony, przebiegał po wszystkich strunach jego duszy zbolałej:

— Po wszystkie czasy myślałam o tobie, bom zawsze wiedziała, że oprócz mojego męża ty jesteś jedynym na całym świecie, który mnie kocha, jak siostrę.

Lubek nie umiał na to nic odpowiedzieć, ale czuł się niewymownie szczęśliwym.

Trzeciego dnia Jagienka, dręczona zapewne niepokojem wewnętrznym, znalazłszy się z nim sam na sam, zebrała się na odwagę i zaczęła go wypytywać natrętnie, czy niemasz jeszcze innych jeńców polskich u Turków, u Tatar, albo gdziekolwiek indziej w tych krajach. Lubek umiał się opanować i odpowiedział spokojnie, że nic o nich nie słyszał. Ale kiedy Jagienka ostro spojrzała mu w oczy i zapytała wprost: Czy nie słyszał co o Gniewoszu? — nadzwyczajnie się zmienił, twarz mu się zarumieniła i oddech mu się zaparł na chwilę. Odpowiedział wprawdzie stanowczo: — Nie, z pewnością nie — i dodał, że śmierć Gniewosza jest niewątpliwie stwierdzoną — ale jego pomieszanie nie uszło uwagi Jagienki i pewne podejrzenie w niej pozostało.

Zauważył to Lubek i z obawy, ażeby mu Jagienka tych pytań nie powtarzała, jeszcze tego samego dnia do Sokołowa odjechał.

Od tego czasu jeździł co tydzień na Tustań.

Jego ojciec, przypatrzywszy mu się uważniej i przyszedłszy do przekonania, że on ani do zawodu wojskowego, ani też do żadnej służby publicznej nie jest stworzony i że najszczęśliwszym jest w samotności, dał mu folwark, należący do Sokołowa,

i zostawił mu jak najzupełniejszą swobodę. Lubek, zamieszkawszy pod swoją strzechą, spędzał czas według swego upodobania: grywał sobie na lutni albo na mandolinie, rysował obrazki, układał wiersze, wyrzynał figurki z drzewa, zaglądał do chat ubogich ludzi, dawał im rady i bawił się z ich dziećmi, które daleko więcej go zajmowały, niżeli ich rodzice. Ale w rzeczywistości wcale nie wiedział, czy słońce świeci, czy niebo jest pokryte chmurami, czy jeszcze dzień jest, czy noc już zapadła, tylko dnie liczył i pragnął, ażeby jak najprędzej nadeszła niedziela — a w niedzielę jechał na Tustań.

Przyjmowany zawsze serdecznie, mogąc swobodnie patrzeć w czarujące oczy Jagienki, oddychać tem samem powietrzem, co ona, czasem się dotknąć jej ręki, czuć ciepło jej krwi, pełne sympatji dla niego, i widzieć ją w szczęściu niczem niezamąconem, był sam tak szczęśliwym, że wcale wyższego szczęścia nie pragnął dla siebie. Ludzie, goniący za innemi uciechami w tem życiu, nazywają takie niewinne szczęście złudzeniem, ale czyż szczęście, któreśmy sobie stworzyli, które z całą świadomością czujemy i którem jesteśmy zupełnie zadowoleni, nie jest taką samą rzeczywistością, jak każda inna, o której nam się zdaje, że jej jesteśmy świadomi? Co w naszej duszy jest rzeczywistością, a co urojeniem, tego jeszcze nigdy nikt nie określił, — Lubek był tem szczęśliwy, co miał, i tylko pragnął, aby tak zostało na wieki.

III.

ŻYWI GINĄ.

Ten rok 1498, co nastąpił po bukowińskiej wyprawie, nie przeszedł tak spokojnie we Lwowie, jak w Tustaniu i Sokołowie. Był to owszem na całej Rusi rok bardzo wojenny, chociaż to, co o nim kroniki nam przekazały, było widocznie raczej niszczeniem i łupieniem kraju, niżeli wojną.

Wojewoda wołoski, pozbywszy się Polaków ze swego kraiku, chociaż za pośrednictwem Węgrów zawarł podobno z Polską jakiś rozejm, czy pokój do czasu, nie chciał, a nawet i nie mógł na takiej niedostatecznej umowie poprzestać. Albowiem położenie jego było niezmiernie trudne i niebezpieczne: państwowy byt Wołoszczyzny nie był wcale zapewniony, rościły sobie do niej pretensję trzy wielkie mocarstwa: Polska, Węgry i Turcja; co chwila któreś z nich wymagało od niej poddania się i złożenia hołdu przez księcia, popierając swe wymagania groźbami, a często i siłą zbrojną — i tylko książę tak bystrego rozumu, takiej niezwyczajnej chytrości i tak niepożytej energji, jak Stefan, za co też w dziejach swego narodu nazywa się Wielkim, mógł przez lat przeszło trzydzieści swoje państewko bronić zwycięsko przeciwko trzem takim potęgom i zostawić je swoim następcom. Po bukowińskiej wyprawie, nie mając żadnej pewności, że Polacy znów się zerwą na niego, postawił się na stopę przyjazną z Węgrami, skojarzył się z Turcją i, zebrawszy około czterdziestu tysięcy zbrojnego ludu, złożonego z Wołochów, Tatarów i Turków, najechał Ruś, należącą

do Polski. Celem jego było bez żadnego wątpienia nie zdobycz ziemi, tylko zniewolenie Polski i Węgier do zawarcia z nim stałego pokoju; ale tymczasem pod jego najazdem ruskie kraje cierpiały.

Król Olbracht, którego postępki, skutkiem lekkości ducha i niepowściągliwego temperamentu, bardzo często w rażącej były niezgodzie z jego rozumnemi myślami i zamiarami, tym razem wcale o obronie swych krajów nie myślał. Przeleżawszy po powrocie z wojny wołoskiej kilka tygodni we Lwowie, wrócił do Krakowa i, zaniedbując zupełnie sprawy publiczne, jak gdyby chciał sobie wstrzemięźliwość, którą mu nałożyły przeszłoroczna wojna i nastąpiona po niej choroba, w dwójnasób nagrodzić, oddał się najwyuzdańszej swawoli. W całem jego życiu niemasz drugiej epoki, w którejby się tak zupełnie dał unieść swojemu swawolnemu temperamentowi — i właśnie w owym to czasie zdarzyło mu się, że, kiedy nocą zakradał się do jakiejś swawolnicy, pobił się w ciemnej ulicy z pijanymi pachołki i został od nich czekanem w głowę raniony, którą to ranę jego balwierze mu przez cały miesiąc leczyli.

Nie czując żadnej ze strony króla obrony, starostowie i inni zamożniejsi panowie pozamykali się przed najazdem w swoich zamkach i dworach obronnych, i tak samo także uczyniły obronne miasta, naprawiając swe mury i gromadząc u siebie na swój koszt ludzi zbrojnych, skądkolwiek mogły ich dostać. Lwów stał się wtedy zbiegowiskiem żołnierstwa wszelakiej broni i wszelkich narodowości, pomiędzy którem nie brakło także drobniejszej szlachty, nie mogącej się bronić w swoich drewnianych dworkach i nie brakło także wszelkiego

rodzaju awanturników, dla których takie czasy i takie miasta najpożądańszem i najobfitszem są żniwem. Miasto więc samo było tymi gośćmi nabite, pełne ich były wszystkie gospody i domy, gwar nieustanny, pijatyka, bójki, kalectwa nie ustawały ni w dzień, ni w nocy; drabowie miejscy rąk nie mogli nastarczyć, ażeby jakikolwiek utrzymać porządek — a tylko szynkarze i kupcy dobrze się mieli.

Wszelako na przedmieściach działo się jeszcze daleko gorzej. Kiedy bowiem do miasta ściągali się tylko ci, co mieli pieniądze, albo choć kredyt, lub wreszcie tacy, co na to liczyli, że sobie filuterją grosz i gościnę u drugich wykręcą, po przedmieściach włóczyli się sami tacy hultaje, co nie wahali się kraść, a kiedy ukraść nie było można, to wzięli gwałtem, nawet i w biały dzień, a jeszcze i zrabowanego wyśmiali. Nabrawszy towarów, sprzedawali je żydom, a nawet i po żydowskich gospodach mieszkali; inni zaś, że to już ciepło było, bo wiosna w tym roku była wczesna i prawie odrazu gorąca, nocowali sobie po przedmiejskich ogrodach, po cmentarzach i po krzakach, otaczających góry zamkowe.

Do Łopatki, że to do jego starościńskiej jurysdykcji należały przedmieścia, z początkiem wiosny dzień w dzień przybiegali przedmieszczanie z lamentem, że temu wypłukano komorę, innemu spichrz przetrzebiono, a trzeciemu nawet wyprowadzono jałówkę z obory. Łopatka kazał swym drabom robić na nich obławy, ale bez skutku, bo, chociaż już kilku, złowionych na gorącym uczynku, kazał wrzucić na dno wieży, jednak to wcale nie pomagało, kradzieże te i łupiestwa mimo to ciągle

się powtarzały — a co najgorsza, to, że bardzo mało tych hultajów chwytano i było wielkie podejrzenie, że żydzi ich protegują, a drabi zamkowi, na nocne ronty wysyłani, zamiast ich śledzić i chwytać, po całych nocach wysiadują przy dzbanach w żydowskich gospodach. Łopatka o tem wiedział przez szpiegów, bardzo się tem frasował, ale nie umiał sobie na to poradzić.

Tak jednego dnia rano, po nabożeństwie — a był to właśnie dzień Św. Stanisława biskupa — siedział sobie na ławie kamiennej przy bramie Niskiego zamku, przy nim siedzieli Olizar i Frąc, a on im opowiadał swoje kłopoty, chcąc zasięgnąć ich rady.

— Wiem wszystko, — powiadał zafrasowany Łopatka — wiem, kiedy co komu ukradną, wiem, kędy idą ukradzione towary, wiem nawet, gdzie odbywają swoje noclegi, a przecie ich dopaść nie mogę.

A na to rzecze Olizar bardzo podstępnie:

— Najlepiejbyś zrobił, gdybyś kazał zlustrować żydowskie gospody, tambyś znalazł niemało nakradzionych towarów, przynajmniej mógłbyś je oddać poszkodowanym.

Łopatce ta propozycja cale nie była do smaku, bo żydzi byli w wielkich łaskach w starostwie, starostowie ich nawet nieraz protegowali przeciwko miastu, więc odpowiedział mu na to niechętnie:

— Trudnoż mam żydom lustrować komory, jak skoro nikt się na nich nie skarży. Na tem zresztą niewiele zależy, jabym chciał wyłapać złodziejów.

— Powiadają w Krakowie, — rzecze mu na to Olizar — że kruk krukowi oka nie wydzióbie,

a u nas we Lwowie taka jest gadka, że starosta nie wydzióbie oka żydowi.

Więc Łopatka się tem uczuł dotknięty, lecz rzekł niby żartem:

— A tobieby się to nie podobało, żebym wyłapał złodziejów, bo, wyłapawszy ich w nocy, a przypatrzywszy się im do słońca, możeby się pomiędzy nimi znalazło kilku olizarowych kozaków.

Ale Olizar się śmiał naprawdę i mówił:

— Słysz, Łopatka, jak którego z nich złapiesz, to ja cię sam proszę, abyś go zaraz kazał powiesić, bo taki kozak i mnie się na nic nie przyda, co się przy takiem bzdurstwie, jako właśnie to łuszczenie bezbronnych przedmieszczan, da złapać. Ale nie myśl ty tak o moich kozakach. Przywieźli oni sobie dosyć zdobyczy z wojny wołoskiej, że jeszcze mają żyć z czego, a nawet wyżyją o tem choćby do zimy. A nie myśl także, żeby moi kozacy, co są przecie żołnierze, żyli w przyjaźni z takimi hultajami, co przedmieszczan rabują. Gdybym ja był z tem hultajstwem w przyjaźni, to Fesia mieszkałaby sobie spokojnie na swoim folwarku pod Wysokim zamkiem — a ja sam dałem jej radę, aby sobie najęła domek na Halickiej ulicy w sąsiedztwie Pachny, a jej folwarku pilnują moi kozacy.

— Ot pleciesz! — rzecze do niego, przymrużając jedno oko, Łopatka — *Na seło ludyj duryty*. Obawiałeś się, żeby ci hultaje nie zbałamucili ci Fesi, albo, żebyś od nich w nocy po łbie nie dostał, jako się to właśnie naszemu panu zdarzyło w Krakowie — i dlategoś ją przeprowadził do miasta i oddał pod opiekę Pachny. *Ne zdurysz ty Seneki*. Pachny teraz już nie dostaniesz, bo głupia-

by była, gdyby to brała dla siebie, co po Fesi zostanie. Powie ci ona także, jak mawiał Seneka. Ale co mnie tam do tego!

Na te słowa Frąc pogładził się z zadowoleniem po brodzie, a Łopatka tak mówił dalej:

— Ale co robić? W tem sęk i dlatego chciałbym się was poradzić. Ja sobie myślę, że trzebaby na tych hultajów gęstą sieć utkać z żołnierzy i wszystkich do sieci napędzić.

Na to Olizar się rozśmiał i rzekł:

— Widać zaraz starostę, co nato szablę nosi u boku, aby przy niej zasiadał na sądach, ale nigdy nie bywał na wojnach. Jeżelibyś ty chciał gęstą sieć utkać choćby tylko na tych, co się włóczą po Krakowskiem przedmieściu, to trzebaby ci na to co najmniej z pięć tysięcy żołnierzy. Chyba, że wiesz, gdzie się zbierają.

— Jużci wiem — rzecze Łopatka. — Przy kościołku N. Marji Panny jest cmentarz mało co okopany, a zarośnięty haszczami, zaś za cmentarzem ciągną się wgórę pomiędzy dworkami warzywne ogrody probostwa aż prawie pod górę Piaskową. Na probostwie tylko stary ksiądz siedzi z organistą i dwoma dziadami, a wszyscy spać idą z kurami. Owo więc na tym cmentarzu ci złodzieje się zbierają, zwłaszcza w niedziele i święta, kiedy im łatwiej kraść i zdobywać komory i tam się dzielą kradzieżą. A tak są przytem zuchwali, że czasem koło północy, albo też i nad ranem nawet i ognie nakładają i jedzą przy nich i piją, co w nocy ukradli.

Na to rzekł Frąc:

— No, to tam posłać tylko z pięćdziesięciu halabardników, aby na nich za krzakami, albo za

sąsiedniemi domami zasiedli, a potem ich otoczyli i wzięli.

— Ba! — rzecze Łopatka. — Jużem tego próbował, ale nigdy mi się nie udało. Zawsze halabardnicy uciekli, mówiąc, że to nie złodzieje, tylko dusze umarłych przy tych tam ogniach odprawiają swoje biesiady. Widzieli na własne oczy, jak z grobów wybuchały płomienie i chmury dymów, a z nich występowali umarli. Raz nawet zaczekali, aż kur zapieje; ale, jak kur zapiał, wszystkie te mary zniknęły i moi żołnierze po nich nic nie znaleźli...

To mówiąc, Łopatka zrobił krzyż święty na piersiach i dodał:

— Nie wiem więc, czy się godzi na dusze zmarłe najeżdżać, bo, żeby za to potępienia nie było.

Ale niewierny Frąc się na to uśmiechnął i rzekł:

— Takie to dusze zmarłe, co kradną. A potem chciałbym ja widzieć te dusze, co przede mną nie pierzchną, kiedy na nie z gołym mieczem najadę.

Łopatka spojrzał zadziwionemi oczyma na niego i rzekł półgłosem do Olizara:

— Chyba, że husyta, albo też charakternik. A ty co powiadasz?

A Olizar, nienawidzący Frąca, a jako Rusin, zawsze pełen sztucznych konceptów, powiedział na to te słowa:

— Mogą być dusze, co o północy z grobów wyłażą, jako to bywa, ja jednak rozumiem, że prędzej złodzieje. Jednak, czy dusze, czy złodzieje, nic ty im piechotą nie zrobisz, bo człowiek zawsze około północy strachów się boi, jeno koń nie dba

o strachy i, choćby nawet na dusze, zawsze śmiało najeżdża. Zaczem tak sądzę, że Frąc powinienby ci w tem pomóc. Siedzi on teraz, jako komendant, na Wysokim zamku i ma sześćdziesiąt ciężkich koni pod sobą. Niechże więc przed północą milczkiem pod górą Piaskową zasiędzie, a ty postaw swych drabów w zasadzce od Niskiego zamku i niech mają oko na cmentarz. A jak tam ruch jaki obaczą, niechże więc dadzą znak, wystrzeliwszy z muszkietu, wtedy Frąc z swymi konnymi ludźmi z całym impetem uderzy na cmentarz i których złodziejów nie potratuje, tych twoim drabom w samą paszczę napędzi.

Więc Łopatka, kiedy myśl Olizara zrozumiał, tak się nią uradował, że mu się rzucił na szyję i zawołał:

— A ty, Wyrypaju, masz zawsze sposób na wszystko! Więc cóż, panie Frąc, uderzysz, jak mówi Olizar?

— Dlaczego nie, — odpowiedział Frąc — przecie to mój obowiązek.

— Więc dziś! — zawołał Łopatka. — Bo to dziś święto i pewnie ich tam złowimy. Więc na strzał z muszkietu, od Piaskowej góry w pięćdziesiąt koni uderzysz, a już ja sam będę z moimi drabami na dole i przypilnuję, aby się wszystko wywinęło, jak z płatka.

— Będę i ja tam — dodał do tego Olizar — nie dla złodziejów, jeno, jeżeli to będą dusze, to chciałbym widzieć, jaki też opór postawią koniom.

Zaczem Łopatka ich do siebie na obiad zaprosił i gościł serdecznie, a przed wieczorem rozeszli się, aby się o północy znowu obaczyć.

Pomimo tak bardzo ożywionego ruchu w mieście i w swoich sklepach, pomimo obaw nowej wojny i niebezpieczeństw nowej łupieży, stary Kijas nie zdołał się otrząść z ciężkiej żałoby, w którą popadł od śmierci swojego syna. Zrazu zniósł wprawdzie ten cios z odwagą i wyrozumieniem doświadczonego męża, który wie, że wszystko mija w tem życiu, a przeto na wszystkie nieszczęścia jest zgóry przygotowany. Jednak im więcej myślał nad obecnem swem położeniem, tem cięższy smutek opanowywał jego umysł znękany i tem niżej go przygniatał do ziemi...

Już sam ten wypadek, że zwłokom jego syna nie pozwolono krypty w żadnej cerkwi i żadnym kościele, i Tigranes leżał dotąd na ubogim cmentarzu przy drewnianym kościołku, był dla niego niewysłowionem zmartwieniem. Prowadził o to proces z biskupem ormiańskim, lecz bez nadziei, albowiem biskup, chociaż jego przyjaciel, bronił się zawzięcie i był w swojem prawie; on, jak powiadał, ludzi innych obrządków nie nawraca na prawosławie, ale przerzucania się swoich parafjan na inne obrządki nie może przebaczyć, a jeszcze do tego niejako swą własną ręką uświęcać. Tigranes wystąpił z gminy kościelnej ormiańskiej, niechże więc jego zwłoki ci wezmą do siebie, co go do swojej gminy przyjęli. Kijas toczył także proces z arcybiskupem lwowskim, ale również bez skutku. Ksiądz Boryszewski miał dwa powody, dla których zwłok Tigranesa nie chciał przyjąć do piwnic katedralnych: najprzód chciał dać naukę proboszczowi zamkowego kościoła, który się wciąż wyłamywał z pod jego władzy biskupiej, a uważając siebie jako urzędnika królewskiego, rewindykował

eksterytorjalność dla siebie, a powtóre, uznaniem przejścia Tigranesa na łono katolickiego kościoła, które w samej istocie stało się, Bóg wie, po jakiemu, nie chciał obrażać biskupa ormiańskiego, unikając w tym razie, jak zresztą zawsze i wszędzie, ażeby nie był posądzonym o nawracanie podstępem lub gwałtem wyznawców innych obrządków na katolicyzm. Rządy polskiego kościoła znajdowały się jeszcze wtedy wyłącznie i w zupełności w rękach duchowieństwa świeckiego, które, dalekie od fanatyzmu, a pełne rozumu, wyniosłych pojęć o wierze i obywatelskiej miłości ojczyzny, usiłowało swoją powagą, miłością, ludzkością i światłem łączyć ze sobą sąsiednie narody i społeczeństwa, a łapanie dusz podszeptami, kabałą, gwałtem, albo prześladowaniem, odtrącało od siebie, jako ubliżające swojej wysokiej godności, nieprzynoszące ani zaszczytu, ani pożytku katolickiemu Kościołowi, a uwłaczające dobrze zrozumianym interesom polskiego narodu. Kijas przeto stracił już zupełnie nadzieję przeniesienia zwłok swego syna do jakiejś poważnej świątyni i wystawienia mu marmurowego nagrobku w kościele i to go niezmiernie bolało.

Rozmyślając dalej nad tem, jako jego syn zginął marnie w tak młodym wieku, nie osiągnąwszy swojego celu i zostawiwszy tak znakomity dom handlowy i jego samego w sieroctwie, jak to zazwyczaj się zdarza poczciwym ludziom, robił sobie wyrzuty, że przez słabość dla jedynaka, a może trochę przez własną próżność na to zezwolił. Poco się kupiec ma pchać między rycerstwo, kiedy ma swoje własne powołanie, wcale nie gorsze, a bezwątpienia pożyteczniejsze od żołnierskiego

zawodu? Gdyby był zachował w tej sprawie swój rozum, jak go umiał mieć w każdej innej, i gdyby był nie zrobił ustępstwa z swej władzy ojcowskiej, jego syn byłby żył dotąd, onby był nie osierociał na starość, a jego dom byłby się utrzymał w jego rodzinie może na wiele wieków. Kijas nie mógł sobie tych grzechów darować i gryzł się niemi do tego stopnia, iż miewał chwile, w których mu się zdawało, że był swojego syna zabójcą.

Stękając ciężko pod temi wyrzutami rozdrażnionego sumienia, wytwarzał sobie wyrzuty inne, które go rozczulały. Niejednokrotnie człowiek poczciwy i czuły, ale zajęty nieustającą pracą, nie mając czasu do zajmowania się uczuciami, trzyma na wodzy swe serce przez cały wiek męski i jest tak samo twardym dla innych, jak dla siebie samego; lecz, kiedy starość nadeszła, twarda praca z konieczności ustała, chwile spoczynku się coraz przedłużają, a do tego zjawiły się te i owe nieszczęścia, w starcu rozbudza się serce i staje się często tak tkliwem, jakiem nie było nawet w wieku dziecięcym. Taka tkliwość rozbudziła się teraz w starym Kijasie. Wyrzucał sobie, że, kiedy już tak być musiało, że jego syn miał sobie obrać zawód wojskowy, to on temu winien, że wystawił tak słabą chorągiew, on winien, że go nie zniewolił poddać się pod rozkazy jakiego doświadczonego rotmistrza, on wreszcie winien, że wszystko poszło tak nieszczęśliwie. A nadto jeszcze, jakże się względem swojego syna w ostatnich czasach zachował? Kiedy Tigranes przez dwa miesiące leżał w obozie, on ledwie go dwa lub trzy razy odwiedził, a kiedy wyjeżdżał na wojnę, to nawet go do swej piersi nie przycisnął, a pożegnał się z nim

tak, jak gdyby go za tydzień miał znowu obaczyć. Gdyby mu się ten czas powrócił, ani na chwilęby go nie odstąpił, a nawetby go odprowadził przynajmniej do granicy królestwa. Dziś mu się pamięć tak mąci, że prawie już nie może sobie przypomnieć, jak syn jego w ostatnich czasach wyglądał. Gdybyż go mógł obaczyć choć tylko raz jeszcze w tem życiu!

W chwilach, kiedy Kijas nie męczył siebie wyrzutami sumienia i nie myślał o swoim synu, myślał o sobie. Starość już przyszła. Siły go z każdym dniem opuszczają. Życie się kończy. Jego dom, jego składy kupieckie, jego bogactwa, wszystko stało mu się obojętnem. Nawet i na tem mu nic nie zależy, kto to po nim zabierze. Niech to weźmie Formoza, jedyna po jego synu dziedziczka. Niech Kundrat jego dom dla niej dalej prowadzi, albo niechaj go zwinie i na pieniądze albo na dobra zamieni, nic go to nie obchodzi. Ale co się z nim samym stanie po śmierci?

Kijas należał dawniej do tych ludzi, co się nie zajmują takiemi zagadnieniami. Wiedział, że jest chrześcijańska religja, przyznawał jej wyższość nad każdem pogaństwem, uważał, że religja jest dla ludzi koniecznie potrzebną, pomiędzy jej obrządkami nie znajdował wielkiej różnicy, obowiązków względem swego Kościoła sumiennie dopełniał, na mszę chodził co niedzielę i święto, rzadko się spowiadał, to prawda, ale natomiast bardzo był szczodrym dla swojej cerkwi, dla księży i dla ubogich ludzi przedewszystkiem — a zresztą był tego zdania, że człowiek powinien pracować bez odetchnienia na pożytek dla siebie, dla swojej rodziny i dla swego narodu, nie tracąc czasu na docieka-

nie zakrytych przed nim tajemnic, bo po śmierci stanie się z nim w każdym razie to tylko, na co zasłużył, a czego on żadnem dociekaniem nie zmieni. Taki był jego katechizm i taka filozofja dotychczas i to mu wystarczało zupełnie.

Ale teraz, w tem smutnem usposobieniu umysłu, i widząc już grób otwarty przed sobą, nie mógł na tem poprzestać i zaczął prawdy dociekać. Sam nic nie mógł wymyśleć, bo nie miał ani nauki, ani wprawy do takiego rozmyślania — a jak zaatakował tę kwestję swoim prostym rozumem kupieckim, to mu się zdało, że nawet niema nad czem rozmyślać, bo jest rzeczą oczywistą, że dusza ludzka, dusza bez ciała, dech, tchnienie, nie może żyć po śmierci człowieka. Nawet nie wiedzieć, nacoby się komu przydała, nie mając ani nóg, ani rąk, ani głowy, nie mogąc zatem pracować, ani żadnego przynieść pożytku, ni sobie, ni komukolwiek. Wszelako taki rezultat nie mógł go zadowolić, bo niepodobna mu było pogodzić się z tą myślą, że po nim się nie zostanie nic więcej, jak tylko garść prochu — a i ten proch jeszcze prędzej lub później wiatry rozwieją. Czy to tak być może? A jego rozum, jego wola, jego wewnętrzna istota, tak doskonale siebie świadoma, gdzież się to wszystko wtedy podzieje?

Tej sprzeczności, którą znalazł w samym sobie, nie umiał swoim rozumem rozwiązać. Ale miał trochę książek, które dotychczas czytywał lekko, bez zagłębiania się w myśl ich autorów, raczej dla przyozdobienia swego umysłu, niż dla nauki; teraz więc zaczął je czytać z uwagą i postanowił w nie się zagłębić. Najpierwej wpadło mu w ręce kilka dialogów Platona, które go żywo zajęły, bo

dojrzał w nich człowieka dobrej woli i z szerokim na świat duchowy poglądem. Niezmiernie mu się podobało w Platonie, że przepisuje kupcom umiarkowanie i panowanie nad sobą, a uległość istniejącym ustawom i prawom. On zawsze był umiarkowany we wszystkiem i zawsze się uginał przed prawem, a zatem dopełnił swych obowiązków: Platonby kontent był z niego — i to mu przyniosło wielkie uspokojenie. Natomiast wcale mu się nie podobały trzy dusze Platona, bo mówił sobie, że, jeżeli człowiek ma trzy dusze, to tak właśnie, jak gdyby żadnej nie miał: „Moje trzy dusze się porozlatają każda w swoją stronę, a gdzież ja się zostanę?“

Zaczem odłożył Platona na bok, a wziął Danta do ręki, którego miał w niekompletnym, ale bardzo pięknym odpisie na pergaminie; kawałek „Nieba“ w nim brakowało i kilka pieśni o „Czyśćcu“, ale „Piekło“ było całe od początku do końca. Ktokolwiek, jak wszyscy ludzie, co nie mają wyrobionych własnych przekonań, wierzy w to święcie, co czyta, tego żaden z pisarzy całego świata nie przekona tak łatwo, jak Dante, że dusza ludzka żyje indywidualnie po śmierci człowieka, bo jest ona tam przedstawiona z porywającą potęgą wyższego nad zwykły poziom ludzkiej inteligencji genjuszu i widzi ją oko czytającego, jak wygląda i jak się jej powodzi w niebie, w czyśćcu i w piekle. Sytuacja duszy ludzkiej, zwłaszcza w piekle, jest całkiem nie do wytrzymania; gdyby takie męki miała cierpieć na ziemi, toby w kilka godzin umarła — a przecież i w piekle jest żywa i żyje, nawet całkiem w postaci ludzkiej, na wieki. Kijas się w Dantem jakby na nowo odrodził. Do piekła się nie do-

stanie, bo był zawsze uczciwym człowiekiem. Może mu się co w czyśćcu oberwie, bo, kto narabia łokciem a miarką, ten zawsze się może na szkodę ludzką omylić. Jednak i za to nie on, tylko Kundrat będzie brał basy, bo to on łokciem i miarką manipulował, Kijas sam ich się nigdy nie dotknął. Ale jakkolwiekbądź, dusza ludzka żyje po śmierci, o tem już wątpić nie można — a to jest rzecz kapitalna. Potem wziął jeszcze w rękę kilku pisarzy kościelnych, których miał w kopjach, miał i ewangelje w fragmentach, pisane po grecku, czytał to wszystko pilnie, z rozumieniem i przejęciem się ich autorami, i wszędzie znalazł potwierdzenie tego, co w Dantem wyczytał.

Kijas pod zgryzotami i pod ciężarem starości, prawie nieznacznie, lecz bezustannie, upadał na siłach fizycznych; zgarbił się, zgrzybiał, po wschodach chodził z trudnością, czasem musiał się nawet na kimś opierać, ażeby przejść z jednej komnaty do drugiej; ale wewnętrznie znacznie się uspokoił. Od czasu do czasu, w chwilach pochmurnego humoru, nasuwały mu się jeszcze niejakie wątpliwości, czy dusza ludzka jest nieśmiertelną, i dlatego bardzo lubił o tem rozmawiać. Wkońcu, cokolwiekbądź mu kto przeciwko jego przekonaniom powiedział, zawsze to sobie Dantem rozproszył. Wszelako jeszcze inna go trapiła wątpliwość, na którą w żadnej książce wyjaśnienia nie znalazł, a to czy po śmierci swojego syna obaczy. — Bo jużci dusze są nieśmiertelne, — Tigranes w błyszczącym pancerzu i hełmie, a w płaszczu niebieskim, żółto podbitym, gdzieś sobie tam żyje pomiędzy chmurami; ale czy dusze, na tej niezmiernej przestrzeni, gdzie tyle miljonów gwiazd koło siebie się mie-

ści, a jedna drugiej nie tyka, mogą tak łatwo spotkać się z sobą? To jest rzecz godna głębszego zastanowienia. Miasto Lwów przecie niewielkie, gdzie mu się tam równać do nieba; człowiek codzień na ulicę wychodzi — a przecie czasem i przez cały rok drugiego znajomego nie spotka. Cóż to dopiero musi być w niebie?

Kijas swojemi konwersacjami o nieśmiertelności duszy okrutnie męczył wszystkich swoich znajomych. Z początku zimy znamienitsi mieszczanie, księża, a nawet i przedniejsi żołnierze bardzo gęsto go odwiedzali, raz, aby go z obowiązku przyjaźni w jego ciężkiej żałobie pocieszać, a potem, aby z nim rozumnie pogadać i wypić kubek małmazji. Ale, jak zaczął ich bombardować nieśmiertelnością duszy i swemi zapytaniami, jak też oni to rozumieją, czy on po śmierci potrafi duszę Tigranesa odszukać pomiędzy temi niezliczonemi gwiazdami — tak ich wszystkich wypłoszył. Najzawołańsi bibosze, jak Łopatka, Olizar i inni, woleli się wyrzec najprzedniejszej małmazji, niżeli za każdym haustem brać w łeb Platonem lub Dantem i przyznawać się do tego, że o nich nigdy nic nie słyszeli — a oprócz tego jeszcze słuchać, jaką sarabandę djabli wyprawią ich duszom w czyśćcu i w piekle i na jakich instrumentach będą im do tego przygrywać. Wkrótce też Kijas znalazł się zupełnie osamotnionym; nawet i Kergolaj, nie mogąc się nigdy u Formozy doprosić, aby go u siebie przyjęła, bardzo rzadko się pokazywał; do rozmowy zostali mu tylko Formoza i Kundrat.

Formoza umiała się jego niedorzecznym pytaniom jeszcze jakokolwiek obronić, albowiem pojmując religję z wyższego punktu widzenia i nie

zapuszczając się w bliższe badanie takich artykułów wiary, które w ustach osób świeckich, a nieuczonych przybierają zawsze pozory guseł lub bajek, sprowadzała go do prawd religijno-moralnych, a wreszcie do spraw familijnych i gospodarskich. Miała ona zresztą taką nad nim powagę, że cokolwiek zrobiła lub powiedziała, jeżeli to tylko nie była przesadzona pochwała dla miłego jemu rycerstwa, to zawsze na wszystko się zgodził.

Ale Kundrat był z nim bardzo nieszczęśliwy. Tu już kwiecień się kończy, już trzeba szkuty spławiać Dniestrem do Kaffy, do Kilji i Białogrodu, tu jeszcze ze wszystkich miast zalegają rachunki, tu miejskie sklepy nie mogą dostarczyć towarów, gwar, nieład, nie wiedzieć, komu dać kredyt i jak się pozbyć natrętnych, tu, jak słychać, Wołosza już najechała Pokucie, tu wreszcie Pachna jakieś zdradliwe knuje przeciwko niemu zamiary, zgoła sam nie wie, do czego ma pierwej rękę przyłożyć i jak jego głowa temu wszystkiemu da radę — a tu go Kijas nieraz po całych godzinach prawie trzyma za poły i dyskutuje z nim kwestję nieśmiertelności duszy, tudzież — jeszcze daleko ważniejszą kwestję swojego spotkania się z Tigranesem.

Wszyscy djabli mogliby wziąć człowieka za życia, kiedy się znajdzie w takich tarapatach. Kundrat sobie bardzo mozolnie suszył głowę nad tem, jakiby na to sposób wynaleźć, ażeby zamknąć gębę staremu i przynajmniej na jakiś czas go uspokoić; myślił nad tem i myślił, i nareszcie coś bardzo mądrego wymyślił.

Tego dnia — a było to już w pierwszych dniach

maja — Kijas właśnie go męczył daleko nielitościwiej, jak zwykle, mówiąc:

— Ale ty mnie nie rozumiesz, bo też i nie słuchasz, jak trzeba. Ja tobie o takich ważnych rzeczach powiadam, ty niby słuchasz — a ja widzę po twojej twarzy, że myślisz o czem innem. Pewnie o Pachnie, pożal się Boże. Dusza ludzka jest nieśmiertelną, to jest rzecz pewna. Dusza ludzka żyje i tak właśnie wygląda, jak wyglądała za życia, jeno, zrzuciwszy ciało ze siebie, nie da się chwycić rękami. Jakim sposobem można ją palić rozmaitemi ogniami, kiedy ciała niema, to mi się jakoś nie ochapia, ale musi to tak być, kiedy tak napisano. Cóżkolwiekbądź, zawsze — i to jest rzecz pewna, że możnaby ją widzieć, gdyby tu przyszła, jeno nie wiem, czy kiedy przychodzi na ziemię.

— Przychodzi — rzekł Kundrat głosem stanowczym. — Tych ludzi, co dusze widzieli, nawetby nikt nie policzył.

— I mnie to powiadano, — odpowiedział mu Kijas, bardzo tą sprawą zajęty — chociaż sam nigdy żadnej nie widziałem. Czekajże więc, bo nie o to teraz mi chodzi, tylko o to, czy dusze mogą być tego pewne, że się z sobą spotkają po śmierci. Bo uważasz, mnie dusza Tigranesa, co, jak wiesz, nie miał żadnego grzechu na sobie, a do tego jeszcze i zginął śmiercią męczeńską, pewnie jest w niebie. A ja, uchowaj Boże, ale przecie być może, że się do czyśćca dostanę: a to nie jedna droga. Więc myślę sobie: Czy ja też jego odszukam? Cóż ty o tem rozumiesz?

— A czy ja wiem? — rzecze mu Kundrat. — Trudno to zgadnąć, jak to tam będzie na tamtym

świecie. Jeno to mogę jegomości powiedzieć, że to, co jegomość robisz i gadasz, jest *contra fidem.* Bom ja się tych rzeczy uczył w Krakowie i wiem dokumentnie (bo też i żaden biskup inaczej nie powie), że człowiekowi świeckiemu nie wolno dyskutować artykułów wiary. Jeno, jeżeli ma jaką wątpliwość, tedy powinien poradzić się księdza, a co mu ksiądz powie, w to ma wierzyć — i basta. Jeżeliby zaś dyskutował, tedy już za to samo pójdzie do czyśćca — a tam mu za to daleko lepiej natargają czupryny, niżeli za jaki grzech pospolity; bo, kto dyskutuje, ten wątpi, kto wątpi, ten nie wierzy, a kto nie wierzy, ten grzech śmiertelny popełnia, więc djabeł go za łeb i do czyśćca! A tam go ogniem z tych wątpliwości oczyszczą, co też jest środek pewny i niezawodny.

A na to Kijas:

— Wszelako czytałem u jakiegoś świętego, że *in dubiis libertas.*

— *In dubiis libertas* — rzekł Kundrat — ale to nie jest *dubium,* że dusza jest nieśmiertelna.

— Ależ ja wierzę, — zawołał Kijas — że dusza jest nieśmiertelna i chroń mnie Boże, abym miał o tem najmniejsze powątpienie. Jeno o to mi chodzi, czy się dusze mogą odszukać po śmierci.

— Jegomość tego nie rozumiesz, — rzekł Kundrat — boś się teologji nie uczył. A co tam wasi ormiańscy teologowie o tem popisali, to nawet szkoda i czytać, bo to tam niepomału jest zaprószone kacerstwem. Według naszej teologji, dusza ludzka nie jest przywiązana do miejsca, jak człowiek, bo to jest duch, więc może być wszędzie, gdzie chce. Więc też i niemasz żadnego szukania. Ja to jegomości wytłumaczę: Przypuśćmy na ten

przykład, — co nie daj Boże! — że jegomość umierasz, więc Tigranes, co o tem wie, — bo dusza wie wszystko — a co jegomości tak kochał, już jest przy jego łóżku i czeka — a jak jegomość duszę ze siebie wypuścił, więc zaraz obydwie dusze się widzą i idą sobie razem, gdzie chcą.

— Więc on i teraz tu jest? — rzecze Kijas, zamyślając się nad tem.

— Jużci jest, jeżeli chce, jeno, że go nie widzimy.

Więc Kijas mocno nad tem się zastanowił, a potem rzekł:

— Widzisz, widzisz, mój Kundrat, jak to każda rzecz na tym świecie ma dwie strony, często całkiem sprzeczne ze sobą. My, ludzie pracy, mamy tę zaletę, że przynosimy sobie, naszym współbraciom i całemu królestwu pożytek, ale mamy tę wielką wadę, że bezustanną pracą zajęci, nie myślimy o duszy. Tak mnie dopiero na starość przychodzi się uczyć tych rzeczy, o których powinienem był myśleć codzień przez całe życie...

Poczem się znowu przez chwilę namyślił, westchnął głęboko i rzekł:

— Nie wątpię ja o tem, że, jeśli łaska boża będzie po temu, to go obaczę po śmierci, ale przecieżbym go chciał widzieć, nim umrę. Czy nie masz na to jakiego sposobu? Trzebaby się o to zapytać jakiego księdza...

Kijas się oczywiście obawiał, że pójdzie do czyśćca. Zaczem Kundrat powiedział mu, patrząc tryumfującym wzrokiem na niego:

— Jużem ja się o to wypytał.

— Wypytałeś się? — zawołał Kijas. — A nic

nie powiadasz. Powiadajże mi, co wiesz. Ja myślę, że każdy ksiądz może duszę wywołać.

— Może, — rzekł Kundrat — jeżeli chce; ale nie chce — i w tem właśnie jest trudność. Mówiłem ja o tem z kilkoma księżami, ale wszyscy mi odmówili, składając się Pismem. Niektórzy mnie nawet wytuzowali, — a niech to pomiędzy nami zostanie — ale uważam to za prawdziwy cud boży, że mi się przytem jeszcze co nie oberwało. Albowiem, widząc, że z naszymi księżami się nie mogę dogadać, choć, mówiąc z nimi, miałem zawsze kiesę przy sobie, wezwałem Pana Boga na pomoc i poszedłem onegdaj do naszego księdza arcybiskupa. Pan to wielki, głowę nosi wysoko, chudy pachołek przy nim czuje się ledwie maleńkim robaczkiem; alem sobie myślał, że ks. arcybiskup bywa czasem u jegomości, zawsze łaskaw jest na nas, więc się może nad nami zlituje. A miałem szczerą intencję, kiedyby o złote węgierskie na kościół chodziło, obiecać choćby i sto, a choćby i więcej, i nawet potem dotrzymać, bom wiedział, że jegomość złota pewnie nie pożałujesz.

— Dobrześ zrobił — rzecze mu Kijas — wiesz, że mi o złoto nie chodzi.

— Ba! „Dobrześ zrobił!“ — powiadał Kundrat dalej. — Źlem zrobił. Albowiem, słuchaj jegomość, co mi się stało. Kiedym się ks. arcybiskupowi w jego pałacu pokłonił, przyjął mnie bardzo łaskawie i rzekł mi: — „Panie notarjuszu lonherji, cóż mi tam dobrego przynosisz? Czy nie namyśliłeś się wreszcie i czy nie przychodzisz prosić o pozwolenie na ślub i dać kiesę złota na zapowiedzi? Boć wiem ja dobrze, kędy żonka ci pachnie, a tak mi się zdaje, że już wielki czas jest po temu“. — Tak

mnie to nawet najwięksi panowie kochają i wszyscy życzą mi Pachny. Ale, kiedym mu się raz jeszcze pokłonił i opowiedział, jako jegomość chorujesz na śmierć swego syna i pewnie umrzesz na tę chorobę (takem mu to umyślnie powiedział), więc, żeby rozkazał księżom jego duszę wywołać, bo tylko to jedno mogłoby jegomości dawne zdrowie powrócić, — więc ksiądz arcybiskup zerwał się na równe nogi i wyrósł tak wielki, że głową się oparł o pułap, a takim srogim gniewem zapłonął, jak gdyby samega antychrysta obaczył, i zawołał takim głosem, że aż się podłoga pode mną zatrzęsła: — „Durniu jeden! Kołtunie! Kacerzu! Won! Za drzwi! A jak mi się tu jeszcze raz z taką suplika pokażesz, to każę cię wziąć moim żołnierzom, a oni ci tyle wsypią batogów, że dusze twoich wszystkich pradziadów obaczysz, jeżeli ich miałeś!“ — I jeszcze coś tam dalej grzmiał za mną, ale jam już tego nie słyszał, bo, prawdę mówiąc, dusza w pięty mi poszła od strachu, więc przycupnąłem do ziemi i w nogi... Nawet i sam nie wiem, jakem się tam bez szwanku przecisnął przez tych drabów arcybiskupich, co w pancerzach i hełmach, z rohatynami w ręku, a z różańcami u pasa, zalegają tam wszystkie korytarze i schody. Szczęście, że mi się noga nie pośliznęła, bo, jako to ci rycerscy hultaje zawsze są okrutnie łakomi na skórę mieszczańską, byliby mi pewnie dali takiego łupnia, żebym był pradziadka obaczył, jako więc sam arcybiskup mi w swojej łasce powiedział. A że i brama była otwarta, więc ja chlust na ulicę — i jakoś nic mi się nie stało. Jenom w tym pośpiechu mojej aksamitnej czapki kędyś odbieżał, nie wiem, czy na pokojach, czy też na schodach;

dwa czerwone złote mnie kosztowała, oni ją pewnie za dwa szerokie grosze przepiją; ale trudnoż, miałem za nią wracać między tych rozbójników...

Więc Kijas mocno się nad tem zamyślił, a potem rzekł sentencjonalnie:

— Gdzie kto kij podniesie, waść zawsze swoich pleców nadstawisz. Człowiek z ciebie niby rozumny, ale miewasz głupie koncepty, właśnie jako to mówią: „W butach chodzi, a bose ślady robi". Poco tobie było chodzić z tem do arcybiskupa? Myślałeś, że go wzruszysz mojem zmartwieniem, a nie zastanowiłeś się nad tem, że i ja i cały mój dom i cała moja rodzina, to okrutne bzdurstwo u niego. To rycerz i biskup, a ja mieszczanin, dalej ode mnie do niego, niżeli od ziemi do słońca. Takie nam czasy nadeszły. Cóż robić? Łokciem a miarką nie pobijesz ani miecza, ani krzyża, a cóż dopiero, jeżeli krzyż i miecz w jednych znajduje się ręku. A jeśli myślisz, że w nich respekt obudzisz twojemi pieniędzmi, to i w tem się mylisz. Bo — najprzód — mają oni dóbr daleko więcej, niżeli my, — a potem — mają przecie garść swoją, tak silną, że taki kupczyk nie miałby czasu ani ziewnąć, kiedyby się jej dostał pomiędzy palce. Głupstwoś zrobił, mój bracie, żeś z tem poszedł do arcybiskupa. Mniejsza tam o to, że ci strachu napędził, boś już z niego ochłonął, a konfuzja się zczasem zapomni. Ale to źle, że teraz już trudno będzie znaleźć takiego księdza, coby nam duszę Tigranesa wywołał.

Ale Kundrat rzekł na to wesoło:

— A ja przecież takiego znalazłem i mogę jegomości zapewnić, bo się też na tem znam, jak potrzeba, że jest lepszy do takich rzeczy od

wszystkich. Znałem ja jego już dawniej, bo był u Tigranesa w obozie, alem się dopiero teraz dowiedział, jaką ma moc nad duszami. Nazywa się ksiądz Biały, albo też Wara, bo i tak go wołają. Jest księdzem, jak trzeba, ofiarowano mu już rozmaite probostwa, a nawet kanonje, ale nie przyjął, bo pielgrzymstwem się bawi, co roku jest w Rzymie i Ziemi Świętej i tam ze świętymi obcuje. Jakich już rzeczy dokazał, o tem się nie można dosyć nasłuchać. On Kmicic na Sobniu, co zabił dwóch chłopów, chociaż tem dwa grzechy śmiertelne popełnił, absolucję wyrobił i teraz Kmita jest, jak każdy inny człowiek, bez grzechu...

Na to opowiadanie obudził się w nawróconym Kijasie jego człowiek dawny, trzeźwy i tylko w to wierzący, co widzi, i rzekł:

— Jeśli to był odpust pisany, to takich rzeczy w dzisiejszych czasach i za pieniądze dostanie.

— Ale gdzież tam! — zawołał Kundrat i opowiedział mu, jak to było, że na znak, jako jego grzechy są odpuszczone, kapłon pieczony zatrzepotał skrzydłami i zapiał. A Kijas na to z bolesnym uśmiechem na twarzy.

— Jeśliby tego kapłona było upieczono w mojej kuchni, to ręczę ci za to, że nie byłby zapiał.

Wszakże Kundrata, jako człowieka przekonanego, takie uwagi niecierpliwiły, zaczem rzekł:

— Było przy tem więcej, niżeli dwadzieścia osób, więc niema co oponować. A zresztą Kmita ofiarował Warze probostwo na Lesku, a Wara nie przyjął, więc nie godzi się go podejrzywać o żadne nieuczciwości. Ale to jeszcze nic. Albowiem tenże sam Wara, będąc w przyjaźni z Wilczkiem, uprosił to u Pana Boga, że Gniewosz zginął... Gdybym

to był wiedział, byłbym Kergolaja zarekomendował jego modlitwom. Owo więc: że Gniewosz zginął i że stara Gniewoszowa umarła, a potem sam dał ślub Wilczkowi.

— On to jemu dał ślub? — rzecze Kijas. — Ale to tam różnie mówią o tym ślubie. I podobno dlatego Wilczek jeszcze nas nie odwiedził, chociażeśmy mu przyjaciółmi, a jego żona bliska krewna pani Formozy...

— Jegomość bałamucisz cokolwiek — powiedział mu Kundrat, nabierając coraz więcej odwagi wobec zrozpaczonego starca. — Przecież sam byłem niedawno na zamku tustańskim i mówiłem jegomości, jako Wilczek mnie prosił, abym jegomości powiedział, że dlatego jeszcze się do nas nie wybrał, że on jest w szczęściu, a u nas żałoba, że się więc ekskuzuje, ale później przyjedzie. A potem słabość pani Wilczkowej, maleńkie dzieciątko w domu i co tam dalej, jegomość wiesz.

— Prawda, prawda, — rzekł Kijas — widzisz, jak to ja już nie mam pamięci. Więc tedy cóż tam ksiądz Wara? Wywoła duszę mojego syna?

— Wywoła. Ale...

— Ale pewnie chce być wynagrodzonym.

— Chce kiesę złota, w której ma być sto czerwonych złotych węgierskich.

— To daj mu.

— Obiecałem, ale...

— Ale i to mu za mało. To daj mu dwie kiesy. Co mi tam na tem! Byle mi syna wywołał, bylem już wiedział napewno, że jest w niebie i bylem się mu wytłumaczył, dlaczegom zwłok jego jeszcze dotąd do kościoła nie przeniósł, bo mi to okrutnie cięży na sercu.

— Nie — rzecze Kundrat — jedna kiesa wystarczy.

— Więc jedna, ale spodziewam się po tobie, że przecie z nim zawrzesz umowę, że tylko wtedy kiesę dostanie, jeżeli ja duszę mojego syna obaczę.

— To się rozumie. Umowa już zawarta w tych samych słowach, na com mu też wydał cyrograf.

— Więc o cóż jeszcze idzie? Więc niech jeszcze dziś tu przychodzi i niechaj duszę zawoła!

— Nie tak to ma się odprawić, — rzekł Kundrat — bo duszy tak zawołać nie można, jak jakiego pachołka. Więc najprzód, Wara tutaj nie przyjdzie. On mieszka na Krakowskiem przedmieściu pomiędzy żołnierzami, z którymi ma komitywę, do miasta się pokazywać nie może, bo go tu księża nie lubią za to, że cuda robi lepsze, jak oni. Potem duszy wywołać gdzie indziej nie może, tylko z własnego jej grobu, więc będziemy musieli pójść na cmentarz.

— Jabym i do Krakowa pojechał, — przerwał mu Kijas — to mniejsza.

— Potem, nie może jej zaraz wywołać, — powiadał dalej Kundrat — bo się o to modli do św. Stanisława biskupa, a jeszcze sobie odpowiedzi nie wymodlił.

— Więc zaczekamy.

— A wreszcie jest jeszcze inny warunek. Oto jegomość masz iść do spowiedzi i oczyścić się z grzechów, bo człowiekowi grzesznemu dusze się nie pokazują, chyba, żeby go za uszy wytargać za winy, które przeciw nim popełnił. A po spowiedzi masz jegomość chodzić codzień do cerkwi i modlić się, a wciąż myśleć o swoim synu, ażeby też wiedział, że jegomość pragniesz go widzieć. A po-

tem ta rzecz tak się odbędzie: w dzień oznaczony przez Warę, na godzinę przed północą, pójdziemy na cmentarz i tam Wara Tigranesa z grobu wywoła, jegomość go na własne oczy obaczysz, ale nie będziesz się z nim wdawał w żadne dyskursy. Jednak, kiedy wrócisz do domu, Tigranes się jegomości pokaże nad łóżkiem, a wtedy będziesz się mógł z nim nagadać dowoli.

Kijas nad tem trochę pomyślał, a potem tak odpowiedział:

— Słysz, Kundrat! Gdyby mi to arcybiskup powiedział, albo nieboszczyk o. Chryzostom, tobym na ślepo uwierzył. Bo jużci dusze żyją na tamtym świecie, o tem żaden chrześcijanin nie może wątpić, a już sam rozum mówi, że, kiedy żyją, to mogą się pokazywać. Ten twój ksiądz Wara jest mi podejrzany cokolwiek, zwłaszcza, że pielgrzymuje, bośmy tu już takich pielgrzymów i do turmy sadzać musieli, — prawda, że każdy z nich się jakimś cudem z turmy wyłamał — ale powiadam sobie: Co mi to szkodzi? Wywoła Tigranesa, to dobrze, a jeśli go nie wywoła, to sobie spokojnie wrócimy do domu. Ja duszy nie obaczę, on kiesy nie dostanie, dla niego i dla mnie będzie to *lucrum cessans,* ale nie *damnum emergens* i na tem wszystko się skończy.

Na tem także skończyła się ich dzisiejsza rozmowa.

Nazajutrz dzień Kijas szedł do spowiedzi i potem codzień raniutko chodził do cerkwi i dopiero koło południa powracał. Zniepokoiło to cokolwiek Formozę, a to tembardziej, ile że teść jej dawniej nigdy nie był tak bardzo nabożnym, teraz zaś nie-

tylko że się modlił tak pilnie, ale nadto bywał tak zamyślonym, że czasem trzeba było kilka razy do niego przemawiać, nim się dorozumiał, o co go zapytywano. Zaś jak się rozgadał, to nie było mu końca i opowiadał takie rzeczy o duszach ludzkich, o niebie, o czyśćcu i piekle, jakich nigdy od niego nie słyszano. Formoza, zawsze rozsądna, choć tak głęboko przytłumiona żałobą, uważała to za znak jakiś niedobry, bardzo się tem zajęła i usiłowała dowiedzieć się od Kundrata, co on o tem rozumie. Ale Kundrat miał z Kijasem umowę, że jej ani słówka o tem nie powiedzą, co się przygotowuje, bo obydwa wiedzieli, że ona nigdyby na to nie zezwoliła, ażeby w jakibądź sposób niepokojono dusze umarłych.

Kijas, choć niby Warze nie ufał, przecież z każdym dniem więcej się niecierpliwił; ale nareszcie nadszedł dzień św. Stanisława biskupa i Kundrat już przybiegł zaraz zpołudnia, ażeby zapowiedzieć Kijasowi, jako mu Wara właśnie oznajmił, że dzisiaj w nocy duszę Tigranesa wywoła. Dziś — mówił Wara — sam św. Stanisław mu się objawił i powiedział mu, że dziś, w dzień swoich imienin, pozwoli Tigranesowi, aby się swemu ojcu pokazał.

Wara powiedział także Kundratowi, że ma ciężkie zmartwienie, bo ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedział się, że Tigranes jest w czyśćcu. Ot, jacy to ludzie są na tym świecie! Kto go znał, byłby przysiągł, że tam najmniejszej skazy niemasz na jego duszy, a tu tymczasem tyle się nagrzeszyło, że nawet i pal męczeński nie pomógł i trzeba było skąpać się w czyśćcu. Nic to nie szkodzi. Tylko Wara zapowiada zgóry, iż z tego powo-

du dusza Tigranesa pokaże się tak, jak jest w czyśćcu, w ogniach i dymach, więc żeby się tego nie przestraszyli.

Kundrat nie chciał martwić zacnego ojca i nie powiedział mu tej fatalnej nowiny, tylko, rozmawiając z nim o tem przez całą godzinę, wspomniał mu nawiasowo, że dusze rozmaicie się objawiają: czasem w chmurze, a czasem w ogniu i dymie. Kijas nielitościwie męczył Kundrata, ażeby mu wszystko szczegółowo wyłożył, co mu powiadał Wara; Kundrat byłby rad jaki pozór wymyślił, aby się wymknąć z tej inkwizycji, ale nic mógł, bo było to święto, wszystkie składy i sklepy pozamykane i nie można było zmyślić jakiej roboty, jednak na szczęście pod wieczór Kergolaj, który właśnie wczoraj znów do Lwowa przyjechał, przyszedł z odwiedzinami i konwersacja się odwróciła do innych przedmiotów.

Zaproszono go, aby został na wieczerzy; przyszła także Formoza. Kergolaj od czasu wojny dziś po raz pierwszy obaczył Formozę, usiłował ją, ile możności, rozerwać, opowiadał rozmaite ciekawe historje i wieczerza się długo przeciągnęła, Kundrat bardzo kontent był z tego. Po dziesiątej na półzegarzu Formoza pokłoniła się i odeszła do swoich pokojów; ale Kergolaj został, pił małmazję wielkim puharem, był dobrej myśli, rozgadał się i ani myślał odchodzić. Już pół do jedenastej, już jedenasta się zbliża, a on jeszcze wciąż pije i gada. Kijas i Kundrat coraz więcej się niecierpliwią, już się kręcą na krzesłach, już siedzą jakby na węglach, rzucają oczyma na siebie, nie wiedząc, co począć, aż wreszcie porozumiewają się z sobą i decydują, że niemasz innego sposobu, tyl-

ko trzeba Kergolajowi powiedzieć, że muszą wyjść, bo mają duszę Tigranesa obaczyć.

— Duszę Tigranesa! — zawołał Kergolaj. — To ja pójdę z wami. Widziałem ja dusz niemało, niektóre z nich dały mi się dobrze we znaki, ale mnie przecie nie zjadły. Tigranesa zaś bardzo rad będę oglądał, bom go też kochał, jak brata.

— Waszmość dusze widywałeś? — zapytał Kijas ciekawie.

A Kergolaj na to wziął go rękami za obydwa ramiona, spojrzał mu w oczy i rzekł:

— Panie Epaminondas! Masz ty jeszcze dość gęstą czuprynę, ale przecie ci powiem, że nie masz ty tyle włosów na głowie, ile ja dusz w mojem życiu widziałem. Są między niemi niektóre okrutnie złośliwe, co jak ci w nocy siędą na piersiach, to i sapnąć nie możesz i jużeś jest pewien, że cię uduszą; zerwiesz się z łóżka i uciekniesz, — one gonią za tobą i nie uwolnisz się od nich, aż sobie łeb na jakim kamieniu rozbijesz. Wtedy znikają; ale przecie nie słyszał, ażeby kogo na śmierć zamęczyły — a widzieć je zawsze to rzecz bardzo ciekawa, choć się przytem jakiego guza oberwie.

— Tym razem żadnego guza nie oberwiemy, — rzecze mu Kijas z uśmiechem — boć mój syn przecie nam nic złego nie zrobi.

Zaczem szli wszyscy trzej jak najlepszej myśli na cmentarz.

Było to właśnie dni kilka po pełni, noc była pogodna, lecz ciemna. Światła we wszystkich oknach były już pogaszone. Przez wąskie ulice miasta przeszli bez żadnej przeszkody, bo je znali dokładnie. Wyszedłszy za bramę, trochę trudniej im było, ale Kundrat znał drogę. Tak minęli ko-

ściołek N. Panny Marji i weszli na cmentarz. Kundrat zalecał ostrożność, bo tu i owdzie znajdowały się groby pozapadane, inne sterczały wysoko nad ziemię, a być może, że tu i owdzie dopiero wczoraj jaki świeży grób wykopano, o czem nie można było wiedzieć napewno. Zaś między grobami sterczały krzyżyki i rosły krzaczyska, które trzeba było wymijać.

Grób Tigranesa, pielęgnowany staranniej, także się zapadł cokolwiek na wiosnę, ale był obsadzony gęstą krzewiną. Choć było ciemno, Kijas już o trzydzieści kroków go poznał.

Tu się też zatrzymali — a Kundrat, nie bez strachu, bo tak dygotał zębami, że można było je słyszeć, poszedł ku temu grobowi, ażeby powiedzieć Warze, że Kijas już jest i czeka.

Kergolaj był w złotym humorze, bardzo go ta wyprawa bawiła, jakoż usłyszawszy, jak Kundrat zębami klekotał, rozśmiał się głośno i rzekł do Kijasa:

— Owo rycerz od łokcia i miarki! Jeszcze nic nie obaczył, a już go tłucze zimnica.

Ale Kijas, przejęty ważnością chwili, kiwnął ręką na niego, ażeby milczał.

W tej chwili Kundrat zniknął — a niebawem dały się słyszeć szepty za krzakami, które się przedłużały. Kergolaj zapytał Kijasa:

— A z kim to tam Kundrat rozmawia nad grobem? Bo jakoś mi się to nie podoba.

Ale Kijas, nie odwracając oczy od grobu, ścisnął go mocno za ramię, dając mu znowu znak tym sposobem, ażeby milczał.

Na to przybiegł Kundrat, ciągle dygocąc zębami, i rzekł szeptem do Kijasa:

— Postąp jegomość naprzód.

Kijas postąpił naprzód, a Kundrat wziął Kergolaja za rękę, zatrzymując go w miejscu i prawie się opierając o niego.

Kergolaj się trochę odsunął i chciał Kundrata od siebie odtrącić, bo mu widok zasłaniał, ale w tej chwili dał się słyszeć okrutny szelest za krzakami i głos się odezwał:

— Ojcze mój! Ojcze!

Był to oczywiście głos Tigranesa, głos przytłumiony, jęczący, jak gdyby się wydobywał z pod ziemi.

Wszystkich dreszcz przeszedł.

Kergolaj uczuł się także wzruszonym, otworzył usta, dech zaparł i wytężył wzrok w te krzaki, skąd się ten głos odezwał.

Kundratowi wszakże mdło się zrobiło, obejrzał się koło siebie, ustąpił na bok o kilka kroków i wlazł w gęste krzaki, które tam stały, przycupnąwszy do ziemi.

Jeszcze jedno okamgnienie — a wtem na grobie Tigranesa pomiędzy krzewami buchnął ogromny ogień, właśnie jak gdyby garniec strzelnego prochu się spalił, jasny płomień olśnił oczy patrzących, iskry całemi snopami wystrzeliły do góry i chmury białego dymu osiadły na grobie, podnosząc się zwolna w powietrze.

Kijas złożył ręce przed sobą i zawołał:

— Synu mój! Synu!

Zapewne w tej chwili duszę Tigranesa obaczył.

Kergolaj jeszcze mocniej oczy wytężył i nic nie widział — a w tym momencie dał się słyszeć strzał z potężnego muszkietu kędyś poniżej cmentarza, w kierunku Niskiego zamku.

Kergolaj ten strzał doskonale usłyszał i odwrócił się w tę stronę, wytężając oko i ucho; ale w tej samej chwili ziemia zaczęła tętnić w stronie przeciwnej.

Kergolaj, mając ucho niezmiernie wprawne do takich rzeczy, poznał natychmiast, że od góry Piaskowej puściła się kłusem konnica, właśnie jak gdyby w kierunku cmentarza. Słuchał przez chwilę, lecz, kiedy galop usłyszał, nie namyślał się długo, tylko wlot na bok uskoczył, usiłując się przedrzeć przez krzewy i wybiec z cmentarza.

Ale, choć bardzo był szybkim w swych ruchach, już było za późno. Konna chorągiew, złożona z czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi na ciężkich koniach, przeleciała galopem, jak burza, przez cmentarz i popędziła na dół ku Niskiemu zamkowi. Kergolaj został obalony końskiemi piersiami, padł zaczmielony na ziemię, a chorągiew przeleciała ponad nim, jak wiatr.

Jednak rycerz, przyzwyczajony do takich wypadków, zaraz wrócił do przytomności. Na swoje szczęście, porwany tylko skrzydłem tej konnicy, odleciał na stronę i wpadł w grób zapadnięty, zaczem czuł tylko kontuzję, lecz, obmacawszy się, znalazł, że żadnej rany nie odniósł. Wylazłszy więc z grobu, rozejrzał się naokoło i pomyślał nad tem, co to się stało.

Według jego przekonania, była to oczywiście jakaś zmowa na niego. Mieszczanie się zszepnęli przeciwko niemu i wprowadzili go w matnię. To ten drab Kundrat, coby go za Pachnę w łyżce wody utopił, to wszystko ułożył — a on taki głupi, że się dał złapać...

Tak sobie mówiąc, zaczął się rozglądać po

cmentarzu. Cisza była w tej chwili, jak na polu śmierci śród nocy. Księżyc wypłynął na niebo i zaczął po cmentarzu swe światło rozlewać. Światło było słabe, lecz dostateczne, ażeby taki rycerz, co i w nocy widzi, jak kot, mógł dobrze rozeznać przedmioty. Kergolaj chciał dojść do grobu Tigranesa i obaczyć na własne oczy, jakie to ognie tam się spaliły. Lecz, idąc, spostrzegł Kundrata, przycupniętego w krzakach, którego właśnie te krzaki ocaliły. Tego mu też było potrzeba. Kergolaj był także chytry, jak lis, więc rzekł po przyjacielsku do niego:

— Wyłaźno, panie bracie, z tych krzów, teraz przecie już nic ci się nie stanie.

Kundrat kontent, że przecież się jakaś żywa dusza zjawiła, wylazł z gęstwiny i rzekł wesoło:

— Jacyś konni tu przelecieli przez cmentarz, pewnie duchy djabelskie, ale Kundrat nie głupi...

Jednak jeszcze tych słów nie dokończył, kiedy Kergolajowi zaokrągliły się oczy, porwał go lewą ręką za piersi, podniósł wgórę, jak łątkę, i srogim głosem zawołał:

— To ty, hultaju, wprowadziłeś mnie w taką pułapkę! Bekniesz ty za to twoją duszą djabelską!

A to mówiąc, podniósł swoją drapieżną prawicę do góry i oczywiście chciał go bić w papę.

Ale kiedy Kundrat, wiszący w powietrzu, tę straszliwą prawicę nad sobą obaczył, zwiądł, jak powismo, przymknął oczy, a w jego wnętrzu coś tak okrutnie zabulkotało, właśnie jak gdyby jakiś grzmot mu przeleciał po kiszkach. Bardzo przestraszył się nieboraczek.

Jednakże Kergolaj, w gruncie serca dobre chłopisko, kiedy ten grzmot wewnętrzny usłyszał, roz-

śmiał się w głos i rzucił go, jak czapkę, na ziemię, mówiąc:

— Masz dosyć i na tem.

A to rzekłszy, spokojnym krokiem precz poszedł z cmentarza.

Kundrat leżał przez długą chwilę z zamrużonemi oczyma. Już mu się zdało, że zamiast duszę Tigranesa obaczyć, swoją własną wypuścił. Dopiero po chwili wrócił do przytomności.

Ale wtedy usłyszał głosy opodal, zerwał się więc na równe nogi — a obaczywszy jakichś ludzi idących z latarniami w tę stronę, szedł ku nim śmiało, będąc pewnym, że mu pomogą starego Kijasa odszukać.

Jednak ci ludzie, jak tylko jego spostrzegli, rzucili się, jak opętani, ku niemu, jeden go porwał za lewe, drugi za prawe ramię, a trzeci za kołnierz i kiedy mu czwarty zaświecił w oczy latarnią, piąty krzyknął nad nim takim okrutnym głosem, że wszystka krew w nim zamarzła:

— To ty, złodzieju, miewasz tu schadzki z tymi rabusiami i ty im odkupujesz porabowane towary! Poczekaj! Znajdzie się tu w starostwie szubienica na ciebie, choć jesteś notarjuszem lonherji!

Kundratowi znowu się w oczach zaćmiło. Nie miał ani przeczucia, coby to miało znaczyć i coby to byli za ludzie. Zdało mu się, jakoby tak wołał na niego Łopatka, bo wołał z ruska, ale nie mógł dopuścić, ażeby pan, zawsze tak grzeczny, traktował go tak niegrzecznemi słowami. Jednak w tem inny zajrzał mu w oczy — a to był Olizar — i rzekł:

— Ja ciebie zawsze miałem za wielkiego zło-

dzieja, ale przeciem nie myślał, żebyś ty handlował zrabowanym towarem.

Kundrat dopiero teraz zrozumiał, że się znajduje na gruncie jurysdykcji starościńskiej, z którą nie można było żartować, bo to tam szubienica jest zawsze nagotowana, a biedny człowiek, jeszcze się ledwie dowiedział, za co go wzięto, już wisi. Były też ciągłe spory pomiędzy starostą a miastem, a każdy mieszczanin unikał, jak morowej zarazy, aby się nie dostał w drapieżne pazury drabów zamkowych. Wszystko to przeleciało teraz, jak błyskawica, przez głowę Kundrata i zdjął go strach wielkooki. W tym strachu rzucił się na kolana przed Łopatką i, trzęsąc się cały a płacząc, zaczął się przed nim tłumaczyć. Urywanemi słowy i z wielką trudnością, lecz przecie mu opowiedział, dlaczego tak późno w nocy znajduje się na cmentarzu i że sam Kijas zaświadczy, jako to prawda, — trzeba go tylko odszukać. Na to Łopatka obrócił się do Olizara i rzekł:

— A widzisz, com ci powiedział, że tu dusze chodzą po tym cmentarzu.

Ale Olizar patrzał bardzo gniewnemi oczyma na Kundrata i odpowiedział:

— Dusze to co innego. Ale to nie jest dusza, jeno Niemiec a kołtun, co wszyscy znamy jego kabały, jakie na naszych rycerzy zastawia, zaś całe miasto go zna z jego drapiestwa. Oszukuje na miarze i wadze, a już niejednego puścił lichwą z torbami. Jak skoroś go złapał na gorącym uczynku, to go każ przypiąć do szubienicy, bo i tak już cię te miejskie kołtuny za nic nie mają.

Łopatka może się chwiał w swojem sumieniu, lecz odpowiedział groźnie:

— Jużci ja z takiej obławy nie wyjdę z próżnemi rękami, a ten Niemiec nałoży szyją, choćby też dla przykładu. Jeno przecie chciałbym wiedzieć napewno, poco ten drab tu chodził na cmentarz po nocy.

— Co go tam będziesz pytał! — zawołał Olizar — Poco tu chodził? Kraść chodził — a wszystko, co on ci powie, to brechnia. Ten szelma tak łże, że i księdza na spowiedzi obełga. Na hak z nim przed świtem, bo i tego nie godzien, aby go słońce zastało żywego.

Bardzo więc krucho już było z Kundratem. Już w nim nie grzmiało, jeno oczy zaszły mu białkiem, a dusza siedziała mu na ramieniu. Już nie dygotał zębami, jeno się trząsł całem ciałem, jak gdyby go z pod lodu wyjęto. Ale go Frąc wyratował.

Albowiem Frąc już od chwili stał za Łopatką i przypatrywał się tej tarapacie, w jakiej się Kundrat znajdował. A jako to swój zawsze trzyma za swoim, teraz się naprzód wysunął i rzekł z niemiecką powagą:

— Nie trzeba go wieszać bez inkwizycji. Jeżeli się bowiem wywiedzie, że tu przyszedł z Kijasem, ażeby duszę Tigranesa obaczyć, to oczywiście niewinien.

I zaraz się zbliżył do niego i spytał:

— Gdzież Kijas?

Zaczem Kundrat odetchnął, spojrzał wdzięcznemi oczyma na Frąca i opowiedział im jeszcze raz, jak to było.

Więc wszyscy szli szukać Kijasa.

Szukali go długo i znaleźć nie mogli. Kundrat już był w rozpaczy i mówił:

— Nic wiedzieć, gdzie się zaprószył w tym

strachu pomiędzy końmi. Zapewne się ratował ucieczką i poszedł do domu. Jeżeli więc nie dziś, to jutro wam zezna. Zresztą i pan Kergolaj był tutaj z nami, a świadectwo takiego rycerza przecież u pana starosty coś znaczy.

A wtem krzyknął jeden z żołnierzy:

— Ot, jakiś człowiek tu leży.

Wszyscy się zbiegli w to miejsce, przyświecili latarnią i wszyscy zaraz Kijasa poznali.

Leżał on rozciągnięty na plecach, z rozkrzyżowanemi ramiony i nie ruszał się wcale. Rany żadnej na nim nie było, tylko na jego czarnych aksamitnych sukniach widać było błotniste ślady kopyt końskich i suknia była w jednem miejscu rozdarta. Natomiast wszakże twarz jego wyglądała okropnie. Albowiem cera na niej była żółtawo-blada, jak stary pergamin, pod którym ani śladu krwi niema, oczy miał otwarte i w słup obrócone i gębę miał rozwartą. Ten strach, który go objął, kiedy go nagle z ogromnym rumorem najechała konnica, odbił się na jego twarzy i zakrzepł, jak gdyby go śmierć zamroziła.

Olizar pochylił się nad nim, potrząsł go, ale Kijas się nie obudził. Zaczem Olizar rzekł:

— Poszedł *ad patres*, chyba, że na dzień sądny się zbudzi.

Kundrat zacisnął obydwie ręce przed sobą na piersiach i wpatrzył się wytrzeszczonemi oczyma w martwą twarz swego patrona.

A wtedy już nie strach, ale zgroza jego duszę przejęła, w której też skostniał, bo już sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Pod tem wrażeniem zaczął drżeć na całem ciele, bo mu straszliwa myśl przeszła przez głowę, że

go teraz pewnie uznają winnym tej śmierci i bez sądu powieszą.

Wszyscy obecni także byli przejęci żalem za tym poczciwym człowiekiem i przez chwilę milczeli.

Dopiero Olizar ich zbudził, bo przystąpił do Kundrata, trącił go pięścią w ramię i zawołał:

— To ty, kołtunie, wyprawiłeś tego człowieka na tamten świat! Czy słyszał kto kiedy, ażeby takiego starego dziada prowadzić o północy na cmentarz? Ty duszę chciał wywoływać?... A czy to ty jesteś czarownik, czy cudotwórca? Ty jego tu zaprowadził, aby go zabić. Dałbym ja tobie pierwej pięćset batogów, a dopiero potem założyłbym ci stryczek na szyję.

Jednak Łopatka, chłop w gruncie rzeczy dobrego serca, a do tego nie głupi, inaczej osądził tę sprawę. Z jednej strony żal mu było starego Kijasa, w którego gościnnym domu był zawsze kubek małmazji dla niego, a z drugiej nie zdało mu się, aby to było rzeczą roztropną rozgłaszać przed całym światem, że zamkowa konnica, wyprawiwszy się na złodziejów, nie tylko, że nie schwytała ani jednego złodzieja, ale jeszcze roztratowała niewinnego człowieka i tak zacnego obywatela. Zaczem odwrócił się do Kundrata i spytał:

— Nacóż ty chciał wywoływać tę duszę?

— Bo Kijas mi spokoju nie dawał — odpowiedział mu Kundrat ze łzami w oczach, a kłaniając się nisko — i zawsze mi mówił, że dopiero wtedy go na jakiś czas uspokoję, jeżeli to zrobię, ażeby duszę swojego syna obaczył.

— Jużci duszę swojego syna obaczył — rzecze Łopatka — może się nią nacieszyć dowoli, aleś go

też uspokoił na zawsze. Jakże ty teraz rozumiesz? Dlaczego Kijas umarł tu na cmentarzu?

— Jużci go roztratowali żołnierze — rzekł Kundrat.

— A co ty powiedział, gałganie! — krzyknął na niego okrutnym głosem Łopatka. — A gdzie ty tu widział żołnierzy? Tu żadnych żołnierzy nie było. Rozumiesz? Kijas obaczył duszę swojego syna i umarł ze strachu. A jak będziesz gadał inaczej, to dopiero wtenczas będą batogi. Zabierzże teraz swojego dziada i każ go zanieść do kamienicy, moi żołnierze ci dopomogą. A pamiętaj, com ci powiedział!

To rzekłszy, Łopatka wziął Olizara pod ramię i obydwa odeszli do zamku. Jak o kilkanaście kroków się oddalili, słychać ich było, jako się śmiali i wesoło ze sobą gwarzyli.

Frąc został przez grzeczność i dopilnował, ażeby żołnierze włożyli zwłoki Kijasa na płaszcze i sam ich odprowadził do bramy miejskiej, za co Kundrat mu bardzo był wdzięczny.

We trzy dni potem pochowano Kijasa przy wielkim napływie ludu w piwnicach cerkwi ormiańskiej.

Formoza odziedziczyła po nim cały jego majątek. Zostawiła zarząd przy Kundracie, ale wydała mu rozkaz, ażeby wszystkie sklepy i składy pozwijał, a otrzymane za nie pieniądze złożył w jej kasach.

Kundrat, bezpieczny zupełnie na gruncie miejskim, gdzie też miał urząd, dający mu pewne znaczenie, postawiony odtąd sam jeden na czele tak ogromnego majątku i rozporządzający losem tak wielu ludzi, prędko zapomniał swojej konfuzji,

a natomiast poczuł się teraz tem więcej w swojej potędze i wpływach, ile że był tego pewnym, że wszystkie sklepy i składy sam od Formozy kupi i zajmie tem jeszcze znaczniejsze stanowisko w mieszczaństwie lwowskiem. Trwożliwy i mały wobec mocniejszych od siebie, był on zawsze despotycznym i niezmiernie butnym wobec tych, których się nie bał; toż teraz już wcale nie wiedział, którą nogą ma stąpać naprzód i jak wysoko ma nosić swoją okrągłą głowę.

W takiem usposobieniu umysłu, w dzień po pogrzebie Kijasa, otrzymał karteczkę od Wary, w której Wara żąda od niego, ażeby go osobiście odwiedził w takiej a takiej gospodzie, na Krakowskiem przedmieściu.

Kundrat tę kartkę przeczytał z pogardą i zawołał:

— Nie głupi! Ja na grunt starościński? Nie głupi!

I odprawił posłańca bez odpowiedzi.

Ale nazajutrz sam Wara się zjawił u niego.

Jak Kundrat nie uważał za rzecz roztropną pokazywać się w obrębie jurysdykcji starościńskiej, tak znowu Wara, o ile się zdaje, nie czuł się całkiem bezpiecznym na gruncie miejskim, gdzie szynkarze i kupcy znani są z swego grubjaństwa i gotowi najzacniejszego człowieka kazać wsadzić do turmy za to, że sobie na niego sami napisali coś kredką. Ale w tym ważnym wypadku Wara zebrał się na odwagę. Zresztą ubrał się w ubiór pielgrzymski, dla którego nawet i szynkarze mają poszanowanie, a który jest jeszcze i z tego względu dogodnym, że przy nim nosi się drąg ogromny, który

może być i dębowy i żelazem okuty, i tak stawił się przed Kundratem.

Kundrat siedział szeroko rozparty w poręczowem krześle i ani się ruszył do niego, natomiast zaś spytał go szorstko:

— Czego waść mnie nachodzisz?

Na to zaś Wara dosyć pokornie:

— Przychodzę po kiesę złota, w której ma być sto czerwonych, jako jest omówiono.

Na takie zuchwalstwo Kundrat zerwał sie z krzesła, przyskoczył, jak wściekły, do niego i, grożąc mu pięścią pod nosem, zawołał:

— Tobie sto czerwonych? Sto batogów ci się należy! Sto złotych? A za co? Może mnie będziesz łgał, żeś duszę wywołał? Przecie tam byłem. Jeszcześ tego zacnego człowieka na tamten świat posłał! Ruszaj sobie do tysiąc djabłów, bo cię każę strącić ze schodów.

Ale Wara, człowiek wytrawny, a zarazem spokojny, jak wszyscy ludzie, co są w swojem prawie, odpowiedział mu cicho, ale jasno i zrozumiale:

— Powoli, panie Kundrat, powoli. Najprzód popatrz na ten pastorał pobożnego pielgrzyma. Jest to dębczak śmigły i gożdziami nabity; nim ty mnie każesz strącić ze schodów, za każdy złoty węgierski dostaniesz raz po łbie tym pastorałem, a wątpię, ażeby twój łeb dziesięć takich razów wytrzymał...

Więc Kundrat odskoczył od niego, spojrzał wystraszonemi oczami na ten pastorał i rzekł:

— Taki ty pielgrzym? Rozbójnik, nie pielgrzym... Więc czegoż chcesz? Oszukałeś mnie, duszy nie wywołałeś, ani szerokiego grosza ci nie dam!

— Dasz, panie Kundrat — rzecze mu Wara. — Poczytaj sobie trochę w tym cyrografie, który mi wydałeś. Tam stoi jak najwyraźniej, że mi dasz kiesę złota, „jeżeli Kijas duszę syna swojego obaczy". Powiedzże więc, jak jesteś katolik, azaliż Kijas nie obaczył jeszcze tej samej nocy duszy swojego syna? Chyba, że jesteś heretyk i w nieśmiertelność duszy nie wierzysz. Więc w takim razie inna to sprawa, pójdziemy z tem do sądów duchownych.

Na to Kundrat spojrzał na niego zdziwionemi oczyma, a potem zawołał:

— Kręt szelma, nie pielgrzym! Kręt, jak najgorszy torbifer! Ale ode mnie ty nic nie wykręcisz takiemi kruczkami. Sądy duchowne! Minęły te czasy! Jan Olbracht dobrze okroił ich władzę, nikt się ich dzisiaj nie boi. A potem, powinieneś wiedzieć, że ja sam jestem doktorem obojga prawa, ze mną procesu nie wygrasz.

A na to Wara:

— Wygram przed sądem duchownym, który cię pewnie potępi, jeżeli będziesz oponował, że Kijas nie obaczył duszy swojego syna. Żaden król ci w tem nie pomoże. Ale ja wygram także przed sądem świeckim, bo masz wiedzieć o tem, żem ja nie taki głupi, abym cię pozywał przed sądy miejskie. Jużem ja się o to poradził Łopatki, a wiesz przecie, że jest tu *Proconsul regius* i są *Judicia burgrabialia,* które od niego zależą.

Na ten argument Kundrat zbladł trochę, ale się opamiętał i, zmieniwszy ton, tak teraz mówił:

— Czego ty szedł do Łopatki? Co ty się masz radzić Łopatki! Przecież sprawę masz ze mną. Do mnie trzeba było przyjść z tem najpierwiej. Ja

jestem wprawdzie człowiek gorący i bardzo niebezpieczny dla tych, co mnie napastują niewinnie, bo mam pięść daleko silniejszą od każdego rycerza a do tego i dobrą głowę na karku, czem się nie każdy rycerz poszczyci. Jabym ci twój pastorał tak strzaskał, jak garnek gliniany, a każdy proces tak ci wygram, właśnie, jak gdybym grał w kości. Zważ przecie, że, jako notarjusz lonherji, muszę mieć komitywę z sędziami, właśnie, jak ty masz komitywę z tymi żołnierzami, co chędożą przedmieścia. *Proconsul regius! Judicia burgrabialia!* Śmiać mi się chce z tego! Ja ich mam wszystkich w kieszeni. Ale ja jestem człowiek poczciwy i bardzo miękkie mam serce dla ludzi ubogich. Ty ubogi, nieprawda? Bo, między nami mówiąc, żebraniną się żywisz, więc ja mam litość nad tobą. Ale co tobie w łeb wlazło gadać mi o stu złotych węgierskich! Ty mnie masz chyba za jakiego głuptasa. A czy miał ty kiedy choć dziesięć złotych węgierskich? Nie miałeś, więc widzisz. A potem, ty masz rozum. Zaczem wiesz dobrze, żeś duszy nie wywołał, jeszcześ i na tamten świat puścił staruszka. Tego ty nigdy mi nie dowiedziesz, że Kijas duszę obaczył, bo on nie stanie za świadka, a ja ci przed każdym sądem dowiodę, że go roztratowali żołnierze. Strata to wielka... są też i koszta pogrzebu. Mógłbym cię wykwitować, choćby ci sąd nawet sto złotych przysądził, i nie miałbyś ani złamanego szeląga. Ale jam twój przyjaciel i mam litość nad tobą: więc dam ci, ażebyś wiedział z kim masz do czynienia, więc dam ci pięćdziesiąt złotych.

Wara go wysłuchał cierpliwie, ale na teraz jeszcze nie widział powodu do robienia koncesji, owszem, nowego jeszcze użył argumentu, mówiąc:

— Do czego to takie gadanie! Ty przecież nie będziesz oskarżał Łopatki, że swoimi żołnierzami roztratował Kijasa. Byłem ja tam za krzakiem i słyszałem, co się gadało. Tam żadnych żołnierzy nie było. Kijas duszę obaczył i umarł ze strachu. Ani jednego szerokiego grosza ci nie opuszczę. Nie dasz? To sąd duchowny i *Proconsul regius*.

Tu Kundrat wprawdzie już uczuł, że trudno będzie co wytargować od tego rabusia, ale spróbował jeszcze raz się rozgniewać i napędzić mu strachu i zawołał ogromnym głosem:

— Ani grosza ci nie dam! A co to? Czy ty myślisz, że ja nie wiem, co ty tam robisz po przedmieściach? Wiedzże o tem, że jesteś na gruncie miejskim...

Wszelako Wara, gracz lepszy od niego, przerwał mu, mówiąc z uśmiechem na ustach:

— Ale Łopatka, panie bracie, Łopatka!

Na to Kundrat rzeczywistym zapłonął gniewem, ale bezsilnym: Ten pielgrzym to łotr z piekła rodem i ma za sobą takiego drugiego draba, Łopatkę! — Kundrat musiał się ugiąć i krzyknął:

— Dawaj cyrograf!

Wara wydobył cyrograf z zanadrza, Kundrat wydobył kiesę złota ze skrzyni, zamienili ze sobą dobre za nadobne, Wara mu się ukłonił i wyszedł.

Kundrat się nie posiadał ze złości. Targnął się za czuprynę, przejechał niecierpliwą ręką po twarzy, nie mógł się uspokoić. Skoczył więc ku drzwiom i wybiegł do sieni, a widząc Warę, schodzącego wolnym krokiem po schodach, zawołał za nim:

— Wziąłeś sto złotych?

— Jużci wziąłem.

— Bodajżeś się niemi udławił!

To rzekłszy, wrócił do swojej izby, siadł twardo na swojem krześle za stołem, sapał czas jakiś bez myśli — a jak się wysapał, zaczął nad tem się zastanawiać, jakim sposobem się dzieje, że mu się tak wszystko nie wiedzie.

W przemyśle, w handlu, w kupiectwie, w wszelakich sprawach pieniężnych i majątkowych winie mu się, jak z płatka; ale, jak tylko czegokolwiek innego dotknie się ręką, zaraz się jakiś djabeł w to wmiesza — i nie tylko, że rzecz mu się nie uda, ale jeszcze najczęściej w łeb weźmie, a nieraz, mówiąc Bogiem a prawdą, ledwie że z duszą ucieknie. Była to rzecz bardzo prosta, albowiem człowiekowi tylko w takim zawodzie się dobrze powodzi, który dokładnie rozumie — a wcale mu się powodzić nie może w takiem rzemiośle, którego z gruntu się nie nauczył. Kundrat o tem nie wiedział. Co więcej, na tym biednym świecie, który tak ciężko wzdycha pod nieskończonym ciężarem niepowodzeń, przeciwności i zmartwień, twórcami największej ilości nieszczęść są właśnie ci ludzie, którzy przez próżność, zarozumiałość, lub lekkomyślność biorą się do takich zawodów, których nie rozumieją. Ileż to ruiny majątków, ile gorzkich zawodów, ile łez, ile krwi nawet dałoby się ludzkości oszczędzić, gdyby każdy człowiek ograniczył swoją działalność tylko do tego rzemiosła, do którego gruntownie się usposobił. Ale Kundrat i tego nie wiedział — i dopiero teraz miał się o tem dowiedzieć.

We trzy tygodnie potem siedział on sobie na swojem wygodnem krześle w tej samej izbie i właśnie nad temi samemi rzeczami, ale daleko spokoj-

niej i wcale filozoficznie rozmyślał. Czuł on teraz grunt daleko silniejszy pod sobą: prowadził handel bardzo rozległy od Jarosławia do Kaffy, korespondował z Gdańskiem, z Genuą, Wenecją, Cyprem i Carogrodem, w mieście wiódł prym w wszelakim handlu i obrocie pieniężnym, tysiące ludzi zależało od niego, miał zatem teraz daleko szersze poglądy, więcej stanowcze opinje i daleko upartsze zarozumienie. Myślał przedewszystkiem o ogólnych sprawach krajowych, od których powodzenie w przemyśle i handlu, los każdej warstwy społecznej, a nawet i każdego człowieka zależy; ale ponieważ przedewszystkiem innem nienawidził rycerstwa, więc wszystkie jego rozmyślania albo z tego punktu wybiegały, albo do niego wracały. Tak mówił sobie: Co to się w ostatnich czasach z tej Polski zrobiło! Jużci i w dawnych wiekach bywali u nas rycerze, bo, jak długo i w krajach sąsiednich są ludzie, co prowadzą to rozbójnicze rzemiosło, to któżby ściany tego królestwa przed nimi oganiał? Ale wiedzą to starzy ludzie, a i w kronikach się można tego doczytać, że dawniej było inaczej. Dawniej obok rycerstwa i miasta coś przecie znaczyły, i kmieć był panem na swojej roli, a nawet i chłopu dobrze się działo. Każdy chłop, kmieć i mieszczanin, jeżeli miał kwalifikację po temu, mógł zostać rycerzem, senatorem albo biskupem; a miasta miały swe przywileje i tak przy nich stały, że rycerzowi i nosa nie wolno było wetknąć w ich sprawy. Dziś co? Chłop w niewoli, kmieć pod jurysdykcją szlachcica, a w miastach pozaprowadzali sądy burgrabskie, że nam, mieszczanom, wolno tylko brukować ulice, a śmiecie na nich wymiatać. Chłop, kmieć, mieszczanin ni-

czem już zostać nie może — a jeśli którego z nich dopuszczą do rycerskiego zawodu, to go poślą na pierwszy ogień i wbić go dadzą na pal. Ej, nie wiem ja, jak to tam było z tym Tigranesem...

Nuż tedy rycerstwo — mówił sobie Kundrat — w jaką to butę urosło! Kto nie rycerz, ten nie wart za bydlę. Osiadły mieszczanin, *Consul, Advocatus,* notarjusz, *baccalaureus,* a choćby i doktor prawa, nie wart u nich za psa. Niech tylko stanie koło nich: „Paszoł! Won!" — i zaraz z pięścią, z kowanym butem, albo i z batogiem na niego. Wszystkie gospody dla nich, w winiarni i miejsca nie znajdziesz, a choćbyś je znalazł, to musisz ich prosić, aby ci pozwolili usiąść przy sobie — a o kobietach to już nawet niema co mówić. Ej, te kobiety! Gdyby one nie były takie głupie, że im prym dają przed wszystkimi innymi, inaczejby było na tym świecie. Temu niesłychanemu zuchwalstwu rycerstwa najwięcej winne kobiety. Jeszcześ, jeżeli to kobiety rycerskie, to niech ich tam!... Ale i nasze mieszczki, co przecież są nasze!... I jaki one tam smak znajdują w tych ludziach żelaznych, co się ich dotknąć nie można, ażeby sińca nie dostać! Niechże mi to kto wytłumaczy. A do tego jeszcze jaka ich konduita! Jedzą i piją, jak smoki, biją się między sobą, jak rozbójniki, grają wciąż w karty i w kości, że żaden z nich, nigdy niema ani grosza przy duszy, mają żony, a bałamucą inne kobiety, nieraz i panna przed nimi się nie utrzyma. Jakie to czasy! Jakie to obyczaje! I niemasz nikogo, coby to hultajstwo utrzymał w ryzach. Król? Panie Boże mu odpuść! Chroń Boże tego, coby miał gładką żonę lub córkę i jemu ją pokazał. Biskupi? Juści biskupi powinniby temu zaradzić, ich to jest obo-

wiązek, mają też władzę po temu. Ale w każdym naszym biskupie jest prawie więcej rycerza, niżeli księdza, a co najmniej obydwa się w nim równoważą. Sami rycerscy synowie, to krew z ich krwi i kość z ich kości, na wszystko patrzą przez szpary, a do tego jeszcze i sami trzymają żołnierzy na swoich dworach, że człek spokojny nawet nie może do nich przystąpić!

Kundrat westchnął z głębokiej piersi i zaczął myśleć o Pachnie. Pachna, — mówił do siebie, — głupibym był, gdybym to tail przed sobą — bezpowrotnie dla mnie przepadła. Prawdę mówiąc, byłem dosyć głupi i dawniej, żem sobie robił nadzieję. Nuż teraz, kiedy już zaręczyła się z Frącem, niema nawet co o tem myśleć. Jużci mam ją niby w mych ręku, ale Frącowi ani jej nie wydrę, ani jej nie wykręcę. Wprawdzie teraz Kergolaj znów jest we Lwowie i znowu do niej zachodzi, bardzo ostrożnie, bo pewnie Fręca się boi, Frąc chłop, jak niedźwiedź...

Wymówiwszy te słowa, Kundrat poprawił się w krześle, podparł sobie ręką podbródek i zaczął się do siebie uśmiechać — i myślił dalej pocichu.

Sytuacja Pachny rzeczywiście się znacznie zmieniła. Była to zamożna kobieta, miała dość znaczny majątek, lecz rozrzucony, trudny do zawiadywania. Ona sama nie umiała go rządzić, a do tego od czasu, jak owdowiała i zaczęła się bawić, stała się niepomału rozrzutną. W przeciągu jednego roku narobiła tyle długów, że sama nie wiedziała, jak się z nich wydobędzie. Udała się do Kundrata po radę — a Kundrat chwycił za tę sposobność, podjął się zawiadostwa, ale zarazem w taką ją wziął kuratelę, że nie tylko folwarki i sklepy,

ale i dom jej i sługi zagarnął pod swoją opiekę. Sługi naturalnie dla siebie przekupił, wchodził do jej domu we dnie i w nocy i nic się tam stać nie mogło bez niego. Ale cóż z tego? Serca jej przez to jeszcze nie zyskał — a Pachna umiała go mimo to wszystko utrzymać w takim respekcie dla siebie, że nawet jej nie śmiał uczynić wyznania. Nie miał rycerskiego zuchwalstwa, był sobie potulnym mieszczukiem, jak sobie to sam nieraz wyrzucał, — trudno było co na to poradzić.

Nieraz już zbierał się z oświadczeniem, ale zawsze mu coś przeszkodziło. To Kijas go zaprzągł do jakiej roboty, to musiał za towarami wyjechać, to właśnie ktoś przyszedł, a kiedy kilkakrotnie tak się zdarzyło, że sam na sam był z Pachną, już spojrzał na nią miłościwemi oczyma, już rękę podniósł i położył na piersiach, już nawet usta otworzył, to zawsze Pachna jakimś takim nieokreślonym wzrokiem spojrzała na niego i jakiś taki, niby szyderczy uśmiech miała na ustach, że go mróz przeszedł i całkiem opuściła odwaga.

Tymczasem, Bóg sam wie, jak się to stało, bo nawet i nie wiedzieć, dlaczego to tak nagle się stało, Pachna sama mu powiedziała, że właśnie dała słowo Frącowi. A w tydzień potem odbyły się zaręczyny i ślub naznaczono na św. Piotra i Pawła. Zaczem klamka zapadła. Kundrat nie widział na to żadnego ratunku i musiał się zgodzić z swym losem.

Ale tymczasem Kergolaj przyjechał. Zaraz po pogrzebie Kijasa był po południu u Pachny. Kundrat ich podsłuchiwał z drugiego pokoju. Pachna robiła Kergolajowi jakieś wyrzuty, Kergolaj się z czegoś przed nią usprawiedliwiał, potem się

śmiali, a potem się znowu ze sobą sprzeczali. Djabli tam wiedzą, co ci ludzie mają ze sobą!

Kundrat, będąc sam na sam ze sobą w swojem mieszkaniu, zastanawiał się nad tem filozoficznie i zapomocą sylogizmów scholastycznych przyszedł do przekonania, że się to na takich niewinnych wizytach nie skończy. Oni pewnie namówią się na to, ażeby Frącowi przyprawić rogi, nim się jeszcze ożeni. Dotychczas nie mogli sobie pozwolić takiej swawoli, bo... ale teraz jest już pokrywka. W dzień trudno, ale Kergolaj pewnie do niej zakradnie się w nocy, albo też przyjdzie którego wieczora, skryje się, a potem już nie wyjdzie, chyba o świcie. Zresztą okna tam niewysokie, zwłaszcza od ogrodu; taki rycerz jest, jak linoskok, wdrapie się choćby na dach, zaś w razie niebezpieczeństwa na lada sznurze spuści się z okna, a nawet i na równe nogi wyskoczy.

A może się to już stało?... Kundrat zamyślił się nad tem; ale ledwie trochę pomyślił, uderzył się ręką w czoło i zawołał: Ja głupi! Właśnie też na mnie czekali! Oczywiście, że się do niej zakrada w nocy. To rzekłszy, porwał czapkę i pobiegł do Pachny.

Było to już przed samym wieczorem.

Pachny nie było w domu, — tem lepiej. Zaczem zawołał sobie jej pierwszą pannę służebną, zaciągnął ją do ogrodu i zaczął ją brać na konfesaty. Panna, dla niego ujęta, na wszystkie jego pytania się uśmiechała.

— Więc się nocą zakrada? — zapytał Kundrat niecierpliwie. — Więc jakże to robi?

— Ot jak! — mówiła panna. — Jak wszyscy. Jak stróże zawołają: „Ostrożnie z ogniem!“, pani

staje w otwartem oknie swojej sypialni, on siedzi w krzakach w ogrodzie i, jak panią obaczy, zbliża się chyłkiem do okna i po kołkach, co je sam ponabijał w ścianę, włazi do niej przez okno.

— Oto zuchwalec! — zawołał Kundrat. — Właśnie, jak złodziej. Jeszcze i kołków ponabijał w ścianę cudzego domu. A potem co?

Na to panna się zaczęła chichotać i rzekła:

— A potem — przecie ja nie wiem.

— Ale co potem? — mówił Kundrat, drepcąc nogami. — Kiedyż znów stamtąd wychodzi? I jak to robi?

— Zawsze przed świtem. Otworzy sobie okno, obejrzy się na wszystkie strony, a potem buch w krzaki i koniec.

— Oto szelma! — zawołał Kundrat. — Czy słyszał kto kiedy o takich sztukach złodziejskich! A tu jest *proconsul nocturnus,* i sześćdziesięciu drabów trzymamy, ażeby pilnowali bezpieczeństwa kamienic. „Buch w krzaki i koniec!“ A ja tobie powiadam, że na tem nie koniec. Dam ja jemu „buch w krzaki“, że sobie pradziadka przypomni...

Tu panna się przestraszyła, mówiąc, że, gdyby Kundrat, uchowaj Boże, ją zdradził, toby ją na całe życie unieszczęśliwił. Ale Kundrat ją uspokoił i potem się z nią jeszcze bardzo długo namawiał.

A potem wyszedł i chodził długo, jak błędna owca po ulicach, namyślając się mocno. Oto hultaj! — mówił półgłosem do siebie. — A przecie to *adulterium in flagranti,* a jeszcze do tego przed ślubem, o czem jeszcze nikt nigdy nie słyszał. *Adulterium* przed ślubem! To chyba tylko taki łotr, Francuz, coś podobnego wymyśli! Ale są

przecie na to sądy duchowne... Tu stanął i spytał się siebie: Gdybym z tem poszedł do arcybiskupa, dałby mu łupnia... Ale potem się zastanowił, mówiąc: Do arcybiskupa? Nie głupim. To pan zanadto prędki. Zaraz się gniewem unosi i żołnierzyska stoją u niego na schodach. Niech tam idzie do niego kto inny... Ale jest przecie Frąc, to jego rzecz. Dla Frąca mam nawet obowiązek wdzięczności, bo życie mi wyratował. Nie mogę przecie dopuścić, aby mu rogi przyprawiano, a jeszcze do tego przed ślubem...

Na tę myśl się uśmiechnął, a rozważywszy rzecz głębiej, tak sobie mówił: Frącowi muszę powiedzieć, bom mu to winien. Jeżeli mu powiem, to Frąc tego Kergolajowi nie daruje. Są przecie obydwa rycerze i o swój honor dbać muszą. Ani chybi, że się z sobą pobiją. Frąc, chłop, jak niedźwiedź, pewnie Francuza zabije. Ja nic na tem nie zyskam, ale przynajmniej pomszczę się na tym przeklętym Francuzie, co mnie w beczkę wpakował, a jeszcze i zimną wodą mnie polał. Jeżeliby Francuz Niemca zamordował, to może byłoby lepiej. Ale nie. Bo przecie, jak się Frąc naocznie przekona, że jego narzeczona go oszukuje, to jużci się z nią nie ożeni. A wtedy Pachna...

To rzekłszy, uśmiechnął się znowu, zatarł ręce z radości i poszedł poszukać Frąca.

Znalazł go zaraz, bo wiedział, gdzie go ma szukać. Frąc siedział w piwiarni w Bazarze, już dobrze piwem nalany, ale właśnie co nowy garniec nadpoczął. Chociaż piwiarnia była żołnierzami nabita, siedział sam jeden, bo od czasu, jak został rycerzem, stał z rygorem niemieckim na straży swego honoru i ludzi niższych rangą od siebie nie

przypuszczał do swojej poufałości. Z kupcem, nie mającym żadnej rangi, mógł się pobratać, chociaż go miał za stworzenie o wiele niższe od siebie. A potem, kupiec zawsze żołnierzowi się przyda. Kundrat siadł przy nim i najprzód dziękował mu po raz dziesiąty, że na cmentarzu tak dzielnie stanął w jego obronie.

Frąc mu odpowiedział z godnością:

— Nie masz za co dziękować, bo jest to obowiązek rycerski stawać w obronie niewinnych, chociażeś ty na sztrof zasłużył za to, że chciałeś wywoływać dusze umarłych. Ty nie wiesz, jaka to straszna jest rzecz dusza ludzka, co błądzi nocą po ziemi. Gdybyś był duszę obaczył, byłbyś tak samo umarł ze strachu, jak Kijas. Żaden człowiek podłej kondycji widoku dusz nie wytrzyma, bo też i żołnierz niełatwo do nich się przyzwyczaja. Na Wysokim zamku, po starościńskich komnatach, dusze chodzą co nocy, dzwonią łańcuchami i zieją z gęby płomieniem. Spałem ja tam trzy noce, ale przecie mi się sprzykrzyło i teraz sypiam w mojem dawnem mieszkaniu na Niskim zamku, gdzie mnie też potrzebuje Łopatka, bo wśród tego natłoku żołnierzy i rozmaitego hultajstwa obejść się beze mnie nie może. Ale nie mów tego nikomu, bom ja powinien i w nocy siedzieć na Górnym zamku.

— Bądź waszmość spokojny — rzecze mu Kundrat — u mnie każdy sekret, jak w grobie. A co to pijesz takiego?

— Piwo przemyskie. Bardzo dobre, napij się ze mną.

— Ja piwa nie pijam, bo od tego żyły miękną w człowieku. Ale jeżeli pozwolisz, to każę dać wina.

Frąc przyjął łaskawie, postawiono przed nimi dzban wina i pili. Kundrat chciał już przystąpić do rzeczy, ale nie było sposobu. Albowiem Frąc, nalawszy się winem, stał się gadatliwym i zaczął mu opowiadać szeroko i długo, jak ciężką służbę ma teraz. Ma komendę na Wysokim zamku, trzeba mu tam prawie cały dzień bawić, w nocy zaś musi przedmieść doglądać, gdzie się tak wiele nagromadziło hultajstwa i takie bójki bywają po nocach, że trzebaby Bóg wie wiele mieć żołnierzy, aby je uspokajać. Ale on na to sposób wymyślił, albowiem uzbroił zamkowych żołnierzy w muszkiety, które się siekańcami nabija, więc, jak się to hultajstwo zgromadzi w kupę i ze sobą pobije, każe do nich palić z muszkietów; środek to doskonały, bo siekańcem nikogo nie zabije, ale ich wszystkich popstrzy, a tak zaraz się z jękiem porozbiegają. Czasem i śmiechu jest z tego niemało...

Kundrat, człek ludzki, widział w tem wielkie barbarzyństwo, jeżeli ktoś z tego się śmieje, że komuś drugiemu nasypał siekańców za skórę, ale się jeszcze więcej tem niecierpliwił, że Frąc się tak nieskończenie rozgadał. Podobno niemądrze to zrobił, że mu kazał dać wina, bo oto już oczy zaczynają mu białkiem zachodzić, a tu już północ, ba, może i więcej, a on jeszcze nie mógł przystąpić do rzeczy.

Nareszcie Frąc oparł się plecyma o gzyms ściany, pod którą siedzieli, głowę wyciągnął, oczy trochę przymrużył i przestał mówić; Kundrat więc chwycił za tę sposobność, zabrał głos i pomału opowiedział mu rzecz. Kundrat mówił bardzo rozumnie, najprzód rozbudził w nim jego uczucia dla Pachny, potem podłechtał w nim jego sentymenty

rycerskie, a dopiero na końcu opowiedział mu haniebną zdradę Francuza.

Frąc niby go słuchał z uwagą, ale zdaje się, że wcale go nie zrozumiał, bo mu odpowiedział z uśmiechem:

— Jużci ja wiem oddawna, że Kergolaj się mizdrzy do mojej bratowej, tak jak i o tobie wiem dawno...

Tu Kundrat się trochę odsunął od niego — a tymczasem Frąc skończył:

— Ale to w tem niemasz nic złego.

— Jakto niemasz nic złego? — zawołał Kundrat, przysuwając się znowu ku niemu. — Przecie mówię waszmości, chyba, że mnie nie rozumiesz, że Kergolaj się do niej zakrada, kiedy stróże wołają: „Ostrożnie z ogniem!“, a wychodzi dopiero o świcie.

Teraz Frąc go zrozumiał. Ale teraz zerwał się, jak oparzony, i zaraz go porwał za gardło, wołając:

— Łżesz, drabie jeden! Łżesz, jak pies! Nigdyby Pachna... Wiem dobrze, dlaczego to mówisz...

A tak wołając i trzymając go lewą ręką za gardło, prawą zaczął czegoś szukać około siebie.

Czy go djabli nadali! Kundratowi wszystka krew uderzyła do twarzy, już zaczął się krztusić, zebrał więc całą swoją energję i wydarł mu się z jego łapy drapieżnej. A wydarłszy się, stanął twardo przeciwko niemu i zawołał:

— Czego mnie dusisz! Ja tobie chcę po przyjacielsku usłużyć, a ty mnie dusisz.

Ale wtedy Frąc stał już nad nim, wielki, jak wieża, chwycił go lewą łapą za ramię i wołał:

— Zaraz mi tego dowiedziesz! A jeśli mi nie dowiedziesz...

A to mówiąc, wciąż prawą ręką czegoś szukał za sobą.

— Dowiodę ci — rzekł mu Kundrat — ale siadaj i mówmy rozumnie.

Więc siedli. Frąc zaperzony, Kundrat uspokojony cokolwiek.

— Gadaj! — zawołał Frąc.

— A czego to tam szukasz za sobą? — zapytał Kundrat.

— Muszkiet tu miałem — odpowiedział mu Frąc — może mi go już ukradli.

To rzekłszy, wstał i obejrzał się za swoim muszkietem. Ale znalazł go w kącie, postawił go między kolanami i, sapiąc, rzekł do Kundrata:

— Teraz gadaj, co wiesz.

Ale Kundrat wciąż patrzał na muszkiet i rzekł:

— Dlaczego trzymasz ten muszkiet między nogami? Może jeszcze nabity i strzeli.

Kundrat tak mówił niby z obawy, ale się po djabelsku przytem uśmiechał, bo widział dobrze, że jeżeliby muszkiet wystrzelił, toby Frącowi wpakował wszystkie siekańce w jego tłusty podbródek, w czemby też była wola boża, na którą nie wolno się skarżyć.

— Bez lontu nie strzeli — rzekł Frąc.

— Ja tam nie wiem, ale z prochem podobno nie można żartować.

— Nie zagaduj — zawołał Frąc groźnie do niego — jeno powiadaj, co wiesz!

Więc Kundrat opowiedział mu wszystko dokładnie, co się dowiedział od panny.

Frąc, który swojego czasu dał w siebie wmó-

wić, że śpi godzin piętnaście, kiedy idzie spać o dziesiątej, a wstaje o piątej, wszystko Kundratowi uwierzył. A że był pijany, tem sroższym zapłonął gniewem, zerwał się z ławy, muszkiet podniósł do góry i rzekł:

— Więc on i teraz tam jest? Więc chodźmy. Obaczysz, jak ja naszpikuję tego Francuza — a potem się z nim wybiję, jak zechce. Ale pierwej go naszpikuję, abym miał dowód, bo inaczej się wyprze.

Jednak Kundratowi wcale się nie podobała ta propozycja. Jakoż mu odpowiedział:

— Poco ja tam mam chodzić? Ty znasz tę drogę lepiej ode mnie, a teraz już wiesz, co masz robić. Stań pod sztachetami ogrodu, zaczekaj do brzasku (i tak już niedaleko), a jak Kergolaj pokaże się w oknie i zechce buchnąć w krzaki, pal do niego z muszkieta.

To rzekłszy, zatarł ręce i patrzał na niego z uśmiechem zadowolenia.

Ale Frąc na to pokiwał mu swoim ogromnym indeksem trzy razy pod samym nosem i rzekł:

— Ty musisz iść ze mną, bo muszę cię mieć pod ręką, jeżeliś skłamał. Chodź — a jeśli nie chcesz, to cię wezmę, jak kota, pod ramię i zaniosę ze sobą.

Nie było to Kundratowi do smaku, ale trudno się było wykręcić, więc wyszli obydwa.

Niebawem przyszli na ulicę Halicką i stanęli przed domem Pachny.

Jeszcze było ciemno, chociaż na wschodzie już troszeczkę szarzało. Dom Pachny był od ulicy o trzech oknach, na jednego chłopa, jak wówczas mawiano, ale był długi, a jego główne okna wy-

chodziły na ogród, który był także na jednego chłopa od ulicy, ale ciągnął się w głąb dosyć daleko. Dom był piątrowy, ale piąterko było niepokaźne, opatrzone krużgankami, i służyło tylko na mieszkanie dla sług i nianiek, które pilnowały jej synka. Pachna sama miała wyniosłe i piękne apartamenty w przyziemiach, na bardzo wysokiem podmurowaniu, tak, że jej duże okna, pomimo krzaków w ogrodzie, było dobrze widać z ulicy. Ostatnie okno w samej głębi oświecało właśnie jej sypialnię. Ogród był odgrodzony od ulicy niskiemi sztachetami, popod które wewnątrz ogrodu gęste ciągnęły się krzewy. Chociaż noc była ciemna, wszystko to było widać z ulicy, jakby na dłoni.

Kiedy obydwa przy sztachetach stanęli, pijany Frąc wymierzył muszkiet w okno sypialni i rzekł do Kundrata:

— Więc tam trzeba walić?

— Tam — odpowiedział mu Kundrat — ale zaczekaj, aż póki okno się nie otworzy i póki go nie obaczysz w oknie, bo inaczej strzelisz na wiatr i tylko hałasu narobisz.

Jednak, kiedy to powiedział, spostrzegł się w tem, co robi, i jakoś ckliwo mu się zrobiło. Pomyślał sobie: Jak strzeli, oczywiście, ludzie się zbiegną: Gwałt, rozbój! On strzelił, ale ja przy nim, więc obydwóch nas wezmą do turmy. To gardłem pachnie w tych czasach. Co tu począć w takim terminie? Bodajże mnie wszyscy djabli wzięli, żem się sam wraził w taką brzydką połapkę... Kundrat byłby się wyrzekł Pachny na wieki, gdyby tylko mógł uciec, ale się bał Frąca, pijanego warjata. Jeśli drapnę, jak Bóg na niebie, palnie za mną z muszkieta. Co więc robić w tym razie?

Tymczasem Frąc, chociaż pijany, ale oddawna zaprawiony do takich zasadzek, daleko lepiej zrozumiał położenie od niego. Na niebie już szarzeć zaczyna, za jakie dziesięć pacierzy już świtać zacznie, Francuz nie wyłazi, może zaspał — a może go wcale tam niema i Kundrat go tylko okłamał. Obrócił się więc do niego i rzekł:

— Słysz, Kundrat, ja tu nie będę czekać do świtu. Trzeba wystraszyć Francuza. Idź więc, zakradnij się do pokojów i wystrasz go stamtąd. To złodziej — na lada rumor zaraz wyskoczy przez okno. Ale mi daj znak, jak go wystraszysz, bo muszę lont nagotować zawczasu.

Na te słowa Kundrat aż podskoczył z radości i zawołał:

— Co rozum, to rozum. Słuchajże, panie Frąc. Ja się wlot wsunę do domu i wejdę aż do tej izby, co przytyka do jej sypialni. Tam sobie najprzód cichutko okno otworzę — widzisz to okno przedostatnie, co jest trochę zaklęsłe, a tamto od jej sypialni razem z murem wystaje. Otworzywszy to okno, zacznę rumorzyć — a jak tylko dosłyszę, że Francuz otwiera okno od sypialni, ja ci się w mojem oknie pokażę i kiwnę białą chustką na ciebie. Wtedy on buch w krzaki, a ty pal do niego z muszkietu.

— *Gut!* — rzecze mu Frąc. — Tylko się śpiesz, aby nie zaświtało tymczasem.

Kundrat skoczył, jak zając, w okamgnieniu dopchał się do drzwi (a może i klucz miał w kieszeni, i zniknął za drzwiami.

Frąc czekał niedługo. Albowiem po małej chwili otworzyło się przedostatnie okno, wychodzące na ogród. Zaraz potem dał się słyszeć rumor w tej

izbie, jak gdyby kto sprzęty z miejsca na miejsce przesuwał, właśnie, jak kiedy słudzy zaczynają już sprzątać. Jeszcze chwila — a wtedy Frąc dosłyszał wyraźnie, jako się okno sypialni otwiera. W tej samej chwili w przedostatniem oknie Kundrat się energicznie całą piersią na dwór wychylił i zawiał białą chustką trzy razy.

I w tejże samej chwili Kergolaj się z ostatniego okna wychylił, ażeby w ogród wyskoczyć.

Natenczas Frąc dobrze wymierzył, przytknął lont i palnął z muszkieta.

W jedno mrugnienie oka po strzale dał się słyszeć krzyk męski, krzyk taki, jak gdyby się komu wnętrzności rozdarły, gdzieś koło okien — a Frąc w głos się roześmiał, właśnie, jak gdyby bawół zaryczał, i wytężył wzrok w ogród, aby obaczyć, gdzie tam Kergolaj leży pomiędzy krzakami.

Ale w tej chwili otworzyły się także wszystkie okna i drzwi w kamienicach sąsiednich i lud zaczął na ulicę wybiegać.

Razem z tym ludem wybiegł także Olizar z sąsiedniego domu od Fesi, wybiegł nawpół tylko ubrany i przestraszony, bo się to działo w czasach wojennych, zaczem zapewne myślał, że na miasto najechali Tatarzy. Ale kiedy lud tylko ciekawie się koło Frąca gromadził, on, żołnierz, zaraz zrozumiał, co się stało, bo Frąc trzymał muszkiet w ręku, a z muszkieta się jeszcze kurzyło. Więc Olizar wściekł się ze złości, przyskoczył, jak tygrys, do Frąca, porwał go lewą ręką za gardło, a prawą — jako to Rusin zawsze skory do bójki — zaczął go pięścią bić w gębę, wołając:

— Zbóju niemiecki! To ty strzelasz tu po ulicach! A strzelasz do kobiet albo do innych poczci-

wych ludzi, aby się po zbójecku mścić na nich! Duszę tu z ciebie wypędzę!

Frąc tak zgłupiał, że w pierwszej chwili się nawet nie bronił. Dopiero, wziąwszy cały pęk pięści po gębie, odrzucił Olizara od siebie, który wszakże jeszcze wciąż skakał, jak osa, do niego.

Tymczasem zbiegowisko zrobiło się wielkie, do domu Pachny wpadło już mnóstwo ludzi, inni zeń wybiegali i oblęgali Frąca, wołając:

— Zbój! Niemiec! Zabił pana notarjusza lonherji, co nocował u Pachny!

Frąc się znalazł w okrutnych opałach. Lud, nielubiący żołnierzy zamkowych, a rozwścieklony tym strzałem śród miasta, zaczął się rzucać na niego, — Olizar ich szczuł, jak psy szczuje na zwierza, i byliby go pewnie rozdarli, ale wtem nadszedł *consul nocturnus* z rontem halabardników i zaraz przywrócił porządek.

Consul nocturnus był to człowiek okrutnie surowy i respektowany przez wszystkich. Ogromnie wysoki, a chudy, jak szczypa, z zapadniętemi policzkami, z okiem siwem, nakrytem krzaczystemi brwiami i z wąsem miotlastym, przystąpił poważnie do Frąca i rzekł:

— A czego to waść strzelasz po ulicach po nocy? Pewnie chciałeś kogoś milczkiem wyprawić *ad patres*. Chodźno ze mną do kordegardy, tam cię weźmiemy na konfesaty.

I zaraz go otoczył halabardnikami.

Frąc dał się wziąć, jak baranek, najprzód z uległości dla legalnej władzy w obrębie jurysdykcji miejskiej, a potem, że się czuł bezpieczniejszy pomiędzy halabardnikami, niżeli pomiędzy ludem.

Lecz prowadzony przez nich, opamiętał się, obejrzał się za Olizarem i zawołał za nim:

— A ty mi zdasz sprawę rycerską z twojego chłopskiego postępowania!

— Zdam tobie sprawę! — odpowiedział mu Olizar. — Jeno ty pierwej zdasz sprawę z swego rozbójniczego rzemiosła.

Lud jeszcze przez jakiś czas stał na ulicy. Olizar zaś poszedł do domu Pachny, aby się dokładnie dowiedzieć, co się tam stało.

A kiedy *honoratiores* miasta także do domu Pachny przybyli, on im takie *species facti* przedłożył: Francuz buch w krzaki i uciekł — Kundrat dostał w łeb cały nabój siekańców — a Frąc siedzi w kordegardzie, gdzie będzie badany przez sądy miejskie o zamierzone zabójstwo.

Bardzo to smutne były wypadki. Ale Olizar miał w nich swoją pociechę, bo najprzód, Kergolaj, jako serdeczny przyjaciel, wyszedł cało z tego niebezpieczeństwa, — potem nabił się Frąca pięścią w gębę, ile mu się podobało, a wreszcie, ot, i ten kołtun tu leży w tem piwie, co sam sobie nawarzył.

Albowiem właśnie balwierz rozebrał Kundrata do naga i wyjmował mu z poza skóry siekańce, któremi miał połowę twarzy i cały bok prawy, od głowy do pasa, jak indycze jaje, upstrzony.

A jako to Olizar był chłop prawdomowny, że mu się zawsze serce przelewało ustami, pochylił się nad nim i kiedy Kundrat jęczał z bolu pod szczypcami balwierza, a krew się strumykami po jego ciele sączyła, zawołał do niego:

— Trysta tobi mat' mordowało, jaki z ciebie filozof! Kergolaj sprawił ci zimną kąpiel, żeś ruski miesiąc na nią wyleżał, chciałeś go zgubić, a jam ci za to wsypał tyle nahajek, żem się ich sam nie doliczył — nuż wyprawiłeś twojego pana w taką podróż za duszą syna, że już z niej nigdy nie wróci — a teraz i sam leżysz do samego djabła podobny, że rodzona maćby cię nie poznała!

Frącowi w szponach sądów miejskich niedobrze się powodziło. Wójt, *sceptrum argenteum manu gestans,* i panowie ławnicy, wywiedli przeciwko niemu proces kryminalny „o gwałtowne najście domu i razy śmiertelne" i koniecznie chcieli go sądzić. Uciskani często nieznośnie przez zamkowych żołnierzy, pamiętni tego, że to właściwie Frąc swemi końmi roztratował Kijasa, podszczuwani nareszcie przez mściwego Kundrata, uparli się przy tem, ażeby postanowić *exemplum,* zwłaszcza też w tym wypadku, gdzie byli w swem prawie. Długie były o to spory pomiędzy starostwem a miastem, lecz próżne, i bardzo już krucho było z tym zamkowym rycerzem. Więcej niż trzy tygodnie przesiedział w turmie, już się indagacje skończyły i już miano go sądzić.

Ale na jego szczęście zjechał właśnie do Lwowa nowy wojewoda ruski, Jan Amor Tarnowski, brat rodzony pani Kmitowej, kasztelanowej przemyskiej, pan wielkiej powagi i bardzo ludzki dla wszystkich, i ten go z turmy wydobył. Przedłożywszy bowiem mieszczanom, że w czasach wojennych nie należy osłabiać swojej własnej obrony, że Frąc im to zapewne niebawem w dwójnasób nagrodzi, bijąc się za nich przeciw Wołochom albo Tatarom, że wreszcie nikogo nie zabił, tylko po-

pstrzył człowieka, co stroił kabały, a nawet i sam na karę zasłużył, otrzymał to od nich, że Frąca puścili, wymieniwszy go za kilku mieszczan, co w turmie zamkowej za przemytnictwo siedzieli. Frąc prędko się otrząsł z pleśni więziennej, bo zaraz nazajutrz zaniósł skargę do Łopatki za ukrzywdzenie, którego doznał, mówiąc:

— Mieszczanom, co mi chcieli wziąć szyję za to, com zrobił po pijanemu daruję, bo byli w swojem prawie. Kergolajowi, co mi narzeczoną zbezcześcił, daruję, bom sam temu winien, żem jej nie pilnował. Kundratowi, co mnie do tego strzału namówił, daruję, bo już dostał za swoje. Ale Olizarowi nie daruję, bo mnie bił w gębę — a taką krzywdę każdy rycerz krwią zmazać musi.

Zaczem prosił Łopatkę, ażeby, jeżeli łaska, wyzwał w jego imieniu Olizara do walki, „na śmierć lub niewolę, na krótkie miecze albo na długie, konno lub pieszo, pojedynkiem albo samotrzeć".

Łopatce bardzo przykra była ta prośba. Odmówić mu nie mógł tej posługi, bo pod jednym znakiem z nim służył i w nim został obrażony honor jego własnego starostwa — a tymczasem Olizar bliższym mu był przyjacielem i zdało mu się, że walka będzie nierówna. Próbował więc odwieść go od tego zamiaru, a przynajmniej walkę odroczyć, opierając się na tej racji, że wojowoda jest w zamku i czasy wojenne, więcby to było bardzo źle widziane przez starszych. Frąc, zawsze pełen respektu dla wyższej władzy, na zwłokę zezwolił, ale we dwa dni potem wojewoda wyjechał, więc już nie było żadnego pretekstu do dalszej zwłoki. Łopatka więc poszedł sam do Olizara, przedłożył mu z żalem wyzwanie Frąca i prosił go, aby mu wymie-

nił swojego przyjaciela, z którymby miał kartel umówić.

Olizar w gruncie serca nie był kontent z tego wyzwania. Odwagi mu pewnie nie brakło, o życie niewiele dbał, — wszakże je już tyle razy narażał — bitwę nawet lubił namiętnie, czy to na wojnie, czy w jakim napadzie, czy w gospodzie, czy na ulicy; ale taka uroczysta bitwa z ceremonjami jakoś mu nie była do smaku. Jednak nie dał tego poznać bo sobie, nawet Łopatce. Owszem przyjął go wesoło, powiedział mu, że mu to wszystko jedno, czy na koniu, czy pieszo, czy na długie miecze, czy krótkie, i odesłał go do Kergolaja, jako do swego świadka.

Kergolaj, jako doświadczony mistrz w tem rzemiośle i szczerze przywiązany do Olizara, już wszystko bardzo rozumnie obmyślił. Zaczem powiedział Łopatce: najprzód, że Olizar nie będzie walczył konno, tylko pieszo, bo Frąc ma tylko ciężkie konie, a Olizar lekkie, więcby nie było równości; powtóre, że Olizar nie chce się bić w rynsztunku, bo ma także tylko lekkie półpancerze, a Frąc bardzo ciężkie, więc i w temby nie było równości; a po trzecie, że nie będzie się bić ani na krótkie miecze, ani na długie, tylko na średnie, długości trzy stopy, bo, jako przyzwyczajony do szabli, taki miecz będzie jemu najdogodniejszy, a Frąc do każdego miecza jest sprawny. Ponieważ Frąc przyjął zgóry wszelkie warunki, byle nie były z jego widoczną krzywdą, więc Łopatka na żądania Kergolaja bez oporu się zgodził. Poczem postanowiono, że bitwa odbędzie się jutro, na trzy godziny przed zachodem słońca, kiedy się upał już trochę ochłodzi, przy drodze do Hołoska wiodącej,

w pustem polu, gdzie stoi krzyż męki Pańskiej i mała mogiłka, na gruncie suchym, a nienależącym do lwowskiego starostwa.

Kiedy już wszystko było umówione, Łopatka mocno się zasumował i rzekł do Kergolaja:

— Cóż myślisz? Czy nasz Olizar się Niemcowi obroni?

— Zrobimy, co można — odpowiedział mu na to Kergolaj poważnie.

— Słysz, Kergolaj, — rzecze mu Łopatka — ja wiem, co to obowiązek rycerski, ja Frącowi usłużę sumiennie. Ale sercem ja z wami. Olizar mi brat, bardzo się boję o niego. Gdyby tak Niemca można czem zastraszyć, aby niebardzo na niego najeżdżał?

A Kergolaj na to:

— Niemca nie strasz, bo Niemiec, jak się przestraszy, to zaraz zabije. Olizar już wie, jakim sztychem może go zmacać. Jakoż tak sądzę, że mu się obroni. Tymczasem zaś sekret, aby nikt o tem nie wiedział.

Łopatka jeszcze trochę się posumował, a potem wyszedł z jakąkolwiek nadzieją.

Pomimo to, że postanowiono dzień bitwy i miejsce utrzymać w sekrecie, jeszcze dnia tego się to po mieście rozniosło — a nazajutrz już zaraz z południa nieprzejrzane rzesze rozmaitego ludu ciągnęły ku Hołosku w to miejsce, gdzie bitwa miała się odbyć. W mieście i między ludem wytworzył się nastrój bardzo poważny, bo wszyscy wiedzieli, że to nie taka bójka, jaką można widzieć w gospodzie, albo i na ulicy, jeno panowie się będą bić z sobą na koniach w peł-

nej zbroi i rycerskiemi mieczami. Rozeszła się nawet wieść między rzeszami, że ci rycerze mają walczyć o honor Matki Najświętszej; taką wieść bez wątpienia księża roznieśli, ażeby usprawiedliwić rozlew krwi między chrześcijańskimi panami, którego nie mogli powstrzymać. Jakoż widziano pomiędzy rzeszami kilku mnichów w habitach; jeden z nich, z odkrytą głową, niósł nawet kościelną chorągiew przed sobą, a chłopiec w komży szedł za nim; był to zapewne ksiądz, który tam szedł dlatego, ażeby umierających spowiadać, albo też *in extremis* dać im ostatnie pomazanie.

Miejsce, gdzie bitwa miała się odbyć, było wyniosłe, lecz równe, a otoczone zdaleka olszyną, przesianą wyniosłemi świerkami. Po prawej ręce szła droga, po lewej za drogą stał krzyż ogromny drewniany, z Chrystusem Panem, malowanym na blasze, pod krzyżem zaś stała mogiłka, ledwie na sążeń wysoka; powiadano, że kiedyś, dawnemi czasy jakiś kniaź ruski tu zginął w bitwie, którego pochowano w mogile i krzyż postawiono koło niej.

Dzień był skwarny okrutnie, lecz zdala, od północy i od zachodu, gromadziły się chmury żelaznego koloru na niebie, jak gdyby w porozrywanych kawałach i stamtąd cokolwiek chłodniejsze zawiewało powietrze. Czasem płat czarnej chmury przeciągnął przez słońce, zaćmił je i także na chwilę skwar słoneczny ochłodził. Na trzy godziny przed zachodem nadciągnęli, każdy zosobna, wszyscy rycerze, którzy mieli stanąć do walki.

Frąc w całej zbroi, w hełmie z piórami, z podniesioną przyłbicą, na ogromnym koniu karym

z bogatą grzywą, co mu spływała do kolan. Obok niego jechał Łopatka na pięknym koniu kasztanowatym, ale bez zbroi, bo miał tylko sukienny kubrak na sobie, pilśniową kuczmę z piórkiem na głowie i szablę u boku. Za nimi jechali w pierwszym szeregu trębacz Frąca z trąbą, opartą o prawe biodro, a obok niego żołnierz z rozwiniętą chorągwią czerwoną i żółtą, na której było widać herb Ajchingerów, czerwoną wiewiórkę pomiędzy dwoma rogami w złotem polu. Dalej jechało sześciu knechtów w półpancerzach i hełmach bez piór, a na końcu dwóch pacholików Łopatki.

Niebawem za Frącem nadciągnął Olizar. Siedział na dziwnie pięknym koniu tureckim, srebrzysto-siwym, był całkiem bez zbroi, wszelako bardzo świetnie wyglądał. Miał bowiem na sobie aksamitny żupan, bramowany złotem i zapięty na guzy złote, drogiemi kamieniami sadzone, pas także złoty i prawie już rubinami a brylantami nabity, złoty ryngraf pod szyją z Boga Rodzicą na nim rzeźbioną, czapkę aksamitną z piórkiem na bakier i bogatą szablę u boku. Olizar wyjechał, jak na wesele, i miał też minę wesołą, bo, obaczywszy lud zgromadzony, poprawił wąsa i, śmiejąc się, coś powiedział Kergolajowi. Obok niego jechał Kergolaj na wielkim białym koniu, ale na wszelkie wypadki był uzbrojony, miał bowiem hełm na głowie, druciana koszulkę na sobie i krótki miecz razem z mizerikordją u boku. Za nimi, pod wodzą Tymka Biłowusa, jechało ośmiu olizarowych kozaków, także świątecznie ubranych; z nich jeden służył trębaczem, drugi niósł chorągiew Olizara czerwoną, błękitną i białą, z trzema andegaweńskiemi liljami, sześciu następnych mieli tylko szable u bo-

ku — a dalej jechało dwóch knechtów Kergolaja w pancerzach i hełmach.

Po obydwóch więc stronach były siły zupełnie równe, bo tego przestrzegały surowo prawa rycerskie.

Frąc stanął ze swymi ludźmi u dołu od miasta, Olizar zaś o jakie sto kroków wyżej, zaczem najprzód obustronni trębacze ich otrąbili, jako są już na placu.

Potem Kergolaj i Łopatka, każdy ze swymi knechtami i pachołkami, zeskoczyli z koni i odmierzyli plac bitwy, na sześć sążni długi, a na cztery szeroki, i obłożyli go ze wszystkich stron kamieniami. Jeden szereg kamieni dotykał prawie mogiły i krzyża, jakoż niektórzy ludzie z tłumu zaczęli wyłazić na mogiłę i po krzyżu się wspinać, ale żołnierze ich rozpędzili i kazali im stać zdaleka, inaczej końmi na nich najadą, z którego to powodu lud się rozleciał daleko, i kiedy jedni się gromadzili na wzgórkach odległych, inni powyłazili na drzewa i stamtąd patrzali na to, co się teraz dziać miało.

Kiedy żołnierze pole bitwy obkładali kamieniami, Frąc i Olizar także zeskoczyli z koni, Frąc zrzucił hełm i pancerz ze siebie, jak było umówiono, i został się tylko w łosiowym kaftanie, Olizar zaś tylko czapkę rzucił na ziemię, bo nie miał żadnego rynsztunku na sobie.

Tak wprowadzili ich w szranki, Frąca Łopatka od dołu, Kergolaj Olizara od góry, a ich żołnierze stanęli na koniach o kilkanaście kroków za polem bitwy za nimi.

Jak tylko stanęli w szrankach, Olizar pierwszy klęknął na ziemi, przeżegnał się trzy razy, a po-

tem wziął prawą ręką grudkę ziemi, włożył ją w usta otwarte i połknął. Zaczem zawołał głośno:

— Tak mi Boże dopomóż, że nie mam żadnej mocy nieczystej przy sobie.

Ruscy rycerze taki mieli obyczaj odprzysięgania się, jako nie mają broni zaczarowanej.

Frąc jednak nie klękał, tylko podniósł dwa palce wraz z prawą ręką do góry i rzekł:

— Przysięgam na rany Chrystusa Pana, jakom się nie uciekał do złych duchów o pomoc.

A wtedy Kergolaj dał im dwa miecze, jeden Olizarowi, a drugi Frącowi, ną trzy stopy długie, jak było umówiono.

Zaczem zaraz stanęli do walki.

Frąc natarł pierwszy, ale bardzo spokojnie. Po jego natarciu widać było wyraźnie, że przedewszystkiem chce wyrozumieć, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia, ażeby też wiedział, jak go ma zażyć. Kergolajowi bardzo się to nie podobało; albowiem liczył na to, że Frąc uderzy gwałtownie, a jako jest tłusty i ciężki, że prędko się zmacha, zaczem Olizar świeżemi siłami przeciwko gwałtownemu natarciu łatwo się obroni, a zmachanego potem równie łatwo gdzieś zmaca.

Ale Niemiec miał flegmę.

Olizar z początku z wielką fantazją się bronił, nawet dwa razy bardzo zręcznie miecz Frąca sparował i już o mało go nie zachwycił, ale taką obroną on pierwiej się zmachał, a Niemiec też zaczął coraz gwałtowniej najeżdżać.

Olizar może miał siłę gdzie indziej, ale nie w ręku, toż coraz słabiej się bronił, tak, że w jednej chwili Kergolaj już się zaczął obawiać o niego i mimowoli zawołał:

— Eh, eh, eh!

W tej samej chwili i Łopatka dostrzegł, że źle z Olizarem, a rozumiejąc, że mu potrzeba zachęty, chociaż tego robić był nie powinien, zawołał ku niemu:

— Olizar! Derżyj sia krepko!

Ale jeszcze tych słów nie skończył, kiedy Frąc niezmiernie zręcznym zamachem z dołu Olizarowi miecz z ręki wytrącił i tym samym zamachem ciął go z całą siłą w sam środek głowy.

Cięcie to było tak silne, że mu głowę na dwoje rozszczypał, jakby rzeźniczym toporem, z rozszczypanej czaszki mózg z krwią wyskoczył i Olizar nawznak upadł na ziemię.

Szmer zgrozy przeszedł po rzeszach, a ci i owi zaczęli się do placu boju bliżej przysuwać, lecz obustronni żołnierze także się przysunęli z jednej i z drugiej strony do szeregów kamieni.

Łopatka, widząc Olizara, padającego bez duszy na ziemię, zakrył sobie twarz obydwiema rękami i głośno, jak dziecko, zapłakał.

Kergolaj, chociaż do takich widoków przyzwyczajony, także był silnie wzruszony, wąs kręcił i opuścił głowę ku ziemi, ale z pod oka wciąż patrzył na Frąca.

Tymczasem Frąc, rzuciwszy miecz na bok, przystąpił do trupa Olizara, przyłożył mu kolano do piersi i zaczął go własnemi rękami z jego drogich kamieni odzierać.

Na to wszakże Kergolaj przybliżył się do niego i rzekł głosem surowym:

— A co to robisz, panie Ajchinger?

Ale Frącowi, którego zapewne rozzuchwaliło

zwycięstwo, ten gniewny ton wcale się nie podobał, jakoż odpowiedział mu szorstko:

— Biorę zdobycz, a tobie nic do tego.

Natenczas Kergolaj powiedział mu głosem stanowczym:

— Tym razem żadnej zdobyczy nie weźmiesz.

Frąc na to srogim zapłonął gniewem, zerwał się z kolan, jak wściekły, i, nastawiwszy się z pięścią do Kergolaja, zawołał, trzęsąc się cały od złości:

— Wszystką zdobycz wezmę, brylanty i konie i wszystkich jego żołnierzy wezmę w niewolę, jak jest rycerskie prawo — a ty mi w tem nie przeszkodzisz!

Na te słowa Frąca, jako olizarowych żołnierzy zabierze w niewolę, Tymko Biłowus, nie zasypiając gruszek w popiele, co nie jest rzeczą kozaka, mrugnął na swoich żołnierzy, skropił swojego konia nahajką po żebrach i ruszył z kopyta, zaczem jego kozacy za nim i zaraz drapnąwszy, — że tylko ziemia się zakurzyła za nimi.

Ale wtedy już Kergolaj był ponsowy na twarzy, jak rak, i tak drżał na całem ciele, że mu zęby dygotały; wyrwał swój krótki miecz z pochwy i, trzymając go klingą ku ziemi, a ścisnąwszy rękojeść w pięści, tą pięścią Frąca w piersi uderzył, wołając głosem okrutnym:

— Praw nie znasz, ty knechcie niemiecki! Żadna zdobycz ci się nie należy, boś mu miecz pierwej z ręki wytrącił i bezbronnemu głowę rozszczypał, jak zbój! Żadnej zdobyczy nie weźmiesz!

Na to znów Frąc się zapyrzył okrutnie i zawołał:

— Knecht! Ty mnie będziesz praw uczył?! Ty mnie zabronisz? Stawaj mi zaraz do sprawy!

— Chodź! Stawaj! Zaraz ja ci usłużę! — zawołał Kergolaj i zaraz dał znak żołnierzom, ażeby trupa Olizara uprzątnęli z placu.

Żołnierze porwali Olizara i położyli go obok mogiły — a Kergolaj stanął na jego miejscu z krótkim mieczem w ręku.

Frąc porwał swój dłuższy miecz, który był pierwej odrzucił, i stanął naprzeciw niemu. Ale Kergolaj krzyknął groźnie na niego:

— Na krótkie miecze rycerskie, panie knecht! Nie z kozakiem to sprawa!

Frąc się zmieszał cokolwiek, lecz, mając krótki rycerski miecz u boku, tamten miecz odrzucił, a ten wziął do ręki i stanął: ale był blady i zdało się, że go złość całkiem już opuściła.

W tej chwili nieznaczny uśmiech, jak błyskawica, przeleciał po twarzy Francuza, krew ustąpiła mu z twarzy i widać było po nim, że ze świadomością doświadczonego szermierza całą swą siłę fizyczną zestrzelił w nogach i w ręku, a całą siłę duchową w oku.

Tak przeciw sobie stanęli.

Kergolaj czekał spokojnie, aż Frąc na niego uderzy: Frąc uderzył lekko i zręcznie, miecze ich się wciąż krzyżowały, czasem było słychać klekot, jak w kuźni, czasem zgrzyt jednego miecza po drugim, w jednej chwili stykali się z sobą pierś do piersi, a w drugiej odskakiwali od siebie, ażeby się znów rzucić ku sobie.

Frąc liczył wyraźnie na swoją siłę fizyczną i uderzał po kilka razy całą piersią w mniejszego od siebie Francuza, chcąc go na ziemię obalić, a na-

wet usiłował go lewą ręką zachwycić; ale Francuz był, jak kot i jak piskorz zarazem, odskakiwał o kilka kroków, jak piłka, a lewą ręką ani mu się dał dotknąć.

Tak trwały te linoskokie zapasy z jakie trzy pacierze albo i więcej — i Frącowi już pot grubemi kroplami wystąpił na czoło i strumykami ściekał po twarzy.

Czując wszakże, że mu już ręka trętwieje, chciał skończyć, upatrzył chwilę sposobną i dał Francuzowi katowskie cięcie w sam kark, ale Francuz zamiar spostrzegł zawczasu, odskoczył, jak strzała, i kucznął ku ziemi — a jak cięcie Fręca poleciało w powietrze, skoczył, jak tygrys, ku niemu i wepchnął mu obydwiema rękami swój krótki miecz w samo gardło.

Frąc pod ciężarem uderzenia, i dławiąc się mieczem, upadł nawznak — a wtedy Kergolaj siadł na nim i, targnąwszy mieczem w jego szyi w prawo i w lewo, do reszty go dorznął.

Frąc, upadając, rozkrzyżował ramiona i teraz tak leżał, kąpiąc się w ogromnej kałuży krwi, która się jeszcze wciąż z niego sączyła.

Kergolaj, oddawszy miecz swojemu knechtowi, ażeby ze krwi go otarł, przystąpił do Łopatki i, uderzywszy go po ramieniu, rzekł:

— Zdrów, panie Łopatka! Ten Niemiec wyprawił nam Olizara do starych Kerdejewiczów, ale jam go posłał w też tropy za nim, aby go też zaraz przeprosił.

Ale Łopatka, Rusin miękkiego serca, z żalu, z bolu i ze wstrętu od krwi, cały roztopił się w łzach i ledwie wiedział, co się z nim dzieje. Jego pacholikowie wsadzili go prawie bezprzytomne-

go na koń — a że i Kergolaj już nie miał co robić na placu boju, więc wsiadł także na koń i obydwa razem odjechali do miasta.

Zamkowi żołnierze zabrali zwłoki Frąca ze sobą i odjechali za nimi.

Już wtedy się zmierzchać zaczęło. Czarne chmury w grubych płatach, nadpowietrznemi wichrami pędzone, przelatywały, jak zaświatowe okręty, po niebie, księżyc w pełni, z twarzą bladą i szeroko rozwartemi oczyma, wznosił się zwolna na strop niebieski, a malejąc wciąż i bieleiąc, czasem krył się za chmury, zostawiając ziemię w nieprzedartej ciemnicy, a czasem, kiedy się chmury przed jego twarzą rozdarły, rzucał blask prawie dzienny na ziemię.

Ów mnich, który przyszedł z chorągwią i z chłopcem w komży, dowiedziawszy się, że pobici rycerze nie czekali na niego i bez wiatyku odjechali na tamten świat, ukląkł pod lasem i odmówił modlitwę za dusze zmarłe. Rzesze ludu także się z nim na kolanach modliły, ale niebawem z zapadającą nocą rozeszły się śpiesznie po wsiach i przedmieściach.

O zabraniu zwłok Olizara nikt nie pomyślał.

Noc ciemna zapadła, cisza zaległa plac boju, zdawało się, że już żywej duszy tam niema.

A jednak kiedy chwilami księżyc wypłynął z za chmur, widać było na wierzchu owej mogiłki, która stała pod krzyżem przy drodze, a pod którą zwłoki Olizara złożono, siedzącą jakoby postać kobiety. Miała chustkę kwiecistą z turecka zawiązaną na głowie, biały inderek na sobie i twarz młodą, dziwnej piękności, ale łzami zalaną.

Była to Fesia, jedyna poczciwa dusza, wierna

jeszcze po śmierci swemu kozakowi. Siedziała na szczycie mogiłki — a u nóg leżał jej miły, złotem i brylantami okryty, ale bez duszy.

Chwilami patrzała na niego i milczała, lecz czasem budziła się, jakby ze snu, i zawodziła żałośnie po rusku:

Olizaru, Wyrypaju! Hdeż ja tebe pochowaju?
Maty moja, maty!

Po tej zwrotce jęczała długo, a echo jej jęków odzywało się w lesie. Ucichła, lecz po chwili znów zaśpiewała:

Pochowaju pid werboju, taj nakryju perynoju,
Maty moja, maty!

I jeszcze raz jej głos dał się słyszeć:

Pochowaju na mohyli, szczob po tobi wouki wyli,
Maty moja, maty...

Potem chmury się ściągnęły na niebie, noc czarna, jak płachta pogrzebowa, objęła ziemię i już nic ani widać, ani słychać nie było.

A kiedy około północy wiatr chmury rozpędził i jasny księżyc wypłynął na niebo, kobieta z mogiły zniknęła i zwłoki Olizara zniknęły.

IV.

UMARLI I ŻYWI.

Od czasu, jak Frąc, zawróciwszy swoją niemądrą głowę zazdrością i trunkiem, strzelił do Kergolaja, a ranił Kundrata, po całem mieście roz-

niosły się głośne i bardzo uszczypliwe szemrania na Pachnę.

Wesoła ta wdówka bawiła się od śmierci swojego męża wedle swojej fantazji i uchodziło jej to bezkarnie, bo w miastach nie było tak surowej cenzury na obyczaje, jak po zamkach rycerskich i dworach szlacheckich — a że była młodą, bogatą, piękną i miłą dla wszystkich, więc oprócz starszych matron, które sobie w kąciku to i owo o niej szeptały, miała wszystkich po sobie i wszyscy się nią bawili. Ale, kiedy taki gorszący gwałt stał się w jej domu, kiedy jawnie się okazało, że podczas gdy była już zaręczoną z Frącem, przyjmowała Kergolaja o podejrzanych godzinach w swym domu, a nadto jeszcze i Kundrat przebywał nocą w jej apartamentach, czego już wcale nie umiano sobie wytłumaczyć, potępiono ją jednogłośnie, mówiąc: że, cóżkolwiekbądź, przecie to się nie godzi takie zbytki wyprawiać, a jeszcze do tego tak mocno bałamucić swoich amantów, ażeby aż zasiadali nocą na siebie i strzelali po mieście z muszkietów. Pod takiem sarkaniem opinji publicznej Pachna znalazła się opuszczoną przez wszystkich, nikt do niej nie przychodził, nikt do siebie jej nie zapraszał — a że oczywistym faktom trudno było zaprzeczyć i jej własne sumienie ją potępiało, więc też i ona nie śmiała się nigdzie pokazać.

Nadto, w parę dni po tym nieszczęsnym strzale, sądy miejskie zasiadły na Frąca i ją wezwały na świadka. Sądy ówczesne były wprawdzie bardzo grzeczne dla kobiet — kobieta nie była obowiązaną stawić się osobiście przed sędzią, mogła robić zeznania przez swoich zastępców, lecz zwy-

kle sam sędzia przychodził do jej mieszkania — ale to wcale nie umniejszyło jej wstydu, bo, chociaż w swem własnem mieszkaniu, musiała przecież przyznać się do tego, że, kiedy jej narzeczony strzelił z muszkietu o samym świcie, dwóch innych kawalerów znajdowało się ukrytych w jej apartamentach. Instygatorowi i panom ławnikom pobladły od tego zeznania łysiny, kiwali do siebie głowami, mówiąc z niepohamowanem zdziwieniem: — Co to za smok musi być ta kobieta! Bo gdyby jeszcze jeden, co się też zdarza, ale dwóch razem... rzecz niesłychana! — Napróżno Pachna płakała rzewnemi łzami i klęła się na wszystkie bogi, że Kergolaj, przyszedłszy późnym wieczorem, jako to Francuz jest gadatliwy, poprostu zagadał się — a jako to noc jest bardzo krótka w tej porze, więc ani się spostrzegł, kiedy świtać zaczęło; Kundrat zaś zakradł się bez jej wiedzy z zazdrości. Ani instygator, ani ławnicy, na żaden sposób nie chcieli temu uwierzyć. Bo już to tak jest na tym świecie, że, kiedy ludzie powezmą podejrzenie na kogo, to wtedy podejrzeniom ich już niema końca.

Pachna była bardzo nieszczęśliwą, a to tem bardziej, ile że nie mogła się nawet przed nikim poskarżyć. Albowiem Kundrat leżał w łóżku po owych siekańcach, a nawet i, poszedłszy do niego, niebardzoby się można było z nim dogadać, bo tak był bezkrwisty, jak gdyby mu kto był dopiero co sto pijawek przystawił; Kergolaj, uszedłszy szczęśliwie muszkietu i słysząc, jakie plotki chodzą o nim *ex puncto* Pachny, nawet wcale nie pokazywał się w mieście; zresztą zaś wszyscy obchodzili jej dom zdaleka, jakby był zapowietrzony. W tym ciężkim ucisku serca, nie mogąc wytrzymać sa-

motności, Pachna zebrała się na odwagę i poszła do Formozy.

Formoza nie pochwalała nigdy prowadzenia się Pachny; od czasu tych scen gorszących, o których całe miasto mówiło, wcale nie pragnęła jej widzieć; ale, kiedy Pachna przyszła do niej w odwiedziny, mając serce bardzo dobre a tkliwe na cudze nieszczęścia, chętnie ją u siebie przyjęła i słuchała jej spowiedzi ze szczerym udziałem. Formoza, surowa dla siebie, była pobłażliwą dla innych, lecz, czy ją usprawiedliwiała, czy nie, z czego zresztą nie musiała się przed nią spowiadać, jako kobieta rozsądna i zacna, pragnęła dla niej, aby się poprawiła i usiłowała jak najprędzej przebłagać swojem postępowaniem wzburzoną przeciw niej opinję publiczną. W tym celu dała jej radę. Rada ta była krótka i zwięzła, jak wszystko, co jest rozumne, i zamykała się w tych słowach:

— Idź zamąż, jak możesz, najprędzej.

Pachna ją zrozumiała tem łatwiej, ile że i jej nie brakowało zdrowego rozsądku. Wpośród nieustającej swawoli, przy lekkiem usposobieniu serca, umysł jej przyćmił się trochę, bo swawolna kobieta, wybrawszy się na wyprawę dla podboju serc męskich, a zarazem dla dogodzenia swojej miłości własnej, tak samo, jak rycerz, wojujący, dla zdobyczy i sławy, bardzo łatwo się zwycięstwami upaja i często w tym szale zapomina o tem, że za zbytkiem zwycięstw jest zguba; ale umysłowi zdrowemu lekkie wstrząśnienie wystarczy, ażeby wrócił do siebie i prawdę obaczył. Takiego wstrząśnienia doznała Pachna na radę Formozy i dlatego odpowiedziała jej energicznie:

— Jak tylko Frąc wyjdzie z więzienia, zaraz

z nim idę do ślubu — a jeśli będzie można, to go nawet przyśpieszę.

— A jeżeli Frąc nie zechce? — zauważyła nieśmiało, ale z przyjaznym uśmiechem Formoza.

Na to Pachna się zarumieniła, ale z równą odpowiedziała energją:

— Nie zechce? Ja jego zmuszę.

— A jak nie zmusisz?

— Jak nie zmuszę... to mam drugiego. I ten może się zechce wykręcać, ale ja tego mam w ręku.

Formoza dalej nie nastawała na jej tajemnice, ale jej energja się jej podobała, dlatego odtąd ją przyjmowała codziennie i chętnie z nią rozmawiała o środkach, jakiemiby Frąca w razie oporu można zmusić do ślubu. Wkońcu pomiędzy obydwiema kobietami stanęło napewno, że Frąc, człek dosyć głupi, a więc łatwowierny, nie będzie się tak zawzięcie upierał w swych uprzedzeniach, da się przekonać i pójdzie do ślubu.

Ale tymczasem Frąc (ktoby się był tego spodziewał) ani z Kergolajem, ani z Kundratem, ale pokłócił się z Olizarem i jego wyzwał na rękę. Wieść o tem zasmuciła i zniepokoiła Formozę: Dlaczego ma się krew ludzka przelewać? Jeszcze z tego nowa plotka powstanie, że i Olizar był Pachny amantem. Czy nie możnaby temu zapobiec? Ale swawolnej a próżnej Pachnie to pochlebiało. Miała ona i Olizara na pieńku za to, że także się starał o jej względy a — wstyd powiedzieć — dla takiej Fesi ją rzucił. Niech się z sobą pobiją. Co to szkodzi? Przecie wszyscy nie zginą — a zresztą, mężczyzn jest dosyć na świecie. Tylko ją nieprzeparta ciekawość paliła, kto kogo zabije...

Dlatego w dzień pojedynku już wcześnie z południa do Formozy przybiegła i tam oczekiwała wiadomości z pola bitwy: Formoza ze smutkiem i bolem nad tym, co zginie, ona trąc ręce z niecierpliwości i zaglądając co chwila do okna.

Kundrat, który się już z siekańców wyleczył, i tylko prawy policzek miał centkowany czerwono, wyprawił kilku chłopców sklepowych do Hołoska z rozkazem, ażeby wezwał przybiegali z wieściami, sam zaś siadł w pierwszej komnacie w tym samym kąciku, w którym zwykle siadywał za czasów starego Kijasa. I jemu także to było na jedno, kto zginie. A choćby się i wszyscy wytłukli! O tyle mniej będzie hałaburdów i napastników na świecie. Jakoż wcale nie mógł zrozumieć, dlaczego Formoza się smuci — a bardzo pochwalał Pachnę, tak zgodną z nim w sentymentach.

Wróżono tak i owak, przepowiadano śmierć to temu, to owemu, tylko Pachna wciąż trwała przy swojem, mówiąc:

— Obaczycie, że Olizar zginie. Ani mu równać się z Frącem. Frąc tylko raz machnie mieczem i zaraz go na dwoje rozetnie.

Kundrat nie mógł Olizarowi darować kowanego buta, dlatego nie miałby był nic przeciw temu, ale radby był dać pierwszeństwo Frącowi, więc zrobił uwagę:

— A w mieście wszyscy tak rozumieją, że Frąc żyw nie powróci, bo na karym koniu wyjechał, a kary koń, to nieszczęście.

Pachna rzuciła pogardliwem okiem na niego — a wtem wbiegł chłopiec, wołając ze drzwi:

— Olizar zginął! Frąc go przeciął na dwoje.

— Widzicie więc. A nie mówiłam? — zawoła-

ła Pachna, trąc ręce i patrząc na Kundrata tryumfującemi oczyma.

Formozie łzy w oczach stanęły, złożyła się przed sobą i rzekła:

— Biedny Olizar! Poczciwy człowiek, lecz — na nieszczęście — niestatek, a tacy ludzie zawsze tak giną.

Z temi słowami wyszła do drugiej komnaty, ażeby za jego duszę zmówić modlitwę.

Pachna spojrzała znów na Kundrata, lecz teraz już okiem badawczem i rzekła:

— A waszmość byłby sobie życzył, ażeby Frąc zginął?

— Ja nikomu śmierci nie życzę — rzekł Kundrat pokornie — owszem, życzę tylko jejmość pani, ażeby ten został przy życiu, który ją uszczęśliwi.

— Więc ten właśnie został przy życiu, jako słyszałeś — odpowiedziała mu Pachna — zapewne niebawem wjedzie z tryumfem do miasta.

To rzekłszy, przystąpiła do okna, patrząc na rynek.

Ale wtem drugi chłopiec wbiegł do komnaty, wołając ze drzwi:

— Frąc zginął! Francuz go zabił za Olizara.

— Frąc zginął! Francuz go zabił? — zawołała Pachna, przyskakując do chłopca i biorąc go za obydwa ramiona. — Co ty gadasz? Mów, jak to było.

Formoza przybiegła z załamanemi rękami z drugiej komnaty i stanęła obok Pachny przed chłopcem.

Kundrat wcale się nie ruszył z miejsca, tylko się misternie uśmiechał przed siebie i bębnił sobie zlekka palcami na stole.

Chłopiec im opowiedział bitwę pomiędzy Kergolajem a Frącem z fantastycznemi dodatkami, które natychmiast pomiędzy naocznymi świadkami urosły, a potem i w kroniki przeszły.

— Bo, proszę państwa — powiadał chłopiec — bo też to i nierówna była ta bitwa pomiędzy Francuzem a Niemcem. Bo pan Olizar i pan Ajchinger obydwa przysięgali przed bitwą, jako czarta nie mają przy sobie — a Francuz nie przysiągł, bo też i miał go. Więc najprzód djabeł tak Frąca oślepił, że nawet i od Francuza nie żądał, aby się go wyprzysiągł. A kiedy do bitwy stanęli, co Frąc uderzy mieczem w Francuza, to miecz leci w powietrze; Francuza niema, chociaż dopiero stał przed nim. Patrzy, gdzie Francuz, a on siedzi przy ziemi o sto kroków od niego. Tak Frąc, nieborak, wciąż machał napróżno. Ej, żeby go był tylko raz zmacał, byłby go pewnie rozszczypał na dwoje, jak Olizara, ale gdzie się tam kto djabła domaca. A kiedy Frąc jeszcze raz machnął napróżno, Francuz, co siedział zdaleka, kucznąwszy przy ziemi, — bęc — naraz przerzucił się w kota, skoczył Frącowi na piersi, wepchnął mu cały miecz w gardło i rzucił go zaraz na ziemię, a potem, z przeproszeniem państwa, dorzezał. Co też wszyscy na własne oczy widzieli i bardzo się temu dziwują, że to tak djabłu wolno chodzić po ziemi i krew katolicką rozlewać, a nikt mu tego nie broni.

Pachnę śmierć Frąca bardzo żywo dotknęła. Zbladła, załamała ręce przed sobą i podobno nawet już na łzy jej się zbierać zaczęło. Ale kiedy chłopiec jął opowiadać, jak to tam Kergolaj sobie poczynał, co też wszyscy ludzie na własne oczy widzieli, zapomniała o Frącu, a całkiem zajęła się

Kergolajem. A wtedy bardzo dziwne myśli się jej snuły po głowie...

Już nieraz dawniej myślała sobie i miała do tego jej samej tylko ale zapewne dobrze wiadome powody, że w tym Francuzie sam djabeł siedzi. Albowiem przyjmuje na siebie, wedle potrzeby, najrozmaitszych zwierząt przymioty, raz śpiewa, jak słowik, że się przy jego śpiewie prawie omdlewa, to znowu zarży, jak koń, i staje dęba z taką potęgą, że żadna ludzka siła mu się oprzeć nie może; potem znowu zakwili, jak najmilszy skowronek, że się serce przy nim rozpływa, to znów się wspaniale podnosi, jak lew, potrząsa grzywą, a swoim potężnym ogonem cały światby roztrzaskał — a przy tem wszystkiem zawsze jest dobrej myśli i nigdy nie znać na nim znużenia. Sama nie wiedziałam, co mam, — mówiła Pachna do siebie — dopiero teraz jasno to widzę i czuję we wszystkich tętnach krwi mojej. Czy jemu djabeł pomaga, czy nie, to mi tam wszystko jedno, dwóch takich amantów niemasz na świecie, — tego człowieka muszę na wieczne czasy przykuć do siebie.

W tej właśnie chwili wszedł Kergolaj do komnaty.

Nie mogąc widywać Formozy tak często, jak tego pragnął, nie zdoławszy dotychczas ani podbić jej serca, ani nawet obudzić w niej tej cześci dla swoich rycerskich przymiotów, z której zazwyczaj potem miłość się rodzi, teraz, pokonawszy takiego rycerza, który powszechnie za Achillesa uchodził we Lwowie, chciał jej się pokazać w świeżuteńkim blasku swej sławy.

I wszedł z głową podniesioną do góry, jak duch Ajaksa na Ajanteje, będąc pewnym, że cała

Grecja do nóg mu padnie — a przedewszystkiem uwielbiona przez niego Greczynka włoży mu wieniec dębowy na głowę i odda mu swoje serce i rękę na zawsze.

Obok wspaniałej Greczynki zastał mieszczankę Pachnę, od której już żadnego wieńca nie pragnął; to go niemile dotknęło — ale dlatego nie stracił wcale fantazji. Gdyby dla takich zjawisk trzeba zaraz tracić fantazję, to grzeczny kawaler chybaby się już nie mógł w żadnem towarzystwie pokazać. Więc też i Kergolaj, z wdzięcznym uśmiechem na twarzy, trzymając lewą rękę na mieczu, a hełmik swój w prawej, ukłonił się z rycerską powagą Formozie, oczekując tych komplementów, które się z jej ust miodopłynnych miały na niego posypać.

Rycerska sława, a zwłaszcza po świeżem zwycięstwie, sprawia na każdą kobietę podniosłe wrażenie i obudza w szlachetnem jej sercu uczucie uwielbienia; dlatego i Formoza, rozpromieniwszy twarz swoją, postąpiła ku niemu, chcąc pewnie go ścisnąć za rękę i wypowiedzieć mu swoją radość, że wyszedł cało z tej bitwy, ale uprzedziła ją niepowściągliwa w swoich zapędach Pachna. Pachna rzuciła mu się, jak strzała, w ramiona, wołając z zapałem:

— Obrońco mojej sławy i mego szczęścia na ziemi! Byłam nieczułą na wszystkie twoje zaklęcia i wszystkie błagania, bom ciebie miała za lekkiego człowieka, który kocha kobietę li dla rozrywki, ale zdrowia swojego dla niej na szwank nie wystawi. Przyrzekłam rzekomo moją rękę Frącowi, aby ciebie na próbę wystawić. Lecz, widząc teraz, żeś życie twoje za mnie na ostre miecze naraził, przyznaję ci się, żem tylko ciebie jednego

kochała i byłabym raczej na wieki wdową została, niżelibym miała oddać rękę innemu. Dziś ci się za to należy nagroda, jestem twoją — i możesz mnie jeszcze dzisiaj prowadzić do ślubu.

Na tę apostrofę, choć pewnie z szczerego serca wylaną, co też widać było po błyskawicowej szybkości wymowy, Kergolajowi w objęciach Pachny tak się twarz przekrzywiła, właśnie jak gdyby się był napił octu siedmiu złodziejów. Kawaler takiej wysokiej krwi, rycerz złotej ostrogi, który po innych miastach z nie takiemi kobietami nieraz morze przepłynął i nic mu nie było — miałby teraz z taką niepoczesną Rusinką utonąć w Pełtwi?

— W Pełtwi? — rzekł sobie Kergolaj i zimno mu się zrobiło.

Lecz przeto przytomności nie stracił. Odsunął Pachnę z grzecznym uśmiechem od siebie i odchrząknął, nimby miał jej odpowiedzieć.

Kundrat patrzał na nich ciekawemi oczyma, co też to z tego będzie? Ale że każdy to tylko pamięta, co mu właśnie jest miłem, więc i jemu słowa Pachny, jako dawniej była nieczułą na Kergolaja zaklęcia, dobrze uwiązły w pamięci i był z tego bardzo zadowolony.

Tymczasem Kergolaj, odchrząknąwszy raz jeszcze i spuściwszy oczy ku ziemi, odpowiedział jej swoim klarynetowym głosem w ten sens:

— Moja miłościwa pani! Nikt nie jest czulszym ode mnie na wdzięki tak zacnej kobiety, jak waszmość pani. Jakoż Bóg mi jest świadkiem, żem gotów przy niej pełnić służbę rycerską do śmierci. Ale na moje nieszczęście o sakramencie małżeństwa mi myśleć nie wolno. Jestem rycerzem rodyj-

skim, przysięgałem na czystość i tego ślubu złamać nie mogę pod karą hańby i śmierci.

Słysząc to Kundrat, mało się nie zakrztusił od śmiechu, skręcił się na swojem krześle i rzekł do siebie:

— Oto kręt szelma, prawie, jak Wara...

Ale w tej samej chwili przymknął sobie usta ręką, ażeby go nie dosłyszano.

Wszelako Pachna się wcale nie śmiała, tylko skoczyła ku niemu, jak lwica, wołając głosem szyderczym:

— Ty na czystość przysięgał? Ty!... Czystość!... Mogłabym puknąć od śmiechu. Słysz, Kergolaj! Przecież mnie nie będziesz takich rzeczy powiadał!

Ale Kergolaj stał niewzruszony, jak mur. Byłby mógł także puknąć od śmiechu, ale się wstrzymał, tylko, świdrując ją błyszczącemi oczyma, rzekł niby poważnie:

— Jeżeli waszmość pani możesz mi dowieść, jakom mój rodyjski ślub złamał, to proszę...

Na to Pachna mogłaby już była pęknąć ze złości. Zaczerwieniła się ponsem, z jej oczu się iskry sypały, ściskała pięście, jak gdyby w konwulsji, lecz nie wiedziała sama, co począć w tym razie. Gdyby była mogła, to byłaby na proch starła tego bezczelnego Francuza. Ale oczywiście nie mogła. Uczucie bezsilności pierś jej ściskało. Aby sobie ulżyć, obróciła się do Formozy i zawołała głosem kipiącym od gniewu:

— Łotr! Kłamca! Szubiennik! A jakim to głosem śpiewał ten wisus, kiedy u nóg mi leżał! Och, jakże żałuję, że mu Frąc łba nie rozszczypał na dwoje! Niechby był potem sam zginął, ale przy-

najmniej byłby pomstę wziął za mnie. Cóż ja teraz poczne z tym drabem?

Formoza, choć pełna smutku i wcale nieusposobiona do mieszania się w cudze sprawy, przypatrywała się z zajęciem temu zajściu pomiędzy Kergolajem, a Pachną, bo była to dla niej rzecz nowa. Sercem swojem nie stawała ani po jednej stronie, ani po drugiej, bo obydwie osoby były jej obojętne, ale, kiedy Pachna ją zapytała, co robić, odpowiedziała jej rozsądnie, jak zawsze:

— Trudno zmusić mężczyznę do ślubu, jeżeli nie chce. Trzeba ci teraz znaleźć innego.

Na te słowa Pachna stanęła przed nią, spojrzała na nią szerokiemi oczyma, a jako to u lekkomyślnych kobiet decyzja jest prędką, zawołała:

— Masz rację! Zamąż iść muszę. Niechże ten zdrajca wie, że mi i bez niego konkurentów nie braknie.

To rzekłszy, zaraz zwróciła się do Kundrata, mówiąc:

— Panie Kundrat! Wiem o tem dobrze, jakie sentymenty masz dla mnie, chociażeś mi tego nigdy nie powiedział, za co też miałam szacunek dla jegomości. Próżność moja mnie oślepiła, żem w rycerzach wzór mężów widziała, ale teraz wiem dobrze, jaki to ród przeniewierczy i jacy zdrajcy w nim siedzą. Jeżeli wola... zaraz ci złożę przysięgę, że nigdy okiem nie spojrzę na żadnego rycerza.

Więc Kundrat skoczył do niej, jak gdyby się dopiero na świat narodził, chwycił jej rękę, przycisnął do ust z zapałem i tak się rozczulił, że nie mógł ani słowa wymówić. Tylko tyle miał przytomności, że, kiedy już Pachnę mocno trzymał za

rękę, a ona go także ściskała, spojrzał tryumfującym wzrokiem na Kergolaja, jak gdyby mu mówił: Widzisz więc, panie rycerzu, nie dla kota szperka.

Kergolaj czuł się tem bardzo upokorzony, ale, jak zwykle, kontenansu nie stracił. Przybliżył się do Kundrata, a uderzywszy go z francuska płaską ręką po brzuszku, rzekł:

— A ty, panie Kundrat, jak widzę, frant kuty na cztery nogi. Bo, kiedy tylu rycerzy starało się z wielkim hałasem i trzaskiem o względy pani Pachny i jedni się za nią pozabijali, a drudzy odesłani są z kwitkiem, tyś się tymczasem milczkiem, jak kret, do jej serca dogrzebał. Wiedziałem ja coś o tem, alem przez delikatność rycerską milczał, jak grób, — a teraz tak mówię: dobrze jest na świat przyjść przy ostrogach, ale daleko lepiej urodzić się w czepku.

Te słowa uspokoiły Pachnę cokolwiek, bo były pięknym kawalerskim duchem natchnione. Widząc to Kergolaj, obrócił się do niej i rzekł:

— Wszystkich świętych biorę na świadków, jakom chciał przy waszmość pani w rodyjskiej obyczajów czystości pełnić służbę rycerską do końca życia. Gdybyś była moją służbę przyjęła, byłbym na twoją cześć nosił żelazny łańcuch na szyi i byłbym ci z wojny przyniósł dwanaście głów saraceńskich w ofierze. A gdybym był zginął na wojnie, ty byłabyś przypięła czarną wstęgę do twego ramienia, na wieczną pamiątkę, że ten, który był wielbicielem twych wdzięków i twoich cnót niepożytych, zginął na polu sławy, unosząc z sobą do nieba promienny obraz twojego wdzięcznego oblicza. Aleś waszmość pani moją służbą wzgar-

działa, tak rozumiejąc, że najpiękniejsze służby rycerskie powinny ustąpić obowiązkowi małżeństwa. Zakon mój mnie zabrania tego obowiązku dopełnić, nad czem będę cierpiał bardzo boleśnie do grobu; ale w tem mojem zmartwieniu mam przecież tę wielką pociechę, że się gorące życzenia waszmość pani spełniły i że masz męża, który posiada szacunek całego miasta, a któremu i ja dałem mojej przyjaźni niejednokrotne dowody. Będąc, jako rycerz rodyjski, zarazem kapłanem, daję wam moje błogosławieństwo — i niech was Bóg ma w swojej opiece.

Ta piękna przemowa wzruszyła Pachnę do głębi. Ażeby zaraz dać dowód, jako już nigdy o rycerzach myśleć nie będzie, obróciła się do Formozy i rzekła:

— Zdrajcy są, o tem wie każdy, ale to trzeba im przyznać, że dla kobiet w każdej okoliczności pełni są sentymentów rycerskich.

Niewierny Kundrat, słysząc tę sztuczną przemowę, powiedział sobie: Skórka na buty. Ale w tej chwili był tak uszczęśliwiony, że i jego kupieckie serce się wzniosło nad poziom społecznych walk i osobistych zazdrości i musiał sobie pomyśleć, że ci rycerze wprawdzie dawno już zasłużyli, aby ich wszystkich powywieszano, ale trudno zaprzeczyć, że w danych chwilach dają się na nich spostrzegać pewne zalety. Tym sentymentem wiedziony, zbliżył się do niego, podał mu rękę i dziękował mu za jego kawalerskie uczucia.

Z tej chwili skorzystała Formoza — a rada temu, że Pachna przecie nareszcie weszła na zwyczajny i przyzwoity tor życia, wzięła ją pod ramię,

odprowadziła na stronę i rzekła do niej z szczerego serca:

— Nie uwierzysz, moja kochana Pachno, jak się cieszę, że się nareszcie to małżeństwo złożyło. Wierz mi też, że będziesz miała doskonałego męża, bo Kundrat to bardzo dobry człowiek; czasem chciał komuś figla wypłatać i zawsze się jakoś tak stało, że się na nim skrupiło, ale wszystko to robił z miłości dla ciebie. Dziś, kiedy już jego żoną zostałaś, figlów robić nie będzie i będziesz w nim miała najtroskliwszego męża i najwierniejszego sługę. Tylko trzeba, ażebyś i ty już figlów zaprzestała i dała pokój rycerzom.

A na to Pachna również z szczerego serca:

Jużcibym chciała, Bóg świadkiem. Zawsze to sobie sama powiadam. Ale wiesz... między nami... jakoś nigdy nie mogę. Jak obaczę takiego pięknego rycerza, co cały zakuty w żelazo i sam jakby z żelaza: kawalerska postawa, twarz, jak u Bożego anioła, wąs wymuskany, śliczne na plecach kędziory, a na ustach same miodowe słowa,— kiedy na mnie spojrzy swojemi rycerskiemi oczyma, a zwłaszcza kiedy do mnie przemówi, tak mi się zaraz mdło robi na sercu... Cóż chcesz? Nie mogę.

— To bardzo źle — rzekła z uśmiechem Fornoza — źle dla świata i ludzi, i źle dla duszy zbawienia, bo za to są kary wieczne.

— Jużci ja wiem — odpowiedziała jej Pachna napół melancholicznie, a na połowę z uśmiechem — jużci ja wiem, ale cóż, kiedy nie mogę. Ludzie są bardzo źli, niepotrzebnie się w te rzeczy mieszają. A co do zbawienia duszy, to tak sobie myślę, że i Magdalenie jest przebaczono, bo bardzo kochała.

Na to Formoza głośno się roześmiała, mówiąc:

— Magdalenie jest przebaczono dlatego, bo Pana Boga bardzo kochała, ale nie dlatego, że jerozolimskich kawalerów kochała. Takie znaczenie tej biblijnej powieści tylko ci dają, co źle ewangelję czytają.

— Już ja tam nie wiem, jak i oni ewangelję czytają, ale to wiem, że nie mogę, nie mogę, na żaden sposób nie mogę. Zresztą, powiedzże sama, ale mów prawdę, czy jest jaka kobieta na świecie, coby się takiemu rycerzowi oparła, takiemu, jak Kergolaj, albo jak Gniewosz?

Tu już Formoza musiała sama przerwać tę rozmowę.

Z tych kilku słów łatwo było zrozumieć, jaka przyszłość ścieliła się Kundratowi. Ale mimo to Formoza była dobrej myśli, posłała zaraz po Łopatkę i kilku bliższych znajomych Kundrata i nowożeńcom sutą wydała biesiadę.

We trzy tygodnie potem Kundrat ożenił się z Pachną. Ślub odbył się skromnie, bo Kundrat, nie będąc pewnym, czy panowie ławnicy i rajcy zechcą przyjść na wesele tej samej Pachny, którą niedawno tak surowo cenzurowali, nikogo z przedniejszych mieszczan nie zaprosił. Prócz tego godziło mu się uszanować żałobę Formozy.

Kergolaj miał mu drużbować, ale się także nie stawił. Albowiem za zabicie Frąca, które przypisywano jego sztukom djabelskim, pospólstwo, zapewne podszczute przez zamkowych żołnierzy, srodze się przeciw niemu zburzyło i zaczęło już wieczorami oblegać jego gospodę. Zaczem Kergolaj, nie chcąc mieć po raz drugi do czynienia z mo-

tłochem lwowskim, wyjechał milczkiem z miasta, zachowując się na lepsze czasy Rzeczypospolitej polskiej. Ale, jako wdzięcznego serca kawaler, nie zapomniał o Pachnie — w roku następnym był jeszcze raz z królem we Lwowie i znowu się przypomniał jej łasce — a w lat kilkanaście potem, za panowania Zygmunta Starego, wyrobił dla jej syna szlachectwo polskie, które też możesz czytać we wszystkich herbarzach.

Wszystko to działo się w czasach, kiedy cała Ruś bardzo ciężko stękała pod podwójnym najazdem. Albowiem o samej wiośnie, jak to już powiedziano, przeniewierczy wojewoda wołoski wpadł na Pokucie, niszcząc i paląc kraj cały — a w też tropy za nim wpadli Tatarzy na Ruś i zapuścili swoje zagony pod Przemyśl, Radymno, Łańcut i Przeworsk. Miasta, statecznemi murami obronne, mijali, lecz takie, co leżały otwarte, palili i rabowali; wtedy też wygorzał Drohobycz doszczętu, a w Samborze tylko sam zamek się ostał.

Król, oddany swawolnym rozrywkom w Krakowie, nie tylko, że się sam z miasta nie ruszył, ale zrazu nawet żadnych nie wydał rozkazów w celu obrony kraju. Natomiast zaś kazał nagwałt naprawiać mury Krakowa, właśnie jak gdyby cały kraj ze wszystkiemi miastami wydał na łup najezdnikom, a tylko samej stolicy chciał bronić. Kraków na tem skorzystał, bo wtedy oprawiono mury forteczne bardzo porządnie, zbudowano obronną bramę św. Florjana, wzniesiono wał murowany od strony Kleparza i wpuszczono Rudawę między wa-

ły a mury. Ale kraj został się bez obrony. Wojewodowie, kasztelani i starostowie pozamykali się z swymi żołnierzami w swoich zamkach rycerskich, zamożniejsza szlachta okopała się w swoich dworach, a błąkający się po kraju żołnierze i drobna szlachta, nie mogąca się bronić w swych dworkach, pościągali do miast obronnych, oczekując tam wici królewskich. Nareszcie król zwołał pospolite ruszenie do Sandomierza; zebrało się tam szlachty wielko- i małopolskiej dostatkiem, ażeby z niej stateczną armję utworzyć, ale żadnej komendy nad nią nie było; szlachta objadła tylko pograniczne powiaty — a tymczasem Wołosza i Tatarzy, nabrawszy łupów w towarach, w bydle i w ludziach, wrócili bez wstrętu do domu.

Król zaczął wtedy traktować o zawarcie sojuszów ze swymi braćmi, Władysławem, królem węgierskim i czeskim, i Aleksandrem, w. księciem litewskim, a zarazem i z wojewodą wołoskim, który u tych panów chrześcijańskich wtedy już szczerze szukał obrony przeciwko Turcji; sojusze te zostały istotnie zawarte; ale wtedy cesarz turecki w siedmdziesiąt tysięcy żołnierza uderzył na Ruś. Zuchwały Bajazet był pewnym, że, mając przed sobą Polskę, osłabioną przeszłoroczną wojną na Bukowinie, a teraz przez Wołochów i Tatarów znów do połowy zniszczoną, nie znajdzie statecznego oporu i pójdzie do Krakowa i dalej bez żadnej przeszkody, i przejdzie przez nią, jak wiatr, co trawy i trzciny swoim podmuchem ugina. Dlatego, tak samo jak Tatarzy, miasta obronne i zamki omijał i parł naprzód niepowstrzymanie; jego przednie straże już Lwów pominęły i zbliżały się do brzegów Sanu. Polska była bezbronną i nigdzie nie czyniła mu

wstrętu; wszelako szczęśliwy przypadek tak zrządził, że Turcy nie tylko żadnej nie wynieśli zdobyczy, ale jeszcze tak dosadną a krwawą klęskę ponieśli, jakiej nie zaznali od czasu, jak zaczęli na Europę napadać.

Bajazet bowiem, uderzając podówczas po raz pierwszy na Polskę, nie policzył się z porami roku, w których na te ziemie można wygodnie najeżdżać — a tymczasem Polakom polska zima przyszła na pomoc. Tureckie wojska wpadły do Polski dopiero w listopadzie i ledwie się zbliżyły do Lwowa, kiedy mrozy ściskać zaczęły. Zima w tym roku była jeszcze daleko sroższą niż przeszłoroczna; takie same śniegi nawalne, ale obok nich mrozy tak silne, jakich oddawna nie pamiętano. Wszystkie rzeki, nawet i najbystrzejsze górskie potoki stanęły lodem, ziemia stężała tak silnie, że była nakryta jakby skorupą z żelaza, cała roślinność wyschła doszczętu i była do tej skorupy jakby przykuta, a powietrze ścięło się takiem zimnem sybirskiem, że ptak upadał, zmarznięty, na ziemię, a dziki zwierz leżał martwy przy drodze ze szklanemi oczyma.

Turcy, nieprzywykli do takich mrozów i niedostatecznie odziani, nie mając czem swoich koni pokarmić, ani nawet napoić, nie mogąc się nigdzie przytulić, bo wsie były wypalone i wyniszczone, palili lasy, żywili się mięsem swych własnych koni, lecz mimo to ginęli z zimna i z głodu, jak muchy. A wtedy rycerze z zamków i niektórzy żołnierze z miast ku nim wypadli i zaczęli ich tępić bez miłosierdzia. Tylko co najprzedniejszych baszów brano w niewolę, resztę do nogi wybito.

Czterdzieści tysięcy ich na samej Rusi zginęło — a tych, co się przez Dniestr przebrali, wojewoda wołoski, siedzący na nich w zasadzce, pobił i pobrał w niewolę. Do Bajazeta z tych siedmdziesięciu tysięcy, którymi chciał Polskę zwojować, ledwie tylu dotarło, ażeby mu opowiedzieć dokładnie, na jaki naród i na jakie królestwo się zerwał — i jeżeli jeszcze pamiętał, co mu Gniewosz, według powieści młodego Pretficza, o polskich rycerzach powiadał, to się teraz przekonał, że Gniewosz nie kłamał.

Po tem tak niesłychanem zwycięstwie nad straszną wówczas dla całej Europy potęgą turecką, król zjechał do Lwowa, raz, aby się z miastem, które nic wcale nie ucierpiało, tym tryumfem nacieszyć, potem, ażeby środki obmyśleć, któremiby popalonym miasteczkom przyjść w pomoc, a wreszcie, ażeby stamtąd obaczyć, azali nie da się zawrzeć jakiś korzystny pokój z upokorzoną, lecz jeszcze niepokonaną potęgą turecką.

Przyjechawszy w samo Boże Narodzenie z małym dworem do Lwowa, stanął, jak zwykle, na Niskim zamku, święta w cichości przepędził, ale po świętach już się bardzo ludno zrobiło na zamku, bo rycerstwo z bliższych, a potem i z dalszych okolic zaczęło się zjeżdżać do niego, ażeby mu opowiadać wszelakie szczegóły o odniesionem nad Turkami zwycięstwie i o zachowaniu się wojewody Stefana, które tem więcej go zajmowały, ile że sam jeszcze nie wiedział, jak i przez kogo ma rozpocząć układy z Turkami.

Działo się to właśnie w tę samą porę, kiedy ów Ormianin, co przywiózł Lubka z niewoli, przyjechał

do Lwowa i przywiózł Formozie list od starego Pretficza z wiadomością, że Gniewosz żyje i jest u Bajazeta w niewoli.

Formoza w pierwszych czasach po wojnie wołoskiej miała, jakeśmy to uważali, niejako instynktowe przeczucie, że Gniewosz nie zginął. Przeczucie to wszakże nie miało żadnej realnej podstawy — a opierało się tylko na tem, cokolwiek dziecinnem, lecz zakochanej dziewicy bardzo właściwem wyobrażeniu, że taki rycerz żelazny, co rwie podkowy, jak nici, i jednym zamachem mógłby dziesięciu żołnierzy obalić na ziemię, taki przytem rozumny, przezorny, spokojny i taki mistrz niezrównany w rycerskiem rzemiośle, nie może być przez nikogo zabitym. Taki rycerz, jak Gniewosz, jest nieśmiertelnym, ze wszystkich walk wychodzi zwycięsko, musi koniecznie później doczekać starości, ażeby był wzorem dla wszystkich młodszych rycerzy, ażeby go po śmierci wykuto z kamienia w katedralnym kościele, i aby się wszystkie pokolenia późniejsze do niego modliły. Wiara w to, że Gniewosz niewątpliwie gdzieś żyje, stała się jej doczesną religją — i, jak we wszystkich religjach, za przewodem głównego artykułu wiary, wysnuwały się w jej wierzącym umyśle rozmaite legendy o tem, co się z nim stało. Tak uroiła sobie, że się dostał w niewolę Tatarom, że Tatarzy pewnie go Turkom sprzedali, że potem dostał się na tureckie galary, ale z galar musiał się oczywiście wyłamać — a teraz gdzieś wojuje po morzach, może jest w Ziemi Świętej, może w innych krajach murzyńskich, wybija się z nich, smoki, złe duchy i inne potwory stają mu w drodze, musi z ni-

mi walczyć, ażeby sobie rum zrobić, ale, jak tylko te wstręty pokona i dobije się do ojczyzny, to pewnie powróci do niej i jednego dnia zjawi się przed nią, tak jak jego duch teraz jej się zjawia po nocach...

Jednak jeżeli główne artykuły wiary mogą trwać wiecznie, a nawet znaleźć wyrozumowaną podstawę, tak znowu takie z czystej imaginacji wysnute legendy zazwyczaj nie wytrzymują próby czasu, jeżeli żadne rzeczywiste zdarzenia nie podtrzymują ich życia, i bledną zwolna wobec trzeźwiejącego rozumu — a rozum bardzo prędko trzeźwieje w nieszczęściu. Tak i Formoza, im więcej swoim rozumem zastanawiała się nad tem, co się stać mogło, i kiedy żadna wieść nowa nie utwierdzała jej wiary, tem więcej się chwiała i tem jaśniej dostrzegała, że jej wszystkie legendy są tylko wymysłem jej wyobraźni. Zaczem, odrzucając pomału jednę po drugiej, zaczęła nareszcie powątpiewać o prawdzie głównego artykułu swej wiary. Postępując tym trybem, rozbierając szczegółowo prawdopodobieństwo swoich pierwotnych przypuszczeń, im więcej nad niemi pracowała swoim rozumem, tem częściej przychodziła do przekonań całkiem przeciwnych. Gniewosz nie zginął? — mówiła sobie natenczas. — Więc cóż się z nim stało? Mąż tak wysokiej godności, jeden z najpierwszych urzędników królewskich, ulubieniec samego króla, mający tylu przyjaciół u dworu, znany nawet po wszystkich krajach postronnych, gdziekolwiekby był, — azaliżby dotąd, od czternastu miesięcy, nic się o nim nie dowiedziano? Azaliżby król, który pewnie kazał się dowiadywać o niego, nie był dotychczas choć jakiej głuchej

wieści o nim otrzymał? Azaliżby on sam nie znalazł dotąd sposobu, ażeby dać wiadomość o sobie? Azaliż stary Pretficz, mąż taki rozumny i tak doświadczony, nie powiedział jej sam, że co do Gniewosza, to rzecz całkiem inna, że gdyby żył, to król byłby już dawno się o tem dowiedział? — A zatem wszystko, co dotąd o nim sobie roiła, wszystkie obrazy o niewoli u Turków, o galarach, o przebijaniu się jego przez ziemie murzyńskie, wszystko to były próżne marzenia!

Ale takie grzebanie w legendach, które nam wiara przynosi, jest niebezpiecznem, albowiem każda wiara właśnie i głównie opiera się na tych legendach, które, opanowując wyobraźnię człowieka i przywiązując jego serce do siebie, utrzymują w jego umyśle jej ducha. Kto zacznie te legendy odrzucać jednę po drugiej, ten wkońcu i samą wiarę w sobie zachwieje. Tak stało się także Formozie: poodrzucawszy wszystkie swe przypuszczenia jedno po drugiem, zachwiała się wreszcie w swojej niegdyś tak silnej wierze, że Gniewosz jest jeszcze przy życiu. I tak, jak we wszystkich ludziach, usiłujących wszystkiego dochodzić rozumem, kiedy nie mogą na to znaleźć dowodów, w co niegdyś wierzyli, ale w swem zacnem sercu nieradzi porzucać ideałów swojej młodości, pozostaje tylko jakiś oderwany od ziemi i całkiem eteryczny duch wiary, którym się już nie rządzą w swem życiu, a który się już tylko nad ich myślami unosi — tak i z jej wiary już tylko tyle jej pozostało. Gniewosz gdzieś jest, na ziemi lub w niebie, może go jeszcze kiedyś obaczę, może zgrzybiałym starcem przed grobem, a może dopiero po śmierci...

Wśród takiej walki we wnętrzu jej duszy, w której trzeźwe poglądy usuwały coraz więcej w głąb jej idealne nadzieje, zaszły wzruszające wypadki: niespodziewana śmierć starego Kijasa, krwawe zabójstwo Olizara i Frąca, ożenienie się Kundrata, konieczność zajęcia się osobiście majątkowemi sprawami — a wtedy i myśli jej musiały się spuścić na najniższy poziom tej ziemi i iść za przewodem zimnego rozumu. Ciężka, zabijająca to praca dla takiej kobiety, której serce ogromne swoją miłością i umysł wyniosły, patrzący zwysoka na ziemię, pragnęły zawsze i godne były daleko wyższych celów w tem życiu! Lecz właśnie za przewodem tego serca i tego umysłu, poddających się kornie nieubłaganemu losowi, dojrzało w niej wtenczas zupełnie postanowienie zbudowania jakiegoś wielkiego klasztoru, urządzenia w nim spokojnego przytułku dla bogobojnych dziewcząt, zajęcia się nędzą ubogich i nieszczęśliwych. Przez zimę miała się zająć wypracowaniem tych wszystkich projektów, a na wiosnę zabrać się do ich wykonania.

Owo więc wtedy, jednego dnia przed samym wieczorem, pomiędzy Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem, zjawił się u niej ów Ormianin z listem starego Pretficza.

Nieznajomy jej dotąd Ormianin powiedział jej najprzód, że to on jeździł za Lubkiem do Turcji, że teraz dopiero powrócił i że go pan Preficz do niej przysyła.

Na tę wiadomość Formoza się trochę zmieszała, twarz jej się zarumieniła, serce jej uderzyło, ale się opanowała i zapytała Ormianina:

— Tyś to jeździł za Lubkiem? Cóżeś tam zrobił?

— Po długich kwerendach — odpowiedział jej Ormianin z uśmiechem zadowolenia — odszukałem pana Lubomira w niewoli, wykupiłem go, przywiozłem do Sokołowa, a teraz wróciłem do Lwowa.

— Więc Lubek ocalał! — zawołała Formoza — Z całego serca się cieszę, bom też tego zacnego chłopca szczerze kochała. Co to tam za radość musiała być w Sokołowie! Więc z tą wiadomością cię pan Pretficz do mnie przysyła?

— Z tą wiadomością i z listem — rzecze Ormianin i, to mówiąc, wydobył list z za szerokiego pasa i oddał go jej, dodając te słowa: — Oddawszy list, polecam się łasce waszej miłości, bo mi się śpieszy do żony i dzieci, którychem prawie od roku nie widział.

— List do mnie? — zawołała Formoza, niezmiernie tem zadziwiona, bo listy pisywano owego czasu tylko w bardzo ważnych wypadkach. — List? Jakto? Idziesz już? Czekaj...

Trzymała list w ręku i drżała na całem ciele. Sama nie wiedziała co się z nią działo. Tysiące myśli jej przeleciało przez głowę, tysiące uczuć skrzyżowało się w sercu.

— Czekaj... Dlaczegoż się tak śpieszysz? Chciałam się z tobą rozmówić. Czekaj... albo idź, ale bądź tak dobry, przyjdź, jak cię każę zawołać.

Ormianin wyszedł. Formoza trzymała list w ręku i nie miała odwagi oderwać pieczęci z koperty. Ale po chwili odetchnęła z głębi piersi, mówiąc do siebie:

— Jakaż jestem dziecinna! A czasby mieć rozum. Pretficz mi oczywiście o Lubku donosi...

To mówiąc, zerwała pieczęć, otworzyła list i przystąpiła do okna, bo się już wtedy zmierzchało, aby go spokojnie przeczytać.

Lecz ledwie pierwszy wiersz odczytała, otworzyła usta, jakiś niezrozumiały głos z ust jej wyleciał, oddech zupełnie zaparł się w piersiach, w oczach jej się zaćmiło, oparła się o uszak okna i rękę wraz z listem opuściła ku ziemi. List starego Pretficza zaczynał się od słów:

- „Pospyescham donyeść waschej miłości czo prendzey, że yegomość pan Gniewosch yest przy życyu, bendonc w niewoley u Thurka. Muy syn Lubek, czo właśnye powrucił, sam go widzyał na własne oczy y myał z nym dyskurs"...

Pod pierwszem wrażeniem krew w niej zastygła z radości i wszystkie władze umysłu stanęły. Trwało to jednak tylko przez okamgnienie, poczem serce jej uderzyło gwałtownie, krew jej zaczęła się przelewać po całem ciele, jak wzburzone morskie bałwany, ręce jej dygotały, podniosła list ku oczom, chciała dalej czytać, ale nie mogła: nie mogła listu utrzymać w ręku i zmrok już zapadł natenczas. Zaczem przyskoczyła do stołu, porwała za dzwonek i zadzwoniła tak silnie, że trzy służebne wpadły z różnych drzwi razem do komnaty.

— Światła — zawołała Formoza — kaganiec... wielką lampę oliwną... nie, lichtarz z woskowemi świecami. Albo co bądź...

Sama nie wiedziała, co mówi, chciałaby była, ażeby słońce teraz wzeszło w całym blasku promieni.

Służebne wybiegły i za chwilę wróciły, zastawiwszy cały stół kagańcami i świecznikami.

— Idźcie sobie teraz, proszę was, aż was zawołam.

Kiedy służące wyszły, siadła do stołu, aby list czytać. Lecz, chociaż biegłą była w czytaniu, jakoś jej nie szło. Pierwsze wiersze przeczytała trzy razy, sześć razy, i nie mogła dalej postąpić. Pomimo świateł jarzących, w oczach jej się ćmiło, litery się chwiały, całe wiersze się zlewały ze sobą. Po kilka razy podnosiła głowę do góry, zaczerpywała powietrza i znów do czytania wracała. Radość ją tak zupełnie opanowała, że żaden zmysł nie chciał jej służyć po woli. Ale po chwili, widząc że list jest tak bardzo długi, przyszła jej myśl przerażająca, że może dalej znajdują się jakie złe wiadomości, i to ją otrzeźwiło; siadła więc silniej na krześle, oparła się o stół obydwoma łokciami i cały list prędko przebiegła. Złej wiadomości aż do końca nie było, były tylko szczegóły niezrozumiałe, zaczem odetchnęła i zaczęła list czytać na nowo, zastanawiając się nad każdym szczegółem zosobna. Próżne usiłowanie! Ten i ów szczegół ją silniej uderzył, inny obudził w niej uwielbienie dla jej oblubieńca, ale myśleć nad tem wszystkiem nie była w stanie. Dowiedziała się tylko całości — i na dziś musiała na tem poprzestać.

Noc nie rozjaśniła także jej głowy. Sen nie chciał skleić jej powiek. Przez całą noc tylko najdziwniejsze marzenia snuły się po jej głowie: była w Carogrodzie, widziała Gniewosza, rwącego żelazne kajdany, jak nici, stojącego przed carzem tureckim, imponującego całemu dywanowi swoją wspaniałą postacią, zmuszającego Turków swoją godnością do poszanowania dla siebie. Ale dlaczego Gniewosz zażądał sam, aby go tam trzymano przez

rok i sześć niedziel, kiedy prawdopodobnie mógł się pierwej wydobyć? Czy był to czas próby, który jej miłości wyznaczył?... Ta niepojęta zagadka zmorzyła ją nareszcie nad ranem i sprowadziła na nią kamienny sen, z którego się obudziła dopiero w dzień biały.

Przetarłszy oczy, najpierwej pochwyciła za list, który pod poduszkę schowała, i jeszcze raz go przeczytała. Wszystko tam tak stało, jak wczoraj wyrozumiała. Jest, żyje i nic mu się nie stało. Cóż teraz zrobić, aby go z tej niewoli wydobyć?

Pierwsza jej myśl była zaraz dziś jechać do Carogrodu. Wolną jest, nikt jej tej podróży za złe nie weźmie; pieniędzy ma dosyć, może go łatwo wykupić. Ale czy dobrze to będzie? Czy dobrze to, żeby kobieta, niebędąca żoną Gniewosza, za nim jechała? I czy Gniewosz nie znajdzie w tem pewnego upokorzenia, jeżeli ona go zechce wykupić swojemi pieniędzmi? — Boże! Mój Boże! — wołała wtedy, łamiąc ręce przed sobą i zalewając się łzami — Co ja tu poczne? — Zastanowiła się nad tem, nie umiała sobie dać odpowiedzi, chciałaby była kogoś się poradzić. Ale kogo? Starego Pretficza? Pretficz daleko, człowiek zanadto rozważny, odradzi jej jechać, każe czekać — a tu jej ziemia pali się pod nogami. Poradzić się Kundrata? Kundrat zmyślny, lecz głupi, nieszczęśliwą ma rękę, jeszcze jej jakieś głupstwo poradzi. Radzić się ludzi obcych? Za nic w świecie! I źle jej poradzą i jeszcze plotek narobią. W tym wielkim kłopocie przeczytała jeszcze raz list starego Pretficza i dopiero teraz spostrzegła, że Pretficz jej radzi wiadomość tę donieść bez zwłoki królowi. Zaczem uderzyła się w czoło, mówiąc do siebie: Jużci

Pretficz ma rację. Jest przecie król! Król wie o wszystkiem. Gniewosza kocha, on da jej radę najlepszą i niezawodnie pomoże. Postanowienie było zatem powzięte.

Ubrała się więc zaraz bardzo pięknie i wziąwszy ze sobą dwie panny służebne, poszła na Niski zamek. Było to już zpołudnia, w królewskiej antykamerze był cały tłum senatorów, prałatów, rycerzy, szlachty i mieszczan. Formoza nie znała nikogo z dworzan królewskich; na widok tylu panów brodatych, pancernych, w świąteczne suknie przybranych, rumieniec jej na twarz wystąpił, wzrok jej się błąkał po obcych twarzach, nie wiedziała, co ma począć ze sobą. Na szczęście jednak Kamieniecki ją poznał, zaraz do niej przystąpił, powiedział jej dobre słowo, sam ją zameldował królowi i sam jej drzwi do jego komnaty otworzył.

Król, gdy ją obaczył, chociaż już wiedział, kto wchodzi, niezmiernie jej widokiem był uderzony. Albowiem Formoza, lubo w bardzo skromną suknię ciemnego koloru ubrana, z wąską białą kryzą około szyi i w jedwabnym czepcu na głowie, wyglądała tak wspaniale, jej twarz zarumieniona, na której było widać głębokie wzruszenie, jej oczy skromne, lecz pełne tego poważnego wyrazu, co świadczy o uczuciu swej własnej godności, jej usta prawie zachwycone w tej chwili, musiały sprawić na każdym przejmujące wrażenie, a tem bardziej na królu, tak umiejętnym i doświadczonym znawcy wszelakich odcieni kobiecego uroku. Zaczem wstał, a objąwszy swym wprawnym wzrokiem całą jej postać, rzekł do niej:

— Ceres, albo Diana! Krewna Knitów... Pamiętam dobrze, żem waszmość panią widział przed

dwoma laty, kiedym był u jej teścia w gościnie, bo takich piękności się nigdy nie zapomina; lecz muszę przyznać, że od tego czasu jej wdzięki, jeśli to być może, nabrały jeszcze daleko więcej świetności i blasku. Od tego czasu, jak dla mnie, tak i dla waszmość pani, to i owo się zmieniło. Mąż zginął, a teraz się dowiaduję, że i teść życie postradał. Masz pewnie jakieś familijne trudności, będziemy radzi, jeżeli potrafimy jej w czem dopomóc.

— Miłościwy królu, — odpowiedziała Formoza, panując świetnie nad swojem wzruszeniem — w ostatnich dwóch latach podobało się Bogu dotknąć mnie całym szeregiem umartwień. Zniosłam je z poddaniem się i z pokorą, jak chrześcijance przystoi. Dotknęły mnie także różne niepowodzenia, ale nie są one tego rodzaju, ażebym musiała niemi zatrudniać mojego miłościwego pana i króla. Jeżelim się ośmieliła stawić przed obliczem waszej królewskiej mości, to dlatego, żem otrzymała wiadomość, która mnie bardzo zbliska dotyka, a która zapewne i waszej królewskiej mości nie powinnaby być obojętną: imć pan Gniewosz żyje i jest u Turka w niewoli.

— Gniewosz żyje!? — zawołał król, przystępując do niej o jeden krok bliżej i wpatrując się silnie w jej oczy. — Któż to waszmość pani powiedział? Radbym pewnie, ale nie może to być, bobym się był przecie o tem dowiedział.

Na to Formoza dobyła list starego Pretficza z kieszeni, ale, nie dając go jeszcze królowi, rzekła te słowa:

— Miłościwy królu! W ludzkiem sercu bywają uczucia, które nie są grzechem, a przecie nie godzi się, ażeby ludzie o nich wiedzieli, bo mogliby je

na naszą krzywdę tłumaczyć. Z takich uczuć odkrywam się dzisiaj przed waszą królewską mością, przynosząc memu miłościwemu panu o Gniewoszu wiadomość. Zaczem liczę na rycerską szlachetność waszej królewskiej mości, jako będziesz miał wzgląd na cześć i dobre imię kobiety. Oto jest list, w którym stoi świadectwo, jako Gniewosz jest w Carogrodzie.

Te słowa wzruszyły króla, jakoż, wziąwszy Formozę za rękę, rzekł do niej głosem serdecznym:

— Nie bójże się, moja zacna pani, żadnej niedyskrecji ode mnie, a wiedz o tem, że honor rycerski stoi u mnie nad wszystko; strzegę go, jak oka w głowie, u moich dworzan, a tem bardziej u siebie. Siadajże sobie i spocznij, bo widzę łzy w twoich oczach. Pamiętam dobrze, że mi Gniewosz wspominał o tobie. Los nim pokierował inaczej, dziśby się to mogło znów naprostować. Życzę z serca, aleby mnie to bardzo dziwiło...

To mówiąc, siadł u stołu i czytał list Pretficza z uwagą.

A przeczytawszy go, rzekł:

— Zaprawdę, dziwna to rzecz! Jużci prawda, że przez cały ten czas nie mieliśmy z Turcją żadnych relacyj, bo Bajazet gotował się na nas do wojny i ani przez Wołochy, ani przez tatarszczyznę nie mogliśmy się do Carogrodu przedostać. Być zatem może... zwłaszcza, że widzę z tego listu, jako Gniewosz sam pragnął swoją niewolę przechować w sekrecie przez rok i sześć niedziel.

— Jaki miał powód do tego, — rzekła na to żywo Formoza — tego się nie mogę domyśleć.

— Więc ja ci to wytłumaczę — odpowiedział

jej bystry król z uprzejmym uśmiechem. — Jest w tem dowód miłości, którą wiernie chowa dla waszmość pani. Ma przecież żonę, prawo wymaga, ażeby wdowa złożyła dowód, jako jej mąż nie żyje, jeżeli zaś dowodu nie złoży, to musi czekać rok i sześć niedziel. Zaczem tak mi zdaje, że Gniewosz chciał dać swojej żonie rok i sześć niedziel, ażeby zamąż pójść mogła. Ale ona, jak ci to pewnie wiadomo, nie czekała tak długo...

— Cóż teraz będzie, jak Gniewosz powróci? — zapytała Formoza, bledniejąc, jak ściana, bo dotąd o tej przeszkodzie nie pomyślała.

Ale ją król uspokoił, mówiąc:

— Nic nie będzie. Rok i sześć niedziel minęły. Jeżeliby zaś księża chcieli się w to mieszać, to już ja w tem będę, abyśmy wstrętów nie mieli.

Na to Formoza wstała, a odetchnąwszy z głębi piersi, nisko się ukłoniła królowi. Król także wstał i rzekł:

— Już ja to biorę na siebie, bo też i Gniewoszowi pewnie niczego nie odmówię. Ale co teraz zrobić, najprzód, ażeby mieć pewność, że on żyje, a potem, aby go stamtąd wydobyć?

Formoza, złożywszy ręce przed sobą, zawołała ze łzami w oczach.

— Najjaśniejszy panie! Turcy są łakomi pieniędzy, ja jestem teraz bogatą i każdą ofiarę poniosę za niego. Dam wszystkie pieniądze, sprzedam ostatni klejnot ze skrzyni, ostatnią wioskę, ostatnie bydlę z obory... byle tylko powrócił.

Formoza wyglądała, jak bóstwo, w tym szlachetnym zapale, a mogłaby była wzruszyć kamienie, kiedy po tych słowach łzy jej się strumieniami potoczyły po twarzy.

Królowi, chociaż nie był czułym do zbytku, także łzy w oczach stanęły i rzekł:

— Dałbym i ja także coś za Gniewosza, jakoż nie o to tu chodzi.

Poczem znowu kazał usiąść Formozie i sam siadł i myślał przez chwilę. A potem powiedział:

— W tym liście Pretficza stoi, jako Bajazet sam Gniewoszowi powiedział, że go w danym razie za jakiego słusznego baszę wymieni. Owo mam ja tu w zamku jakiegoś tureckiego murdziaka, co długo nie wiedziano, który on jest, dopiero wczoraj się z tem wygadał, jako jest Bajazeta synowcem. Prawdę li mówi, czy kłamie, trudno to dociec. Ale, jeżeli jest Bajazeta synowcem, to musi przecie wiedzieć, co się dzieje w pałacach cesarskich, a przeto powinienby także wiedzieć, azali Gniewosz tam jest, którego, jak Pretficz pisze, trzymają tam z takim respektem.

To rzekłszy, król klasnął w ręce, a kiedy paź drzwi otworzył, krzyknął na niego:

— Zawołaj pana Kamienieckiego.

Na to Formoza zerwała się z krzesła, złożyła ręce do króla i rzekła głosem błagalnym:

— Prosiłam waszej królewskiej mości o sekret!

Ale król znowu ją uspokoił, mówiąc:

— Zostawże to mnie, moje dziecko. Za Kamienieckiego ręczę ci, jak za siebie samego, a potem, przecież to najserdeczniejszy przyjaciel Gniewosza i pewnie wie lepiej od ciebie, co kiedykolwiek w jego sercu się działo.

Na to wszedł Kamieniecki. Kiedy król mu powiedział, co jest, Kamieniecki niezmiernie się ucieszył, a serce mu się nawet rozradowało do tego

stopnia, że kilkakrotnie Formozę ścisnął za rękę, mówiąc:

— Byłem ja spowiednikiem Gniewosza i wierz mi, waszmość pani, że na jej miłość zasłużył. Bądźże nam, waszmość pani, spokojną, już my go stamtąd wydobędziemy, a nawet tak rozumiemy, że go nam Turcy z wielkiemi honorami odeślą.

Do króla zaś rzekł:

— Jeżeli Gniewosz tam jest, toż to bardzo szczęśliwa dla nas okazja.

Król wszakże mrugnął na niego nieznacznie i powiedział:

— Idźno przedewszystkiem sam do tego murdziaka z dobrym tłumaczem, a ażeby ci się do dna wyspowiadał, daj mu do zrozumienia, że go za Gniewosza wymienimy.

Kamieniecki wyszedł, a król kazał czekać Formozie, wypytując ją tymczasem o śmierć starego Kijasa, o Frąca i Olizara, i kwilił nad tem, że tak marnie zginęli.

— Nadewszystko mi żal Olizara, — powiadał jej poufale — bo myślałem o pewnej funkcji dla niego, na której i sam byłby się dobił niemałych zaszczytów i naszemu królestwu byłby przyniósł pożytek. Ale ci ludzie sami sobie winni, jeżeli dotąd nie zrozumieli, jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy rycerzem, co z dziecka sposobił umysł i ciało do tego rzemiosła, a takim domorosłym mołojcem, co jakokolwiek siedzi na koniu i gęsto macha szabelką. U takiego rycerza, jak Kergolaj, a zwłaszcza Gniewosz, kości są jakby z żelaza, a żyły ze stali, oko i ucho i zręczność, jak u dzikiego zwierza, przytomność umysłu, co nigdy go

nie zawodzi, a nadto jeszcze i dusza inaczej wyniosła, niżeli u takiego kozaka. Widzimy przecież, jak taki rycerz nieraz w całej zbroi równemi nogami wskakuje z ziemi na konia, czego drugi człek nagiby nie potrafił. Niedawno temu jeden z moich rycerzy skoczył w pełnym rynsztunku w szyb solny w Wieliczce, mówiąc do mnie, że skacze za zdrowie królewskie; rozumieliśmy, że tam z niego tylko takie strzępie zostaną, co je miotłą zamiecie — a przecie zdrów wyszedł ze szybu i nic mu nie było. A gdybyś, waszmość pani, była widziała, z jaką fantazją Gniewosz stanął pod Suczawą w obronie mojego honoru i jak potem uderzył, tobyś go dziesięć razy więcej kochała. Jakoż to muszę waszmość pani powiedzieć, że krom jej zacnego serca, które wysoko cenię, mam także niemałe uznanie dla jej rozumu, żeś sobie takiego męża wybrała. Żelazny to człowiek, chłop zacny nawskróś, jakich niewielu, a przytem, o ile to będzie od naszej możności zależeć, ma też i przyszłość przed sobą.

Formozie na te pochwały królewskie ogromnie serce urosło — a wtedy wszedł Kamieniecki.

Kamieniecki zdał sprawę królowi w ten sens: jako murdziak rad się do tego przyznaje, że jest Bajazeta synowcem, obiecuje okup za siebie w pieniądzach, jaki sam król na niego nałoży, zaręcza za to, że jego stryj a carz turecki da każdego polskiego jeńca wzamian za niego, któregoby sobie wybrano; zaś co do jeńców, to mówi, że wie z pewnością, bo też sam nieraz go widział, jako jest w carskiem więzieniu jeden rycerz polski ogromny wzrostem, którego trzymają z wielkim respektem i czasem gościom go pokazują.

— Więc to się zgadza z listem Pretficza — rzekł na to król. — Cóż ty o tem rozumiesz?

— Zdaje mi się, że to jest Gniewosz — odpowiedział mu Kamieniecki.

— Gniewosz, z pewnością! — zawołała Formoza. — Nie może inaczej być, jużci młody Pretficz takiej rzeczy nie skłamał.

— Kłamano nam już w sprawach daleko ważniejszych — rzekł na to król — kłamano umyślnie; ale co gorsza, niektóremu się coś przywidziało, przysięgał na rany Chrystusa Pana, że prawda, a potem się pokazało, że mu się coś chyba przyśniło, a gęba reszty dosnuła. Ten młody Pretficz, o ile go pomnę, cale mi na takiego człowieka wygląda, co w biały dzień rozmaite sny miewa... Ale tym razem i ja tak rozumiem, że to może być Gniewosz.

Zaczem zbliżył się do Formozy, wziął ją za rękę i rzekł bardzo łaskawie:

— Wróćże sobie waszmość pani spokojnie do domu, a resztę nam zostaw. Jutro, a najdalej pojutrze wyjedzie nasz poseł do Bajazeta i wszystko ze sobą powiezie, co trzeba, ażeby Gniewosza wydobył. Nie zapomnimy o niczem, a tylko o cierpliwość prosimy.

— Najjaśniejszy królu, — zapytała Formoza — czy poseł waszej królewskiej mości weźmie tego murdziaka ze sobą?

Na co król się uśmiechnął i rzekł:

— To nie, boby mu Turcy murdziaka wzięli, a Gniewosza nie dali. Ale się z Bajazetem o tę wymianę umówi, a potem zaraz ich wymienimy.

Formoza na to spuściła oczy ze smutkiem ku

ziemi, co król spostrzegłszy, powiedział jej grzecznie:

— Moja droga pani, gdybyśmy ptaków mieli na nasze usługi, tobyśmy ich pewnie w tym razie użyli, ale we wszystkich rzeczach ludzkich musimy posługiwać się ludźmi.

Więc Formoza, zrozumiawszy, że inaczej nie może być, odpowiedziała królowi:

— Miłościwy królu, czekałam cierpliwie czternaście miesięcy, jeszcze i na drugie tyle mi cierpliwości nie braknie, bylem tylko wiedziała napewno, że Gniewosz żyje i wróci.

To rzekłszy, ukłoniła się nisko królowi, podziękowała za łaskę i powróciła do siebie.

Od tego czasu Formoza się całkiem zmieniła. Uczuła się jakby odrodzoną na nowo, jej żałoba ustąpiła zupełnie z jej myśli i serca, świat żywy i słoneczny, do którego była stworzoną, zaczął się teraz do niej tak wesoło uśmiechać, jak dotąd nigdy w jej życiu; ale pomimo to nie miała spokoju.

Król wypowiedział wątpliwość — może ma rację; Lubek, jak go w obozie poznała, zdawał się i jej także być takim człowiekiem, co dla pieśni i pięknej powieści gotów rozminąć się z prawdą; zresztą tak wiele bajek krąży po świecie, na które wszyscy gotowi przysiąc, a które przecież na końcu okazują się czystem zmyśleniem. Uwagi te zachwiały jej przekonanie, chociaż się opierało na liście Pretficza i na zeznaniu murdziaka, zaczem postanowiła przedewszystkiem wiadomość o Gniewoszu zachować przed ludźmi w sekrecie.

— Jeżeli im powiem, — mówiła sobie — to będą mojemu szczęściu zazdrościć, — a jeśli potem, co

nie daj Boże, wiadomość ta się okaże zmyśloną, to będą się cieszyć mojem nieszczęściem.

Natomiast wszakże zapragnęła, ile możności, wiadomość tę stwierdzić. Do murdziaka się dostać nie mogła. Do Pretficzów jechać nie chciała, bo obawiała się Pretficzowej, którąby jej zbyteczne krzątanie się za Gniewoszem mogła wziąć za złe. Ale napisała list do starego Pretficza, prosząc go, aby jej przysłał Lubka na dzień jeden do Lwowa.

Lubek przyjechał i wszystko jej dosłownie potwierdził. Widział Gniewosza na własne oczy, sam z nim rozmawiał, sam Gniewosz wziął parol kawalerski od niego, że o tem nikomu nie wspomni. Lubek, mający głowę zajętą czem innem, nie wiedząc wcale, a nawet i nie pytając o to, dlaczego Formoza wypytuje go o Gniewosza, tylko wiedziony instynktowem przeczuciem, prosił ją i zaklinał, ażeby wiadomość tę, zgodnie z wolą Gniewosza, zachowała w sekrecie.

Więc wszystko dobrze. Formoza się całkiem uspokoiła i czekała cierpliwie.

Tak minął jej styczeń, luty i marzec w spokoju, lecz w kwietniu zaczęła się znów niecierpliwić. Starała się coś dowiedzieć na Niskim zamku, ale napróżno. Król był wtedy na sejmie w Piotrkowie i wszyscy dygnitarze byli na sejmie. Na zamku rezydował tylko sam Łopatka — a Łopatka miał wobec niej gębę zamkniętą na kłódkę. Poseł do Bajazeta? — pytał jej niby zdziwiony. — A gdzieżby też król posłów posyłał do Turków, których pobił na miazgę? Toż chyba prędzej pobici Turcy przyślą swoich posłów do króla. — Murdziak, Bajazeta synowiec, jeńcem na zamku? — Łopatka nic o tem nie wiedział. Było tu kilku łapserdaków

tureckich, — powiadał Formozie — ale ich szlachta porozbierała pomiędzy siebie, a myśmy ich chętnie porozdawali, bo i na ten chleb nie umieli zarobić, co u nas zjadali. — Więc niemasz już żadnych jeńców tureckich na zamku? — Niemasz ani jednego.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytywała siebie stroskana Formoza. — Miałżeby król mnie okłamać? Miałżeby Kamieniecki zdradzić Gniewosza? Mieliżby go obydwa zostawić w niewoli, aby tam zgnił w tureckich więzieniach.

W kwietniu jej niecierpliwość wzrosła do tego stopnia, że już snu w nocy nie miała. Lecz przyszedł maj, a i w maju także jeszcze żadnej wiadomości nie było.

W Sokołowie już bardzo wcześnie zaczynały się skrzętne prace wiosenne.

Jak tylko śniegi stajały, a ziemia cokolwiek podeschła, sto pługów okrywało, jak mrowie, szerokie łany ornego pola, tysiące owiec wełnistych się pasło po wzgórzach, nieprzeliczone stada bydeł i koni tłumiły się wesoło po łąkach, a lasy dymiły się ogniskami, nałożonemi przez karczowników. Skowronek unosił się nad rolami, dodając swoim dźwięcznym świegotem oraczom ochoty do pracy, żarłoczne wrony postępowały poważnym krokiem za pługami, oczyszczając świeżo wyorane skiby z robactwa, a od krzaczystych brzegów Świcy pastuszkowie przygrywali na fletniach, które sobie misternie wycięli z soczystej wierzbiny.

Stary Pretficz już w kwietniu wrócił z Piotrkowa ze sejmu, gdzie po raz pierwszy zasiadł mię-

dzy senatorami, i już od tego czasu codziennie o wschodzie słońca sam wyprawiał pługi na pole, bacząc pilnie, ażeby każdy postronek i każdy kołek był w swojem miejscu; potem przez cały dzień konno orne pola, pastwiska i lasy objeżdżał — a po południu wracał do domu, aby pod jego okiem przygotowano zawczasu dostatnie pożywienie dla bydła i ludzi. Pańszczyzna jeszcze wtedy nie wystarczała do obrobienia takich gospodarstw, gdzie się po tysiąc korcy siewało, wolnych kmieci jeszcze było dużo na Rusi, a osadników niesporo, trzeba było trzymać liczne zaprzęgi i licznych parobków — i dla nich to już zaraz z południa pracowały po gumnach sieczkarnie, a słupy dymów podnosiły się wgórę z kuchen folwarcznych.

Toż i dziś, kiedy słońce dopiero zaczęło złocić powietrze za jodłowemi lasami na niebie zachodniem, on już odpoczywał w środkowym ganku po pracy, czekając cierpliwie, kiedy usłyszy turkot wozów na drodze i odgłos dzwonków, któremi ciężkie krowy podolskie ogłoszą swój powrót z paszy majowej do przewietrzonej tymczasem obory, gdzie dziewki rumiane, gwarząc wesoło ze sobą, czekają na nie z czysto wypłókanemi skopcami.

Koło niego siedziała matka, cicha i spokojna, jak zawsze, a naprzeciw niego Lubek, oparty plecyma o poręcz ławy, z świeżemi rumieńcami na twarzy, ale z zamyślonemi oczyma.

Lubek gospodarował na swoim folwarku, ale zdaje się, że niebardzo umiejętnie swe gospodarstwo prowadził, bo ojciec, wziąwszy go dzisiaj ze sobą w pole i pokazawszy mu, jak się powinno sprawować rolę, teraz mu opowiadał, jak trzeba chodzić około bydła i koni, ażeby obora i staj-

nia przynosiły pożytek swą pracą i oddawały co roku odpowiedny przychowek. Jednakże Lubek, chociaż go słuchał niby z uwagą, słowom ojca należną, patrzał w dziedziniec, gdzie brzozy płaczące już kąpały swoje zielone warkocze w sadzawce, a róże, w większej połowie już rozkwitnięte, łączyły swoją woń prawie odurzającą a przypominającą powietrze, wiejące w pałacach tureckich, z świeżym zapachem majowej zieleni. Spostrzegłszy to ojciec, rzekł do niego łagodnie, choć z pewnym wyrzutem:

— Ja tobie daję pożyteczne nauki, a ty patrzysz gdzie indziej: róże są na twoje usługi przez cały dzień, a ja bardzo rzadkie mam chwile, w których mogę spokojnie z tobą pogadać.

— Nie, — rzecze Lubek — ja słucham ojca uważnie, tylko mnie taka woń zaleciała od stawu, że mi się przypomniało moje carogrodzkie więzienie, gdzie nieraz ciężko się wzdycha w niewoli, ale gdzie wszystko pachnie różami. A czując ten zapach, myślałem o tych nieszczęsnych, którzy tam po mnie jeszcze zostali i może nigdy nie wrócą do swoich...

Na to stary Pretficz, człek bardzo zacny, ale wcale nieskłonny do marzeń, machnął ręką z niechęcią i rzekł:

— Dobrze jest towarzyszyć nieszczęściu współczuciem, ale pierwszym obowiązkiem człowieka i obywatela jest praca na chleb powszedni, aby go mieć dostatkiem dla siebie i drugim udzielić.

Ale w tej chwili Lubek wstał raźnie, wytężył oczy ku bramie i zawołał:

— Ktoś wjeżdża w bramę, jacyś rycerze.

Natenczas wszyscy w bramę spojrzeli i oba-

czyli istotnie, jako w nią wjeżdżał przystojny poczet rycerzy.

Było ich sześciu. Na czele ich jechał na wielkim koniu rycerskim rycerz bardzo wielkiego wzrostu: był cały w zbroi bronzowego koloru, miał taki sam hełm z barwnemi piórami i końskim ogonem na głowie i podniesioną przyłbicę, ale jego twarzy nie można było poznać, — było to za daleko. W pierwszym szeregu za nim jechał trębacz, a dalej czterech żołnierzy, w półpancerzach i hełmach, a na koniach tureckich. Na pierwszy rzut oka było widać, kto się znał na tem, że był to poczet ubrany i uzbrojony porządnie, a tak błyszczący, jak gdyby na popis wyjechał.

Ledwie ci ludzie wysunęli się z bramy, trębacz uderzył w trąbę i zagrał odzew królewski.

— Paniowski, albo też Wilczek! — zawołał stary Pretficz, przykładając prawą rękę do czoła, aby zasłonić oczy od promieni zachodzącego słońca.

Ale Lubek zbladł na to i krzyknął mocno zmienionym głosem:

— Gniewosz! To Gniewosz! Poznaję go po bronzowanym pancerzu.

Tymczasem poczet zajechał stępą przed ganek, a kiedy stanął przed gankiem, wszyscy odrazu jego rotmistrza poznali: był to Gniewosz.

Zaraz więc obydwa Pretficze ku niemu skoczyli, a ojciec zawołał:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Przecie nam wracasz! A myśmy tu już rozumieli, żeś tam sobie zdobył jakie królestwo między pogany i już nigdy nie wrócisz...

Gniewosz zsiadł z konia, podał prawą rękę sta-

remu Pretficzowi, lewą położył na ramieniu Lubka i rzekł:

— Do niewoli się prędko dostaje, ale nieprędko się z niej powraca.

Poczem kłaniał się Pretficzowej, której nie znał dotychczas, powiadając jej komplementy po kawalersku i zapewniając ją, że dla jej cnót, znanych całemu krajowi, zawsze był pełen uwielbienia.

Gniewosz wyglądał czerstwo i świeżo. Jego szafirowe oczy świeciły prawdziwym blaskiem szczęścia i spokoju, na jego białych policzkach błyszczały lekkie rumieńce, około ust igrał ten uśmiech swobodny, po którym widać człowieka, pełnego miłości dla wszystkich i przejętego uczuciem zadowolenia. Widząc to, Pretficz zawołał do niego:

— Bodajże nam tak wszyscy wracali z niewoli! Jednak podobno tobie nie tak bardzo źle się tam powodziło, jak innym, bo, jak wszystkich, tak też i Turków potrafiłeś do respektu dla siebie zniewolić, jak nam to Lubek powiadał.

— Jużci mnie tam nie męczono, ale niewola zawsze jest gorzka — odpowiedział mu Gniewosz.

A na to Pretficz:

— Nie widać tego po tobie, bo wracasz z niewoli tak pięknie okryty, jak gdybyś przyjechał z Czorsztyna, co mnie też dziwi.

— Jeszcze się bardziej zadziwisz, — rzekł Gniewosz — kiedy ci powiem, że ten koń wielki rycerski, co na nim jadę, i te dwa przednie konie tureckie, na których siedzą ci dwaj szlachcice, com ich także wyprosił z niewoli, to prezent, którym mnie obdarował sam cesarz turecki.

Na co znów Pretficz:

— Więc to tam przyjaźń się ściele pomiędzy nami a Turecczyzną? Coby też było bardzo pożądanem, bo nie życzyć nam wojny z tem mocarstwem, co ma zbrojnego ludu, jak mrowia, a do tego jeszcze i Tatar i Wołoszczyznę na zawołanie. Jeżeliś tam pokój z Bajazetem ułożył, choćby tylko na jakie lat kilka, abyśmy też odetchnęli po tych dwóch latach wojennych, tobyś tem wielką położył zasługę około naszego dziś bardzo wycieńczonego królestwa.

— Nasz pan miłościwy nosi się z temi myślami, — odpowiedział mu Gniewosz — ale mu się zdało za prędko, że ja tę sprawę załatwię. Ofiarując cesarskiego synowca wzamian za mnie, przysłał mi kredytywy do Bajazeta, a mnie instrukcje, ażebym zaraz o pokój traktował. Zrobiłem, co mogłem, ale to nie tak prędko idą te rzeczy, bo carz turecki czuje się bardzo potężnym, a w naszą potęgę niebardzo wierzy, chociaż dosadne cięgi wziął w Polsce przeszłego roku; zaczem to jeszcze dużo pracy i innych posłów będzie potrzeba, nim się go do pokoju namówi. Czyli i o ile mnie się udało wygładzić drogę do tych układów, to się dopiero później pokaże; ja tylko wiem tyle, że, gdyby mi król nie był nałożył tej misji, to byłbym już w marcu powrócił, a tak powracam dopiero w maju.

Wszakże to rzekłszy, zapewne nie chcąc się dalej spowiadać z tych rzeczy, położył znów rękę na ramieniu Lubka i spytał:

— Powiedzże mi, młodzieńcze, dotrzymałeś sekretu, jakeś mi to obiecał?

Na to zapytanie Lubek zbladł i zająknął się, mówiąc:

— Nie mogłem mieć sekretu przed ojcem...

Jednak w tej chwili ojciec go wyrwał z kłopotu, mówiąc do Gniewosza:

— Bądźże sobie spokojny. Nikt o tobie nic nie wie — a jeśli się kto swego czasu o tem dowiedział, żeś jest w niewoli, to ci to wyszło na dobre...

Gniewosz się nad tem zamyślił, a potem zapytał:

— Powiedzże mi otwarcie, któż się o tem od was dowiedział, że żyję?

— Król jeden — odpowiedział mu Pretficz — a oprócz niego może tylko jedna osoba. Zresztą w całym kraju nikt nie wie o tobie i wszyscy cię mają za umarłego.

— Jedna osoba w Polsce — rzekł na to Gniewosz z gorzkim uśmiechem — to cała Polska bezmała...

Tu już sam Pretficz nie wiedział, o co mu chodzi, jednak rzekł głosem stanowczym:

— Pogadamy o tem. Tymczasem zaś tylko tyle ci powiem, że ci ręczę za tę osobę...

Z tem poszli do wieczerzy. Przy stole, wobec tak wielkiej liczby domowników, stary Pretficz tak się urządził, że mu wciąż opowiadał o rzeczach publicznych, które bardzo go zajmowały, a ani jednem słowem nie dotknięto spraw osobistych i familijnych. Jednak zaraz po wieczerzy domowników odprawił, a przy stole zostali tylko on z żoną, Gniewosz i Lubek. Pretficz, widząc, że Gniewosz jest zajęty jakiemiś tajemnemi myślami, które go niepokoją, chcąc go w lepszy humor wprowadzić, tak się do niego odezwał:

— Nikt w całym kraju nie wie, żeś żyw i jużeś powrócił, ani nawet, że wracasz, ale ty także nie wiesz, jak się kraj cały ucieszy, kiedy się o tem

dowie i jakie gody ci sprawi, kiedy ciebie obaczy. Boś też i, prawdę mówiąc, rzetelnie na to zasłużył.

— Nic wiem, zaprawdę, — rzekł Gniewosz — czembym sobie na to zasłużył.

— Jużci tem, — powie mu Pretficz — żeś twoją przemową, a potem i czynem tak dzielnie pod Suczawą wystąpił, zaczem i upadłego ducha w całej armji podniosłeś i uratowałeś honor królewski, a jak wszyscy to powiadają, sprowadziłeś tak świetne zwycięstwo.

Na to mu Gniewosz odpowiedział ze zwykłą sobie skromnością:

— Cóżem tam zrobił tak niezwyczajnego? Wypełniłem mój obowiązek — i na tem wszystko się kończy.

Zaczem Pretficz zabrał głos i tak mówił:

— Jużci tak, ale dopełnienie swych obowiązków jest też najwyższym czynem, jakiego człowiek może dokonać w tem życiu. Zapewne, że wiele od tego zależy, jak kto swoje obowiązki zrozumiał i sobie ich dopełnienie określił, ale, kto je pojął rozumnie i zacnie i szeroko ogarnął, a w najszerszym zakresie sumiennie dopełnił, ten, choćby był bardzo maluczkim obywatelem tej ziemi, a jego zakres działania bardzo skromniutki... ten *tulit punctum* i wierz mi, że niemasz większego człowieka nad niego. Zapewne, że ten i ów, obdarzony zuchwałą fantazją, może czasem coś zrobić ponad swój obowiązek, w czem świat znajdzie upodobanie i za co go też głośnym obsypie aplauzem, — ale, jeżeli się czynom takich śmiałków zbliska przypatrzysz, to zawsze znajdziesz, że były one natchnione duchem więcej awanturniczym, niżeli obywatelskim. Jakoż ci ludzie są to poprostu gra-

cze, co grają nie kośćmi, albo kartami o złote węgierskie, ale krwią ludzką o losy państw i narodów, a co najgorsza, to, że grą ich często kieruje nie dobro ludzi, lecz miłość własna. Jakoż świat ich traktuje, jak graczy: jeśli wygrali, rzadko sami zbierają owoce swojej wygranej a jeśli przegrali, świat nie bierze w rachubę ich dobrych intencyj, tylko za krew bezskutecznie przelaną płaci im klątwą, w najlepszym zaś razie imiona ich zapomnieniu oddaje. Natomiast zaś człowiek, co swoich obowiązków dopełnił, sowitą znajduje nagrodę w swem własnem sumieniu i we czci swoich bliźnich, którą mu dadzą za życia; jeśli zaś padł śród zawodu, naród stawia mu niepożyty pomnik w pamięci wszystkich następnych pokoleń, a jego imię trwa wiecznie jako wzór cnoty obywatelskiej. Tak jest i tak być powinno; bo nie na tych świat stoi, co, jak gwiazdy spadające niezwykłym blaskiem zabłysną i zgasną, lecz na tych, co w niezmordowanej pracy dopełniają swych obowiązków, w dzień i w nocy służą tej społeczności, do której należą, a swemi własnemi rękami toczą naprzód rydwan tego królestwa, które, ochraniając ich swemi prawami, daje im możność życia ze sobą i spożywania owoców swej pracy w bezpieczeństwie, w spokoju i zgodzie.

Tak mówił Pretficz. Ale Gniewosz słuchał go w roztargnieniu. Był on widocznie innemi myślami zajęty, a może nawet zniepokojony. Co widząc Pretficz, zapytał go:

— Powiedzże mi, jako przyjacielowi, który ci rad we wszystkiem usłużyć, — wieszże ty o tem, co się tu stało podczas twojej nieobecności?

— Jużci wiem, — rzecze Gniewosz — bo Ka-

mieniecki z rozkazu króla wszystko mi napisał. Moja matka umarła... Moja żona poszła za Wilczka... Miała prawo do tego, bo Wilczek znalazł mój testament w obozie, w którym ja sam ją do zamęścia upoważniłem. Pośpieszyli się; powinni byli czekać rok i sześć niedziel, może będą o to korowody z kościołem, ale król mi pisze, żebym się tem nie frasował, bo on to sam bierze na siebie, ażeby ślub został uznany za ważny. Potrzeba tylko mojej deklaracji, jako tej mojej żony reklamować nie będę...

W tej chwili Pretficzowa wstała od stołu i odeszła, Pretficz zaś rzekł:

— Daszże tę deklarację?

— Jużci dam. Jakoż nie o to mi chodzi, tylko o to, jakby to zrobić.

— Toż to rzecz bardzo prosta — rzekł Pretficz. — Złożysz deklarację u arcybiskupa we Lwowie, albo u kardynała w Krakowie, który jest zarazem prymasem — i koniec.

— Ba, — rzecze Gniewosz — jeszcze to na tem nie koniec. Bo przecież trzeba i Wilczków o tem zawiadomić zawczasu. Najprzód dlatego, że pewnie od nich będą wymagać dowodów, jako ślub wzięli, gdzie, jak i kiedy. A potem, mam sobie za obowiązek sumienia uprzedzić ich o tem, jakie są moje zamiary, ażeby nie rozumieli, dowiedziawszy się skądinąd o moim powrocie, jako będę im wstręty wyprawiał i aby mnie przez ten czas nie przeklinali. Tegobym nie zniósł, a oprócz tego, Bogiem a prawdą, zachowanie takich względów jestem im winien, bo Wilczek zawsze mi był przyjacielem, a Jagienka poczciwa, skromna, a nieszczęśliwa, także mi nigdy nic zrobiła nic złego.

Owszem, możem ja jej co winien, i jeśli mogę ją czem za jej dobre serce nagrodzić, to chyba tem tylko, jeżeli jej zgryźliwości oszczędzę.

Więc stary Pretficz mocno zastanowił się nad tem. Przez delikatność nie chciał Gniewoszowi powiedzieć, że, jeżeli Wilczkowie będą musieli dowodzić, jako ze sobą regularny ślub wzięli, to mogą się z tego nowe wywiązać trudności, ale tem bardziej musiał mu przyznać, że trzeba koniecznie Wilczków tak o jego powrocie, jak też o jego dobrej woli uprzedzić. Zaczem namyśliwszy się, powziął zacne postanowienie i rzekł:

— Słysz, Gniewosz! Ja nigdy nikogo nie swatam, nawet i poważnionych małżeństw nigdy nie godzę, bo i za to ci czasem niewdzięcznością zapłacą, ale w tym trudnym terminie już chyba sam ci się z moją usługą narzucę. Jeżeli wola, to pojadę sam jutro do Wilczka, a tak rozumiem, że dosyć składnie dopełnię tego poselstwa.

Teraz znów Gniewosz, mocno nad tem namyśliwszy się, rzekł:

— Dziękuję ci z całego serca za twoją przyjaźń, ale nie wiem, czy powinienem przyjąć ofiarowaną usługę. Ty nie znasz Wilczka. Był on od najmłodszych lat swoich zawsze pochmurny, w sobie zamknięty, nieufający nikomu, a podejrzliwy przeciwko wszystkim—i takim już będzie przez całe życie. Do tego jeszcze, jest to człowiek uparty, niezmiernie wrażliwy i nieodstępujący za nic w świecie od swego pierwszego wrażenia; kto wie, jak cię przyjmie i kto wie, czy ci uwierzy. Bywacież często u siebie i macie dobrą przyjaźń ze sobą?

Na to pytanie stary Pretficz mocno się zmienił i zaczął się jąkać:

— Wilczkowie się całkiem odosobnili... Zamknęli się u siebie... Nie byli u nas...

— Więc widzisz — rzekł na to Gniewosz, a nie wiedząc o tem, że nie Wilczkowie się przed sąsiadami, ale sąsiedzi się przed nimi zamknęli, dodał do tego: — Owo masz Wilczka, jakim był zawsze. Obawiając się zapewne, ażeby kto nosem nie skrzywił na jego żonę za to, że poszła za niego, nie czekając prawnego terminu, odgrodził się murem od całego świata i pewnie psy wiesza na wszystkich.

Ażeby tę cierpką uwagę złagodzić, odezwał się stary Pretficz, mówiąc:

— Nie tak całkiem się odgrodzili od świata... Mój Lubek co niedzielę tam bywa.

— Bywasz u nich? — rzekł Gniewosz żywo — Jakże więc żyją ze sobą?

Lubek przez cały czas tej rozmowy był bardzo zniepokojony. Na pierwszy widok Gniewosza tak się przestraszył, że wszystka krew w nim zakrzepła; kiedy się dowiedział, że Gniewosz żony reklamować nie myśli, uspokoił się trochę; ale przecie w jego sercu najprzeciwniejsze się krzyżowały uczucia, a w jego głowie niesłychanie bezładne myśli goniły za sobą. Bladł i czerwieniał, i oddech mu się zapierał w piersi, i sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Teraz się ocknął, ale tylko wymówił te słowa:

— Bardzo są z sobą szczęśliwi...

— Cóż ty rozumiesz? — spytał go Gniewosz — Jeżeli twój ojciec im powie, że ja ich separować nie myślę, czy uwierzą?

— Sam nie wiem — rzekł na to Lubek. — Może się Wilczek zrazu rozgniewa, bom to uważał, że zaraz w wielką złość wpada, kiedy kto wspomni o jego ślubie. Dlatego też nierad kogo przyjmuje u siebie i zawsze brama w zamku zamknięta. Jużci kiedy mu ojciec to powie, to zapewne uwierzy... ale co potem będzie gadał, jak ojciec odjedzie, to trudno zgadnąć.

— Mnie uwierzy, za to ci ręczę — rzekł Pretficz ze stanowczością człowieka, który nie pozwala, aby temu nie wierzono, co mówi.

— Jużci uwierzy, — rzekł Gniewosz — o tem ja ani na chwilę nie wątpię. Ale zawsze potem z tego wynikną długie ceregiele, bo jużci trzeba, abym ja z Wilczkiem ułożył wspólną akcję w dobrem porozumieniu, ażeby jego śluby zostały uznane; przez pośredników, choćby najrozumniejszych, porozumienie takie będzie dłuższego wymagać czasu, a ja jednego dnia nie mam do stracenia. Zważywszy więc wszystko, jaką myśl miałem, kiedym moją drogę tędy obrócił, do tej też wracam i raczej sam pojadę na Tustań.

— Jak cię obaczą tak niespodzianie, dziwnie się przestraszą — rzekł Pretficz.

— Więc się przestraszą, — odpowiedział mu Gniewosz — ale przecie ze strachu nie umrą. Zresztą, nie dam im nawet czasu do strachu, bo pierwsze słowo, które do nich przemówię, będzie to, że przyjeżdżam, ażeby zgodę ułożyć.

— Żeby tylko Wilczek się nie uniósł przeciwko tobie, nim jeszcze to słowo usłyszy, — rzekł Pretficz — bo był zawsze bardzo porywczy, a teraz podobno stał się tak drażliwy, że nawet nikt nie może do niego przystąpić.

— Przeciwko mnie Wilczek się nie uniesie — rzekł Gniewosz, podnosząc dumnie głowę do góry. — A potem, od czegoż przezorność? Mogę mu przecież, jak na wojnie i jak jest obyczaj rycerski, przez trębacza ogłosić, że przyjeżdżam po zgodę.

Stary Pretficz już sam nie wiedział, co ma o tem rozumieć, obrócił się więc do Lubka i rzekł:

— Cóż ty na to powiadasz? Boć ty ich znasz lepiej od nas wszystkich.

A Lubek, który teraz całkiem się już uspokoił i był dobrej myśli, powiedział na to:

— Podobno najlepiej, ażeby pan Gniewosz sam jechał. Zrazu się przestraszą, ale, jak się dowiedzą, że ze zgodą przyjeżdża, bardzo się uradują, a potem się uspokoją na zawsze. A przecież do ich szczęścia tylko tego im jeszcze brakuje...

— Bardzo rozumnie mi radzisz — rzekł Gniewosz. — Więc tak: ja sobie jutro wyjadę o świcie, wezmę tę małą drogę na dwa popasy, przed zachodem słońca stanę w zamku Tustańskim, a da Bóg, przy wieczerzy wypijemy wielkim kielichem za zdrowie nas wszystkich.

I tak się stało. Nazajutrz rano Gniewosz wyjechał — a w Sokołowie czekano z gorączkową niecierpliwością wiadomości o tem, co się tam stanie w Tustaniu.

Na czem polega najwyższe szczęście człowieka na ziemi? Odkąd ludzkość goni za szczęściem świadomie i nad tem się zastanawia, bardzo różne o tem są zdania. Wszelako wszystkie mniej więcej w tem się zgadzają, że człowiek dostąpił szczytu swojego szczęścia natenczas, kiedy się w zupeł-

ności spełniły jego najgorętsze życzenia. Jakoż, jeżeli tak się zapatrzymy na szczęście Wilczków, to musimy powiedzieć, że byli to ludzie najszczęśliwsi na świecie.

Wilczek, potomek jednego z najznamienitszych rodów, miał, jako starosta królewski, takie stanowisko społeczne, na którym naówczas był równym każdemu dygnitarzowi; jeśliby chciał mieć dygnitarstwa, to potrzebował tylko rękę po nie wyciągnąć, a nawet, choćby się o nie nie starał, to nie mogły go one swego czasu ominąć. Od czasu ożenienia się miał majątek ogromny, a stąd tak obfite dostatki, że nie potrzebował ich najbogatszym zazdrościć. Dwór też u niego był wielki i ludny, a przy jego hojności, której się z ojca i dziada od Jagiellonów nauczył, kto żył na jego zamku, ten we wszelki dar boży opływał. Kiedy za czasów kawalerskich właśnie z powodu tej rycerskiej hojności niezawsze się końce stykały u niego, jego duma nieraz nad tem mocno cierpiała, że musiał się zapożyczać u Ormian; ale teraz skrzynie u niego były tak pełne, że mógł jeszcze drugim pomagać — a przeto jego umysł z tego względu bardzo się wypogodził i przynosił mu wielkie zadowolenie. Los zrządził, że zawrzał nieprzepartą miłością dla kobiety, która mu się wydała najlepszą, najpiękniejszą i najwspanialszą ze wszystkich, bo też istotnie blaskiem swojej urody górowała nad inne, a swojem imieniem stała z najwyższemi narówni. Były trudności, zdawały się nawet niezwyciężone; ale on się nie cofnął przed niemi, owszem, wytoczył im walkę, a poniósłszy umartwień i trudów i ofiar bez końca, odniósł zwycięstwo. Uczucie to, że mimo niezwyciężonych trud-

ności, własną zasługą dobił się wreszcie do celu, podwoiło mu wartość dostąpionego szczęścia. Jagienka odpowiedziała jego oczekiwaniom nad wszelkie najidealniejsze marzenia. Kochała go i ceniła, jak bóstwo, na cały świat patrzała tylko jego oczyma, wszystkie jego uczucia odczuwała w swem sercu, wszystkie sprawy sądziła tylko jego rozumem. Przez cały czas ich pożycia nigdy żadnej chmurki pomiędzy nimi nie było. Owszem, przeszłej jesieni niebo się otworzyło nad nimi, bo mieli maleńkie dzieciątko, według ich zdania, jednocześnie i do ojca i do matki, jak dwie krople wody, podobne, a piękne, wesołe, uśmiechnione i rozumne, jak anioł. O cóż im jeszcze chodziło? O to, aby tylko żadna chmurka się na tem jasnem niebie nie pokazała, aby nic nie zakłóciło ich niebieskiego spokoju, ażeby się jaki wąż jadowity nie wśliznął do ich raju i nie zwarzył swoim zatrutym oddechem tych róż wiecznie kwitnących, które go napełniały.

Wśród tego szczęścia Wilczek przecież miewał czasami chwile, w których pochmurne zmarszczki się gromadziły na jego wypogodzonem czole. Był on skłonnym z natury do czarnego zapatrywania się na świat i życie człowieka na ziemi — a tacy ludzie nie mogą znieść długo jasnej i jednostajnej pogody: muszą koniecznie mieć coś, czemby się gryźli, a jeśli zgryzoty w rzeczywistości nie mają, to sobie ją stworzą w swej wyobraźni. Jest coś w ich wnętrzu, co tam żyje świadomie albo i nieświadomie, i te mary w nich płodzi — a to coś jest najczęściej wyrzutem sumienia, czasem o jakiś występek, a czasem tylko o błąd popełniony, który wszelako zostawił ciemną plamę na jasnej karcie

przeszłości ich życia. Wilczek miewał takie chwile pochmurnego zamyślania się — a wtedy czasem w ciężki, melancholiczny smutek zapadał, a czasem niepowściągliwym wybuchał gniewem na kogo bądź, kto mu się właśnie przed oczy przesunął, nie wiedząc nigdy, za co się gniewa.

W takich chwilach najrozmaitsze myśli mu przychodziły do głowy, które wszelako zawsze przedstawiał sobie w takiem znaczeniu, aby się niemi mógł nagryźć do syta. Tak czasem gryzł się tem, że, mimo swego bogactwa i swego znaczenia, tak jest odosobniony. Co sobie ci głupi ludzie upatrzyli do niego? Zarzucali mu zrazu ślub jego, niby nieregularny i przeciw prawu. Więc dobrze, mogli wtenczas mieć jakąś rację za sobą. Ale teraz, kiedy już nie rok i sześć niedziel, ale półtora roku minęło? I teraz, kiedy już niemasz najmniejszego wątpienia, że Gniewosz nie żyje? Tego ludziom nie mógł przebaczyć i wtedy pragnął, aby go odwiedzali, chociaż sam pierwszy nie pojechał do nikogo.

Od czasu do czasu jednak się zdarzało, że go ktoś odwiedził. Miał przecie jurysdykcję dosyć obszerną, a w niej szlachty i kmieci i kniaziów i wójtów bardzo wielu, nad którymi sądy sprawował, musiał się znosić w sprawach publicznych ze starostami zamków pobliższych, a wreszcie czasem się zdarzył jaki rycerz lub szlachcic podróżny. Ale zawsze mu tak się zdarzało, że, kiedy gościa zameldowano, rad mu był bardzo i serdecznie go przyjął, lecz, jak się z nim tylko trochę rozgadał, już go gość znudził i radby był, żeby sobie jak najprędzej odjechał. Albowiem, czy tak było w istocie, czy tylko tak mu się zdawało, wszyscy

ci goście byli niezmiernie zimni dla niego, w głosie każdego z nich czuć było, że jest przed nim zamknięty i trzyma się zdala od niego — a jeśli który się z serca przed nim otworzył, to zawsze mu dał do zrozumienia, jakoby jego ślub w opinji publicznej podlegał cenzurze, — że wprawdzie w tem niemasz nic złego, ale że trzebaby z tem coś zrobić takiego, ażeby uczynić zadość życzeniom tych, którzy go radzi szanują i zawsze go bronią.

Na takie mowy, chociaż one były tylko dowodem, do jakiego stopnia opinja publiczna w wyższych warstwach społecznych była już silną natenczas w sprawach obyczajowych, Wilczek wpadał w złość cale niepowściągliwą. Z czego mnie bronić? Przed kim mnie bronić? Niechże was wszyscy djabli porwą z waszą obroną! Jeślibym się dowiedział, że mnie kto broni, tobym mu pierwszy łeb rozpłatał na dwoje. — Takiemi słowy odpowiadał na tego rodzaju uwagi swoich przyjaciół — a ile razy mu się zdarzyło tak się na kogoś rozgniewać, zawsze przez parę dni potem krew miał zburzoną i nie mógł powrócić do swego zwykłego spokoju.

Z tego powodu coraz mniej swoich przyjaciół u siebie przyjmował i nie wyjeżdżał nigdzie w sąsiedztwa, z tego powodu nie był dotychczas nawet we Lwowie i nie przedstawił Formozie swej żony, chociaż Jagienka była jej siostrą cioteczną, lecz z tegoż samego powodu owe pochmurne zmarszczki się gromadziły na jego czole i miewał częstokroć chwile bardzo czarnego usposobienia umysłu.

Pomiędzy zamkową załogą, a nawet i między starszyzną po okolicznych wsiach i miasteczkach bardzo dobrze o tych jego pochmurnych chwilach

wiedziano, chociaż nie wszędzie te same im przypisywano powody. Jedni mówili, jak gdyby o tem wiedzieli napewno, że Wilczek ożenił się przeciw wyraźnemu zakazowi prymasa i króla, że za to nałożono na niego pokutę i dlatego nie śmie opuścić swojego zamku do czasu. Inni szli dalej i utrzymywali, jakoby Wilczek był w wojnie z Kościołem, jakoby dlatego zakazano mu żenić się z Jagienką, że uwiódł Ofkę i nielitościwie porzucił, że, kiedy się pomimo to ożenił, Kościół rzucił klątwę na niego, zaczem nie może się nigdzie pokazać, bo, gdzieby go przychwycono, zarazby mu szyję ucięto. Zaś między ludem najpotworniejsze chodziły wieści, jakoby Wilczek djabłu duszę zapisał, jakoby czart zabił Gniewosza na wojnie, zdjął z trupa ślubną obrączkę, zaniósł ją do Jagienki i tym sposobem skłonił ją do ślubu przeciwko zakazowi Kościoła — i kto wie, czy wieści te nie utworzyły się z opowiadań samegoż Kostrubana, który rad włóczył się między chaty, chłopom i babom rozmaite wyrządzał przysługi, przez wszystkich chętnie był przyjmowany i nagradzany, chociaż i o nim niesamowite chodziły wieści pomiędzy zadymionemi chatami. Zwłaszcza gdzie mądre mieszkały baby, którym psował ich czarownicze rzemiosło, tam bardzo podejrzaną miał reputację: tam go już miano wcale za sługę tego, którego nazwisko można wymówić tylko po przeżegnaniu się krzyżem świętym, i tam przepowiadano na pewno, że jednego dnia starosta tak zniknie, jak gdyby świecę kto zgasił, ale i Kostruban z nim zniknie, bo sam jego duszę zaniesie do piekła.

O tych wieściach nikt nie śmiał wspominać Wilczkowi.

Lubek, zajmujący się żywo bajkami, krążącemi pomiędzy ludem, wiedział je wszystkie; dla Wilczka wprawdzie miał tylko przyjaźń za to, że był wybornym mężem dla swojej żony, ale Jagienkę tak kochał i tak ją ubóstwiał, że za nic w świecie nie byłby takiego słówka wypuścił z ust swoich, któreby mogło na jedno mrugnienie oka zaniepokoić jej serce. Dlatego ani sam się nie podjął misji zawiadomienia Wilczków, że Gniewosz żyje, ani też za tem wotował, ażeby jego ojciec pojechał z tem fatalnem poselstwem, a natomiast Gniewoszowi dał radę, ażeby sam własną pierś na ten gwałtowny cios wystawił, którym mu Wilczek narazie za tę wiadomość zapłaci.

Ramułt, szczwany lis dworski, nietylko sam o tych rzeczach ani słówkiem nie pisnął swojemu panu, ale nawet surowo karał żołnierzy za to, jeżeli tylko pomiędzy sobą o tem gadali.

Wszystkich innych dworaków, nawet tych, co z nim do stołu siadali, Wilczek trzymał tak od siebie zdaleka, że żaden nie śmiał mu nawet wspomnieć o rzeczach, dotyczących jego osoby.

Tylko jeden stary Kukuć, dla swego wieku i zasług bardzo przezeń respektowany, mógł czasem z nim o takich sprawach rozmawiać. Niejednokrotnie nawet sam Wilczek, kiedy się mocno zgniewał na kogo, a potem wysapał, rad przemówił do niego, zasiadł z nim w ganku albo na przyźbie stajennej i wywnętrzał się przed nim, skarżąc się cierpko na świat i ludzi, jako są źli i nielitościwi, i człowiekowi dla stu zalet i cnót nawet jednego marnego błędu nie przebaczą.

Kukuć, jako dworak jeszcze daleko doświadczeńczy niż Ramułt, także się nie poważył z łaska

pańską żartować; ale że Wilczek sam przed nim przypuszczał, że może nie jest bez błędu, więc mu czasem coś rzucił, czegoby mu kto inny nie był powiedział. Plotek mu nie powtarzał, któreby go tylko gniewały, a nie nauczyły niczego, ale mu baknął po raz i drugi, że niemasz takiego błędu, któregoby człowiek rozumny nie mógł naprawić. Dawniej wyrażał się tylko ogólnikowo, ale teraz, ku wiośnie, czasem na swoje uwagi większy nacisk położył, aż wreszcie Wilczek raz go zapytał:

— Więc cóż z tem zrobić?

— Ot co! — rzecze mu Kukuć. — Rok i sześć niedziel minęło, prawu stało się zadość, pojechać do Lwowa i wziąć ślub w katedralnym kościele, a niechaj sam arcybiskup pobłogosławi. A wtedy chyba psi pysk jeszcze jakie plotki siać będzie.

Wilczek bardzo zastanowił się nad tem. Ale po zastanowieniu ta myśl mu się nie podobała. Jeżelibym wziął ślub powtórnie — mówił do siebie — to dopiero teraz powiedzieliby wszyscy, że tamten był dany Bóg wie po jakiemu i dopiero teraz zaczęłoby się wielkie szczekanie... Nie! Tego nie zrobię, tej satysfakcji nie doczekają ode mnie. — Jego miłość własna i duma oburzyły się na to i dały mu, jak zwyczajnie, złą radę, że lepiej trwać w błędzie, niżeli się przyznać do błędu, choćby go zarazem naprawić. Rozmawiał o tem dalej z Kukuciem, bo lubił go słuchać, lecz tylko nato, aby go zbijać: zdawało mu się, że, jak jego przekona, to już wszystkich swych przeciwników przekonał.

Niedawno temu sam zaczął o tem rozmowę z rozumnym staruszkiem i mocno się przy swojem upierał. Kukuć tym razem był więcej stanowczy,

niż kiedykolwiek, a wyczerpawszy wszystkie swe argumenty, nakoniec rzekł:

— Niech pan starosta to zrobi. Ja dobrze radzę. Bo, jeśli ja wiem, że ktoś na mnie zboku zgrzyta zębami, to sam mu podam sposobność, aby się wyszczekał — a jak się wyszczeka, to potem na zawsze umilknie. Tak będzie i z temi ślubami. A jeśli tam oprócz tego będzie potrzeba i co innego naprawić, to i o tem się myśli i to się także naprawi.

Tych ostatnich słów Wilczek nie słyszał. Jeszcze tamte w uszach mu brzmiały, nie chciał ich słuchać i odszedł, ale podobno już bardzo w sobie zachwiany.

Wszelako wtedy wmieszała się w tę sprawę Jagienka.

Jagienka, szczęśliwa tem szczęściem, które każdej mężatce, nicobałamuconej obcemi jej naturalnemu powołaniu myślami, za cały świat starczy, nigdy się dotąd nie zastanowiła nad ważnością swojego ślubu. Wiedziała wprawdzie swojego czasu, że proboszcz w Czorsztynie i biskupi w Krakowie robili jakieś trudności i że dlatego dał im ślub ksiądz Wara, — ale dawno już o tem zapomniała — a czy tam Kościół z tego jest kontent, czy nie, i co tam o tem myślą sąsiedzi, było jej zupełnie obojętnem i nawet nie miała żadnego powodu nad tem się zastanawiać. Miała męża, którego mieć chciała i całą duszą wielbiła, miała swoje dzieciątko, które do szaleństwa kochała i którem się nigdy nie mogła dosyć nacieszyć, opływała we wszystkie dostatki, jakich tylko może zapragnąć najwybredniejsza fantazja, czegoż jej jeszcze było potrzeba? Zaś ta okoliczność, że mało kto u nich bywał, a oni krokiem nie ruszali się z domu, w jej

nieznajomości świata jej wcale nie uderzała: ona nie czuła dotąd żadnej potrzeby udzielania się światu i zdało jej się, że każda młoda mężatka ma pilnować męża i dzieci, a dopiero potem, kiedy już jest matroną, zaczyna się włóczyć po świecie. Jej serce i umysł były zatem z tego względu jak najzupełniej spokojne.

Ale nie mogły ujść jej uwagi owe pochmurne zmarszczki na czole jej męża i owe chwile ciężkiego smutku, które go napadały, a których nie znała przyczyny. Już dawniej go nieraz o to pytała, ale on zawsze ją uspokoił, mówiąc, że przy gospodarstwie jakokolwiek rozległem i przy tak licznej załodze wojskowej, nie może się obejść bez zgryźliwości, które wszakże mijają. Wszelako pod wiosnę, odkąd Wilczek zaczął swoje dysputy z Kukuciem, nie tylko, że owe chwile zamyślania się częściej się powtarzały, ale widać było po nim stały niepokój, który już wcale nie ustępował. To ją niezmiernie zniepokoiło.

Zapytała go kilka razy — a kiedy nie otrzymała odpowiedzi, jej bujna wyobraźnia grać w niej poczęła i przyniosła jej myśl rozpaczliwą, że może Wilczek otrzymał jaką wiadomość o Gniewoszu i dlatego nie chce jej powiedzieć, co go tak gryzie. Z tem podejrzeniem długo się nosiła, w dzień była roztargnioną, w nocy się ze snu budziła, ale je w sobie tłumiła, bo bała się choćby tylko wymówić to słowo.

Wszakże przyszedł dzień taki, kiedy, wypytując swego męża o jego troski, drżała na całem ciele i on musiał spostrzec ten jej straszliwy niepokój. A wtedy, naciśnięta przez męża, powiedziała mu, co ją tak niepokoi. Natenczas też i Wilczkowi

nie pozostało nic innego, jak wyspowiadać się przed nią, był to bowiem jedyny sposób, aby jej próżne obawy stanowczo i raz na zawsze rozproszyć.

Wilczek jej tedy powiedział, co jest, a spowiadając się przed nią całkiem otwarcie, tak dalej mówił:

— Owo więc takie to rzeczy! Jużci mnie nieraz nie żartem to mierzi, że my, mając i wszelkie dostatki i znaczenie po temu, aby nas znano na świecie, siedzimy zamknięci w tych murach, jak borsuki w swej norze. Nie o mnie mi chodzi, bom ja się już dosyć naszastał pomiędzy ludźmi, a nawet zanadto, boć Bogiem a prawdą całe tego nie warci, aby się im dać zbliska ocierać o siebie. Ale, kiedy patrzę na ciebie, żeś taka wielka pani, co takiej drugiej niemasz na całej Rusi, i taka piękna, że całe rycerstwo powinnoby u nóg ci leżeć, a mimo to kwasisz się w samotności w tem starem zamczysku, to mi się serce kraje z boleści i chciałbym szczerze temu zaradzić. Jest na to sposób, jako ci już powiedziałem. Ale jechać teraz do Lwowa i dawać na zapowiedzi, kiedyśmy już od półtora roku z sobą zamężni i kiedy dziecko kwili w kołysce, to mi się przecież nie zdaje. Kiedy się z tem zgłoszę do arcybiskupa, jak znam surowość imć księdza Boryszewskiego, jestem pewny, że dopiero teraz się zaczną kwerendy. Będą pisać od konsystorza do konsystorza, będą się pytać Pudełka, dlaczego nam ślubu odmówił, roześlą posłów za księdzem Warą i może go znajdą w której garkuchni pod ławą... zgoła sprawa ta będzie się wlokła przez kilka miesięcy — a przez ten czas wszystkie stare baby będą sobie nami gęby wycierać. Radbym z duszy

gęby te raz pozamykać, ale przyznam ci się, że do takiego środka, który mi przyniesie niezliczone zmartwienia, nie mam odwagi.

Ta spowiedź Wilczka otworzyła Jagience całkiem nowe horyzonty. Przedewszystkiem bowiem dowiedziała się, że ważność ich ślubu ulega jakimś powątpiewaniom i że z tego powodu są jakby pod klątwą w opinji sąsiadów, o czem dotychczas się jej ani śniło. To ją wstrzęsło do gruntu i niezmiernie zaniepokoiło. Uczuła się upośledzoną, postawioną moralnie niżej od którejkolwiek chłopki, której pop zamienił pierścionki, narażoną na to, że ladajaka szlachcianka czuje się w prawie spojrzeć na nią zukosa. Taka pozycja wydała jej się nieznośną i domagającą się naprawy, choćby za cenę najdroższą. Lecz przytem Wilczek ją zawiadomił, że jest na to sposób, który z pewnością zaprowadzi do celu, a tylko może im sporządzić przemijające zmartwienia. Młodej kobiecie, obdarzonej bujną imaginacją, nie można otwierać bezkarnie widoków, łechcących jej próżność lub miłość własną, a cóż dopiero jak najzupełniej usprawiedliwioną ambicję: kto jej taki widok otworzył, ten może być pewnym, że się jej nie pozbędzie, dopóki jej rozbudzonych nadziei nie spełni. Tak samo stało się także Wilczkowi.

Jagienka, wzburzona do najwyższego stopnia odkryciem, że ktoś śmie podejrzywać prawność jej ślubu, chwyciła się obydwiema rękami otworzonego jej przez męża widoku, że to złe można naprawić. I odtąd Wilczek już nie miał od niej spokoju ani jednego dnia, ani jednej godziny. Bronił się jeszcze czas jakiś, ale napróżno. Jego wszystkie uwagi przeciwko ponowieniu ślubu Jagienka pobiła

silnemi argumentami — a gdzie jej argumentów zabrakło, walczyła prośbą i łzami. Argumentom jeszcze można się oprzeć, ale kto kiedy się oparł prośbom i łzom ukochanej przez siebie kobiety? — Wilczek uległ i przyrzekł, że, jak tylko drogi podeschną, zaraz do arcybiskupa pojedzie. A wtedy Jagience już tylko chodziło o to, ażeby jak najprędzej przyszedł dzień jego wyjazdu.

Wszelako wtedy jeszcze większa brała ją niecierpliwość: liczyła dnie i godziny. Już się ciepło zrobiło, zazieleniły się lasy i pola, ale na górach jeszcze śniegi leżały i powiadano, że wielka jest rozkal na drogach. Jagienka w popołudniowe godziny, kiedy już słońce dobrze ogrzało powietrze, wychodziła na którąkolwiek basztę lub wieżę, czasem sama, a czasem z swojem ukochanem dzieciątkiem w ramionach, i stamtąd, zaczerpując świeżego powietrza, rozpatrywała się po drogach dalekich, czy oschły już dostatecznie, ażeby jej mąż mógł w podróż wyruszyć, nie narażając się na zbyteczne trudy i niewygody. Nareszcie maj przeszedł, zapanowała stała pogoda, Wilczek oznajmił żonie z radością, że już pojutrze wyjeżdża.

Cały ranek dnia następnego Wilczek strawił w swoich odległych stajniach, wybierając konie i przeznaczając knechtów i pacholików, którzy mają z nim jechać do Lwowa. Po obiedzie zaś zasiadł pod balustradą kamienną w dziedzińcu i wydawał dyspozycje starszym żołnierzom i folwarcznym włodarzom, co się ma dziać podczas jego nieobecności.

Jagienka przysłuchiwała się przez jakiś czas tym dyspozycjom, ale że bardzo długo trwały, du-

szno jej się zrobiło w dziedzińcu; gorące słońce popołudniowe rozpaliło płyty kamienne i mury i sprawiło parność między murami — a oprócz tego szczegółowe a nieskończone rozkazy, wydawane włodarzom, wcale jej nie mogły zajmować. Wzięła zatem swoje maleńkie dzieciątko od niańki na ręce i rzekła do męża:

— Gorąco mi tutaj. Pójdę tymczasem na który krużganek, ażeby zaczerpnąć powietrza.

— Idź, moje dziecko, — odpowiedział jej Wilczek — jak skończę, to cię poszukam.

Zaczem odeszła i wydrapała się z dzieckiem na ręku na ową wieżę skalistą, w której u szczytu była izba, wykuta w skale, a otoczona od północy i wschodu szerokim kamiennym krużgankiem. Niańka szła za nią pomału na wieżę.

Wieża ta była, jak wiemy, na sto kilkadziesiąt stóp wysoka, a stała nad ową głęboką przepaścią, która była zasypana drzazgami skał i zmurszałemi drzewami, a w którą promień słońca jeszcze się nigdy nie przedarł. Niedobrze było spoglądać w tę przepaść, bo można było dostać zawrotu głowy; ale też nikt w nią nie potrzebował zaglądać, bo, patrząc wdal, mógł ku rozweseleniu swej duszy bujać swym wzrokiem po bardzo rozległych a przepysznych widokach.

Tak także zrobiła Jagienka. Stanęła z dzieckiem na ręku trochę opodal od kamiennych poręczy i puściła swój wzrok w tę dal niezmierzoną, w której leżała przed nią cała Ruś święta, uśmiechająca się do niej, jak młodyca prekrasna, swoją majową zielenią. Słońce jej nie raziło, bo właśnie się chyliło ku zachodowi za plecyma tej wieży, owszem tem jeszcze jaśniejszem światłem oświe-

cało i uwydatniało ciemnawe smugi odległych lasów i srebrzyste strumienie, szerokie łąk jasno-zielonych kobierce i porozsiewane pomiędzy niemi wsie i miasteczka.

Bliski Drohobycz leżał teraz w popiele, do ogromnego cmentarza podobny, na którym wszakże już nowe budziło się życie, zaczem ten cmentarz raczej, jak mrowisko, wyglądał, które niebaczny przechodzień nogą roztrącił, ale na którem skrzętne mróweczki już nowe budują osady. Po lewej leżał Sambor, lecz widać tam było także tylko tak samo ruchliwe mrowisko, wśród którego sterczały mury okopconego tatarskim pożarem zamczyska. Po prawej ręce Stryj, który przeszłego roku także ogorzał, ale teraz się dziwnie pięknie wybielił. Jagienka puściła swój wzrok pomiędzy Sambor a Stryj prosto ku Lwowu. Nie było stąd widać tej czerwono-ruskiej stolicy, tylko jakieś ciemne plamki na krańcu widokręgu szarzały — może to Wysoki zamek, może kościół św. Jura — Jagienka wytężyła swe oczy co siły i nie dojrzała nic więcej; ale te ciemne plamki wypełniła sobie w swej wyobraźni, mówiąc w duchu do siebie, że jutro tam jej mąż ukochany pojedzie i stamtąd jej szczęście i niezamącony spokój przywiezie, jej i jej najdroższemu dzieciątku, które takie śliczne, tak patrzy rozumnie wdal swemi anielskiemi oczkami, tak się uroczo uśmiecha, że tylko mu skrzydełek brakuje, ażeby tem wonnem powietrzem poleciało za ojcem...

A wtem, kiedy oczyma rozpłyniętemi w świętej macierzyńskiej miłości patrzała w twarz dziecka, na drodze, wiodącej od wschodu do bramy zamkowej, którą widać było w jasnem świetle

słonecznem jakby na dłoni, usłyszała trąbę rycerską i odzew królewski, który tak dobrze znała.

Uderzona tym niespodziewanym odgłosem trąby, zrobiła krok naprzód ku kamiennej poręczy i spojrzała na drogę, a tam obaczyła poczet rycerski, wpoiła wzrok w rotmistrza, stojącego na czele, i za pierwszym rzutem oka go poznała: to jej mąż, Gniewosz!

Na ten widok przerażający tak silnie się wstrzęsła, że jej ręce omdlały, dziecko się jej z rąk wyśliznęło i padło przez poręcz w tę przepaść bezdenną, gdzie jeszcze promień słońca się nigdy nie przedarł.

A wtedy, gdy pod poręczą sama została z rozkrzyzowanemi ramiony i szeroko od zgrozy rozwartemi oczyma, zdjęła ją rozpacz bezmyślna i bezprzytomna, miłość i żal ją porwały za dzieckiem, chwyciła się obydwiema rękami za głowę — i, sama nie wiedząc, co robi, rzuciła się za niem w tę bezdeń...

Gniewosz to widział.

Poznał także swą żonę — i zrazu wszystka krew się w nim ścięła.

Otworzył usta, ażeby zaczerpnąć powietrza i patrzał nieruchomemi oczyma w to miejsce, co, zarosłe po brzegach gęstemi drzewy i krzewinami, unosiło się nad tą bezdenną przepaścią, w której Jagienka zniknęła.

I stał tak przez chwilę na koniu i w zbroi, jak posąg z bronzu ulany, któremu już nie ruszyć się z miejsca, aż póki go rdza wieków nie przeźre a wichry w gruz nie przewrócą.

Po chwili — z tej przepaści, na której teraz, o samym zachodzie słońca, owa wyniosła wieża czarny cień rzuciła, — wyleciała biała gołębica, podniosła się nad zamkowe dziedzińce, maleńki czas nad niemi krążyła, jak gdyby jeszcze raz tam chciała kogoś obaczyć i może ostatnie mu rzucić spojrzenie... poczem wzbiła się wgórę i zniknęła w obłokach.

Gniewosz widział tę gołębicę, jak się nad zamkiem jej białe pióra w czerwonych promieniach zachodzącego słońca złociły i jak się potem rozpłynęła w błękitach. Widzieli ją wszyscy jego żołnierze — ale zapewne i inni ludzie widzieć ją musieli, bo pozostała wiara między okolicznemi chatami, że dusza Jagienki, jako niewinna ofiara zwodzicielarycerza, z zamkowej przepaści uleciała do nieba, gdzie, wybielona z swych grzechów, na łonie wszechmogącego Stwórcy spoczywa.

Gniewosz na widok tej gołębicy miał także takie objawienie w swej duszy, którem też przejęty, ściśniętą dotychczas piersią trochę swobodniej odetchnął.

Poczem jeszcze czekał przez kilka pacierzy, zali mu bramy nie otworzą.

Jeśliby go kto chciał winnym uczynić tej śmierci, byłby mu chętnie obyczajem rycerskim zdał sprawę i swoją krwią odpowiedział za winę.

Ale brama się nie rozwarła.

Natomiast zaś usłyszał ogromną wrzawę w zamkowych dziedzińcach, rozgłośne wołania, lamenty i jęki, które już nie ustały...

Zaczem złożywszy ręce przed sobą, zaczął mówić pacierz za dusze zmarłych: *Dies irae, dies*

illa, który umiał na pamięć w ówczesnym pięknym polskim przekładzie:

Dzyen gnyevu, dzyen on noviny,
Kthorego vsthanye z przyczyny
Na sąd Boży czlovyek vynny.

O yaky sthrach thedy będze,
Gdy on gromny sędzya szyędze,
Chcząc vyvyedzecz o mym błądze...

A kiedy domówił słów:

Bo yako ktho czynyąc z pysze,
Thak Bóg w szve kzągy napysze,
Słovo żadne nyezmyeny szye...

przeżegnał się, odwrócił konia i w głębokiem zamyśleniu odjechał ku Lwowu.

V.

ŚREDNIOWIECZNE WESELA.

Formoza, nie mogąc się niczego od Łopatki dowiedzieć, bo też zapewne sam nic nie wiedział ani o Gniewoszu, ani o owym tureckim murdziaku, ani o żadnych rozporządzeniach króla, któreby się odnosiły do uwolnienia jej oblubieńca, znów w ciężki smutek, a zarazem i wcale nieznośny niepokój popadła. Poruczywszy tę sprawę królowi, sama nic rozpoczynać nie mogła, a nie wiedziała, co myśleć.

Natenczas miewała chwile, w których powątpiewała o wszystkiem, lecz mimo to nie mogła się oddać zupełnemu zwątpieniu. Miałożby to wszystko

być tylko snem, po którym nic nie zostaje, oprócz wspomnienia? Miałżeby Lubek upleść bajkę z samych przywidzeń? Miałżeby własnego ojca okłamać? Miałżeby murdziak potwierdzić wieść o Gniewoszu tylko dlatego, ażeby go wymieniono choćby za jakiego innego rycerza? Mieliżby król i Kamieniecki w błąd dać się wprowadzić — a jeśli tak, mieliżby ją dotychczas utrzymywać w niewiadomości tego, co się im wydarzyło? Wszystko to jest możebne, ale czy także prawdziwe? — Formoza suszyła sobie głowę nad temi pytaniami, nie mogąc sobie żadnej dać odpowiedzi. I zaczęły się wówczas te straszne niepokoje z gwałtownem biciem serca chwilami, to znowu z krwią, zastygającą w żyłach, a z ustawicznem drżeniem wnętrzności, godziny długie i nudne, jak dzień bez chleba, dnie nieskończone, jak wieczność, noce bez snu, jak noce więźnia, skazanego na śmierć, a niewiedzącego, czy z brzaskiem dnia go wypuszczą na wolność, czy każą głowę położyć na klocu. A brzask dnia powraca co dobę — a drzwi więzienia ciągle zamknięte...

Ale odtąd miały już szybko następować po sobie bardzo wzruszające wypadki.

Jednego dnia wbiegł do niej Kundrat i przyniósł przerażającą wiadomość, że Jagienka umarła.

Kundrat utrzymywał ciągłe stosunki z miastem Tustaniem; burmistrz tamtejszy Daszkiewicz, jego przyjaciel, a człek wiarogodny, przysłał mu swego własnego parobka z listem, w którym stoi wyraźnie: „że starościna, bawiąc się dzieckiem na szczycie wieży, spadła z krużganku w przepaść i pewnie się tam zabiła, chociaż jej zwłok nie znaleziono do drugiego dnia rano, co też starostę tak

odurzyło, że prawie rozum już stracił i tak szaleje, jak gdyby go djabeł opętał".

Formoza, chociaż Jagienki nigdy nie widziała na życiu, ale ją kochała, jak siostrę, tak się przeraziła tą wiadomością, że się łzami zalała, a kiedy ten list sama czytała, to ręce jej się trzęsły, jak w febrze. Lecz mimo, że list po kilka razy czytała, przecie nie chciała uwierzyć. Kazała sobie zawołać parobka, co z tym listem przyjechał.

Parobek, człek wcale niegłupi, bo inaczej nie byłby w służbie u samego burmistrza, lecz bardzo gadatliwy, opowiadał jej takie rzeczy, które ją jeszcze daleko więcej zdziwiły.

Już wtedy w całej tustańskiej okolicy wszyscy w to wierzyli, że Wilczek, ażeby cudzą żonę mógł dostać, złym duchom duszę zapisał — i że złe duchy bezustanku krążą około niego, ażeby go wpędzić w jaką połapkę i czem prędzej zabrać mu duszę. Widzą to przecież bardzo często jego właśni żołnierze, a nawet i mieszczanie z Tustania, że, kiedy się zacznie wściekać na kogo, to z gęby mu piana się toczy, język mu z niej wyskakuje długi do pasa, z oczu iskry się sypią i włosy mu dębem wstają na głowie, a między niemi widać wyraźnie dwa rogi djabelskie. W takich napadach gniewu sam nieczysty włazi w niego i z niego się tak miota na ludzi.

— Owo więc pozawczoraj — opowiadał parobek — djabeł za rycerza się przebrał i przyjechał do niego w gościnę — a temu rycerzowi nadał taką postać, jaką miał nieboszczyk mąż starościny. Starostowie bardzo się go przestraszyli, ale on udał się dobrym dla starościny, całował ją w rękę i przyrzekł, że ją zostawi staroście, jenoby chciał

wiedzieć, czy starosta ma dosyć majątku, aby ją wedle jej godności utrzymał. Zaczem starościna za jego namową wyprowadziła go na wieżę, ażeby mu stamtąd całe państwo pokazać, nad którem panuje starosta, a on, wyszedłszy z nią na wierzch wieży, powiedział jej: „Jakoś mnie zdradziła, także giń teraz“ — i strącił ją w przepaść. Kiedy się starosta o tem dowiedział, wpadł w złość okrutną, ale sam nie wiedział, kogo ma szukać najpierwej, czy tego zbója rycerza, czy żony. Porozbiegali się żołnierze po wszystkich kątach całego zamku, ale nie znaleźli rycerza: zniknął gdzieś, jakby go nigdy nie było, chociaż go wszyscy widzieli. Pewnie, jak tylko strącił panią z krużganku, jako to sam djabeł był, uleciał zaraz powietrzem. Natenczas starosta kazał szukać żony w przepaści, ale jej nie znaleźli. Bo też musiała upaść na samo dno — a tam jeszcze się nikt nigdy nie dostał. Gdyby nawet kto mógł się tam dostać, to przecieżby nie szedł, bo to dopiero tam jest właściwa złych duchów siedziba, jako też i ich wycia słyszeć można co nocy. A wtedy już starosta wcale wściekł się ze złości. Jednemu żołnierzowi, co nie chciał spuszczać się w przepaść, głowę rozszczypał czekanem, z drugiego mieczem, co go zawsze nosi u boku, wypruł wnętrzności, innych także się nabił, bo przez całą noc tak się wściekał. I byłby bez mała wszystkich wytłukł do nogi, w czem mu pewnie i djabeł pomagał, jeno że nad ranem już mu sił w rękach nie stało, upadł na ziemię, więc go ludzie zanieśli na łóżko, gdzie też teraz leży nawznak, zesiniał cały, jak blacha żelazna, oczy ma otworzone, a piana mu się z gęby wciąż toczy. Jedni mówią, że umarł, jeno że jeszcze dusza nie chce wyjść

z niego, bo widzi djabłów, co na nią czyhają, ale przecie wszyscy chodzą koło niego na palcach i trzymają się zdala, bo się boją, że, jak się zerwie, tak ani chybi, że wszystkich na miazgę wytłucze...

Tak powiadał parobek.

Formoza swoim zdrowym rozsądkiem zaraz dostrzegła, że na tem, co się tam stało w zamku tustańskim, przesądna imaginacja ciemnego ludu nadzierzgała niedorzecznych bajek bez końca. Trudno jej było dojść samym rozumem, co tam było istotną prawdą, a co zmyślonym dodatkiem. Wszelako ten fakt zdawał się nie ulegać wątpieniu, bo przecież inaczejby z nim gońca nie był wysyłał Daszkiewicz, że Jagienka jakimś przypadkiem spadła z wysokiej wieży i śmierć znalazła w przepaści. Zdarzenie to ją głęboko dotknęło, raz dla biednej Jagienki, która tak młodo musiała świat ten porzucić, lecz także dla Wilczka, któremu zawsze wszelkiego szczęścia życzyła, a który teraz zapewne wije się z bolu w tak ciężkiej żałobie. Na toż oboje tyle się nacierpieli i tyle ciężkich walk stoczyli z przeciwnościami tego świata, ażeby to słońce, które dla nich nareszcie zabłysło, tylko mało co więcej, jak jeden rok, im świeciło i zaraz zagasło? Formozie bardzo się smutno zrobiło na widok znikomości tego ziemskiego szczęścia, o które wszyscy z takim trudem i ofiarami się dobijamy. Azaliż nie lepiej i nie rozumniej o to szczęście wcale się nie dobijać, a tylko o to się starać, ażebyśmy sobie zapewnili szczęśliwość wieczną? — Puściwszy swoje myśli tym torem, przypomniała sobie swoje dawne zamiary usunięcia się od świata i ludzi, założenia klasztoru i poświęcenia się

służbie około dusznego dobra swych bliźnich. I bardzo długo i szczerze nad tem myślała...

Ale młodość niełatwo uczy się cudzem doświadczeniem. Młodość, ciepłą krwią swoją i czułością umysłu na wrażenia zewnętrzne zanadto blisko jest spojona z tą ziemią, ażeby się mogła tak łatwo od niej oderwać dla takich szczęśliwości nadziemskich, których nie może objąć swojemi zmysłami. Młodość swoim lotnym genjuszem sięga po ideały do nieba, lecz nato, ażeby te ideały na ziemię sprowadzić — a wcale nie nato, ażeby tę piękną ziemię, która się jej oczom tak uroczo przedstawia, zupełnie i na zawsze porzucić, a za ideałami całą swoją istotą unieść się w niebo. Pobożne i idealne myśli Formozy wkrótce się roztrąciły o przypomnienia niektórych szczegółów z opowiadania gońca. Jakiś rycerz się zjawił na zamku tustańskim, co miał taką postać jak nieboszczyk mąż starościny: to Gniewosz! Przecież prosty parobek takiej wieści sobie z palca nie wyssał; jakiś rycerz zjawił się tam rzeczywiście: to on! Jużci Gniewosz Jagienki z krużganku nie strącił, to rzecz niepodobna, ale za jego zjawieniem się mogło się stać coś takiego, z czego taka wierutna bajka urosła. Formoza się zaczęła nad tem wysilać, ażeby się jakiegoś prawdopodobieństwa domyśleć; najrozmaitsze przypuszczenia snuły się jej po głowie i już była bardzo niedaleką domyślenia się prawdy — ale to mniejsza. Główną rzeczą to było, że owym nieznanym rycerzem musiał być Gniewosz. A wtedy jej wszystkie marzenia o szczęściu wiecznem rozbiły się o ten ziemski ideał — i już jej tylko o to chodziło, co robić, aby się prawdy dowiedzieć.

Ale wtedy król znów był we Lwowie, już od kilku dni mieszkał na Niskim zamku i już się szlachta zaczęła zjeżdżać do niego.

Wszyscy monarchowie ówcześni rządzili swojemi krajami niejako na wózku, przenosząc się bezustannie z miejsca na miejsce i bawiąc mianowicie po większych miastach często po kilka tygodni. W średnich wiekach było to u nich modą, raz dlatego, że osobiście odprawowali sądy, powtóre, dla tej politycznej potrzeby, ażeby ciągle przygarniać do siebie bądź miejskie, bądź szlacheckie żywioły, a w Niemczech nawet najniższe warstwy wiejskiego ludu, które się bardzo często przeciwko ich władzy burzyły, a nakoniec i z tego powodu, że ówcześni królowie lubili żyć i wesoło się bawić, szukając według pojęć ówczesnych zabawy w rozpuście i zbytkach. Owo więc po rozpustę i zbytki trzeba się było w tych czasach nie na zamki rycerskie, gdzie surowe cnoty chowano, ale do wielkich miast udawać, które, opływając w bogactwa, kochały się w wszelkiego rodzaju zbytkownej swawoli, a obyczaje miały tak rozwolnione, że nawet temu, co o nich opowiadają samiż świadkowie współcześni, nie chce się wierzyć.

Cóżkolwiekbądź, naszych Jagiellonów możnaby śmiało nazwać podróżującymi królami — a między nimi Jan Olbracht pod tym względem prym trzyma. Prym mu się także i z tego względu należy, że daleko więcej, niż którykolwiek z jego poprzedników, albo następców, dla celów politycznych lubił się mieszać w sprawy rodzinne, a w zamiłowaniu czy to okazałych rozrywek, czy pokątnej swawoli, nie znał żadnego umiarkowania. Z tych wszystkich powodów był on prawie wstret-

nym Formozie: obawiała się jego śliskich komplementów, od których nie łatwo się obronić królowi, zwłaszcza kiedy się go potrzebuje, obawiała się nawet, ażeby jej nie zbałamucił Gniewosza, którego teraz tak gorąco ukochał i może go zechce ożenić gdzie wyżej... Iść do króla, była to dla niej bardzo ciężka ofiara. Wszelako musiała się na nią zdecydować, tylko, że jej potrzeba było cokolwiek czasu, aby się zdobyć na tę odwagę, więc jej zeszedł dzień jeden i drugi nad tem, co ma mu powiedzieć i o co właściwie może go prosić.

Jednak natenczas już szczęście przechyliło się na jej stronę.

Nim jeszcze się wybrała do króla, jednego dnia zameldowano jej pana Kamienieckiego.

Formoza bardzo się ucieszyła temi odwiedzinami i sama wyszła aż do pierwszych drzwi przeciw niemu.

Kamieniecki ją powitał z tą poufałą przyjaźnią, która kazała jej dobrze wróżyć o wiadomościach, z jakiemi do niej przychodzi. Jakoż i w swej dalszej rozmowie był wesół, miał same miodowe słowa na ustach i te jasne a miłościwe promienie w oczach, które tylko wtedy się pokazują, kiedy poczciwy człowiek cudzem szczęściem się cieszy.

Formoza nie śmiała go wprost o Gniewosza zapytać — jej dziewiczy srom trzymał jej usta na wodzy, chociaż serce się rwało — ale zapytała go o wiadomości z Tustania.

Kamieniecki się na to lekko zasmucił i rzekł:

— Król i my wszyscy bardzo żałujemy Wilczka, aleśmy też zawsze taki koniec przeczuwali dla niego, był to bowiem jeden z tych ludzi, za którymi chodzi nieszczęście. Szkoda jego i szkoda tej

pięknej Jagienki, która też była warta lepszego losu.

— Ale dlaczego ona spadła z wieży? — zapytała Formoza. — Mnie takie potworne bajki o tem opowiadano, że im nie mogę uwierzyć.

Na to zaś Kamieniecki, patrząc jej w oczy z uśmiechem:

— Przestraszyła się jakiegoś błędnego rycerza, co właśnie obok zamku przejeżdżał.

— Któryż to był ten rycerz? — spytała Formoza, rumieniąc się lekko i oczy spuszczając ku ziemi.

— To trudno wiedzieć, — rzekł Kamieniecki z bardzo figlarnym blaskiem w swych oczach — bo i o nim są takie wieści, co im także nie można uwierzyć. Ale może się coś o nim dowiemy, jak przyjdzie pora po temu...

Natenczas w sercu Formozy miłość wzięła górę nad sromem dziewiczym, zarumieniła się mocno, przyskoczyła do Kamienieckiego, wzięła go za obydwie ręce i zawołała głosem błagalnym:

— Powiedz mi pan kasztelan... przecie wiesz... to Gniewosz?

— Nie wiem — rzekł Kamieniecki, patrząc to na jej twarz, to na zegar, wiszący na ścianie — trudno to wiedzieć, ale może jeszcze dzisiaj się dowiem...

Na te nielitościwe słowa Formozie dwa zmarszczki ściągnęły się na czole, już się chciała rozgniewać na niego, ale wtem drzwi się otwarły naścieżaj, i sam Gniewosz wszedł do komnaty.

Miał lśniącą stalową koszulkę na sobie z obrazem Matki Najświętszej na piersiach, srebrzysty krótki mieczyk u boku i lekki hełmik na głowie;

tak stanął przed nią, z twarzą mocno zarumienioną, z oczyma, w których łzy się kręciły, z wpół otwartemi ustami, a nie mogąc ani słowa wymówić, w milczeniu szerokie ku niej otworzył ramiona.

Na jego widok Formozie wszystka krew uderzyła do twarzy, tylko zapał długo tłumionej miłości na niej się wymalował, i bez słów, i bez oddechu, z otwartemi ramiony rzuciła mu się na piersi.

Gniewosz ją objął i głowę nad nią pochylił — a ona, objąwszy go wpół prawem ramieniem, oparła głowę na obrazku Matki Najświętszej. Krew ustąpiła z jej twarzy, a został tylko lekki, przecudnej dziewiczości rumieniec, oczy się na połowę przymknęły, nakrywszy się bogatemi rzęsami, jej usta się nawpół otwarły, — tak przycisnęła się mocno do niego i widać było po niej, że objęło ją to miłośne omdlenie, którego szczęściu nic się nie równa na ziemi.

Tak go też trzymała przez długą chwilę — a pomimo swojej posągowej budowy ciała i mimo całej potęgi swojej wiary i woli, była, jak miękki powój, co się miłośnie około potężnego dębu owinął, była — jak być powinna kobieta.

Te chwile niewysłowionej, a tak czystej rozkoszy przerwał im Kamieniecki, mówiąc przez łzy, które mu spłynęły po twarzy:

— Bądźcież mi zdrowi, bo z wami jużbym się chyba we łzach rozpłynął, co nawet i nie przystoi żołnierzowi. Powiedzcie sobie beze mnie, ileście się oboje nacierpieli dla waszej miłości — i niech wam Pan Bóg da tyle szczęścia przez całe życie,

ileście go zaznali w tej chwili. A pośpieszajcie ze ślubem, bo król wam każe przeze mnie powiedzieć, że chciałby też być na waszem weselu.

Król rzeczywiście, obaczywszy Gniewosza zpowrotem, postanowił sobie uchwycić tę sposobność i wyprawić mu świetne wesele, ażeby się zetknąć ze szlachtą i połechtać coko'wiek jej miłość własną.

Albowiem Gniewosz był w owej porze najpopularniejszym człowiekiem w całem królestwie. Nie zapomniano mu tego, z jaką wspaniałą odwagą wystąpił w obronie honoru ojczyzny na Bukowinie i jako był prawie jedynym, co w tej wojnie na wieniec dębowy zasłużył. Opłakiwano go szczerze, kiedy się wieść o jego śmierci rozeszła — a kiedy już wszyscy w to uwierzyli, że zginął śmiercią walecznych, i że teraz na Ajantejach obok Ajaksów i Achillesów niesie wysoko sztandar polskiego rycerstwa, zaczęto już pieśni o nim układać rymem łacińskim i polskim, które wędrowni rybałci śpiewali przy gęśli po dworach i zamkach, a ślepe dziady opowiadali o nim epopeje rycerskie po wiejskich gospodach i chatach. A był on przecie rycerzem królewskim i swojem męstwem przyniósł prześwietną sławę ojczyźnie, lecz przedewszystkiem jasnym promieniem oświecił dzielność królewskiego rycerstwa. Król, podnosząc go wgórę, czcił szlachtę, która tak potężnego wydała rycerza, ale i siebie podnosił, pokazując całemu światu, jak dzielni obrońcy tronu i kraju wychowują się pod opieką jego korony.

Nie chcąc zbyt długo bawić we Lwowie, król sam się wstawił za nim do arcybiskupa, aby mu

dał dyspensę od zapowiedzi; ale ksiądz Boryszewski okazał się niewzruszonym. Duchowieństwo, ukrócane przez Jagiellonów niejednokrotnie w swej władzy, niechętnie ustępowało, gdzie było w swem prawie. W tym zwłaszcza wypadku arcybiskup mógł się powołać na ożenienie się Wilczka, które w całej Polsce, a zwłaszcza na Rusi wiele narobiło zgorszenia. Bóg sam to pogańskie małżeństwo rozwiązał, do czego ludzie nie mieli odwagi — a tem zrządzeniem swojem dał sługom Kościoła naukę, jak surowo powinni przestrzegać praw jego. Lepiej to nawet dla ludzi, jeżeli takich wykroczeń uniknął, bo kara boża jest srogą, karząc nie tylko winnych dla ich winy, ale dla winy drugich, a dla przykładu dla wszystkich. Powaga króla rozbiła się o władzę arcybiskupa — i państwo młodzi musieli czekać trzy tygodnie z weselem.

Ale nikt się na to nie skarżył. Król bardzo chętnie bawił we Lwowie, gdzie panowie najznamienitszych rodów, mający szerokie posiadłości w tych krajach, uświetniali dwór jego, bogaci mieszczanie obsypywali go podarunkami i sute mu wyprawiali wieczerze, a piękne oczy Rusinek przyświecały, jak gwiazdy, jego swawolnym rozrywkom. Szlachta ruska, mając rok całe spokojny, rada była na Niskim zamku w stolicy Rusi swoje dostatki pokazać i zabłyszczeć świetnością swych strojów w promieniach korony. Formoza dziękowała Panu Bogu po trzykroć, bo do wesela wcale nie była przygotowaną, a przyćmiwszy świetność swojego rodu w swoich związkach mieszczańskich, uważała za rzecz konieczną w wielkim blasku wystąpić, zwłaszcza, że dzięki tak znacznym majątkom, które odziedziczyła, nie brakło jej do tego

wszelkich zasobów. Ale i Gniewosz był także kontent z tej zwłoki, bo i jemu, zwłaszcza wracającemu po tak długiej nieobecności z niewoli, potrzeba było cokolwiek czasu, ażeby sobie odpowiedny dwór złożyć, a zarazem i zamek czorsztyński na przyjęcie żony należycie przystroić.

Jakoż, kiedy nareszcie przyszedł dzień wesela, było co widzieć, bo też i najstarsi ludzie, co Lwów od stu lat zapamiętali, a nawet i ci, co po krajach postronnych bywali, takich przepychów jeszcze nigdy nie widzieli.

Już o ósmej godzinie rannej Gniewosz wyjechał z Niskiego zamku po pannę młodą. Sam siedział na wielkim koniu rycerskim, maści tarantowatej, o karku bardzo wyniosłym, a z grzywą tak długą, że mu do kolan sięgała; koń był nakryty pysznym kropierzem z przedniego sukna, ale zasianym tak gęsto pozłocistemi haftami, że i dna prawie nie było widać; rząd na nim z szerokich rzemieni okutych w srebro, a kamieniami sadzonych, a wędzidło miał także ze srebra i srebrny łańcuszek pod brodą. Gniewosz miał na sobie pancerz zupełny ze srebrnych łusek złożony, na nim płaszcz aksamitny prawie czarnego koloru, na piersiach otwarty, z szerokiemi a krótkiemi rękawy, a po wszystkich brzegach bogato złotem bramowany i żółtym atłasem podbity. U szyi miał złoty rynграf, a na piersiach pancerza płyszczała podługowata blacha z obrazem Matki Najświętszej w złotem polu. Na głowie zaś miał srebrny hełm, w złoto oprawny, a ozdobiony bogatemi piórami barwy czarnej i żółtej.

Około niego po prawej jechał sam wojewoda ruski, Tarnowski, na równie wielkim koniu sobo-

lowatym, zadziwiającej piękności. — i on i koń jego byli także świetnie przybrani, ale tak, aby nie gasić blasku pana młodego, jako nakazywała rycerska uprzejmość. Zaczem miał jasno-brunatny aksamitny płaszcz na pancerzu, a tylko strusie pióra na jego hełmie, barwy błękitnej i żółtej, i tych samych kolorów herb Leliwa na piersiach bardzo świetnie błyszczały.

Po jego lewej jechał na wielkim koniu kasztanowatym z konopiatą grzywą Piotr z Kurozwęk, podskarbi wielki koronny, delegowany przez króla, ażeby zastępował jego osobę; zaczem miał na pancerzu płaszcz aksamitny czerwony, białym atłasem podbity, a na lewem ramieniu tarczę polerowaną ze stali, w której środku widać było znak królewski: białego orła w czerwonem polu.

Za nimi jechali wszyscy, w świąteczne szaty przybrani, rotmistrze i starostowie królewscy, więc: Koniecpolscy, Melsztyńscy, Paniowscy, Górkowie, Pampowscy, Kościeleccy, Kergolaj i inni, a między nimi wielu młodzików z zamożnych rodów, których rodzice wyprawili do Lwowa, ażeby się pokłonili królowi, a zarazem przypatrzyli festynom, turniejom i innym krotochwilom rycerskim, któremi król, panowie i miasto uczczą zasługi znamienitego żołnierza.

Mieszczanie i stołeczne pospólstwo, zawsze świetnych widowisk ciekawi zapełnili sobą cały rynek tak gęsto, że trudno się było pieszo przez nich przecisnąć, a cóż dopiero tak licznemu pocztowi rycerstwa, który sam sobą ze swoją służbą byłby zapełnił prawie czwartą część rynku. Zaczem *Consul nocturnus*, w świąteczny kaftan przybrany, a ze srebrnym ryngrafem na szyi, wziąwszy sam

swoją odświętną halabardę do ręki, stanął ze wszystkimi swymi halabardnikami do służby utrzymania porządku, a że był człowiek surowy, więc kazał młócić drzewcami sławetną publiczność, zwaną wtedy niegrzecznie motłochem, bez względu na to, jaki tam kto urząd piastował, a choćby to był jaki *Consul diurnus*. Szkoda to wielka, bo tym sposobem poczciwi ludzie, co tylko tem zgrzeszyli, że byli zanadto ciekawi, otrzymali zaraz z początku festynu daleko więcej guzów, niżeli przysmaków, a jęki bolu mąciły cokolwiek uczucia radości.

Zrobiwszy sobie nareszcie rum przez te tłumy, zebrane na rynku, Gniewosz ze swoim orszakiem zajechał przed dom Formozy.

Zsiadłszy z koni przed bramą, szli wszyscy na pierwsze piętro.

Zaledwie weszli w bramę, mile zostali uderzeni rozmaitemi dekoracjami, któremi na ich przyjęcie bramę wjezdną, szerokie schody, a nawet i główne komnaty przybrano; albowiem na co się tylko mogły zdobyć wirydarze miejskie i magazyny nieboszczyka Kijasa, niczego tam nie szczędzono, ażeby wszystkie ściany tego obszernego domostwa uświetnić i rozweselić. Już w bramie wjezdnej stały w dwóch szeregach drzewa cytrynowe i pomarańczowe, a z nad stropu zwieszały się nad głowy przechodniów girlandy i wieńce z zieleni, podłoga zaś była suknem czerwonem wysłana. Schody były jeszcze piękniej przybrane, albowiem okryto je pysznemi perskiemi dywanami, girlandy kwiatów się snuły po ścianach, a cały strop był jakby gęstą makatą z róż i konwalij zakryty. Nuż dopiero w samych komnatach nawieszano po ścia-

nach, przy drzwiach i oknach, tyle bogatych festonów ze złotogłowiu i z rozmaitych kwiecistych tkanin tureckich i perskich, że najbogatsi panowie, idąc pomału i oglądając się na wszystkie strony, nie mogli im się nadziwić, a najbywalsi z nich powiadali, że tyle jedwabiu, złota i woni można spotkać chyba tylko w pałacach sułtanów.

Formoza czekała na pana młodego dopiero w komnacie ostatniej, w tej samej, gdzie niegdyś Ciniewosz jej na krucyfiks przysięgał, że jej miłość i czystość dochowa do śmierci.

Nie była to z komnat największa, ale ją najcudniej przybrano, bo ściany jej obwieszono najpyszniejszemi tkaninami indyjskiemi, pajęczej delikatności, a zasianemi srebrnem i złotem dzierzganiem, przedstawiającem najrozmaitsze kwiaty stref południowych i niewidziane u nas motyle. Jasne blaski różowe, błękitne i białe, i zapachy najwyborniejszych wschodnich kadzideł zapełniały powietrze tej komnaty, tak, że gościom się zdało, jakoby byli w zaczarowanym pałacu jakiejś indyjskiej królewny.

Na środku tej komnaty stała Formoza w całym blasku swojej olimpijskiej urody i w całej świetności swego ślubnego stroju i swoją wspaniałą postacią tak wszystkich chwyciła za oczy, jak gdyby na nocnem niebie nagle południowe słońce powstało.

Suknię zwierzchnią z długim ogonem, wyglądającą prawie jak płaszcz królewski, chociaż w staniku była obcisła, miała z białego brokatu, zasianego złotemi kwiatami, zaś suknię spodnią, która u boków i przy buchastych rękawach wyglądała z pod zwierzchniej, z czerwonego atłasu. Obydwie suknie powiązane były ze sobą złotemi sznurami,

które na ramionach i w pasie splatały się z sobą w węzły pełne fantazji i wdzięku. W tym pysznym stroju jej wzrost wspaniały i kibić form okrągłych i pełnych o tyle mocniej wpadały w oko, ile że od tyłu głowy spadał na całą jej postać jakoby płaszcz z białej gazy indyjskiej, tak delikatnej i przeźroczystej, jak pajęczyna, a zasianej drobniutkiemi złotemi gwiazdkami, że się widzom zdawało, jakoby ku nim spływała w przedświtowym obłoku, w którym się już odbijają brzaski wschodzącego słońca, a jeszcze gwiazdy nie zgasły.

Uważali to wszyscy, co obyczajem ówczesnym kochali się w figurach, że nie mogła lepiej przedstawić obecnej chwili swego własnego życia, w której już miała za sobą gasnące gwiazdy nocy, w ciężkich przespanej boleściach, a wschód słońca dopiero się jej zapowiadał. Przy tym ubiorze miała na sobie moc niesłychaną drogich kamieni w manelach, naramiennikach i kolcach, sznur pereł urjańskich na szyi i rycerską koronę we włosach, bardzo misternie złożoną z brylantów, rubinów i pereł, na której w środku było widać maleńką głowę murzynka, herb Murysonów. Lecz nadto wszystko, jak niegdyś królowa Dąbrówka po rozłączeniu się z mężem, włożyła wieniec dziewiczy na głowę, czem wszyscy zostali uderzeni i uradowani, bo dopiero teraz się przekonali, że owe głuche wieści, które o jej dziewictwie, pomimo jej mieszczańskiego małżeństwa, po mieście krążyły, były istotną prawdą, której też teraz już nikt nie śmiał zaprzeczyć.

Za nią stały jej drużki, także bardzo wspaniale ubrane, jako wysoki ich ród tego wymagał: księżniczka Eufemja Zbaraska Mokosiejewiczówna

i księżniczka Paraska Puciatyczówna, wojewodzianka kijowska.

Obok niej, cokolwiek na przodzie, stał Kamieniecki, a za nim cały tłum szlachty ruskiej, bliżej lub dalej spokrewnionej z Murysonami, jako Biszowscy, Wątróbkowie - Strzeleccy, Zbrożkowie, Dzieduszyccy, Buczaccy, Fredrowie, Kierdejowicze, Chodeccy i inni, wszyscy w pełnych zbrojach rycerskich, którzy oczywiście się tak licznie zgromadzili około Formozy, ażeby jej jawne wydać świadectwo, jako jest orlęciem z ich gniazda, z ich krwi i kości.

Kiedy panowie, wiodący wśród siebie Gniewosza, powitali niskim ukłonem Formozę, a ona wraz z swem otoczeniem równie nisko się im odkłoniła, natenczas wojewoda ruski wysunął się cokolwiek naprzód po prawej Gniewosza i w bardzo pięknej mowie łacińskiej przedstawiwszy starożytność i świetność rodu pana młodego, a dalej jego wszystkie zalety i cnoty, poniesione cierpienia i położone zasługi, prosił o rękę panny młodej dla niego. Tarnowski, mowca bardzo misterny a gładki, musnął także, ale niezmiernie delikatnie i sztucznie owe dziwne zrządzenia boże, jako tu niby wdowiec żeni się z wdową, a przecie, komu było dano wiedzieć wszystkie skrytości nieprzejrzanych ludzkiemi oczyma przeciwnych losów, którym oboje państwo młodzi musieli się poddać, ale się nie dali zwyciężyć, ten musi życzyć wszystkim młodzieńcom i pannom, ażeby swe wieńce dziewicze donieśli do ślubnego ołtarza w takiej czystości, jako ci właśnie, którzy za wolą bożą dzisiaj się łączą ze sobą.

W weselnych mowach ówczesnych nie mogło

się nigdzie obejść bez gęstych aluzyj do najskrytszych tajemnic małżeństwa. Im więcej śliskie, a nawet rubaszne były te aluzje, tem głośniej przyklaskiwano mowcom i była to tak niezbędna przy takich obrzędach przyprawa, że nawet królowie nie umieli jej sobie odmówić przy swoich weselach. Ale wykwintnych obyczajów i podniosłych myśli starosta Gniewosza, choć musiał w swej mowie poddać się także tej modzie, to przecież umiał się tak zręcznie wywiązać z tej roli, że uczynił zadość łaknącym takich przysmaków słuchaczom, a przecież nie obraził niczyich uszu — i tak pięknie przystroił swą mowę, że mógłby był ją powiedzieć w kościele.

Od panny młodej odpowiadał Kamieniecki po polsku.

Był on także jednym z najlepszych mowców swojego czasu, ale miał swadę cokolwiek żołnierską. Jakoż, wychwaliwszy ród, wyniosłość umysłu i wszelkie zalety Formozy do tego stopnia, że się prawie zdawało, jakoby Gniewosz ledwie był wart takiej żony, rozgadał się tak szeroko i długo o nieszczęściach i umartwieniach, przez które przeszła Formoza, że się prawie zdawało, iż owa bajka wierutna, którą opowiadano po kraju, a w którą i Kergolaj swego czasu uwierzył, jakoby Formoza była przez Ormian porwaną, w więzieniu trzymaną i do małżeństwa gwałtem zmuszoną, była istotną prawdą.

— Jednak od czasu — powiadał Kamieniecki w swym oratorskim zapale — jak nasz pan miłościwy na sejmie piotrkowskim ubezpieczył wspaniałomyślnie rycerstwu jego przyrodzone swobody i prawa, a stanom podłego pochodzenia i rodu

te, w których odtąd żyć mają, zakreślił granice, takie perturbacje i gwałty od mieszczan już dziać się nie mogą, za co naszemu najmiłościwszemu królowi i panu serdeczna wdzięczność się od nas należy — a kto tę wdzięczność czuje wraz ze mną, niechaj też za mną wykrzyknie: Niech żyje król!

Stugłośny okrzyk: „Niech żyje król!“ rozległ się po komnacie, zbiegł między służbą przez schody ku bramie i rozbiegł się, jak huk morskich bałwanów, pomiędzy pospólstwem na rynku, a Kamieniecki tymczasem skończył swą mowę, przyjmując w imieniu Formozy deklarację Gniewosza.

Szczęściem, że w tej komnacie mieszczan nie było, bo byliby się pewnie bardzo zmartwili, widząc i słysząc na własne uszy ten grzmot pancerzy, którym się nawet przy festynach rodzinnych zapowiadała nowa epoka ich bytu, przedstawiając się w postaci rycerstwa, które mieszczanina i kmiecia przygniotło kolanem do ziemi i odtąd miało go trzymać w takiem upośledzeniu przez całe trzy wieki. Wszelako był jeden mieszczanin, który to słyszał.

Kundrat, sprawujący jeszcze wciąż urząd pierwszego włodarza w domu Formozy, wśliznął się do tej komnaty, a mając niekłamany respekt przed kowanemi butami i ostrogami rycerzy, skrył się cały za wielką kotarą u okna i stamtąd przysłuchiwał się ciekawie perorom. Niebardzo wygodnie mu było w tym schowku, a nawet i niebezpiecznie, bo nuż dojrzy go który z tych żelaznych olbrzymów i da ręką po czubie, — od takiego dotknięcia możnaby i duszę wyzionąć, bo tam każda ręka w rękawicy żelaznej; ale, jako nieubłagany wróg wszelakiego rycerstwa, nie mógł sobie

odmówić przypatrywania się zbliska tym straszliwym potworom, a jako notarjusz i sam orator, chciał też słyszeć tę elokwencję rycerską, o której tak wiele gadano, a której on jeszcze nigdy nie słyszał.

Jakoż dopóki mówił wojewoda ruski, Kundrat słuchał spokojnie i z pewnem uznaniem, szepcząc do siebie: „Mówi dość ochędożnie; ktoby nie wiedział, że to jest żołnierzysko, jak inni, mógłby rozumieć, że jaki doktor *utriusque juris* albo *sanctae theologiae*". Ale, kiedy Kamieniecki zaczął huczeć na mieszczan, Kundrat, niezmiernie takowem zuchwalstwem zdziwiony, wyścibił łeb z za kotary i słuchał tak, że mu uszy się przedłużyły. A kiedy się rozległ okrzyk: Niech żyje król! — takie zdjęło go oburzenie, że już nie mógł wytrzymać i chrząknął dwa razy: „Hem, hem!" z ironją i gniewem, poczem prędko się spostrzegł i schował się znów za kotarę.

Jednak na jego nieszczęście, młody Górka, co, jako najmłodszy ze wszystkich, stał ztyłu i właśnie blisko kotary, usłyszał to chrząkanie, a jako to nigdy się nie mógł obejść bez figlów, dobył mieczyka i zaczął nim dźgać w tę kotarę. Kundrat, widząc przez brzegi kotary, a nawet i czując na własnym brzuchu, jako ten panicz, widocznie jakiś półgłówek, a także cały zakuty w żelazo, dźga gołym mieczem ku niemu, gotów oko wyłupić albo i kiszki wypruć z człowieka, tak okrutnie się przeląkł, że mu aż w gardle zaschło, a oczy, jak dwie cebule, na wierzch wylazły. Co robić w takim terminie? Zasunął się w kąt, Górka dźga w kąt, przycupnął do ziemi, Górka go dźga od dołu, zebrał się więc na odwagę ze strachu, odchylił z drugiej strony

kotarę, wyskoczył z poza niej, jak zając, zgiąwszy się we dwoje, uderzył w boczne drzwi, które do mniejszych prowadziły pokojów, i zniknął tam w korytarzach.

Górka, widząc go, dającego tak dzielnie drapaka, wziął się za boki i śmiał się tak, że się trząsł cały od śmiechu. Śmiech jego przygłuszały okrzyki: Niech żyje król! — ale go przecie spostrzegł Paniowski i rzekł do niego:

— Czego u djabła się śmiejesz?

A on na to, chowając mieczyk do pochwy:

— Jakaś dusza mieszczańska się skryła tu za kotarę, alem ją wydżgał mieczykiem.

Więc i inni śmiali się z Górką, bo go też wszyscy bardzo kochali.

Kiedy Kamienicki skończył swoją pancerną przemowę, sam Gniewosz przemówił do Formozy po polsku, dziękując jej w wyrazach bardzo foremnych i pięknych, że przyjęła jego ofiarę, i przyrzekając jej, jako wedle obyczajów rycerskich będzie jej służył w czci i miłości do grobu.

Po jego mowie już wszyscy myśleli, że na tem koniec, ale natenczas Formoza sama zabrała głos i, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych, przemówiła po łacinie. Wyborowemi słowami i w formach utoczonych na wzór najprzedniejszych oratorów starego Rzymu podziękowała najprzód wojewodzie ruskiemu za przyprowadzenie jej takiego miłego gościa, którego z takiem upragnieniem czekała, potem dziękowała Kamienieckiemu, że jej ojca i matkę zastąpił, a wreszcie, obróciwszy do Gniewosza, oddała mu cześć za stałość i wierność i deklarowała, że, jakkolwiek zna wszystkie splendory, w jakich rycerze chowają

swe żony, ona żadnych świetności, ni blasków nie pragnie, a serce jej będzie w zupełności zadowolone, jeżeli będzie mogła przez całe życie pozostać wierną sługą swojego męża i pana.

Mówiła krótko, ale takim wybornym językiem, a głosem tak dźwięcznym i pełnym niemal królewskiej powagi, że zapał dla siebie obudziła u wszystkich; najpierwsi senatorowie ją otoczyli i ręce jej całowali, młodzież podniosła okrzyk zapału i wtenczas, gdyby była na to zezwoliła, byliby ją sami wojewodowie na rękach zanieśli do kościoła.

Natenczas Gniewosz urósł prawie jeszcze o głowę i cały się tak rozpromienił, że wyglądał, jak kolumna słonecznego światła, w której środku rysuje się postać rycerza.

Wtedy i Kundrat znów swoją okrągłą głowę wyścibił z przyległego pokoju, nietyle, aby się tryumfem swojej pani nacieszyć, ile żeby tego młodego wartogłowa dobrze obejrzeć, co go dżgał mieczem, i przy danej sposobności zemścić się na nim.

Niewiadomo, czy dostrzegł go w tłumie, bo wtedy już Gniewosz podał rękę Formozie i prowadził ją przez wszystkie komnaty i schody przed jej dom, ażeby z nią jechać do ślubu.

A na rynku, przed domem, stała szklana i cała pozłocista kareta, którą król przysłał dla niej, ażeby w niej do katedry jechała. Kareta ta stała w wozowniach Niskiego zamku blisko od wieku, bo mieszczanie kazali ją z wielkim kosztem sporządzić dla królowej Jadwigi, a odtąd raczej ją na pamiątkę, niżeli dla użytku chowano. Była to prawdziwa arka Noego, zawieszona na pasach bardzo wyniosłych, ale nadzwyczaj paradna, bo

wszystko żelazo i drzewo na niej było wyzłacane, na czterech rogach jej dachu wznosiły się cztery królewskie korony, a wewnątrz była białą jedwabną kamchą wybita ze złoconemi brzegami. Zaprzężono do niej cztery konie ogromne ze stajni królewskiej które były nakryte białemi kropierzami z królewskiemi herbami w rozmaitych kolorach i złocie, rzędy na nich złocone z andegaweńskiemi liljami z czasów Władysława Opolczyka, a na ich głowach pióra strusie we wszystkich kolorach. Przy koniach szło czterech królewskich pajuków w barwie czerwonej i białej, na wysokim koźle siedział woźnica w kapeluszu z piórami, a za karetą stało znowu dwóch takich samych pajuków. Do karety wsiadła Formoza z Kamienieckim i dwiema drużkami, a za nią jechała na koniach jej szlachta ruska w błyszczących pancerzach i hełmach.

Za jej orszakiem jechał Gniewosz konno, tym samym ładem, jakim przyjechał z Niskiego zamku.

Przyjechawszy wolnym krokiem przez niezliczone tłumy pospólstwa przed główne drzwi katedry, Gniewosz podał rękę Formozie i prowadził ją do kościoła.

W kościele jeszcze nikogo z gości nie było, bo zamkowi żołnierze obsadzili bramę i żywej duszy wewnątrz nie wpuścili. Wszelako pod baldachinem, stojącym po prawej stronie ołtarza, na tronie złoconym siedział król świątecznie ubrany, aksamitnym płaszczem odziany, a otoczony całym swym dworem. U ołtarza stał arcybiskup *in pontificalibus*, a służyli mu wszyscy kanonicy i altarzyści. Zaś po lewej stronie ołtarza w ławach siedzieli biskup ormiański i władyka ruski i kilku po-

ważnych popów ich obrządków, z długiemi brodami i złotemi łańcuchami na szyjach.

Kiedy Gniewosz wszedł do kościoła z Formozą, zaraz za nimi cały kościół napełnił się rycerstwem i niektóremi damami, oni zaś oboje najprzód przystąpili przed króla, uklękli przed nim, a król powstawszy, dał im swoje błogosławieństwo, w zastępstwie ich rodziców, których oboje nie mieli.

Zaczem, podniósłszy się z kolan, przystąpili przed ołtarz, a ks. Boryszewski dał im ślub z wielką przystojnością i arcybiskupią powagą — a po ślubie ze stopni ołtarza miał do nich bardzo piękną przemowę na temat: *Crescite et multiplicamini.*

Po tej przemowie król wstał pierwszy ze swego tronu i wyszedł z kościoła, zaś przed kościołem wsiadł na koń i, otoczony swym dworem, jechał bardzo powolnym krokiem przez rynek ku Niskiemu zamkowi, gdzie dla państwa młodych i weselników był ranny obiad nagotowany.

Potem Gniewosz wsiadł z panną młodą do owej pozłocistej karety i jechał również powolnym krokiem za królem.

Zaczem rycerstwo zaczęło wsiadać na koń, ażeby jechać za Gniewoszową karetą, ale się musieli zatrzymać, bo wtedy od placu Św. Ducha zaczęły zajeżdżać na wozach, na koniach i na innych przyswojonych zwierzętach rozmaite maszkary, które przyjaciele Gniewosza i mieszczanie przygotowali, ażeby, ile możności, przyozdobić i uświetnić to wesele, raz dla uczczenia rycerskich zasług Gniewosza, a potem dla przypodobania się królowi, który się kochał w wszelakich tego rodzaju pustotach.

Najprzód tedy na małym wozie, obwieszonym

zewszechstron makatami, a przez cztery niedźwiedzie ciągnionym, jechał Hymen: bardzo piękny młodzieniec, w białe obcisłe szaty ubrany, ze skrzydłami u ramion, z wieńcem na głowie, z weselną pochodnią w jednej, a zasłoną w drugiej ręce. Hymen przedstawiał śluby dozgonne, a niedźwiedzie mu przydano, jako godło herbu Gniewosza.

Potem wyjechał wóz wielki, cały złocony, a uprzężony w cztery białe konie, jego koła były w kształcie sfer, a wasąg był napełniony obłokami, bardzo misternie zrobionemi z bawełny, — w tych zaś obłokach siedział po prawej stronie Jupiter, z białą brodą i w złotej koronie, a koło niego Minerwa, w pozłocistym hełmie na głowie. Jupiter trzymał wielką tarczę przed sobą z herbem Rawicz, a Minerwa drugą taką tarczę z herbem Mora, przed nimi zaś siedział ukryty w obłokach jakiś bożek pośledniejszy, zapewne pacholik Jowisza, i puszczał na wszystkie strony okrutnie ogniste łyskania.

Dalej jechał również na wielkim złocistym wozie, uprzężonym w cztery woły węgierskie ze złoconemi rogami, Saturnus z długą kłaczystą brodą i kosą w ręku, a przed nim widać było na wozie dwanaścioro maleńkich chłopiąt, które miał niby pozjadać, ale które tymczasem, śpiewając i skacząc około niego, okrutny hałas czyniły. Saturnus, jadący wołami, miał wyrażać życzenie, ażeby państwu młodym powoli czas schodził.

Za Saturnem jechał na wielkim koniu rycerskim Mars, bożek wojny, w ciężkiej zbroi spiżowej i w hełmie bez piór, z długą dzidą w prawej ręce i z tarczą na lewem ramieniu, a koło niego szło

pieszo po trzech łuczników z każdej strony, którzy jeden za drugim, strzelali z muszkietów, czem naczynili takiego dymu, że i twarzy Marsa nie można było rozeznać i jeszcze te dymy zasłaniały Dianę.

Albowiem za Marsem, na płaskim wozie, nakrytym suknem zielonem, a uprzężonym w cztery przyswojone jelenie, pomiędzy krzewinami, które poustawiano na wozie, jechała Diana, bardzo wyniosła i piękna kobieta, prawie jak Formoza, z półksiężycem na czole, oparta lewą ręką na łuku, a trzymająca w prawej dwa wielkie charty na smyczy. Miał li Mars przedstawiać Gniewosza, a Diana Formozę, o tem różnie opinowano; to wszakże było wiadomo, że owych pięknych jeleni dostarczył Auctus Paniowski, starosta stryjski, który umiał nad wszelki podziw oswajać dzikie zwierzęta.

A za Dianą już szły rozmaite żartobliwe maszkary.

Więc najprzód na sześciu wielbłądach, które szlachta okoliczna pozabierała Tatarom, jechało sześciu dorodnych parobków, poprzebieranych za chanów tatarskich, za baszów tureckich i maharadżów Ziemi Ognistej, w baranich szłykach, kwiecistych turbanach i pierzastych koronach, z łukami i kołczanami na plecach, albo też z pozłocistemi dzidami. Za nimi biegły nieprzeliczone tłumy ulicznej gawiedzi, a że na Tatarów i Turków, co dopiero przeszłego roku ruskie ziemie tak nielitościwie złupili, wielka złość była we Lwowie, więc też i na tych niewinnych parobków okrutnie łuczano, miotano piaskiem, a nawet i kamykami za nimi, że aż miejscy halabardnicy musieli znów grzmocić publikę drzewcami, a niektórych nawet

wziąć za łeb i zaprowadzić do kordegardy, gdzie im miotełką ich patrjotyczną fantazję ochłodzono.

Dalej jechały na osłach, na mułach i jakichkolwiek konikach rozmaite inne maszkary, jaka była czyja fantazja, aż wreszcie i samego Bachusa nie brakło. Ten wszakże mąż, haniebnie otyły, z ogromnym brzuchem i obwisłemi policzkami, jak połcie słoniny, z nagiemi ramiony i z wieńcem na głowie, szedł pieszo, a raczej zataczał się, pijanicę udając, ale go rozmaite satyry i nimfy popod boki trzymały. A koło niego i za nim ciągnęli w niepowściągliwych pląsach, z muzyką i również niepowściągliwemi pieśniami, rozmaici skoczkowie i błazny, posuwając się także z tym korowodem ku Niskiemu zamkowi, chociaż ich tam pewnie nie zaproszono.

Wszelako najweselsza maszkara zjawiła się dopiero na końcu. Przeszłej zimy Buczacki, wuj młodego Górki, zdobył był słonia na Turkach, którego jako niebywałą trofeę chował na swoim zamku w Buczaczu; krotochwilny Górka sobie tego słonia u wuja wyprosił i przyprowadził na wesele Gniewosza. Tu kazał bardzo misterną wieżę w kształcie przeźroczystej kapliczki zbudować, którą przymocował na grzbiecie słonia, zaś do tej wieży wsadził jakąś tłustą szynkarkę, którą, jak powiadano, własnoręcznie umalował na czarno i ubrał jako królowę murzyńską. Do tego nałowił sobie dwunastu miejskich chłopaków, których także poczernił i poubierał z murzyńska, i z takim biblijnym orszakiem, dotychczas jeszcze nigdy niewidzianym we Lwowie, wjechał na rynek, sprawując nim niesłychane *gaudium* publice. Przed słoniem szedł wielki murzyn, wyczerniony od stóp do głów

i ledwie nie nagi zupełnie, bo tylko jakiś strzępiasty fartuszek wisiał mu koło pasa; murzyn, wiejąc palmową gałęzią na wszystkie strony, wołał ogromnym głosem: — Mości panowie, ustąpcie się! Królowa Saba jedzie na pana Gniewoszowe wesele. — Królowa wyszczerzała zęby i kłaniała się publiczności, murzynkowie tańcowali i hałasowali około słonia, publika zbiegała się ku nim, krzycząc w niebogłosy z radości, a mały Górka jechał ztyłu za słoniem i cieszył się, że aż się trzymał za boki. Ale mu jeszcze nie było dość na tem, bo koło niego szło jeszcze kilku drugich murzynów, którzy nieśli pod pachą skopce napełnione sadzą, rozpuszczoną w oliwie, a kwacze w ręku. Nuż kto zanadto ciekawy się do nich przybliżył, więc go kwaczem po gębie i w okamgnieniu go poczernili z murzyńska; tak między publiką napłodzili murzynów bezliku, z czego znów drugie *gaudium* dla łaknącej takich dosadnych figlów publiki, a niewysłowiona uciecha dla zbytkującego młodzika.

Wszakże za królową Sabą już ruszyło rycerstwo, które dotychczas przypatrywało się temu korowodowi zdaleka i całe to weselisko się zwaliło na zamek.

Król przyjął Gniewoszów z wesołą twarzą i z wielkim respektem, bo ich do obiadu przy osobnym stole posadził, przy którym zasiadł tylko on sam, państwo młodzi, obydwie drużki i dwaj drużbowie, wojewoda ruski i Kamieniecki. Rycerstwo, pomiędzy którem znajdowały się niektóre damy, a tylko trzech mieszczan, wójt, *proconsul regius* i *proconsul communitatis*, jadło przy innych stołach, które pozastawiano po innych komnatach.

Natomiast wszakże przed zamkiem ponasta-

wiano pod gołem niebem wiele stołów z mięsiwem i chlebem i powytaczano beczki z piwem, miodem i winem, gdzie też pospólstwo niebawem tak się rozweseliło, że Bachus, spiwszy się pierwszy *ex officio,* jak cztery dziewki, poszedł w taniec z królową Sabą, za nimi Jupiter z Minerwą, a Mars z Dianą, nuż potem satyrowie, nimfy, Murzyni, Tatarzy, Turcy i Indjanie — i taki okrutny uczynili hałas, zgiełk i publikę, takie przewracania się i drugie nieprzystojności, że nawet obydwa charty Diany uciekły od tej piekielnej wrzawy, a stanąwszy na boku przy mądrym słoniu i obyczajnych jeleniach, dziwiły się ludziom, że znajdują upodobanie w takiej rozpustnej swawoli, do której nigdyby się nie poniżyły zwierzęta.

Tymczasem król po obiedzie, przy którym także wypito puhar jeden i drugi, ale tylko pod miarę, ofiarował dary Formozie: obraz Przenajśw. Trójcy, malowany na złocie, a w drogie kamienie oprawny, i zegar złocisty, bardzo misterny, w którym brzmiało granie, trąbienie, i tarabany się na czas odzywały. Zaczem i drudzy także wystąpili z darami: wojewoda ruski dał złotego pawia z rozpostartym ogonem, barwistemi kamieniami sadzonym, Kamieniecki czarę złotą podłużną, spoczywającą na skrzydłach dwóch gryfów, a wewnątrz rubinami sadzoną, inni rozmaite kosztowne noszenia — a mieszczanie ofiarowali jej dwie sztuki złotogłowu na szaty i sorok soboli. Nuż dopiero po wszystkich pan młody wystąpił ze swemi darami, które jego słudzy tymczasem porozkładali na stole — a były tam takie bogactwa w kolcach, manelach, rozmaitych drogich noszeniach, a wreszcie w perłach i kosztownych kamieniach, które całemi

garściami leżały w złocistych czarach, że nawet sam król im się przypatrywał ze zdziwieniem. Ale nie było czemu się dziwić, boć to tam były wszystkie klejnoty, które w dwóch tak możnych rodzinach, jak Gniewoszowie i Magierowie, od kilku wieków się nazbierały. Więc wszyscy na Gniewosza spoglądali, jedni z ukontentowaniem, a ten i ów może z zazdrością — Gniewosz zaś wąsa pokręcił i rzekł:

— A srebra domowe, co ich mam na piętnaście kamieni, czekają na pannę młodą w Czorsztynie.

Zaczem już, nie czekając, jechano na ratusz, gdzie po obydwóch stronach głównej bramy przygotowano dla króla i jego gości wyniosłe siedzenia, bo po południu na rynku, który prawie na grubość stopy wysypano białym piaskiem z góry zamkowej, miały się odbyć turnieje — a po turniejach festyn z tańcami w ratuszu, który mieszczanie urządzili dla króla i państwa młodych.

Jak tylko król ze swymi gośćmi zasiadł na owych wysokich ławach pod ratuszem, które suknem i makatami okryto, a gdzie dla niego wzniesiono bardzo paradny baldachin z aksamitów i złota, zaraz obydwie ulice, Halicką i Krakowską, prowadzące ku zachodniej połaci rynku, zamknięto szrankami i postanowiono szranki po obydwóch bokach ratusza, ażeby publika, jako to zwykle niewstrzemięźliwa w swej ciekawości, nie przewaliła się na plac turnieju. Natomiast nie było jej wzbronno zapełnić okna i bardzo gęste krużganki kamienic, otaczających rynek, a nawet i wyłazić na dachy, z czego też korzystał, kto mógł, i cały rynek ze swemi dachami, oknami i krużgankami w owej

chwili tak właśnie wyglądał, jak gdyby chmura szarańczy spadła na miasto.

Trwało to bardzo długo, może z dziesięć pacierzy, albo i całą mszę cichą, nim pierwszy herold wjechał w szranki i, otrąbiwszy się, wielkim głosem oznajmił, że pan Koniecpolski, starościc przemyski i pan Auctus z Paniowa, starosta stryjski, skruszą kopje ze sobą. Zaczem znowu dopiero po chwili wjechali obydwa rycerze w szranki, jeden z ulicy Krakowskiej, a drugi z Halickiej, i w całym pędzie swych koni uderzyli na siebie. Ale za pierwszem uderzeniem obydwa się chybili, tylko konie z wielkim chrzęstem się otarły o siebie, z czego głośny śmiech poszedł po dachach. Obrażeni tym śmiechem rycerze odskoczyli od siebie, zajęli miejsca przy szrankach przeciwnych i znów uderzyli — a teraz Paniowski skruszył swoją kopję o pierś swego przeciwnika, Koniecpolski spadł z konia wtył, ale się zebrał w okamgnieniu i wskoczył w całej zbroi równemi nogami na konia, za co, chociaż zwyciężonemu, publiczność zapłaciła ogromnym aplauzem.

Do drugiego turnieju wyjechali przeciwko sobie młody Buczacki i równie młody Kościelecki Ogończyk, wojewodzic inowrocławski, do trzeciego Henryk Fredro z Jakóbem Mortęskim, do czwartego Jan Raba z Waplewa, kasztelanic elbląski, z Danaborskim, kasztelanicem bydgoskim, a ci obydwa, tłumiąc się z sobą bardzo długo, najprzód konno, a potem pieszo, już piasek tak zryli na rynku, że bruk zaczął się pokazywać, zaczem król zakazał dalszym jeźdźcom wyjeżdżać.

Wszelako piasek na nowo ubito, a potem niektórzy młodsi rycerze i szlachetni pacholikowie poty-

kali się pieszo ze sobą, aż wreszcie publika przecie szranki przełamała i przewaliła się na plac turnieju, na którym też ci i owi parobcy, naśladując swych panów, zaczęli także się tłumić. Niebawem też Bachus, zaprosiwszy się do królowej Saby na słonia, wjechał na rynek, a za nim wtłoczyła się wszystka owa publika z pod zamku, z Jowiszem i Marsem, z Minerwą i Dianą, z Turkami i Murzynami, wszyscy spici do niepamięci, odarci i poczernieni, z muzyką i tłustemi pieśniami, a w pląsach już wcale gorzej, niżeli zwierzęcych, — zaczem król zaraz wstał i wszedł do ratusza, wiodąc wszystkich gości za sobą.

Już też się wtedy zmierzchać zaczęło.

Wszystkie sale ratusza były bogato przybrane i oświecone rzęsisto woskowemi świecami — a w ostatnich były stoły nakryte do wieczerzy.

Król jadł i pił bezmała nie lepiej, niż drugi człowiek śmiertelny, muzykanci pochowani po kątach grali *alternative* rozmaite melodje hiszpańskie i włoskie, błaznowie, śpiewacy i rymotwórcy obiegali stoły i przepowiadali królowi, państwu młodym, starostom i drużkom wesołe rymy, a na czas takie tłuste, że nawet sam król natenczas spuszczał oczy i w talerz spoglądał. Aż wreszcie wszystkim już było dosyć tej krotochwili: król wstał, podał rękę Formozie i poszedł z nią w taniec w drugiej komnacie, gdzie z obszernego krużganku odezwała się kapela, z pięćdziesięciu grajków złożona, pod przewodnictwem uczonych rybałtów.

A nim król poszedł w taniec, stanęło o jakie dziesięć kroków przed nim dwóch rajców miejskich do tańca. Ci byli w długie czerwone szaty ubrani, jeno rękawy mieli z białego atłasu, złoci-

ste łańcuchy na szyi i czarne aksamitne birety na głowie, wzięli się za ręce i szli naprzód, tańcując wokoło sali. Za nimi dopiero tańcował król z panną młodą, potem szedł Gniewosz z księżniczką Zbaraską, dalej wojewoda ruski z księżniczką Puciatyczówną, potem drudzy z rozmaitemi matrony i panienkami, a na końcu, kiedy już kobiet nie stało, bo też i niewiele ich było na tem weselu, brało się po dwóch mężczyzn za ręce i łączyli się z tym korowodem. Przetańcowawszy jakie kilkanaście kroków, owi dwaj mieszczanie, co szli naprzedzie, stawali, a objąwszy się w ramiona, całowali się wzajem po obydwóch stronach twarzy, co też i inne pary za nimi powtarzały. Drudzy ludzie poważni, jak król i wojewoda ruski, tylko się przy tem nachylali po obydwóch stronach swojej damy, nie dotykając jej twarzy, ale ten i ów tanecznik serdeczny cmoknął naprawdę, czemu się niektóre panienki broniły, ale że takie było prawo, a tanecznicy przy niem się upierali, więc z tego zawsze powstawał śmiech wielki i wrzawa, aż się też sala tak przepełniła ciekawymi, że się tłum zrobił i korowód taneczników zaczął się tu i owdzie przerywać.

A kiedy już było tak tłumno, że prawie i szpilka nie byłaby doleciała do ziemi, Gniewosz i Formoza zniknęli, a z nimi wysunęli się także wojewoda ruski i Kamieniecki.

Wszystko to było najprzód tak nastrojone, bo tak wymagał obyczaj; toż, kiedy państwo młodzi ze swymi starostami zeszli ze schodów przed bramę ratusza, już tam w dwa szeregi ustawieni czekali na nich słudzy z zapalonemi pochodniami i prowadzili ich pieszo do domu Formozy. Przy-

szedłszy przed kamienicę, Formoza z Kamieniecki poszła najprzód do górnych komnat, gdzie grono matron na nią czekało, zaczem, kiedy Gniewosz z wojewodą przyszedł do pierwszej komnaty, Kamieniecki piękną przemową oddawał mu pannę młodą, a wojewoda za niego dziękował.

A potem wszyscy odprowadzili ich do łożnicy i drzwi za nimi zamknęli.

Tymczasem w wielkiej sali ratusznej rum uczyniono królowi — i król tańcował dalej. Był dobrej myśli, kazał na czas do siebie przepijać, brał jednę panienkę po drugiej i szedł z nią w taniec, nie pytając wcale o to, jakiego która jest rodu, byle była urodziwa, a zwinna do tańca. Zaczem się i niejednej córeczce mieszczańskiej dostało, bo też i bardzo urodziwych cale pomiędzy niemi nie brakło. Niektóra z nich i sama wysunęła się naprzód i mile się uśmiechnęła, nietyle z zamiłowania swawoli, ile z niewinnej próżności, ażeby też mogła na starość powiedzieć swoim sąsiadkom: „Oto król ze mną tańcował na pana Gniewoszowem weselu“. Matki, rade choćby i nieba przychylić swoim pisklętom, nieraz i same pomagały do tego. Ale niektórzy starzy mieszczanie srodze się tem gorszyli, zwłaszcza, że ta i owa panienka, nie mogąc się docisnąć do króla, poprzestała na jakim młodym rycerzu i widać było po jej radośnie zarumienionej twarzy, że jej wcale dobrze było w jego objęciach. A trwały te tańce swawolne ze dwie godziny, albo i więcej, król sam nie ustawał, jeszcze i drugich zachęcał, a nawet sam różne nowe tańce wymyślał.

Kundrat, niezmiernie takich rzeczy ciekawy, które nie codzień mógł widzieć, stał przez cały ten czas pod ścianą, przypatrywał się tej swawoli tak

chciwie, że ledwie oczy mu nie wylazły, uśmiechał się złośliwie, brał się za tłusty podbródek — a kiedy który rycerz jaką miejską panienkę zanadto serdecznie uścisnął, to nie mógł ustać na miejscu ze złośliwej uciechy, śmiał się nawet głośno i oglądał się za kim, komuby mógł co o tem powiedzieć.

Tak jednej chwili stanął obok niego jakiś zacny mieszczanin, ogromny wzrostem starzec białowłosy, skromnie, ale chędogo ubrany w długą suknię zwierzchnią z ciemnego sukna, w czarne pończochy i grube trzewiki ze srebrnemi sprzączkami, w łańcuchu na szyi, który nosili *consules antiqui;* ale musiał bardzo być stary, bo na jego wielkiej, ogolonej twarzy, choć jeszcze czerstwej i chociaż z pod jego białych krzaczastych brwi wyglądały wielkie oczy siwe, pełne bystrości i życia, malowało się co najmniej jakie lat ośmdziesiąt, albo i więcej.

Mieszczanin ten, szukając sobie miejsca pod tąż ścianą, spojrzał z góry na Kundrata, jak gdyby go lekceważył i chciał się od niego odwrócić; ale kiedy Kundrat także spojrzał na niego i zrobił mu z uszanowaniem miejsce koło siebie, zatrzymał się i rzekł:

— A waść się śmiejesz, jak gdyby to było twoje własne wesele.

Natenczas Kundrat przybrał minę poważną i odpowiedział mu:

— Cóż, panie Sztecher, człowiek i ze złych rzeczy się śmieje, kiedy nie może ich zmienić. Już to rycerstwo tak w pychę urosło, że nas nie ma ani za boże stworzenie. Borykałem ja się z nimi, ile sił mi starczyło, ale, widząc, żem jest sam jeden i że nie dam im rady, dałem im pokój — a teraz się

śmieję z tych, co ich jeszcze proszą, aby im kołki ciosali na głowie.

— Tyś się z nimi borykał? — rzekł Sztecher. — Nie wiem zaprawdę o co, chyba że o jaką podwikę — a i to jeszcze kwestja, czy ta podwika była warta tych guzów, coś je za nią otrzymał. Aleś się o prawa tego stanu, do którego należysz, z nikim nie borykał, bobym był przecie o tem coś wiedział...

— Już jak tam bądź — przerwał mu Kundrat, trochę skonfundowany — wzięli nas za łeb i koniec, a teraz już tak dokazują, że człowieka śmiech zbiera z samego żalu.

A na to Sztecher:

— Za łeb nas wzięli, to prawda. Ale kto temu winien? Oto tacy ludzie, jak ty i ci, którym służyłeś i jeszcze służysz. Wasza to wina, żeście tak nisko upadli, że, kto tylko nogę podniesie, ten, choćby nie chciał, musi wam na kark nastąpić. Nie mówię o dawnych czasach, kiedyto miasta używały wielkiego znaczenia, kiedy miały swe armje i floty i nikt nie śmiał nastąpić na ich swobody i prawa, bo ich walecznie broniły na lądzie i na morzu. Aleć jeszcze za mojej pamięci byliśmy czemś w tem Polskiem Królestwie. Kiedy królowa Jadwiga zabrała Lwów po raz wtóry i przyłączyła do Polski, to Władysław Jagiełło prawie, jak równy z równym, z nami traktował. Potwierdził miastom dawne ich przywileje, jeszcze i nowych im dodał, hojnie opatrzył kościoły, szkoły, szpitale, bursy i kolegjaty, mieszczan miał sobie narówni ze szlachtą i sam obydwiema rękami pomagał, ażeby miasta się podnosiły w bogactwach a utrzymywały w swych prawach. Tak samo było jeszcze za jego starszego syna i jakiś czas nawet za

Kazimierza — a dlaczego? Oto, bo mieszczanie strzegli pilnie praw swoich, trzymając wiernie z koroną, służyli jej za hamulec przeciwko wybujaniu rycerstwa, a swoją nauką, pracą, bogactwem i godnością swych obyczajów zasługiwali na poszanowanie. Wolno im było wtedy razem ze szlachtą zasiadać na konwokacjach i zjazdach, radzili wspólnie o dobru tego królestwa i podpisywali traktaty z sąsiedniemi mocarstwy i niktby był im nie bronił, gdyby się byli w tem pilnowali, stawać *viritim* na sejmikach i wysyłać swoich delegatów na sejmy. A jakeście wy się w tem pilnowali? Oto zamiast pozostać tem, czem byli wasi ojcowie i czem sami jesteście, i zamiast bronić praw waszych mieszczańskich, usunęliście się z tej areny, na której mogliście być samymi sobą, a natomiast ugięliście się przed przewagą rycerstwa i zaczęliście się wpraszać pod ich sztandary i znaki, woląc być ostatnimi pod ich rozkazami, niżeli pierwszymi pomiędzy sobą. Każdy stan w społeczności takiego zażywa losu, jaki sam sobie zgotował i na jaki zasłużył. Cóż się więc stało? Oto, kiedyście sami się wykluczyli z konwokacji i sejmów, teraz oni was wykluczyli od biskupstw, od koronnych i ziemskich urzędów, a nawet już od własności dóbr ziemskich. A za to, że im stopy, jak psy, liżecie, macie też swoje nagrody: który sobie u nich wyżebrze szlachectwo, tego w pierwszej wojnie poślą na zgubę, ażeby go poganie powiesili na palu, a któremu się zachce ze szlachcianką ożenić, to mu ją dadzą, ale taką, co już wszyscy djabli się z nią żenili i której też sam djabeł nie upilnuje. I waść byś zrobił daleko lepiej, gdybyś swojej żo-

ny pilnował, zamiast puszczać bąki pod nos poczciwym ludziom, jako się ze szlachtą o prawa mieszczańskie borykasz!

Kundrat bardzo nisko opuścił nosa na takie surowe kazanie, lecz rad, że może rozmowę odwrócić do innego przedmiotu, zawołał wesoło:

— Już tam co do pilnowania żony, to Kundrat nie głupi. Mojej żonie, dopóki była wdową, zazdrośne sąsiadki czasem jaką łatkę przypięły, ale odkąd jest moją, jest mało nielepiej, jak święta, krokiem się z domu beze mnie nie ruszy, bo też, pomiędzy nami mówiąc, i ja jej ani na chwilę z oka nie spuszczam.

Tu stary Sztecher spojrzał na niego z wyraźną pogardą i rzekł:

— A toś się już chyba na te tańce rycerskie tak zagapił, żeś oślepł. Bo, kiedym tu szedł po schodach, — a jest już temu dobre dwie godziny — tom widział na własne oczy, jako imć pani Pachna, ramię w ramię z tym francuskim rycerzem, co zabił Frąca, właśnie zbiegała ze schodów i z nim gdzieś zniknęła na rynku.

— Moja żona? — zawołał Kundrat, rumieniąc się, jak burak. — Anoż dopiero co tańcowała w drugiej komnacie.

— Może jeszcze i teraz tańcuje, jeno nie tutaj w ratuszu — rzekł Sztecher i odwrócił się do niego plecyma.

Kundrat skoczył pomiędzy tańcujących, ażeby żony poszukać, bo przecież Sztecherowi nie wierzył. Ale w głębi swojego serca i Pachnie nie wierzył — i niezmiernie się tem zniepokoił. Wprawdzie, według jego przekonań, *adulterium* po ślubie nie było zbrodnią tak monstrualnie niezwykłą, jak

przed ślubem, — ale niechby się to stało komu innemu, nie jemu. Kundrat biegał, jak raca, po wszystkich komnatach, roztrącał ludzi, we wszystkie kąty zaglądał, niektórych nawet zapytywał o żonę — ale wszystko napróżno: „Pachny niet". — Czekajcie szelmy! — mówił do siebie, sapiąc, jak miech. — Jak was złapię, obaczycie, jaką kurtę wam skroję! Przecie mam prawo za sobą!

I, to mówiąc, wypadł, jak strzała, do sieni, zabębnił nogami po schodach, jak gdyby mu kto na pierwszym schodzie dał butem kowanym w krzyż pacierzowy, przeleciał przez sień na dole i wybiegł na rynek; ale tam stanął. Na rynku było ciemno, jak w garnku, a rynek miał cztery rogi; djabeł sam wie, w którą stronę za nimi uderzyć. Trudnoż miał lecieć naoślep w Lwów. Tak stał, właśnie, jak gdyby mu kto oczy zawiązał — i stał, nie, jak posąg zazdrości, ale, jak głupi Kundrat, który znów wpadł w rycerską połapkę; kipiało w nim wewnątrz, jak w kotle, gniewał się okrutnie, zaciskał pięście przeciwko całemu rycerstwu, ale pięście bezsilne, jak zawsze...

Bal na ratuszu trwał prawie do rana, bo król się bawił wybornie i dopiero, kiedy świt w okna uderzył, wyszedł, odprowadzony pieszo przez całe rycerstwo na Niski zamek.

Nazajutrz był równie świetny festyn na zamku, który dla państwa młodych wydał kasztelan, trzeciego dnia wielki obiad u arcybiskupa, a tańce znowu w ratuszu — i tak się te festyny miały przedłużać przez cały tydzień, jak było wówczas zwyczajem. Ale czwartego dnia nadbiegły do Lwowa, natenczas wprawdzie jeszcze dość głuche ale tak niesłychane i tak przerażające wieści

o Wilczku i zamku tustańskim, że wszystkich zmroziły; król zasmucony zakazał dalszych rozrywek i sam zaraz do Krakowa wyjechał i Gniewoszowie także natychmiast wyjechali na Czorsztyn.

Odtąd tam zamieszkali. A tak Formoza i Gniewosz, oboje zawsze rozumni, roztropni i zacni, chociaż musieli przejść przez tak ciężkie próby i doświadczenia, że nieraz im przyszło o swojej lepszej przyszłości rozpaczać i losy swe poruczać samemu Bogu, przecież nakoniec ziścili swoje najdroższe nadzieje i odtąd żyli długo w dostatkach, spokoju i szczęściu, w błogosławieństwie bożem i w wielkiem poszanowaniu u ludzi.

Kiedy Ofkę znaleziono, leżącą prawie bez duszy przy drodze na śniegu, i za przewodem Włostka zawieziono razem z dzieckiem do Drohobyczy, poczciwy ten parobeczek zajął się jak najgorliwiej, a nawet i z poświęceniem, wyszukaniem dla niej jakiegokolwiek przytułku. Kochał on ją bowiem miłością ślepą i bez pamięci, kiedy rozumiał, że jest grzeczną dziewczyną, jak inne; lecz, obaczywszy ją w takiem nieszczęściu, w jakiem ledwie nie wszyscy ludzie odmawiają kobiecie swojej litości, dlatego jej wcale nie znienawidził. Owszem, przeklinając w duszy tych, co ją w taką poniewierkę rzucili, ją miał zawsze za niewinną ofiarę, a że była tak bardzo nieszczęśliwą, może przylgnął do niej jeszcze daleko więcej, niż przedtem.

Albowiem prosty ten chłopak, taki sam dotąd,

jak go Bóg stworzył, a chrześcijańscy rodzice wychowali w miłości bliźniego, miał wielkie serce dla ludzi, szedł drogą prawdy i poczciwości, nie znał ani próżności, ani też zawiści, a już dla nieszczęśliwych to gotówby był zdjąć ostatnią koszulę ze siebie. Prawdziwy hucuł pokucki, niewielkie miał poszanowanie dla cudzej, a zwłaszcza dla pańskiej własności, czuł ciężko niewolę, a o wolności miał swoje rodzime wyobrażenia, z powymyślanemi przez ludzi uczonych prawami niebardzo zgodne; gdyby mu jaki człek wolny z Czernohory był przemówił do serca, to gotów był wziąć zaraz siekierę do ręki i pójść za nim do lasu; ale na widok biednego łez swoich w oczach powstrzymać nie umiał i gdyby miał tylko jeden bochenek chleba w torbie, toby go oddał chrześcijaninowi i rad sam głodem przymarł za niego. A cóż dopiero dla Ofki, tej nieszczęśliwej ofiary starościńskiej rozpusty! Ej, gdyby nie Ramułt ze swojem okiem świdrowatem, co człowiekowi patrzy na samo dno jego sumienia, gdyby nie rygor na zamku taki nielitościwy, jak na tureckich galarach, gdyby nie pop, coby nigdy nie odpuścił zabójstwa... to byłby może już dawno swoją siekierą staroście za Ofkę zapłacił. Ale jeszcze i tak dzban nosi wodę do czasu.

Niełatwo było Włostkowi śród nocy znaleźć przytułek dla Ofki. Albowiem najprzód musiał niejako uciec od pocztu swojego pana, ażeby przy niej pozostać. Co na to powie starosta? Może go zaraz ściąć za to, bo i o to u niego nietrudno. Ale niech go już zetnie, — przecie dlatego Ofki on nie opuści. Potem, ci głupi ludzie są tak nielitościwi — zaczną pytać: „Kto? Skąd? Jaka kobieta i jakie dziecko?“ Zaczem jedni z obawy przed starosta,

a drudzy może, nie chcąc z Biłowusem zadzierać, zamkną mu drzwi przed nosem. A wreszcie nie miał pieniędzy. Kilkanaście szerokich groszy w skórzanym pasie — to wszystko. Ale miłość podnosi odwagę, a czystej chęci poświęcenia się rozum przyświeca.

Ktoby mi Ofkę obraził — powiadał Włostek — temu łeb rozszczypię toporem, cały mój pas dla niej wypaproszę, a kiedy to nie wystarczy, to przecie każdy wie, że w Synowódzku u mego ojca są beczułki ze srebrem w piwnicy, a jam jedynakiem u niego, to mi też i nieużyty człowiek zawierzy. Uzbrojony w taką determinację, uprosił sobie u swych towarzyszy, że mu tymczasem pilnowali Ofki i dziecka, a sam poszedł szukać gospody.

I znalazł niebawem, boć dobrych ludzi na świecie nie braknie. Znalazł zacnego przedmieszczanina i przedmieszczankę, którzy do swego własnego dworku przyjęli Ofkę wraz z dzieckiem i obiecali pielęgnować ją u siebie, jak własną córkę, lecz mu zapowiedzieli, że ją udadzą za swoją krewną i nikt nie ma wiedzieć, że to jest dziewka starego Biłowusa z Tustania.

Zaczem Włostek, uszczęśliwiony, jak każdy, co spełnił poczciwy uczynek, odjechał nazajutrz z innymi żołnierzami na zamek starosty.

Tak Ofce dosyć dobrze się działo u tych zacnych przedmieszczan i sekret się utrzymał przez całą wiosnę i lato. Włostek się czasem wymykał z zamku, bardzo rzadko, bo do Drohobyczy było daleko, ale przecie choć raz na miesiąc i Ofkę odwiedzał.

Ofka się pomału uspokoiła, a nawet i wypiękniała nad podziw. Z ledwie co dorosłej, deli-

katnej i wiotkiej dziewczyny zrobiła się teraz urodziwa kobieta, zawsze jeszcze młodziutka i więcej wysmukła, niżeli silna, ale przecie zmężniała znacznie, krew w niej się odżywiła, na białą twarz wystąpiły żywe i zdrowe rumieńce i zgoła wyglądała tak cudnie, że mogła znowu zaprószyć serce jakiemu staroście; tylko w jej oczach żałośny przebijał się smutek, a często także i ciężki smutek się odzywał w jej głosie.

Włostek, choć sam zazwyczaj nie wiedział, co mówi, kiedy obok niej na przyźbie siedział, starał się ją pocieszać, mówiąc, że, co najgorsze, to się już przebyło, a Pan Bóg łaskaw, jeszcze to wszystko obróci na dobre. Oświadczeń jej żadnych nie robił, bo jakoś tak dziwnie z nim się zrobiło, że wprawdzie ją kochał do niepamięci, czuł, że ją kocha, boć wiedział, że jest najszczęśliwszym, kiedy ją widzi przed sobą, ale o tej swojej miłości wcale nie myślał, jak inni; raz mu tak było, jak gdyby, siedząc około niej, był jak w kościele, gdzie grzech śmiertelny słowo nieświęte wymówić, to znów mu się zdało, choć także nie wiedział dlaczego, że Ofka już dziś nie jest z tych kobiet, co zamąż idą. On wtedy miał tylko jedno świadome uczucie, to, że nieszczęśliwe stworzenie boże wyratował z nieszczęścia, że spełnił zacny uczynek i ten uczynek go tem większą napełnia radością, im częściej to boże stworzenie widuje nasycone, ubrane i spokojne.

Co Ofka o nim myślała, to tylko samemu Bogu mogło być wiadomo, bo ona sama nigdy się nad tem nie zastanawiała. Że mu była wdzięczną, to pewna, bo, ile razy się zjawił, zawsze go bardzo radośnie witała i serdecznie pragnęła, ażeby jak

najdłużej zabawił, a kiedy go długo nie było, bardzo za nim tęskniła i nieraz całemi godzinami wysiadywała na przyźbie, patrząc jak najdalej sięgającemi oczami wzdłuż drogą, która wiodła z Tustania. Ale chociaż często o nim myślała, to jednak nigdy w ten sposób, jakoby to mógł być mąż dla niej. Albowiem najprzód, sama wcale nie przypuszczała, ażeby jeszcze kiedy mogła pójść zamąż; w pokorze, pochodzącej ze świadomości swej winy, miała to niewyrozumowane, ale naturalne uczucie, że z nią nikt się ożenić nie zechce, jeżeli zaś kiedykolwiek w ogólności myślała o mężach, to mimowoli przypominał się jej piękny, wyniosły i w swojem obejściu wykwintny Wilczek, a za nim śnili jej się sami rycerze, w błyszczących pancerzach i hełmach z piórami. Ale to tylko sny były. Jeżeli zaś czego swojem żywem sercem pragnęła, to tylko pogodzenia się z ojcem, przeciwko któremu czuła się winną, a wina ta była wielkim i nieustającym ciężarem na jej sumieniu. Niechby nigdy zamąż nie poszła, niechby jej tylko ojciec przebaczył, niechby ją wziął nazad do siebie, ażeby mogła żyć przy nim i dziecko swoje wychować, — to było najwyższe szczęście, o jakiem marzyła. Ale to nigdy się stać nie może. Ojciec się jej zaparł na zawsze, nawet Tymko, jej brat, o niej zapomniał i nigdy o nią nie spytał. Włostek dla niej bardzo wiele zrobił, za to go też czci i szanuje, jak swego anioła-stróża i wdzięczną mu będzie do śmierci; ale Włostek więcej dla niej uczynić nie może. Jakim sposobem on mógłby jej ojca przebłagać, on, który jest tylko knechtem drugiego rzędu, bo, chociaż syn kniazia, przecież nie jest szlachcicem? Jej ojciec nawet i dawniej wszyst-

kich knechtów miał za nic, a cóż dopiero teraz, kiedy tak wielkie pozdobywał bogactwa!... Zaczem smutna jej dola i bez żadnej nadziei, a już to będzie wielkie szczęście dla niej, jeżeli Pan Bóg jej da znaleźć taką służbę dla siebie, gdzieby jej pozwolono dziecko zachować przy sobie.

Takie rozmowy toczyły się czasem pomiędzy nią i Włostkiem, lecz bardzo rzadko, bo oboje ich unikali; ona, bo nie chciała tego dobrego człowieka swojemi smutkami napawać, on, bo się czuł bezsilnym i biednym, i Bogu dziękował za to, że ze swojej lafy i zapomogi swojego ojca mógł tyle oszczędzić, aby opłacić jej wyżywienie.

Tymczasem w lecie nielitościwy los uderzył w nich nowem nieszczęściem.

Tatarzy na Drohobycz napadli, miasto złupili i spalili doszczętu, a mieszkańców w wielkiej części wymordowali, albo uprowadzili w niewolę.

Rozbójnicy ci napadli także na dworek jej gospodarzy, oboje staruszków nielitościwie zamordowali, jej dziecko porwali z łóżeczka i, wziąwszy za nogi, główkę mu roztrzaskali o ścianę — a potem dom podpalili...

Ofka, zerwawszy się z łóżka na pierwsze larum i skrywszy się za wielką skrzynię, która na kobylicach stała opodal od ściany, na wszystkie te okrucieństwa patrzała. Tatarzy, rozbiwszy skrzynię, zakryli ją wiekiem, i dlatego jej nie dostrzegli. Gdyby ją byli dojrzeli, byliby ją wzięli, jako snop zboża, bo ze strachu i zgryzoty zmysły się jej zamąciły; widziała tylko osłupiałemi oczyma straszliwe postacie tych zbójców, w wywróconych baranich kożuchach i czapkach spiczastych, z ogorzałemi twarzami i wyszczerzonemi białemi zębami;

widziała trupy obojga staruszków, leżące na ziemi, widziała czerwoną krew swego dziecka na białej ścianie i czuła, że jego ciałko roztrzaskane gdzieś tam leży na ziemi pod tą skrwawioną ścianą... Potem Tatarzy zniknęli, jak duchy nocne na pianie koguta — a ją mdłości opanowały i całkiem pamięć straciła.

Dopiero, kiedy Tatarzy dom podpalili, a płomienne języki zaczęły się wdzierać przez okna rozbite do izby, lizać podłogę i pułap, i chwytać drewniane sprzęty w swoje piekielne objęcia, gorąco ją obudziło. Zerwała się i, uciekając z tej paszczy ognistej, rzuciła się ku tylnym drzwiczkom alkierza, przez które dostała się w ogród, a potem już ogrodami biegła bez pamięci ku lasom, które szerokiemi smugami ciągnęły się od Drohobyczy ku miastu Tustaniu. Noc była ciemna, bez gwiazd i księżyca, ale jej drogę oświecał pożar miasta, które, jak wielka misa, napełniona smolnem łuczywem, za jej plecyma gorzało; nad płomieniami czarne podnosiły się dymy, a ich swąd aż ku lasom dochodził, swąd przeraźliwy, bo czuć w nim było odor gorejących ciał ludzkich...

Uciekając jak najdalej od tego piekła, które sobie dzikość człowieka sama zapala na ziemi, dobiegła nocą na najwyższy grzbiet wzgórzy, ciągnących się pomiędzy Drohobyczem a Tustaniem. Sama nie wiedziała, skąd się w niej tyle sił wzięło, ażeby pieszo i boso ujść taki ogromny kęs drogi; ale to strach i zgroza i każdemu człowiekowi wrodzony popęd ratowania swojego życia, potroiły jej siły.

Kiedy świtać zaczęło, obaczyła z całego Drohobycza tylko kościół, stojący pośród dymiących

się zgliszczów, a za Drohobyczem podnosiły się słupy dymów nad gorejącemi wioskami. Od strony Tustania cisza i spokój, jak zwykle. Tulko tu i ówdzie widać było małe oddziały zbrojnych na koniach, które się snuły po wzgórzach, błyszcząc dobytemi mieczami i pancerzami do słońca. Były to hufce Wilczka, które strzegły granic jego starostwa. Jakoż istotnie Tatarzy, jak się nie pokusili o jego zamek, tak i nie tknęli żadnej z wiosek, które do jego jurysdykcji należały. Zdaje się, że Wilczek ich do tego respektu zniewolił zawczasu, bo tu i ówdzie przy kopcach granicznych, mianowicie od strony Stryja, było widać zdaleka powbijane słupy, a na nich pozawieszanych Tatarów. Wilczek już na parę dni przed tem wyprawiał forpoczty w te strony i kazał chwytać języków — a jakiegokolwiek Tatara chwycono, zaraz go zawieszano na granicy starostwa. Zaczem chanowie postanowili raczej temu staroście dać pokój.

Ofka przepędziła cały dzień w lesie, ratując się jagodami od głodu i nie wiedząc, co ma począć ze sobą. Zapomniała o wszystkiem, nie myślała nawet o dziecku straconem, bo musiała myśleć o sobie. Świat ten nieraz bardzo jest brzydki, a ciężar życia staje się czasem wcale nieznośnym, ale to tylko dla tych, co młodość przeżyli: młodemu życie zdaje się lekkie, a świat zawsze tak piękny, choć czasem łzami zalany. Gdyby który z tych hufców się do niej przybliżył i wziął ją w swoją opiekę... Gdyby Włostek się jakim cudem dowiedział, że ona tu jest, pewnieby zaraz do niej przyleciał... Ale trudno się tego spodziewać. Ofka jeszcze jednę noc przepędziła w lesie.

A nazajutrz znowu to samo; hufce daleko,

Włostek nie może wiedzieć, że ona żyje, — miasteczko Tustań widać, jakby na dłoni, ale do kogo tam iść? Wszyscy ją znają, wszyscy wiedzą, jaką niesławę przyniosła sobie i ojcu, każdy za drzwi ją wypchnie i jeszcze nogą potrąci... Ale co robić? Cóżkolwiekbądź, przecież wciąż w lesie mieszkać nie może, ażeby umarła z głodu, albo ażeby ją dzikie zwierzęta pożarły.

Ofka rozmyślała nad tem bardzo mozolnie. W mieście Tustaniu są dobrzy ludzie, sama ich znała tak wielu. Dzisiajby jej może to zapomnieli, że niegdyś, jako panna Biłowusówna, nosiła głowę wysoko, możeby jej przebaczyli jej winę, bo przecie ludzkie w nich serce, a ona teraz tak jest nieszczęśliwą? Ale cóż, kiedy wszyscy boją się jej ojca. Niktby jej nie wziął do siebie, wiedząc dobrze, że ojciec ją wyklął i sam z domu wypędził. Jeden człowiek, co się jej ojca nie boi, to stary Daszkiewicz. Ba, gdyby Daszkiewicz chciał ująć się za nią, to w całem mieście niktby nie śmiał mruknąć na nią, a nawet i ojciec musiałby zmilczeć, taka tam wielka jest u niego powaga. Ale Daszkiewicz to wielki pan, w obyczajach bardzo surowy, najmniejszej swawoli w mieście nie cierpi, a jeszcze do tego i córki ma w domu. Daszkiewicz pierwszy mnie za drzwi wyrzuci... a potem co? Wyrzuci, nie wyrzuci — mówiła sobie Ofka — i sama nie wiedziała, co myśleć. Ale jak strach dodaje siły, tak nieszczęście podwaja odwagę: Ofka rozbudziła w sobie odwagę i poszła do miasta.

Nieszczęśliwa sierota wyglądała wówczas nie lepiej, jak jakakolwiek żebraczka: bosa, na zmiętej i obrukanej koszulce miała tylko perkalową

i równie obrukaną spódnicę, a na plecach starą chustkę wełnianą, pierwszą lepszą, co w ucieczce jej wpadła pod rękę. Bogate i nader piękne jej jasne włosy spadały jej w wielkim nieładzie na ramiona i plecy, zarzuciła na głowę tę starą chustkę spłowiałą, zakryła nią twarz do połowy, aby nikt jej nie poznał, i tak się wśliznęła zaułkami przed dom Daszkiewicza.

Właśnie słońce się miało ku zachodowi.

Daszkiewicz, jako wójt, dbały o bezpieczeństwo swojego miasta, miał teraz bardzo wiele roboty. Chmura tatarska, dzięki sprężystej zapobiegliwości Wilczka, któremu mieszczanie, uzbroiwszy się, także dzielnie pomogli, wprawdzie ominęła miasto, ale jeszcze ta chmura mogła powrócić — a tymczasem wiele ludzi, równie jak Ofka, uciekło z drohobyckiego pożaru i niemal wszyscy, wychyliwszy się ze swoich leśnych kryjówek, chronili się do Tustania, wiedząc dobrze, że to miasto bogate, a jego mieszkańcy pełni ludzkości, ba, i znani stąd szeroko po kraju, chętnie ich przez czas jakiś przeżywią. Daszkiewicz, pomimo swojej powagi i wieku, nieleniwy do pracy, sam tych nieszczęśliwych przyjmował, wypytywał się o ród i rzemiosło, aby się jaki złodziej przy nich nie przekradł, i sam ich tym i owym mieszczanom poruczał w opiekę, odsyłając co pośledniejszych do ratusza, gdzie ich w kordegardzie mieszczono i na koszt miasta żywiono. Właśnie cała kupa takich biedaków z przed jego domu do ratusza odeszła, Daszkiewicz stał w progu, patrzał za nimi i ocierał chustką kroplisty pot z swojej zarumienionej łysiny, kiedy Ofka w swoich łachmanach przed nim stanęła i, drżąc

na całem ciele, a zakrywając twarz swemi bogatemi włosami, nisko mu się pokłoniła.

Daszkiewicz spojrzał na nią i rzekł:

— Ot, jeszcze jedna sierota. Skądżeś ty? Z Drohobyczy?

Ale Ofce tymczasem łzy się rzuciły do oczu i głos jej zalały, tak, że tylko wyłkała:

— Z Drohobyczy...

Wszakże te łzy zacnego Daszkiewicza wzruszyły, przybliżył się do niej, zajrzał jej w twarz i zapytał:

— Któż ty jesteś, biedna dziecino? Bo mi się zdaje, jakobym cię już raz widział.

A wtedy Ofka rzuciła się przed nim na kolana i powiedziała przez łzy:

— Ja jestem Ofka, córka Biłowusowa.

Na to Daszkiewicz cofnął się od niej i podniósł obydwie ręce do góry. Ale się zaraz znowu do niej przybliżył, podniósł ją własnemi rękami z kolan i rzekł głosem, pełnym ojcowskiej dobroci:

— No, toż ty musiałaś się niemało biedy nacierpieć, kiedyś aż zeszła na takie łachmany! Powiedzże mi, cóż to się z tobą działo przez te wszystkie czasy?

Ale Ofka płakała, zatulając się chustką i nie mogąc głosu wydobyć z siebie. Więc poczciwy Daszkiewicz ją miłościwie utulił, mówiąc:

— Nie płaczże już, bo ci się tu nic złego nie stanie. Wiem ja, bo i wszyscy to wiedzą, coś ty za przewodem tej zdradliwej Maruchy pobroiła z starostą. Bardzoś to niedobrze zrobiła i nie wiem, jak się tam o to rozrachujesz z Panem Bogiem. Ale mnie nic do tego. Ja człowiek, mnie ludzi nie spowiadać z ich grzechów, jeżeli innym nie szkodzą;

mnie raczéj koić ludzkie nieszczęścia, bo też i dość ich jest na tym świecie. Powiedzże mnie, jak ojcu, kędyżeś to bywała po te wszystkie czasy?

Więc Ofka na te ludzkie słowa odetchnęła cokolwiek i opowiedziała w krótkości, co się z nią działo aż do napadu Tatarów.

Zaczem Daszkiewicz spytał:

— A kędyż dziecko?

Ofka mu powiedziała, że je Tatarzy roztrzaskali o ścianę i znowu się rozpłakała.

Więc Daszkiewicz bardzo się nad nią litował, ale się także i gorszył, bo rzekł:

— Owóż to taka tych naszych panów robota! Zbałamucić niewinną dziewczynę, a potem porzucić, już to samo jest wielki występek, coby go ludzie karać powinni, choćby się największemu panu wydarzył. Nuż jeszcze swoją własną krew na taką poniewierkę puszczają — nie wiem też, czy kara boska za to nie będzie...

Potem mądry Daszkiewicz zastanowił się trochę i spytał:

— A powiedzże mi, czy nie myślisz ty upominać się u starosty o krzywdę?

A Ofka na to:

— Dawnom mu zapomniała. Niech też i Pan Bóg mu nie pamięta...

— Więc tak dobrze — rzecze uspokojony Daszkiewicz. — Głupi ten, co z mocniejszym się bierze do wojny. Za swoją krzywdę jeszcze i po łbie dostanie, a sprawiedliwości nie znajdzie, jak to ja zawsze Kundratowi powiadam. A powiedzże mi jeszcze, cóż to tam Włostek? Jeśli tobie pomagał, zali też to było poczciwie?

— Włostek się ze mną obchodził, jak ze świętą

— odpowiedziała mu jasnym głosem Ofka — nawet i nie wiem, dlaczego się tak mną opiekował, jak siostrą.

— Bo to jest poczciwy parobek — rzecze Daszkiewicz — bezmała nie najlepszy ze wszystkich starościńskich żołnierzy. Więc dobrze, więc się to jakoś ugładzi, więc ja ciebie przytulę, ano nie wiem jeszcze, do kogobym cię miał dać w gospodę, aby ci dobrze tam było.

Wszelako na to Ofka złożyła przed nim ręce, jak do pacierza, i zawołała:

— Święty panie Daszkiewicz! Niemasz tu w całem mieście takiej gospody, z którejby mnie mój ojciec nie wydobył, choćby ją miał łucznikami oblegać. A ojciec mój taki na mnie zawzięty, że, jak mnie wywlecze, to pewnie mnie zaraz zabije...

Więc Daszkiewicz patrzał na nią i myślał, a potem rzekł:

— Jużci zbutniał od tej ostatniej wojny, to prawda, że już niema pana nad niego. Ale domy mieszczańskie łucznikami oblegać... to znów co innego. Kiedyby się na to poważył, tobym go kazał wziąć, jak barana, i wrzucić do turmy, a kiedyby na to przyszło, to i łeb uciąć na klocu, bom ja tu panem, nie on i nie kto inny, a starostaby mój urtel na niego obydwiema rękami podpisał. To tam strachy na lachy te napadania z łucznikami na mieszczan. Ale mógłby hałaburdy wyprawiać... a tego nam nie potrzeba. Więc tedy... więc ja cię tymczasem u siebie przytulę, a tu pan Biłowus i do okna nie zajrzy, jeśli mu nie pozwolę, chyba, że pod oknami zaszczeka.

Więc zaraz wziął Ofkę ze sobą i zaprowadził do izby.

Ofka była niezmiernie uradowana, już jakby pół nieba otworzyło się przed nią; jeno jeszcze się obawiała, jak ją przyjmie pani Daszkiewiczowa i jej dzieweczki, ją, która niegdyś pierwszą była pomiędzy miejskiemi pannami, a teraz ciężką winą obładowana i prawie w łachmanach.

Ale tam cały dom był taki ludzki i taki poczciwy, że chyba ich wszystkich jeno do ran było przykładać. Daszkiewiczowa spłakała się nad jej nieszczęściem, jak matka nad własnem dzieckiem, a jej dzieweczki wzięły ją zaraz pomiędzy siebie, zaprowadziły na pięterko do swoich izdebek, dały jej bielizny, obuwia i sukien na wybór, jeszcze i wyprzedzały się wzajem, która ma jej pierwsza usłużyć. Toż na wyścigi ją pocieszały, mówiąc:

— Nie gryźże się już twojem nieszczęściem. Mogło się to i drugiej wydarzyć: taki to straszny pan ten starosta — a potem, wszyscy to mówią, że czary rzuca na biedne dziewczęta. Chybaby kamienne miał serce, ktoby cię za to przeklinał. Zostaniesz tu u nas, będziemy cię kochać i pielęgnować, jak siostrę, a już cię stąd nie puścimy, aż póki się nie pogodzisz z ojcem.

Więc Ofce bardzo się lekko zrobiło na sercu — i żyła u nich spokojnie, kryjąc się przed ojcem i niewiele pokazując się ludziom. W mały czas wszyscy też w domu Daszkiewicza bardzo ją polubili, bo była cichą i pracowitą i uprzejmą dla wszystkich: w dzień bardzo misterne hafty robiła dla swych opiekunek, a wieczorami opowiadała im dziwnie piękne bajki, których ją niegdyś nauczyła Marucha, i zgoła każdemu umiała się czemsiś przysłużyć. Jakoż zdawało się wszystkim, że jest wcale

szczęśliwą, bo nikt nigdy jej smutku nie widział na twarzy.

Ale tak przecie nie było, bo ona ze swym smutkiem tylko się kryła. Nieraz, kiedy się mogła skryć w jakim kąciku, rzewnemi zalewała się łzami: raz, że nie miała żadnej nadziei pogodzenia się z ojcem, co jako grzech nieodpuszczony, nieznośnie ciężyło na jej sumieniu i wobec ludzi było wielkiem dla niej upokorzeniem, a potem, że, choć kniaziówna i córka tak bogatego człowieka, musi żyć u innych ludzi na łasce. Jedyną ulgę w tem znajdowała, że jej się zdawało, że tylko jeden Bóg wie o tem, jak ciężko pod tą zgryzotą wzdychało jej chrześcijańskie sumienie i jak się na to jej miłość własna burzyła.

Ale to jej się tylko tak zdawało. Albowiem już w parę tygodni po jej przybyciu do Daszkiewiczów Biłowus się o niej dowiedział, Bóg nie wie, czego nie wygadywał i całe miasto o tem wiedziało.

Biłowus od czasu wojny na Bukowinie zmienił się prawie do niepoznania. Dumny zawsze na swój ród i znaczenie, bywał dawniej pokornym, a przynajmniej pokorę udawał, bo był od starosty zawisłym i czuł się bezsilnym; lecz na tej wojnie, nałupiwszy cudzych i swoich, stał się przedewszystkiem bogatym — i już to samo wbiło go w taką dumę szaloną, jaka się może zrodzić tylko w głowie głupiego i półdzikiego człowieka.

Powiadano o nim, że z wojny przywiózł beczkę złota i beczkę klejnotów — i musiało być w tem coś prawdy, bo, chociaż był skąpym, i dawniej, kiedy także nie był bez grosza, ledwie jakiego piorunka wypuścił z ręki, teraz niejednokrotnie rzucił hojnie pieniędzmi, a nawet i dzbany stawiał mie-

szczanom, aby się tylko pokazać. Sam mieszkał zawsze na dębie i tylko przyjął dwóch łuczników na służbę, aby mu pilnowali jego fortecy; ale na miejscu spalonej zagrody zaczął murować dwór, wałem i fosą obronny, który zamkiem nazywał, a przytem wyjeżdżał w sąsiedztwa i wsie targował, które były na sprzedaż.

W mieście bywał dość często, ale prawie tylko nato, ażeby ludzi roztrącać i poniewierać. Kiedy bowiem szedł miastem, to trzymał się pod boki, jak pan, nogi podnosił tak wysoko, że mu widać było kowane podeszwy, kto mu z drogi nie uszedł, tego ściągnął nahajem — a kiedy zasiadł w winiarni, to wprawdzie wszystkich traktował, ale też naklął każdemu, mając ich wszystkich za kołtunów, łyczaków, charłaków, co i nie warci przy nim siedzieć na ławie. Najulubieńszym przedmiotem jego rozmowy był Wilczek: łotr, rabuś, rozbójnik, zwodziciel, co ukradł żonę swemu przyjacielowi i zrobił z niej swoją nałożnicę. Nikt tyle Wilczkowi nie szkodził, co nieubłagany i zaciekły na niego Biłowus, bo nawet jeździł po dworach sąsiedzkich i na zamki się wciskał, wymyślał i kłamał niestworzone rzeczy na niego i nigdzie suchej nitki na nim nie zostawił. A kiedy go reflektowano, to się jeszcze tem bardziej wściekał ze złości, wołając spienionemi wargami: — Ja tego rozbójnika, jak psa, kiedyś zabiję — a potem całe jego starostwo zakupię i sam siądę na zamku!

Kiedy się o tem dowiedział, że Ofka znalazła przytułek u Daszkiewicza, zrazu się wściekał na niego ze złości, tłukł szklanki w winiarni i wołał, że Daszkiewicz mu na złość to zrobił, ażeby całe miasto widziało na własne oczy tę hańbę, którą mu

córka zrobiła. Wtedy czasem sam pod jego okna podchodził i klął na niego ostatniemi słowami, wołając zdala: — Ej, ty, Daszkiewicz, psi synu, nie graj ty ze mną, bo ja ci którego dnia twoją niedźwiedzią budę rozwalę i spalę, jak kupę łuczywa! Oddaj mi córkę, abym ją zabił, jak sukę, za hańbę mojego imienia. Oddaj mi tego starościca bękarta, abym go roztrzaskał o węgieł ratusza, a jego trupa powłóczył po mieście!

Kiedy usłyszano głos jego na rynku, poczciwe dzieweczki uprowadzały Ofkę pod jakimkolwiek pretekstem w tył domu albo też do ogrodu za domem, ażeby nie słyszała tych przekleństw — a Daszkiewicz uszy sobie zatykał i bardzo się smucił, ale mówił do siebie: — Mógłbym ja jemu zamknąć tę wściekłą paszczękę, ale tem jeszcze większej narobię publiki.

Wszelako zczasem Biłowus się dowiedział, że dziecko zostało przez Tatarów zabite, a Ofka jest sama — a to go umitygowało cokolwiek. Już wtedy nie chodził pod dom Daszkiewicza, już nie przeklinał, ale kiedy się upił w winiarni, to czasem płakał, jak dziecko, potem znowu się niecierpliwił i włosy sobie darł z głowy i wołał: — Ej, ty starosto! Przecie ja ciebie zabiję i, jak psa, na płocie powieszę! — Ludziom, którzy go tak rozpaczającego widywali, zdawało się, że go szatan opętał i już chyba nie umrze, póki nie zabije starosty. Drudzy wszakże go pocieszali, mówiąc, ażeby nie rozpaczał: chodzą takie nieszczęścia po ludziach. Ofka bardzo kształtna dziewczyna, zdarzy się mąż i wszystko to się załagodzi. — Ba, — wołał Biłowus — gdyby ją kto wziął, dałbym mu czapkę złotych węgierskich, dałbym mu jeszcze jaką wio-

szczynę, bo dla Tymka zamek buduję, ale kto weźmie takiego łacha, co sobie nim gębę ucierał starosta? — A kiedy czasem w niego wmówiono, że się mąż znajdzie, to wtedy całkiem się zmieniał, opierał się plecyma o ścianę, nogi rozkładał szeroko i mówił: — Ale ja nie dam jej lada komu, bo to przecie Biłowusówna! Tak dziwnie się w głowie tego człowieka ze sobą kłębiły: nieubłagana nienawiść do Wilczka, głęboki żal i chęć zemsty nad córką, jakaś szczypta miłości ojcowskiej i wypiętrzona duma rodowa — i nigdy nie można było przewidzieć, co z niego wyskoczy.

Przez ten czas Włostek bardzo rzadko bywał u Daszkiewiczów. Przybiegł czasem wieczorem, przypatrzył się Ofce, trącił ją w łokieć z uciechy, że tak pięknie wygląda i tak dobrze jest opatrzoną, zagrał na teorbanie, zaśpiewał jednę piosnkę i drugą i znikał, nie powiadając nigdy, kiedy znów przyjdzie.

Daszkiewicz byłby go chętnie częściej widywał w swym domu, bo go lubił, znał jego ojca jako zamożnego i rozsądnego człowieka, z którym możnaby się porozumieć, zaczem mu się zdawało, że możeby się tu dało ułożyć małżeństwo; ale Włostek, mimo najlepszej chęci, nie mógł częściej przychodzić.

Były to bowiem czasy wojenne — służba była zawsze twarda u Wilczka, a cóż dopiero wśród wojny. Tatarzy i Wołosza jeszcze wciąż grasowali po kraju, Wilczek miał się ciągle na ostrożności: jego hufce patrolowały bezustannie po granicach starostwa, docierały często do Stryja i Żydaczowa, nawet i do Sambora, aby się znosić z hufcami tamtejszych starostw. Wilczek sam nieraz ze swemi

hufcami wyjeżdżał: rzadki to zatem był dzień, gdzie żołnierz mógł się choćby na parę godzin oddalić.

Miasto Tustań stało także przez te wszystkie czasy pod bronią; lada chwila mogło być napadnięte, wszyscy byli zatem niebezpieczeństwem życia zajęci, nikt wtedy się nie żenił, nikt nawet w konkur nie chodził. A ledwie Tatarzy z Wołoszą ustąpili, niebawem Turcy zalali Ruś — a dopiero w zimie ciężkie mrozy zaczęły ich gubić. Natenczas starostowie zaczęli na nich wypadać z swych zamków, bić ich i gonić aż poza granice Rusi. Wilczek razem z innymi wypadał, a gonił dalej, niż inni — a kiedy się już Turków pozbyto, przecie jeszcze nie było bezpieczeństwa przeciw Wołoszy. Tak ta bezustanna, a twarda służba trwała na zamku do samej wiosny.

O wiośnie zdarzyło się to wielkie nieszczęście na zamku, że pani spadła z wieży narożnej i śmierć znalazła w przepaści, a wtedy i służba u Wilczka się tak rozwolniła, że Włostek mógł ledwie nie codzień przybiegać do miasta.

Zaczem dopiero natenczas, mając czas zbliska przypatrzeć się Ofce i widząc, jako jest piękna, jak obraz, a świeża, jakby krew z mlekiem, a do tego taka stateczna, że wszystkie inne dziewczęta wyglądają przy niej jakby jej sługi, krew się w nim naprawdę rozgrzała. Jego miłość przyszła do świadomości i zamieniła się w pożądliwość — a wtedy już mu się zdało, że nie może żyć bez niej i że się musi z nią ożenić. Ale jakby to zrobić? — O ile mu się zdawało, Ofki był pewnym; ale też tyle wszystkiego. Jego ojciec dałby pozwolenie ożenienia się z Biłowusówną, bo to wielka familja, a i po-

sagu nie braknie; ale, jak się dowie, że ta Biłowusówna coś przeskrobała ze starostą, o czem nawet może coś słyszał, to go pewnie za drzwi wyrzuci, gotów jeszcze dać admonicję nahajem. Nuż z drugiej strony stary Biłowus! Jak go zna, tak ani marzyć o tem nie może, żeby dał córkę za knechta. Otóż taki to świat i taki on nędzny jest na tym świecie! Gdzie który inny nie wziąłby może tej dziewki za górę złota, on swoim biednym rozumem nawet nie widzi sposobu, jakby ją dostać...

Ale Włostek, przy biednym rozumie, miał dziką energję, ową energję ruską, co wszystko gwałtem chce zdobyć, wierzy w fatalizm, opiekujący się silną wolą człowieka, lecz przytem posługuje się także chytrością. Więc zamknął oczy na wszystkie przeszkody i powiedział sobie, że musi ją dostać, choćby miał zamordować każdego, co mu stanie na drodze. Ale tymczasem udał się do Daszkiewicza po radę. Daszkiewicz, w swojej niewyczerpanej dobroci serca, przyjął go dobrze i rzekł:

— Już tam twojego ojca, to ja biorę na siebie. Z Biłowusem będziemy mieć perepałki, ale jakoś go uchodzimy. Bądź dobrej myśli! Za trzy, a za cztery tygodnie najdalej będzie wesele.

Jakoż Daszkiewicz zaraz nazajutrz sam do Synowódzka pojechał, a za parę dni z dobrą wiadomością powrócił: ojciec Włostka dał się przekonać, jeno sobie zastrzegł, że sam do Tustania przyjedzie, bo chciałby też przedtem swoją przyszłą synowę obaczyć.

Potem Daszkiewicz wziął się do Biłowusa. U tego niesamowitego człowieka roztrącił się najprzód o jego dziką, a nieświadomą swojej dzikości naturę. Biłowus zaraz na samym wstępie prawie

wściekł się na niego, omało nawet, że go nie ściągnął nahajem, przeklinając go ostatniemi słowami za to, że się miesza w jego domowe sprawy, że jego hańbę, o której już zapomniano, na rynek publiczny wywłóczył, że go chce zgubić, że na jego życie nastaje. Zgoła gadał, jak każdy niepowściągliwy człowiek, co sam sobie winien, a nie umie pohamować swej złości i sam nie wie, na kogo i za co się gniewał. Daszkiewicz wrócił nazajutrz i w dnie następne do niego; Biłowus się trochę miarkował, ale o wydaniu swej córki za Włostka ani słyszeć nie chciał, mówiąc w swej zawziętości:

— Jaka jest, taka jest, ale wiedz o tem, że jej nie dam za knechta, co nie ma nawet własnej chałupy, a jest chłop z chłopów i nigdy niczem nie będzie.

— Więc cóż z nią zrobisz? - pytał Daszkiewicz.

— Oddaj mi córkę! - wołał Biłowus — a wtedy obaczysz.

— Słysz, głupi Biłowus, — powiedział mu zacny Daszkiewicz — ty człek bisnowaty, ja ci córki nie wydam, ażebyś ją skrzywdził. Jam tu wójt na to, ażebym nie dopuszczał występków, kiedy je mogę przewidzieć. Więc to napróżne takie gadanie. A potem, powiedz rozumnie, gdybyś ją miał w swoim domu, to cóżbyś z nią zrobił? Dziewka jest na to, aby szła zamąż — a powiedzże przede mną, jak na spowiedzi, gdzież ty dla twojej dziewki znajdziesz lepszego męża, jak Włostek?

Tu Daszkiewicz go trącił w kolano i dodał:

— Nie bądźże głupi, a bierz, co Bóg daje. Tak się odrazu pozbędziesz tej zmory, co ciebie dusi, a i nam wszystkim niemało cięży na sercu.

A na to Biłowus odwrócił się od niego i mruknął przez zęby.

— Jeszcze ja mam dosyć pieniędzy, abym jej kupił szlachcica na męża.

Słysząc to Daszkiewicz, zniecierpliwił się, wstał, splunął na ziemię i wyszedł z winiarni, a przestępując próg, rzekł półgłosem do siebie:

— Już to szlachectwo pozawracało łby nawet takim chamom, jako ten niedźwiedź, co mieszka na dębie. Zamiast poczciwością, a pracą na dobre imię zarobić, własne dzieckoby zaprzedali, ażeby mogli na swoim domu jaką karmazynową łatę przylepić. Sam Pan Bóg musiałby chyba cud zrobić, jeśliby chciał pomóc takim bydlętom!

I odtąd już on sam zrozpaczył, ażeby mógł tego dzikuna ze spaczonym rozumem na prostą drogę sprowadzić.

Lecz wtedy, właśnie jak promień słońca z chmurnego nieba, spadł Tymko Biłowus na Tustań — i zjawił się w takiej świetności, że wszystkich zadziwił i olśnił.

Tymko, jako potomek kniaziów, miał także swoje ambicje, ale ku ich ziszczeniu szedł drogą uczciwą i prostą. Sponiewierany niegdyś przez ojca, lekceważony przez panów, do których nie mógł się zbliżyć, jak tylko się dostał do Olizara, postanowił sobie służyć mu wiernie i jego łaskę sobie zaskarbić. To mu się też całkowicie udało, bo już pod jego komendą miał rangę sotnika, a jako taki, stanął na równi z niższymi oficerami. Kiedy Olizar zginął, on wszystkie siły wytężył, ażeby jego sotnię, która już wtedy nazywała się pułkiem, utrzymać w kupie, a zarazem i w należności do królewskiego dworu. W czasach wojennych łatwo

mu się to udawało, pobierał żołd i starał się swój pułk pomnożyć, co także nie było trudno w tym czasie, gdzie było tyle żołnierzy bez chleba. Potrafił on nawet kilkakrotnie odznaczyć się odwagą i roztropnością, zwłaszcza w ostatniej pogoni za Turkami, skąd poszło, że już był znany z nazwiska królowi, a jego dwór wojskowy miał go za swego. Natenczas Tymko zapragnął, ażeby go król w spadku po Olizarze zamianował swym pułkownikiem. Ranga pułkownika niewiele wówczas znaczyła, w armji polskiej jej wcale nie znano, utrzymywała się tylko w tradycjach ruskich, w Polsce właściwie nikt nawet nie wiedział, kędy i jakie miejsce przypada pułkownikowi — a nawet i na Rusi pułkownik znaczył tylko tyle, ile człowiek ten znaczył, który się tak tytułował. Mimo to wszakże Tymko napotkał na wielkie trudności: był wprawdzie żołnierzem walecznym i serdecznym chłopakiem, za co go też wszyscy lubili, ale ledwie umiał cokolwiek czytać, a podpisywał się krzyżem św., o jego ruskiem szlachectwie jakoś niewiele ludzie wiedzieli, a wtedy już trzeba było mieć całkiem niezwykłe protekcje, ażeby, nie będąc szlachcicem, dostąpić jakiegokolwiek urzędu. Szło mu zatem, jak z kamienia. Ale kiedy król teraz do Lwowa przyjechał, Tymko wziął Pana Boga na pomoc i sam mu do nóg się rzucił, przedstawiając swoje zasługi, przysięgając na wierność i prosząc o tę zachętę do dalszej wiernej służby koronie i panom. Więc król to wziął pod rozwagę i poradził się z panami, a zwłaszcza tymi, co mieli wielkie posiadłości na Rusi — a ci panowie, pragnąc wraz z królem, ażeby lud ruski garnął się do nich i stawał w obronie granic królestwa, przychylili się za

nim. Tak Tymko został pułkownikiem, otrzymał żołd regularny na trzysta ludzi i koni i wliczon jest w komput żołnierzy królewskich, a na teraz zostawion pod rozkazami wojewody ruskiego we Lwowie.

Dobiwszy się takiej wysokiej rangi z niczego i chcąc się przecie pokazać ojcu i tustańskim mieszczanom, haniebnie buńczuczno i hucznо wjechał na rynek miasteczka. Sam był ubrany w aksamitny kaftan, krojem kozackim ze srebrnemi guzami, i miał pas, srebrem kowany, na biodrach, a na tem burkę kosmatą, czerwonym muzułbasem podbitą, a na srebrną klamrę zapiętą, na głowie kuczmę pilśniową z uszyma, podniesionemi do góry, i z piórem, a u boku szablę, kamieniami sadzoną. Koń pod nim siwo-jabłkowity z długą a cienką grzywą i przystrzyżonemi uszyma, prawie do dzianeta podobny, a za nim trębacz, sześciu kozaków na dobrych koniach i dwóch parobków z jukami. Tak stanął przed ową winiarnią, gdzie przedniejsi mieszczanie zasilali się miodem, i kazał odzew królewski zatrąbić.

Na odgłos trąby wszyscy goście wybiegli, a z nimi i stary Biłowus. Ten zaraz go poznał i zawołał takim wesołym głosem, jakiego dawno już nie słyszano u niego:

— Tymko! Trzysta ci mać!... Ta ty się już na rycerza wyrąbał!

Zaczem wziął się pod boki i śmiał się, a jego twarz błyszczała jasnemi promieniami, jak słońce.

Więc Tymko, posiedziawszy jakie pół pacierza na koniu, ażeby go wszyscy dobrze obejrzeli, zsiadł wreszcie z kulbaki i przystąpił do ojca, aby

go w rękę pocałować; ale ojciec trącił go w ramię kułakiem i rzekł:

— Trzysta ci mać! Czemże ty został, rotmistrzem, albo też starostą? Gadajże więc, jak to było, aby też i ludzie słyszeli.

Tak szli do winiarni, a tam Tymko im opowiedział, jako jest pułkownikiem kozackim, co prawie to samo znaczy, jakby był rotmistrzem królewskim.

Więc Biłowus kazał wina nastawiać w największych dzbanach, traktował wszystkich, choćby kto był najuboższy, i trącał pięścią jednego po drugim, każąc mu patrzeć na Tymka. Spił się też niebawem, jak suseł, a kiedy go Tymko przez rynek prowadził do domu, wszystkie piorunki, a nawet i grosze szerokie, ile ich miał w kieszeni, pomiędzy ubogie ludzie rozrzucił, śmiejąc się z nich pogardliwie, jako się o nie rozbijali pomiędzy sobą.

Nazajutrz, wytrzeźwiwszy się na swoim dębie, kazał Tymkowi jeszcze raz opowiadać, jak się to stało, że się na takiego pana wyrąbał, potem oglądał jego konie, moderunki i ludzi, każdemu z nich co podarował, kazał ich gościć, jak panów u siebie, a Tymka klepał wciąż po ramieniu i śmiał się, mówiąc:

— Przecie ja tobie dębczakiem dobrego rozumu napędził do głowy. Teraz ty pan, a ja już nic. Już teraz i miejskiej komendy po mnie nie weźmiesz i zagrodą pogardzisz, chociażem na niej zamek zmurował dla ciebie. Kogóż tam teraz posadzić?

I tak się też stało, jak Biłowus powiedział i jak w takich wypadkach zazwyczaj się zdarza: nieujeżdżony przez nikogo ojciec zmalał zupełnie przed synem, co się daleko wyżej od niego wydra-

pał, zaparł się nawet samego siebie wobec niego, sam już niczem nie dysponował i już tylko to się dziać miało, co Tymko rozkaże.

Więc Tymko, dowiedziawszy się wszystkiego, co się tymczasem z jego siostrą stało i co teraz się święci, poszedł do Daszkiewicza. Ofce wyrzutów nie robił, bo był z niego człek ludzki i litościwy, ale też z nią niewiele rozmawiał, bo sam za nią się wstydził, że tyle hańby przyniosła jego rodzinie, a ojcu tyle zmartwienia; natomiast wszakże długo, spokojnie, uczciwie i mądrze namawiał się z Daszkiewiczem.

Zaczem Daszkiewicz w kilka dni potem urządził u siebie sutą biesiadę, sprowadził na nią Włostkowego ojca ze Synowódzka, zaprosił Tymka i Biłowusa i Włostka.

Włostek przyprowadził ze sobą kilkunastu starościńskich żołnierzy, samych setnych mołojców, którym stary Kukuć przywodził, a do których się i Kostruban przyczepił, jako to wszędzie umiał się wkręcić i był dosyć lubiony, choć mowę ludzką kaleczył z niemiecka.

Przyszedł pop, porzuciwszy natenczas dratew i szydło, przyszli także niektórzy mieszczanie z żonami i dzieweczkami, bo już wszyscy wiedzieli, że się tam nie obejdzie bez tańców, gdzie też i wszystkich muzykantów spędzono.

Dom Daszkiewicza był wprawdzie drewniany, ale bardzo dostatni. Na górze były izdebki mieszkalne, opatrzone bardzo pięknemi krużgankami, a na dole dwie wielkie świetlice z misternie rzeźbionemi ścianami, na których też dla ozdoby i dla powagi porozwieszano rozmaite tureckie dywdy-

ki i inne makaty, na półkach zaś stały dzbany i misy farfurowe, co wszystko przyzbierało się z czasem z darów nieboszczyka Kijasa.

Jedzono i pito wielką gębą przy dwóch wielkich stołach, a muzyka przygrywała im z kąta.

Pani Daszkiewiczowa, w złotolitym czepcu i z pozłocistym łańcuchem na szyi, i jej dzieweczki usługiwały gościom, przynosząc cąbry baranie, należycie czosnkiem wyszpikowane, i prosięta pieczone, napełnione mamałygą z rodzenkami, i stawiając je przed kawalerami, aby je ćwiertowali, a Daszkiewicz sam, z twarzą, okrytą potem kroplistym, wino i miód z wielkich dzbanów nalewał, zachęcając do picia.

Łechcąca podniebienie woń mięsiw pieczonych i korzenne zapachy starego miodu i wina napełniły izbę; rozweseliły się twarze, głośne śmiechy rozlegały się koło stołów i wszyscy się wybornie bawili; tylko Daszkiewicz i Tymko byli trochę zasumowani i niespokojnemi oczyma spoglądali ku drzwiom, bo Biłowusa jeszcze nie było. A przecie to przedewszystkiem w tym celu dana była ta biesiada, aby go z córką pogodzić...

Dopiero, kiedy już stoły wynosić zaczęto i jeszcze stojący wychylano puhary, Biłowus wszedł bez hałasu do izby. Przyszedł, ale był jakiś nieswój i widać było po nim, że nierad przychodzi.

Patrzał w ziemię, jak gdyby się obawiał spotkać ze wzrokiem swej córki.

Co widząc Daszkiewicz, podbiegł ku niemu, a trzymając właśnie puhar nalany w ręku, podał mu go i rzekł:

— A my już zjedli, a ty dopiero przychodzisz. Napijże się ze mną, ażebyś robaka zatopił.

A Biłowus wtedy się trochę ośmielił i rzekł z udanym uśmiechem na twarzy:

— Już to taka moja natura. Ja do cerkwy a pop błohosławiut, ja do korczmy, a do mene piut.

Więc Daszkiewicz się śmiał i wlał w niego ten puhar.

Biłowus wypił i szedł dalej, ale trzymał się ściany, ledwie, że gospodynią pozdrowił, na córkę ani nie spojrzał i zasiadł zaraz w odległym kącie, gdzie przed nim mały stół postawiono z dzbanami wina. Stary Kukuć z jednej, a pop z drugiej strony się przysiedli do niego i pili, bawiąc się z nim rozmową, jak gdyby sami byli w świetlicy.

Tymczasem muzykanci stanęli pomiędzy oknami, zaczęli grać kołomyjki, a młodzież z dziewczętami poszła w taniec.

Tańcowano wesoło i skocznie, z hołubcami i z prysiudami, i śpiewano przytem pieśni huculskie, bardzo piękne, prawie do krakowiaków podobne, choć czasem cokolwiek rubaszne.

Mykitycha chlib sadżaje,
A Mykita dumku hraje;
Cy ty to, Mykito?
Nie ja to, mij tato.

Potem dalsze zwrotki śpiewano, a jak te prześpiewano, zaczęto inne:

Każut meni kaszu isty,
A ja ne hołoden,
Każut meni babu braty,
A ja diwki hoden.

Mene maty porodyła,
Taj kazała: „Synu,
Luby w noczy mołodycy,
A diwczata w dnynu".

Zaczem śpiewano znów zwrotki inne, o wesołej wdówce:

Wże try dni i try nediły,
Jak moho muża komary zjiły,
A szcze każut lude, szczo ja ne żurusia:
Oj, a ja żurusia, pidu utoplusia,
Utoplu sia nyni, nyni,
W czerwonym wyni.

Ach, hore, hore, zażuryłam sia,
Skrypkami, dudkami, nadsadyłam sia,
Taj szcze każut lude, szczo ja ne żurusia.
Oj, a ja żurusia, pidu uduszusia,
Uduszusia nyni, nyni,
W puchowyj peryni.

Włostek prosił Ofkę do tańca, ale ona nie chciała, jeszcze i ramionami wzruszywszy, odwróciła się od niego.

Włostek, czuły na każde jej spojrzenie, mocno się zasmucił. Serce niespokojnie mu biło, takby był chciał z nią potańcować i co pięknego zaśpiewać, aby też ludzie wiedzieli, jakie są jego zamiary, ale Ofka ani rusz. Głowę spuściła ku ziemi, skubie fartuszek, a czasem z pod oka spogląda na ojca, jak gdyby Włostkowi chciała dać do zrozumienia, jaki robak ją gryzie i komu się powinien o nią oświadczyć, ale zapamiętały Włostek jej nie rozumiał. Owszem jeszcze siadł przy niej i zaczął jej prawić miłosne komplementy.

Już ją trzy razy trącił w łokieć i już jej przysiągł trzy razy, że ją tak kocha, że zarazby dla niej spalił ojcowską chałupę, ale Ofka go wcale nie

słucha i wciąż patrzy w ziemię a skubie fartuszek. Nuż właśnie w tej chwili ktoś zaśpiewał przed muzyką:

Oj, kuje zazułeczka,
Kuje ta wahuje,
Ta chto ide do starosty,
Nechaj si waruje.

Ofce się zdawało, że to do niej ktoś przepił. Spłonęła ponsem, łzy jej w oczach stanęły ze wstydu, odtrąciła Włostka od siebie i odsunęła się prawie o cały krok od niego.

Więc tedy Włostek, który tej piosnki nie słyszał, a gniew miał siarczysty, szczerwieniał cały od złości i oburzenia, porwał pierwszą lepszą dziewczynę do tańca, stanął przed muzyką i zaśpiewał z całego gardła:

Oj, piszow ja do diwczyny,
Diwczyna sia duje,
Ja szepczynu pid paszynu:
Naj ty mat' morduje!

Śpiewanie to wszyscy słyszeli i zrozumieli, więc na to wielki zgiełk i publika. Ci się cieszą złośliwie, ci z Włostka się śmieją, inni patrzą na Ofkę, bo jej nie mogą zrozumieć.

Tymko przyskoczył do Ofki:

— Na miłość Boga, cóżeś zrobiła? Jeżeli Włostka nie chcesz, toż trzeba było to zaraz powiedzieć.

Więc Ofka przyznała się bratu, że Włostka dosyć nawidzi, ale słowa mu nie da, dopóki ojciec się gniewa; jeżeli będzie musiała, to pójdzie z przekleństwem ojca do grobu, ale nie pójdzie z niem na wesele.

Zaczem Tymko wziął ją za rękę i zaprowadził do ojca, a ona mu się do nóg rzuciła.

Nieubłagany Biłowus nie ruszył się z miejsca, oparł się o ścianę i nogi rozłożył przed sobą, co wszystkich bardzo zgorszyło.

Jednak przytomny Tymko zawołał do niego przez głowy wszystkich:

— Bat'ku! Niech tam Bóg karze ludzi, a rzecz ojcowska przebaczyć dziecku i pobłogosławić.

A tymczasem Daszkiewicz pchnął Włostka, ażeby ukląkł przy Ofce.

A kiedy już oboje przy sobie klęczeli, Biłowus się zmiękczył, wstał, pochylił się nad nimi i rzekł:

— Tymko tak każe, najże tak bude.

Tak więc nareszcie odbyły się te zaręczyny.

Zaczem wielki huk się zrobił w świetlicy. Jedni poszli znów w taniec, drudzy pieśni weselne śpiewają, ci piją za zdrowie bądź czyje — a ojciec Włostka przysiadł się do Biłowusa i powiada mu, że rad Włostka wraz z żoną weźmie do siebie, ażeby się przy nim handlu i gospodarstwa nauczył i po nim dziedziczył.

Ojciec Włostka był to mąż wzrostem niewielki, ale haniebnie barczysty, z ogorzałą twarzą o rysach rzymskich, z dużemi czarnemi oczyma, które na żółtawych białkach się obracały, z długiemi czarnemi, mocno wymaszczonemi włosami, w których białe nici się przebijały, i z zawiesistym wąsem nad kształtnie zakrojonemi ustami; miał na sobie kożuszek, barwnemi skórkami i jedwabiami wyhaftowany, i pas szeroki, w posrebrzany mosiądz okuty, a rozmaitemi pieniążkami nabijany. Widać było po nim na pierwszy rzut oka bogatego

hucuła, coby zapewne i niejednego szlachcica zapłacił.

To też Biłowus traktował go z należytym respektem i wypytywał o obszar jego gruntów, o jego chudobę i rozległość handlu, który prowadzi. I zdało się, jakoby się zgadzał, ażeby Włostek służbę porzucił i osiadł z żoną przy ojcu.

We Włostku także się odezwała jego huculska natura; naostatek dobrze mu było wszędzie, ale przecież w Synowódzku najlepiej. Jakoż trącił Ofkę w łokieć z radości i powiadał jej, jak to tam ładnie w tych górach, a drudzy sobie z nią żartowali, mówiąc, aby się wybierała, bo zaraz po weselu z teściem i mężem do Synowódzka pojedzie.

Ale Ofce jakoś to wcale nie było do smaku. Z kniaziówny zejść na chłopską synowę i zakopać się w dalekich Beskidach, na tę samą myśl łzy jej w oczach stawały. Sama się odezwać nie śmiała, ale błagającemi oczyma raz po raz rzucała na Tymka, aż wreszcie zebrała się na odwagę, poszła w taniec z Włostkiem i sama przy muzyce zaśpiewała tę piosnkę:

Jakże ja maju sia wyberaty,
Taj z wami jichaty,
Maju bateńka,
Jak sokołeńka,
Żal mi ho pokidaty!

Kiedy Biłowus tę piosenkę usłyszał, ojcowskie serce się w nim ruszyło, a że zapewne i Tymko jakieś słówko do tego dorzucił, wstał, przystąpił do Ofki, objął ją w swoje ramiona i rzekł:

— Już ja ciebie od siebie nie puszczę, bo Tymko — pan, pójdzie w świat, aby ludziom panować, a mnieby smutno było na stare lata samemu.

Więc te słowa znów wielkim powitano okrzykiem, wypito jeden puhar i drugi, i Ofka poszła znów w taniec.

Ale wtedy już się rozhulała, z wielkiej radości, że jej ojciec przebaczył, serdeczna pustota ją wzięła i tańcowała drobniuteńko, po pańsku.

Wszyscy się jej pańskiemu tańcowi dziwili i patrzali na nią z upodobaniem; tylko pop, chociaż się ledwie trzymał na nogach, patrzał na nią zukosa, pokiwał głową, uśmiechnął się trochę złośliwie, a potem baranim głosem zaśpiewał:

Oj, ne tańciuj oś tak dribno,
Tobi toho ne potribno.

Więc na to śmiech rozgłośny i hałas się podniósł w całej świetlicy, właśnie jak gdyby już dom miał się zawalić. Wszystkim się ten mądry przycinek podobał, bo wszyscy to czuli, że, kiedy Ofka swojego czasu zaczęła po pańsku tańcować, to jej to wcale nie wyszło na dobre. Ale się śmiano z dobrem sercem dla Ofki, jakoż wszyscy się rwali, aby z nią potańcować, z czego poznała, że za przewodem jej ojca wszyscy jej przebaczyli.

Tymczasem w kącie, około Biłowusa i ojca Włostka, naradzano się bardzo poważnie, jakby to małżeństwo postanowić. A wtedy Tymko głos zabrał i powiedział: że Włostek służby na zamku porzucać nie może, bo się to żołnierzowi nie godzi, a nawet i sam starosta pewnieby go nie puścił, ale on jemu ustępuje ojcowskiej zagrody a Biłowus mu ustąpi wszystkich swoich urzędów — a tak wszystkim stanie się zadość, bo Ofka na ojcowiźnie osiędzie, Włostek w znaczeniu postąpi i pew-

ną samoistność uzyska, a stary ojciec będzie mógł sobie przy dzieciach odpocząć.

Tymko tak każe, więc tak ma być, na co się też wszyscy zaraz zgodzili. Zaczem postanowiono, że wesele się zaraz jutro rozpocznie, i ułożono, co się ma dziać którego dnia i o której godzinie, ażeby w niczem nie wykroczyć przeciwko starym zwyczajom.

A kiedy wszystko już ułożono, natenczas Kostruban wystąpił z bardzo ważną uwagą, mówiąc, że weselnicy powinni pójść do starosty po błogosławieństwo, bo przecie wszyscy są jego poddani i nie godziłoby się, gdyby nie poszli z korowajem do swego pana.

Słysząc te słowa, Biłowus się okrutnie oburzył, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Co mi tam starosta! Bodaj go jasne pioruny zabiły! Ja nie pójdę do niego! A jeślibym poszedł, to chyba poto, abym mu łeb toporem rozwalił!

Na to Kostruban się po djabelsku uśmiechnął, wziął Biłowusa za klapę kubraka i rzekł:

— A wy głupi, panie Biłowus!

A potem mu bardzo wymownie dowodził, że trzeba koniecznie iść do starosty, ba, nawet i groził, że starosta, kiedyby się na nich pogniewał, to mógłby im ślubu zakazać.

Tymko się chwiał w swojem zdaniu, nie dlatego, żeby złość swego ojca podzielał, ale z tego powodu, że nie wiedział, jakimby głosem miał do starosty przemówić, któremu on teraz prawie jest równy, a który w swej pańskiej dumie może go zechce traktować, jak chłopa.

Rozważny Daszkiewicz również się wahał i prawie był przeciw temu, podsuwając tę rację, że sta-

rosta jest w świeżej, a ciężkiej żałobie, nawet i nie pokazuje się swoim własnym dworzanom, jest przytem porywczy, gotów kogo obrazić; wszelako nie upierał się przy swoich obawach, a odnosił się z tem do Kukucia, a przedewszystkiem do rady ojców państwa młodych.

Ale Kukuć, wierny sługa starosty, poparł Kostrubana, obstając za powagą i honorem swojego pana i dodawał do tego, że, chociażby starosta weselników nie przyjął, to zawsze trzeba, aby przynajmniej wiedział, że byli u niego. Bardzo mu ten argument pochwalił Kostruban.

Tak ważyły się zdania aż do północy i dłużej, nie mogąc przeważyć szali na żadną stronę.

Z którego to powodu Kostruban, nie mogąc w żaden sposób dopuścić, ażeby taki despekt zrobiono staroście, zwrócił się do popa, a przypomniawszy mu, że każda władza pochodzi od Boga, a zwłaszcza ta władza, co jest kolatorem, zaraz go ujął dla siebie. Zaczem, jeżeli pop jeszcze trochę podpije i język dobrze rozpuści, to może być, że opór Biłowusa przełamie, a wtedy uczyni się zadość wszystkim starym zwyczajom i wesele odbędzie się tak samo, jak je po wszystkie wieki odprawiali ojcowie i dziady.

VI.

OSTATNIE OFIARY.

Kiedy owego fatalnego dnia, podczas gdy Wilczek, siedząc na ganku zamkowego dziedzińca, wydawał swoim ludziom rozporządzenia, co się

ma dziać po folwarkach przez cały czas jego podróży, Jagienka z dzieckiem i z niańką odeszła na wieżę, nikt nie miał najmniejszego przeczucia, ażeby się miało stać jakie nieszczęście. Wszyscy byli tak przyzwyczajeni do tego, że starościna przesiaduje często całe godziny po rozmaitych zamkowych krużgankach, iż nawet nikt nie zwracał na to uwagi. Tylko Wilczek pośpieszył się ze swemi rozporządzeniami, bo chciał jak najprędzej pójść sam za żoną i dzieckiem i spędzić z niemi jaką godzinkę na świeżem powietrzu. Zaczem gdy skończył, wstał ze stołka, kazał sobie podać żelazny toporek, który brał zwykle ze sobą, kiedy się drapał po wieżach i już miał odejść, ale wtem dała się słyszeć trąbka rycerska przed zamkiem, trąba i hasło królewskie.

Hasło królewskie Wilczka niezmiernie zdziwiło, bo starostowie sąsiedni, którzy mieli prawo tego hasła używać, kiedy przyjeżdżali do niego, nigdy nie ogłaszali się trąbą, tylko poprostu kazali zakołatać do bramy. Podejrzliwy Wilczek wpadł na myśl, że może to być jakieś podejście Wołochów, zaczem krzyknął na swoich żołnierzy:

— Nie otwierać bramy! A wleź tam który do bronnego na górę i powiedz mu, aby się dobrze tym gościom przypatrzył i przekonał dowodnie, kto są.

Kilku żołnierzy pobiegło zaraz na wierzch bramy, ale czy to nie znaleźli na niej bronnego, czy też, że go zastali zamroczonego snem śród skwarnego upału, cokolwiek dłużej się zabawili.

Trwało to ze trzy pacierze, albo i więcej. Wilczek swoim zwyczajem zaczął się już niecierpliwić, stukając toporkiem w płyty kamienne i wołając za nimi na bramę, kiedy wtem niańka, zbiegłszy,

jak strzała, z wieży, przypadła ku niemu bez tchu a z rozkrzyżowanemi ramiony, wołając urywanemi słowami:

— Dla Boga! Ratujcie! Pani spadła wraz z dzieckiem z krużganku!

Słysząc to Wilczek, przyskoczył ku niej, szarpnął ją lewą ręką za ramię i zawołał:

— Gdzie, co? Gdzie pani? Mów zaraz!

Niańkę zdjął strach wielkooki, już prawie całkiem oddech straciła; ale jeszcze opowiedziała, jak mogła, że pani stała przy dziuple, ale się wychyliła przez poręcz i spadła w przepaść wraz z dzieckiem.

Natenczas Wilczka przedewszystkiem złość zdjęła okrutna na niańkę, podniósł wgórę toporek, zawołał sinemi usty: — Tak to pilnujesz pani! — ciął ją z wściekłym zamachem zgóry i głowę jej rozszczypał na dwoje. Zakrwawiony mózg z rozłupanej czaszki wyskoczył, niańka padła nieżywa na płyty kamienne, a jej krew zaczęła strumieniem ściekać ze schodów.

Na straszną wiadomość o śmierci pani i na widok takiej okrutnej zbrodni, popełnionej przez pana, piekielny hałas się rozniósł pomiędzy ludźmi, stojącymi w dziedzińcu, i między całą załogą. Płacz, jęki, wołania i zawodzenia kobiet zamkowych zawrzały po wszystkich kątach dziedzińca, wszyscy biegali, jak opętani, a nikt nie wiedział, co robić.

Wilczek, zamordowawszy niańkę, stał przez okamgnienie, jak posąg, na ganku, z zsiniałą twarzą, z obłąkanemi oczyma, trzymając zakrwawiony toporek w prawicy. Wszakże po małej chwilce się zbudził, toporek odrzucił i krzyknął do żołnierzy:

— Zatarasować bramę i nikogo nie wpuszczać!

Potem się chwycił obydwiema rękami za głowę i zawołał:

— Na Boga żywego, cóż się to dzieje!

W tej samej chwili się zerwał i pobiegł sam prędkiemi krokami na wieżę.

Przytomny Ramułt skoczył w też pędy za nim — a chociaż Wilczek pędził bez opamiętania, biorąc drżącemi nogami po dwa i trzy strome schody za jednym krokiem, Ramułt wszystkie siły wytężył, ażeby mu w tym szalonym biegu wyrównać.

Tak wbiegli obydwa na szczyt wieży i stanęli między poręczem krużganku a dziupłem, ale obydwa nie mieli już wcale oddechu w piersiach.

Wilczek, chociaż się ledwie trzymał na nogach, rzuciwszy okiem wewnątrz dziupła i widząc, że Jagienki tam niema, oparł się obydwiema rękami o skalistą poręcz krużganku i spojrzał na dół, ale nic dojrzeć nie mógł, bo tam przepaść tak była głęboka, że nawet dna widać nie było. Już od połowy przepaści, zjeżonej po brzegach sterczącemi skałami i pniami, tylko czarna otchłań ziewała.

Natenczas tylko w głowie mu zaszumiało i równie czarna noc jego umysł objęła; cofnął się instynktowo i oparł się bezwiednie plecyma o ścianę wieży.

Ramułt stał tuż przy nim z nagotowaną prawą ręką przy jego boku, aby go w danym razie podtrzymać, albo uchwycić w swoje ramiona.

Wilczek wyciągnął prawe ramię przed siebie, wskazał niem przez poręcz kamienną na przepaść i rzekł głosem ochrypłym bez dźwięku:

— Tam spadła!

W tym głosie odbiła się cała jego boleść nie-

zmierna, której umysł człowieka ani objąć nie zdoła — i był to głos przerażający, jakim nigdy żywi ludzie nie mówią, a który wydobywa się chyba tylko z piersi umarłych.

Te słowa jednak, zdaje się, że go ocuciły, bo porwał się zaraz tą samą ręką za czoło i tak rozgłośnym wybuchnął płaczem, jak gdyby mu się z dusznego bolu wszystkie wnętrzności rozdarły. Zarazem łzy mu się puściły z oczu i całą twarz mu zalały. Jak długo świat stoi, nikt nigdy takiego żelaznego rycerza tak płaczącego nie widział; były to łzy, w płomieniach najczarniejszej rozpaczy kipiące, a tak obfite, jak powódź wezbranego strumienia, że można było niemi zmyć grzechy całego życia.

W tych łzach Wilczek się cały rozpłynął i widać było po nim, że przytomność całkiem go opuściła.

Ramułta te łzy tak głęboko wzruszyły, że sam się głośno rozpłakał; ale on przytomności nie stracił, wziął Wilczka wpół i wprowadził go wewnątrz dziupła.

Wilczek był w tej chwili jakby zupełnie bezwładny. Wewnątrz dziupła stał stół kamienny na środku, a naokoło ścian stały ławy kamienne. Ramułt go posadził na ławie, Wilczek oparł się obydwoma łokciami o stół, ścisnął głowę obydwiema rękami i płakał.

Wszelako po dłuższej chwili takiego płaczu już mu łez w piersiach nie stało. Oparł się plecyma o ścianę skalistą, patrzał przez chwilę jak gdyby bezwiednemi oczyma na Ramułta i rzekł głosem zbolałym:

— Stamtąd nikt nigdy nie wrócił?

— Panie starosto, — odpowiedział mu Ramułt — daj to Boże, ale ani kosteczki z niej nie znajdziemy. Nie było jeszcze tego człowieka, coby się choć do połowy przepaści tej dostał.

Na to Wilczek zebrał swe siły, wstał, wziął Ramułta za rękę i rzekł:

— Chodź! Każemy jej szukać. Moi żołnierze muszą ją znaleźć. Dam garniec złota temu, który ją znajdzie. Niechbym tylko jej ciało choć jeszcze raz przycisnął do piersi, niechbym jej usta miodowe okrył pocałunkami... Słysz, Ramułt! Ja ją wskrzeszę do życia w moich objęciach! Chodź! Żołnierze ją znajdą.

Ramułt dał mu się prowadzić. Lecz, wiedząc dobrze, że przepaść ta jest bezdenną i że z żadnej strony niemasz do niej przystępu, znając przytem Wilczka, jako jest uparty, niepowściągliwy w swych żądzach, a do tego piekielnie gwałtowny, bał się tego, co się teraz stać może, i starał się go uspokoić, przedstawiając mu, że wszelkie usiłowania pozostaną bez skutku.

Ale Wilczek go wcale nie słuchał.

Tak zeszli na dół.

W dziedzińcu byli zgromadzeni wszyscy zamkowi żołnierze, stali grupami i rozmawiali półgłosem z kobietami z fraucymeru Jagienki, bądź o tym straszliwym wypadku ich pani, bądź o zabitej niańce, której zwłoki jeszcze leżały na schodach, bądź wreszcie o tem, co też teraz pocznie starosta.

Wilczek stanął na ganku i jakoś dziwnie był ożywiony w tej chwili.

Ale najprzód się srodze na żołnierzy rozgniewał, że dotąd jeszcze nie uprzątnęli zwłok niańki,

i naklął im niepowściągliwemi wyrazami za to niedbalstwo. Ramułt nawołał kilku żołnierzy i kazał te zwłoki uprzątnąć.

Zaczem Wilczek stanął na najwyższym schodzie ganku i kazał żołnierzom, ażeby zaraz, w soj czas, zabrali wszystkie drabiny i sznury, jakie się znajdują na zamku, i spuścili się w przepaść, a wynieśli stamtąd trupa Jagienki i dziecka. Wszyscy otrzymają nagrody; kto znajdzie ciała jego żony i dziecka, ten dostanie kiesę złotych węgierskich, a ktoby służby odmówił, tego ściąć każe natychmiast.

Ale żołnierze przyjęli ten rozkaz mruczeniem, a ci i owi odezwali się głośno, że niemasz takiego chrześcijanina w całem starostwie, któryby się chciał spuścić w tę przepaść, gdzie jeszcze nigdy nie stanęła noga żywego człowieka i gdzie mieszkają złe duchy — a zwłaszcza teraz, kiedy noc właśnie zapada i kiedy każdy, kto nie chce, może słyszeć tych duchów jęczenia i wycia.

W samej istocie wtedy słońce już zaszło i zmrok zaczął zapadać.

Na to Wilczek, niemogący nieść żadnego oporu, zwłaszcza od własnych żołnierzy, zesiniał cały, wargi mu drgać zaczęły od gniewu:

— Bunt! — krzyknął do nich trzęsącym się głosem. — Bunt! Hej, Kukuć! Każ mi zaraz kloc postawić na środku dziedzińca! A który to pierwszy śmie oponować? Sam do mnie!

Ale tam nie jeden, tylko wszyscy się razem zburzyli. Gwar na to powstał ogromny: ci wołają w głos, że służbę przyjęli, jako żołnierze, przeciwko drugim żołnierzom, ale nie przeciw złym duchom, drudzy grożą, że zamek i służbę porzucą,

a inni już bramę odtarasowali i zaczynają się milczkiem wymykać.

Natenczas Wilczek już prawie wściekł się ze złości, podniósł toporek do góry, krzyczał, jak opętany, ale już sam nie wiedział, co krzyczy, bo słowa wylatywały z drżących ust jego, jak kule, bez żadnego związku ze sobą.

Śród jego krzyku kobiety się pochowały, już większa połowa żołnierzy wyszła za bramę, a im głośniej krzyczał, tem więcej ich wychodziło.

Widząc to Ramułt, zbliżył się do niego i zawołał: — Panie starosto! — chcąc mu zapewne wyperswadować, że żołnierzy do rzeczy niemożebnej zmuszać nie można.

Ale Wilczek już był wtedy, jak opętany, bez świadomości i bez pamięci, podniósł toporek na Ramułta i z wściekłym zamachem w sam łeb go uderzył. Przytomny Ramułt zasłonił się ręką, toporek ześliznął się po jego ramieniu — a tymczasem Wilczka poraziła jakaś moc niewidoma: zachwiał się na nogach i upadł, jak długi, na kamienną posadzkę.

Ramułt był tak oburzony, że się odwrócił od niego i zaklął, ale Kostruban i Kukuć przyskoczyli do niego, a zawoławszy kilku żołnierzy, zanieśli go na pierwsze piętro i złożyli na łóżku.

Wilczek był bezprzytomny. Twarz jego obciągnęła się kolorem żelaznym, zęby miał zaciśnięte, około ust piana osiadła, oczy miał nawpół otwarte, ale jak gdyby ze szkła. Strasznym był wtedy, wyglądał bowiem, jak trup jeszcze żywy.

Żołnierze od niego uciekli. Kostruban z Kukuciem zostali i próbowali go nacierać, a gorzałkę

lać w zęby. Wilczek od czasu do czasu ruszył ręką, albo i głową, ale do przytomności nie wracał.

Kukuć odszedł, mówiąc:

— Pójdę balwierza poszukaać, aby mu krwi upuścił; ale i tak nic mu nie będzie, bo, jak złość się w nim przeżre, to sam się obaczy.

Kostruban został.

Kukuć nie wrócił, — zapewne balwierza nie znalazł — ale Kostruban, niezmordowany w służbie, a wierny, jak pies, wytrwał przy nim do rana.

Przez całą noc był ustawiczny, lecz cichy ruch na zamku. Niektóre zamkowe kobiety pakowały swoje manatki i wynosiły się z zamku, niektórzy żołnierze także zabierali swe rzeczy i wymykali się milczkiem za bramę, teraz już nawciąż otwartą; ale to wszystko odbywało się bardzo cicho, bo wszyscy się obawiali, że, jak się starosta zbudzi, to bramę zatrzaśnie i wszystkich pościna.

Nazajutrz rano taki sam stan rzeczy, tylko Wilczek częściej się ruszał, czasem wydymał pierś i przez zaciśnięte zęby oddychał, a czasem oczy na chwilę otwierał, ale pewnie nic nie widział, bo nie przemówił. Te i owe kobiety, co śmielsze, a z niemi i żołnierze, co nie wiedzieli, co zrobić ze sobą, zakradali się na palcach na górę i zaglądali ostrożnie przez drzwi otwarte do sypialnej komnaty Wilczka, i nie mogli się dosyć nadziwić, że starosta umrzeć nie może. Jakoż jedni powiadali: — Coś jeszcze trzyma jego duszę przy ziemi, a nie wiedzieć co, bo już go wszyscy przeklęli. — Ale drudzy mówili: — Strach trzyma duszę w ciele, bo oto Kostruban wciąż przy nim siedzi i na nią czatuje; gdyby Kostruban odszedł tylko na chwilę, to dusza zarazby wyszła i uleciała. — Jednak jak

Wilczek tylko ręką ruszył, zaraz wszyscy na łeb na szyję uciekali ze schodów.

Tak minął cały poranek, a niedaleko południa Wara się zjawił na zamku.

Wara do tego czasu wypasł już wszystkie swoje pastwiska aż do korzenia. Kiesę złota, co ją sobie wykręcił za wywołanie duszy Tigranesa, dawno już przepił. Kundrat zanadto uczciwie z nim sobie postąpił, dał mu nieoberznięte dukaty, a taki dukat całkiem okrągły bardzo prędko się toczy. W obrębie jurysdykcji lwowskiego starostwa nie mógł się już zabawiać, bo ten bisnowaty Łopatka coś sobie do niego upatrzył, uwierzył w plotkę, jakoby on miał spółkę z tymi rozpuszczonymi żołnierzami, co plondrowali przedmiejskie komory, i kazał mu zapowiedzieć, że, jak go w swoją garść dostanie, to go będzie sądził gorącym sądem i zaraz każe katowi, aby go obwiesił. W mieście się także nie śmiał pokazać, bo tam znów ten przeklęty Kundrat czyhał na niego i pewnieby go oddał w ręce wójta, a wójt ma także kata przy sobie. Prócz tego na całej Rusi już ani takiego szlachcica, ani takiego kmiecia nie było, coby sobie także czegoś nie upatrzył do niego; bo też dziwni to ludzie na tej Rusi Czerwonej! Kraj niby mlekiem a miodem płynący, a człowiek tam przecie może umrzeć z głodu, jeżeli nie ma szerokich groszy w kalecie. Co począć w tym dziwnym kraju?

Wara się mocno nad tem namyślał, aż wreszcie sobie Wilczków przypomniał. Niemałe on im oddał usługi. Przecie to on pierwszy przywiózł Wilczkowi do Krakowa wiadomość, że Jagienka go kocha, chociaż ją za Gniewosza wydają. Coby było, gdyby on mu owej karteczki od Jagienki nie przy-

wiózł? Wilczek byłby dawno o niej zapomniał i nie byłby się z nią nigdy ożenił. Zaczem Wilczek mu wdzięczność powinien. On potem pierwszy przywiózł Jagience na Czorsztyn wiadomość, że Wilczek zdrów wrócił z wojny i pędzi do niej na swoim wronym. Zaczem Jagienka mu wdzięczność powinna. A wreszcie to on sam im ślub dawał. Coby było, gdyby był nie dał im ślubu? Alboby się byli nie pożenili, alboby żyli w konkubinacie. A przeto oboje mu jeszcze raz wdzięczność powinni. Jużci i oni może sobie co upatrzyli do niego, bo ci ludzie dzisiejsi to wszystko kurki czubate, ale jużby też chyba wcale wdzięczności nie było na świecie, gdyby jeszcze i oni go nie przytulili u siebie, choćby na jakiś czas, póki mu się znowu nie trafi jaki uczciwy zarobek.

Bardzo kuso było wtedy koło niego. Jak się tu w takiej sytuacji na pańskim zamku pokazać? Jak nawet dobić się aż do Tustania? — Nie miał ani mizernego półgroszka w kalecie, ba, nawet i kalety już nie miał, co mu dawniej u pasa wisiała, bo i pas djabli wzięli, i musiał się teraz przepasywać postronkiem. Jego pielgrzymską opończę, ostatnie bydlę z obory, nielitościwy żyd mu zabrał w gospodzie, chwała Bogu jeszcze, że mu za nią rzucił jakiś krótki kaftan, wprawdzie niegdyś rycerski, ale dzisiaj tak poszarpany, że, gdyby ów postronek nie utrzymywał go w pasie, toby prawie, jak stary ornat, wyglądał. Pludry jeszcze miał jakieś, bo jużci trudno go miał żyd puszczać bez pluder, ale za to obydwa buty fatalnie ziewały, a jeszcze do tego jednej cholewie coś się stało, że wciąż opadała. Na głowie miał swój dawny pielgrzymski kapelusz, któremu krysy wprawdzie

także już służbę wypowiedziały, że wyglądał, jak straszydło na wróble, ale za to dwie muszle jeszcze się dosyć dobrze na nim trzymały. Do tego miał ów kij ogromny pielgrzymski, okuty żelazem, którym niegdyś w Kundracie taki respekt dla siebie obudził, a który i sam miał w poszanowaniu, bo się nim już z niejednej tarapaty wydobył. Ot, i teraz miał prawe oko podbite i długi czerwony szram przez cały lewy policzek. Oberwało mu się to w karczmie skniłowskiej, gdzie miejskie draby, wziąwszy go za zbója, chciały go chwytać, i jeden z nich już mu nawet obdarł kawałek rękawa; prawda, że ten kij dawał mu pozór dla głupich ludzi cokolwiek niepokojący, ale, gdyby był tego kija nie miał przy sobie, nigdyby się tym drabom nie był obronił.

W takim stroju, trochę wróżąc babom po drodze, a trochę żebrząc między gospodarzami, stanął Wara nareszcie w zamkowym dziedzińcu w Tustaniu — i, jako istne straszydło, zaraz jest otoczony gromadnie przez zamkowych żołnierzy.

Ten go pyta: Kto jest? a drugi: Poco tu przyszedł? on się rwie do starosty, żołnierze się śmieją — i już niewiele chybiło, że go nie wyrzucili za bramę. Ale na ten gwar nadbiegli niektórzy pacholikowie, co go znali z Czorsztyna, ci go więc obronili, wszelako jeszcze więcej się z niego naśmiali, wołając:

— Wara! Wara! Oto cię ktoś oporządził, że już, jak żebrak, wyglądasz! A może też i sam rozbijasz po drogach?

Ale Wara nadsztukował humorem, mówiąc:

— Fortuna kołem się toczy! Bawię się rycerką, jak drugi — a i rycerzom się to nieraz wydarza, że,

kiedy go mocniejszy napadnie, to go puszcza w koszuli. Alem się tu dobił do braci, zaczem rozumiem, że mnie ogarniecie.

Na to nadszedł Ramułt, poznał go, bo go znał także, ale, że był przepełniony goryczą wczorajszego wieczora, rzucił na niego okiem, pełnem pogardy i rzekł:

— Oto ten łapserdak staroście ślub dawał! I miał to Pan Bóg takich rzeczy nie skarać?

Ale tymczasem pacholikowie, bardzo poczciwe chłopaki, wzięli Warę pomiędzy siebie, zaprowadzili do kordegardy i tam go jakokolwiek przebrali. Ten mu dał kaftan, ten pas, ten pludry, ten buty, a nawet przyzwoita opończa się znalazła, że Wara niebawem tak się wystroił, iżby się mógł i największemu panu pokazać. Wszelako przy przebieraniu się opowiedziano mu także, co się od wczorajszego dnia stało na zamku.

Więc Wara się tem niezmiernie zasmucił, bo mimo swej konduity, przecie ludzkie miał serce, a nieszczęście Wilczka było tak ogromne, że i kamień powinien był się w niem wzruszyć. Jakoż, wysłuchawszy chłopaków, rzekł zaraz:

— Trzeba na to coś radzić. Uratujemy jeszcze, co się da uratować.

Z temi słowami poszedł prędkiemi krokami do Wilczka.

Obejrzawszy go pilnie, jako człek doświadczony, natychmiast odgadł, co trzeba robić. Zaczem rozebrał go i upuścił mu krwi całą misę. Było to bardzo dobre lekarstwo, bo, osłabiwszy jego fizyczny organizm, wywołało w nim naturalną reakcję. W kilka pacierzy potem Wilczek otworzył usta i oczy, odetchnął z głębi piersi, sam się na po-

duszkach podniósł cokolwiek wyżej, a w małą godzinę przyjął trochę pożywienia. Po południu jeszcze był osłabiony, ale wieczorem zasnął i spał przez całą noc, jak kamień.

Na wiadomość, że pan ożył, jego zwyczajna służba się zgromadziła około niego, pełniąc swe obowiązki, jak dawniej, i patrząc na Warę, jak na cudotwórcę.

Wara przeczuwał przy nim większą część nocy, nakazał służbie, ażeby mu rankiem nagotowano dobrej winnej polewki, i poszedł się przespać, bo też i sam był niepomału zmęczony.

Kiedy zaś nazajutrz rano przyszedł do Wilczka, to zastał go napół ubranego i siedzącego w krześle poręczowem obok stołu.

Był bardzo blady, czarna chmura mu siedziała na czole, patrzał nieruchomemi oczyma przed siebie, ale na jego twarzy przebijała się raczej gorycz, niż boleść.

Obaczywszy Warę, spojrzał na niego, ale go nie powitał; Wara siadł opodal od niego po drugiej stronie stołu i milczał.

Po chwili Wilczek znów spojrzał na niego i rzekł:

— Skądże się tu wziąłeś tak niespodzianie?

Wara zaczął kłamać swoim zwyczajem, opowiadając mu, jako już przed tygodniem we Lwowie miał widzenie, z którego powziął, że na zamku tustańskim ma się stać jakieś nieszczęście. Zaczem wybrał się zaraz na Tustań z całym swoim taborem, wiodąc dwa wozy ze sobą i konie podwodne. Ale wjechawszy w lasy, spotkał się z jakimiś błędnymi rycerzami, którzy się złakomili na

jego pański dobytek i wszystko mu złupili, a jego samego do koszuli obdarli.

Na to Wilczek jeszcze raz spojrzał na niego i, uśmiechnąwszy się gorzko, rzekł:

— Musieli to być jacyś rycerze, co się biją na suche razy, bo widzę, że ci oko podbili i jakimś kosturem ci dali po pysku. Przynajmniej, żeś z duszą wyszedł z rąk tego rycerstwa...

Wara nie śmiał mu odpowiedzieć, bo widział, że się zna dobrze na razach.

Wszakże po chwili Wilczek znów się odezwał, mówiąc:

Słysz, Wara! Czy mogłeś się kiedy spodziewać, że moje małżeństwo w takie nic się obróci? Tyleśmy się nacierpieli oboje, tyleśmy trudów, tyle ofiar ponieśli i tyle niezwykłych rzeczy się stało, ażeby to małżeństwo przyszło do skutku; miałem żonę tak cudną, takie śliczne dzieciątko i tyle szczęścia w tym domu... I z tego wszystkiego w jednem mrugnieniu oka, za jednym wiatru powiewem, nic, nic zgoła! Czarna przepaść pod zamkiem i przepaść bolu w mem sercu...

Wara milczał.

— Powiedzże ty mi, Wara — mówił Wilczek dalej po chwili — czem jest człowiek na ziemi. Najnieszczęśliwsze stworzenie, przez jakiegoś nielitościwego stwórcę na ten przeklęty padół rzucone! Rodzi się jako bezbronne niemowlę, gorzej niż każdy najdrobniejszy robaczek, bo, jeśli go mamka na dzień jeden odstąpi, to ginie. Nie umiałby chodzić, gdyby go przez kilka miesięcy nie wodzono na pasku, musiałby wyć albo szczekać, gdyby go mowy nie nauczono, a przytem męczą go wciąż niezliczone choroby, na które mu nie poradzi na-

tura, jeno mu trzeba lekarstwa. Pracuje potem przez lat dwadzieścia jako murzyn-niewolnik, aby się dobił kawałka chleba i jakiegokolwiek znaczenia, ale bez łaski ludzkiej niczego się nie dobije — a łaska ludzka bardzo drogo kosztuje, bo musisz ją okupywać upodleniem siebie samego. Jeżeli zaś który bez łaski ludzkiej się czegoś dobije, natenczas ci sami ludzie otaczają go, jak złe duchy, aby ryć pod nim, aby go trapić i męczyć, aby mu we wszystkiem niezwyciężone stawiać zapory, aby go wreszcie przewrócić. A jeśli przewrócić się nie da, jeżeli wszystkie zapory przełamie i wkońcu takiego szczęścia dostąpi, które powinnoby trwać przy nim do grobu, to wtedy jakiś wróg inny, jakiś duch niewidomy, jakiś wichr, wypuszczony przez odwiecznego wroga ludzkości, dmuchnie ci na to szczęście i zgasi, jak świecę. Człowiek się rodzi, bo musi, lecz, gdyby nie musiał, a wiedział, co go tu czeka na ziemi, nie wiem, azaliby był który, coby chciał się urodzić.

Wara nie podzielał tych czarnych myśli Wilczka, ale się uczuł niemi cokolwiek skruszonym, zaczem zabrał głos i tak mówił:

— Według mojego zdania, życie na tej ziemi nie jest tak bardzo nieznośne, jak jegomość powiadasz. Są przecie uciechy i rozmaite rozkosze, któremi się raduje serce człowieka. Nic darmo, zaczem za to przykrościami się płaci. Życie jest kunsztem, jak każde inne rzemiosło, a w tem cała sztuka, ażeby zdobyć jak najwięcej uciechy, a jak najmniej przykrości. Ludzie są źli, o tem nikt wątpić nie może, kto z nimi przestaje, ale przy złości są oni głupi, a przeto są na nich sposoby. Zgoła wszystko w tem życiu się równoważy — a na to

człowiek ma rozum, ażeby szalę pożytków zawsze na swoją stronę przeważył. I rozumu także każdy człowiek ma dosyć, ażeby się nim ku swemu pożytkowi posłużył, jeno, że rozum niezawsze mu dopisuje, bo są w samej rzeczy jakieś złe duchy, które mu w tem przeszkadzają. Ale, mówiąc pomiędzy nami, a szczerze, tak mi się widzi, że te złe duchy nie gnieżdżą się poza nami, jeno mieszkają w nas samych. A tymi złymi duchami są nasze własne namiętności a żądze, których nie umiemy powściągnąć. Mówiąc tak, sam się w piersi uderzam, — dodał Wara z westchnieniem — bom też i ja przyszedł na świat szlachcicem, dziedzicem wsi, dobrze osiadłej, i z bardzo piękną parentelą, i mogłem posiąść wielkie majątki i wszelakie honory, gdybym był tylko umiał się umartwić, a tych i owych uciech sobie odmówić...

Tu wszakże przerwał mu Wilczek, mówiąc:

— Powiadasz właśnie, jak ksiądz. Wciąż tylko umartwienia ciała i wyrzekanie się uciech! Jak gdyby nato została stworzona ta ziemia ze wszystkiemi swemi uciechami, ażeby zgniły bez pożytku dla ludzkiego stworzenia! Jak gdyby nato człowiek miał ciało i zmysły i wszelkie pożądliwości, ażeby ich nigdy nie zaspokoił! I naco? Ażeby po śmierci poszedł do takiego królestwa, gdzie niemasz ani ciała, ani zmysłów, ani żadnych pożądliwości? Trzeba się wyrzec uciech w tem życiu nato, ażeby ich w tamtem nie dożyć? Cóż ty mi gadasz, mój Wara! Miałem ciebie za wielkiego hultaja, ale za rozumnego człowieka — a tobie, jak widzę, piątej klepki brakuje!

Wara wiedział, co mu ma odpowiedzieć: nie używania uciech, ale zbytku uciech zabrania tak

dobrze rozum, jak wiara. Jednak, widząc, że mówi z wielką niecierpliwością, nie chciał go drażnić i milczał. Tymczasem Wilczek mówił po chwili dalej:

— I jeszcze do tego powiadasz, że złe duchy siedzą w nas samych! Toż ja byłem tym złym duchem, co Gniewoszową sprowadził na Sobień? I ja natchnąłem czorsztyńskiego proboszcza, że mi ślubu odmówił? A może i ja Jagienkę strąciłem z krużganku? Śmiać mi się chce z tych złych duchów, co siedzą w człowieku! Ale z tych się wcale nie śmieję, co w postaci ludzkiej albo djabelskiej wciąż krążą koło mnie i sprowadzają na mnie takie nieszczęścia. Jeżeli znasz te złe duchy, co siedzą we mnie, to gadaj, chciałbym też i ja z nimi się poznać.

Zaczem Wara mówił ostrożnie:

— Ja nie wiem wszystkiego, ale coś się też i o moje uszy oparło. Tak sądzę, bo mi też powiadano na Sobniu, że Gniewoszowa nie byłaby nigdy dokazała tej sztuki, żeby dostać Jagienkę dla swego syna, gdyby nie to, że wasza miłość sam przywiozłeś ze sobą plotkę o jakiejś tam bojarównie. Ks. Pudełko musiał jegomości ślubu odmówić, bo było to przeciw prawu, a było też przytem cokolwiek zgorszenia, do którego żaden zły duch z zewnątrz się nie przyczynił. A Jagienki także żaden zły duch nie strącił z krużganku, tylko jej własny strach, który ją zdjął w jej sumieniu, kiedy obaczyła Gniewosza, zajeżdżającego na Tustań.

— Jakiego Gniewosza? — zawołał Wilczek. — Cóż ty znów pleciesz?

— Jużci żywego Gniewosza, co z niewoli powrócił — rzekł Wara.

I tu mu opowiedział, co słyszał od pacholików, jako to Gniewosz był, co się przedwczoraj otrąbił przed zamkiem, i jak go żołnierze z krużganku bramy poznali.

— To Gniewosz się wtedy otrąbił! — zawołał Wilczek, załamując ręce przed sobą. — Więc Gniewosz żyje! Zawszem się tego domyślał, alem sam sobie nie wierzył. Teraz już wiem, dlaczego Jagienka spadła z krużganku...

Potem zatopił się w myślach na chwilę, poprawiał się w kreśle po kilka razy, spoglądał na Warę, a wreszcie rzekł:

— Więc widzisz! Pocóż Gniewosz tu jechał? Czyż to nie zły duch jego natchnął, aby się tu zjawił niespodziewanie?

Wara milczał.

Zaczem Wilczek wstał, przechadzał się powolnym krokiem po izbie i myślał głośno, wymawiając jakieś niezrozumiałe słowa do siebie, aż wkońcu rzekł głośniej:

— Djabeł go natchnął, to pewna, ale przecie mi za to odpowie...

Zdaje się, że ta myśl, iż może się na kimś zemścić swojego nieszczęścia, trochę go ożywiła, bo przechadzał się przez chwilę cokolwiek żywszym krokiem wzdłuż izby. Lecz potem znów zapadł w swe czarne myśli, siadł napowrót przy stole, zwiesił głowę na piersi i rzekł:

— Wszystko to już się na nic nie przyda! Robiłem, co mogłem, abym się im obronił, ale mnie przecie przemogli. Udałem się do Chryzostoma, świętego człowieka, a święty człowiek mnie zdradził; zapisałem djabłu duszę — i djabeł mnie zdradził!

Na te słowa Wara spojrzał na niego szerokiemi oczyma i odsunął się z krzesłem, nie spuszczając wszakże oka z jego pochmurnej twarzy.

Wilczek to spostrzegł i rzekł:

— Powiadasz, że w duchy nie wierzysz, a jak o djable tylko jest mowa, to w kąt się zasuwasz.

— Nie zrozumiałem dobrze pana starosty — rzekł Wara, nie wiedząc narazie, co ma powiedzieć.

— Zapisałem djabłu duszę — rzekł Wilczek niecierpliwie. — Azaliż to tak trudno zrozumieć?

— Ale jakiemu djabłu? — zapytał Wara, bardzo tą wiadomością zniepokojony.

— Jakiemu djabłu? — zawołał Wilczek. — Djabeł zawsze jest jeden i ten sam, chociaż w tysiącznych postaciach. Ten, co mnie służy, jest tutaj na zamku. Jeżeli go chcesz obaczyć, to ci go każę zawołać.

Ale Wara jakoś nie miał ochoty obaczyć się z djabłem, jednak widocznie coraz bardziej się niepokoił. Patrzał na Wilczka bardzo niepewnemi oczyma, a przytem widać było po jego twarzy, że jakieś ważne myśli w swej głowie rozbiera.

— Cóżeś się tak zasumował? — zapytał Wilczek.

— Myślę nad losem pana starosty, — rzekł Wara — bo niechaj tam sobie kto mówi, co chce, z djabłami przecie nie można żartować. Ci święci, co ich widuję, te dusze, co je wywołuję, to tam furda... ale z djabłem się wdawać nie można, bo, kto tylko raz się z nim wdał, ten przepadł napewno.

— Bądźże sobie o mnie spokojny — rzekł Wilczek. — Jagienkę mi wziął, bo trafił na nieopatrz-

nego Gniewosza, ale mnie nie weźmie, bo przecie wiem, jaką mam z nim umowę.

Wszakże Wara na to pokręcił głową i rzekł:

— Hm, hm! Gdyby to djabeł trzymał się umowy! Ale to w tem właśnie sęk, że on bierze swoje ofiary wbrew zawartej umowie.

— Jakże? — rzekł Wilczek. — Więc żywcem mnie weźmie, choć nie ma prawa do tego?

— Jeżeliś się jegomość z nim tylko wdał w jakieś umowy, to weźmie żywcem, jak Pan Bóg na niebie.

— Jakżeż mnie weźmie? Przecież mu się nie dam wziąć, jak snop słomy, ano mu się obronię.

— Co też jegomość nie gadasz! Któż się kiedy djabłu obronił...

Więc Wilczek przesądny, jak wszyscy owego czasu, mocno się nad tem zamyślił. Wrodzony instynkt zachowania siebie samego wziął w nim górę nad ciężką żałobą. Spojrzał po kilka razy z pod oka na Warę, a potem zapytał:

— Więc powiadasz, że weźmie?

Na to Wara wstał i rzekł z naciskiem:

— Niemasz nad czem się zastanawiać, jegomość przepadł.

Na te stanowcze słowa Wary tego żelaznego rycerza porwał lęk niewysłowiony. Zginąć na wojnie, lub w jakiejbądź bitwie śmiercią walecznych, w tem widział ideał i niejako apoteozę rycerza, ale dać się zadusić jakiejś mocy niewidomej, przeciwko której nie można się bronić, do tego nie miał odwagi. Zbladł jeszcze bardziej, ręce mu drżeć zaczęły i spytał Warę:

— Jakże mnie weźmie?

A na to Wara:

— A kto tam może odgadnąć sztuki djabelskie! Widziałem ja rzeczy, od których włosy wstają na głowie... Ale jest na to sposób.

— Więc mów, — rzecze Wilczek — zrobię, co powiesz.

— Jest na to sposób — rzekł Wara. — Jegomość wstąpisz na tercjarza do franciszkanów i wdziejesz poświęcany habit na siebie. A wtedy zje djabła, czy jegomości co zrobi.

— Więc tak, — odpowiedział Wilczek, dając mu się powodować — ale któż mi to tercjarstwo wyrobi? Mnie farnciszkanie nawet wcale nie znają.

— Już ja to biorę na siebie — rzekł Wara z żywością. — Każ mi jegomość natychmiast rozstawić konie do Wiszni. Tamtejsi franciszkanie jegomości znają, a są to ludzie chudobni; jak im się co da na kościół, to mi tę rzecz *stante pede* załatwią. Za dwa lub trzy dni wszystko jegomości przywiozę.

— Więc rób, jak chcesz, — odpowiedział mu Wilczek — a nie baw się długo, bo co ja tu poczne bez ciebie?

— Jadę natychmiast, na dzień i noc, — rzekł Wara — jutro o ten czas będę już w Wiszni. Każ mi jegomość dać dobre konie i jaki mieszek złotych węgierskich. A jeśli tu jest jaki djabeł na zamku, albo też jaki kalafaktor djabelski, to każ go jegomość natychmiast napędzić i nakazać mu pod gardłem, aby się tu więcej nie pokazywał.

Jak Wara chciał, tak się stało.

Rozstawiono mu konie do Wiszni, dano mu mieszek czerwonych złotych i wyprawiono go w tę drogę natychmiast.

Wilczek zaś kazał Kostrubana w tem okamgnieniu odprawić, dawszy mu lafę sowitą, ale z tym

wyraźnym dodatkiem, że wpadł w niełaskę u pana i nie śmie się pod gardłem pokazywać na zamku.

Kostruban, nie mogąc się nawet domyśleć, jaki tam piorun tak nagle w niego uderzył, okrutnie się zmartwił tą niełaską. Tak mu dobrze było w tej służbie — a teraz w jednem mrugnieniu oka znalazł się na bruku. Chciał upaść do nóg staroście, aby napowrót się wprosić, ale go do niego nie dopuszczono. Domyślał się, że Wara mu tego stołka przystawił; byłby i jemu padł do nóg, ale Wara już wtedy wyjechał. Mimo to wszakże Kostruban jeszcze nie stracił nadziei. Zabrawszy swoje manatki, osiadł tymczasem w mieście Tustaniu, przedsiębiorąc sobie mieć cierpliwość i wszystkie swe siły wytężyć, ażeby się napowrót wśrubować w łaskę starosty. Z tega powodu, ile tylko miał wymowy i zapobiegliwości, rozsiewał sławę Wilczka po mieście, podnosił w niebiosy jego dobroć serca i szlachetność umysłu i obudzał pomiędzy mieszczany litość nad jego nieszczęściem. W tym też celu zapewne, a z myślą, że się to doniesie do Wilczka, na zrękowinach Włostka z Ofką u Daszkiewicza podniósł myśl i uparł się przy niej, ażeby państwo młodzi poszli z korowajem na zamek i pokłonili się panu, prosząc go o błogosławieństwo.

Wara, o ile się zdaje, działał w najlepszej wierze. Kto w owe czasy nie bał się djabła, chodzącego po ziemi, i kto mógł mieć więcej partykularnych powodów od niego, obawiać się jego pazurów? — Wziąwszy kilka dobrych koni i mieszek czerwonych złotych, mógł z niemi uciec, jak mu się to już nieraz zdarzało; ale teraz, nauczony cierpkiem doświadczeniem, poszedł po rozum do głowy i po-

wiedział sobie, że największe głupstwoby zrobił, gdyby się kontentował taką nędzotą. Wilczek jest zbity nieszczęściem do niepamięci, zapewne już nigdy, a przynajmniej nieprędko wróci do dawnej swojej energji, w tem usposobieniu umysłu daje mu się powodować, jak dziecko, fortuna u niego pańska, a wszelkiego bogactwa do zbytku; Wara by głupi był, jak garniec gliniany, gdyby na jakiś czas u niego nie osiadł i gdyby przez ten czas nie uciułał sobie pięknej fortunki. Zaczem wrócił we trzy dni i przywiózł mu pergamin z klasztorną pieczęcią, jako jest tercjarzem przyjęty, a zarazem i habit, który poświęcono rzetelnie w jego obecności.

Wilczek oczekiwał z niecierpliwością powrotu Wary, a za jego przyjazdem serdecznie go zwitał. Zaraz też przywdział habit franciszkański na siebie — i zdaje się, że ten habit znacznie go uspokoił, bo, pochodziwszy w nim z jaką godzinę, powiedział do Wary:

— Nie wiem ja tam, jaką moc ma woda święcona, ale tak mi się zdaje, że mi się trochę ulżyło. Przynajmniej już djabeł nie będzie miał do mnie przystępu, co też i on sam wiedzieć musi, bo mnie nawiedzał po nocach i śmiał się z habitu.

Natomiast wszakże ból za Jagienką znowu w nim się odezwał.

Ale był to ból taki, jaki z jego ciepłej krwi mógł się urodzić, bo wtedy nieraz powiadał Warze:

— Dziecko jeszczebym zczasem przeboląl, bo byłoby drugie. Ale jej nigdy nie przeboleję, bo takich słodziutkich oczątek, takich ustek miodowych, takiego aksamitnego ciałka niemasz u żadnej kobiety.

Zaczem niejednokrotnie się zrywał i chciał koniecznie szukać jej trupa.

Wtedy wychodził z Warą za mury zamkowe i błąkał się z nim nad brzegami tej przepaści, w którą spadła Jagienka, szukając sposobów, jakby się można na jej dno dostać. Ale wszystko napróżno; z brzegów za najlżejszem dotknięciem usuwała się ziemia i kruszyły się skały — a przepaść była bezdenna.

Powróciwszy z takiej wycieczki, wdrapywali się obydwa na ów fatalny krużganek i spoglądali wdół, azali tam nie obaczą jakiego światlejszego przedmiotu, ale także napróżno: dno tej przepaści było zawsze czarne, jak noc.

Jednego dnia Wara wpadł na myśl, ażeby rzucać w tę przepaść zapalone pochodnie, których płomienie głębsze brzegi przepaści oświecą, a jeśli dolecą do dna, to będzie można widzieć, jak głęboka jest przepaść, a może się też i ciało Jagienki obaczy. Ale Wilczek wzdrygał się na to i odpowiadał mu z uczuciem ludzkiem:

— Na Boga! Nigdy na tobym nie pozwolił. Te zapalone pochodnie popiekłyby biedną Jagienkę.

Natenczas, przekonawszy się wreszcie, że Jagienki nigdy już nie obaczy, Wilczek, przepełniony żałobą, kazał na zewnętrznej skalistej ścianie zamkowej kaplicy ryć jej nagrobek: najprzód krzyż wielki, potem D. O. M., a dalej: *Generosae Dominae... ex stirpe Kmytharum...*

Ludzie, którzy go w tym czasie w mnisim habicie, bądź błąkającego się nad przepaścią, bądź na szczycie zamkowej wieży widzieli, przypatrywali mu się z uczuciem pewnej obawy i grozy — i powiadali o nim, że został mnichem, że już o swojem

starostwie wcale nie myśli, że albo niebawem do klasztoru wyjedzie, albo też zamek na klasztor obróci.

Jakoż Wilczek podówczas w samej istocie wcale o swoim urzędzie nie myślał. A skutkiem tego opuszczenia się pana, służba nadzwyczajnie się rozluźniła na zamku. Niektórzy żołnierze porozłazili się, a ci, co zostali, jedli i pili, co szyja strzymała, bawili się w domu i poza domem, wychodzili do miasta i często dopiero nad ranem wracali. Brama była dla nich dniem i nocą otwarta. Nawet stary Kukuć, widząc, że starosta już wcale nie dba o służbę, także się chętnie zabawił — a Ramułt... Ramułt, nie mogąc Wilczkowi przebaczyć, że za jego wierne służby całego życia chciał go poczęstować toporkiem, nie chciał już wcale wiedzieć o zamku. Przesiadywał więcej u siebie na wsi, niżeli w Tustaniu, pokazywał się czasem, lecz rzadko, starosty wcale już nie widywał i tylko nad tem rozmyślał, jakby najprędzej mógł się od tej służby uwolnić na zawsze.

Tak minął miesiąc.

Wilczek przez ten czas już znacznie się uspokoił. Do swoich dawnych zatrudnień nie wracał, Wary prawie ani krokiem od siebie nie puszczał i bardzo wiele z nim rozmawiał. Ale w jego wszystkich rozmowach przebijał się ból ciężki, niezagojony, jak rana otwarta, a ciężący, jak czarna noc, nad jego umysłem: ból za Jagienką, której nigdy już nie obaczy, ból za tem, że miał wszystko po temu, ażeby posiąść najwyższe urzędy i ludziom zwysoka przyświecać, a teraz jest starty na proch, który nigdy już nie ożyje — ból wreszcie nad tem, że nie użył tego pięknego życia, a dzi-

siaj, jeszcze tak młody, schodzi z tego świata, czy to w grób śmierci, czy w grób klasztoru, zaledwie pokosztowawszy jednej jedynej z rozkosznych uciech tej ziemi...

Jednego dnia po południu stał z Warą przy oknie otwartem, z którego widać było doliny i wzgórza, okryte świeżuteńką zielenią i kąpiące się w jasnych promieniach słońca, a nad niemi, na kresach dalekich, rysowały się na błękitnem niebie bez chmurki wspaniałe swą wyniosłością Bieszczady. Cała ta ziemia oddychała przezroczystem, wiosennem powietrzem, odurzająca woń górskich kwiatów unosiła się nad nią, nieprzebrane jej dary ścieliły się do nóg człowieka, jak gdyby mówiły do niego: „Bierz i używaj i bądź szczęśliwy na wieki!“

Wilczek patrzał długo na ten obraz uroczy, zaczerpywał pełną piersią tej woni ożywczej, zapuszczał swój wzrok pomiędzy owe odległe skały Bieszczadów, nad któremi z rozpostartemi skrzydły ogromne unosiły się orły, ucząc swoje pisklęta, jak mają patrzeć w samą tarczę słoneczną, a oka nie zmrużyć — a potem ciężko odetchnął i powiedział do Wary:

— Człowiekby się nie skarżył na Stwórcę, że mu dał tak wspaniałe i tak we wszystko bogate mieszkanie, gdyby mu tylko wolno było tych wszystkich darów bez przeszkody używać! Ale jak róży nie uszczkniesz, ażebyś się przedtem do krwi nie pokłuł, tak żadnej nie użyjesz uciechy, ażebyś jej twoją krwią nie opłacił. Powiedz mi, Wara, jaki to duch złośliwy stworzył ten świat? Jaki to duch jest, co przede mną takie rozkosze roztoczył, co mnie niemi odurzył, co we mnie nie-

powściągliwe żądze za niemi rozbudził — a kiedym rękę po nie wyciągnął, nie w rękę, ale w samą pierś mnie uderzył i rzucił na ziemię, ażebym z niej już nigdy nie powstał! Zaprawdę, dziwnie szatańska to sztuka, swoim własnym stworzeniom wonne podawać owoce, a kazać im w krwawym pocie nieustającej pracy o nie się dobijać — i kazać dziewięćdziesięciu dziewięciu ginąć w pragnieniu i głodzie, ażeby setny, szczęśliwy, się niemi pożywił. Być może, że są tacy szczęśliwi! Jużci są, boć ich czasami widzimy. Ale mnie niemasz pomiędzy nimi!...

— Jegomość młody — rzekł Wara — jeszcze się szczęście może przywrócić.

— Jam młody — rzekł Wilczek — ale ten świat, ta piękna ziemia ze wszystkiemi swemi darami już się na zawsze odwróciły ode mnie. Nikt nie wie i nikt się tego ode mnie nie dowie, ale ty widzisz, co się dzieje w głębi mej duszy. Ciało moje możeby jeszcze było sposobne do życia, ale tam noc się rozległa, tam już niema tego świętego płomienia, co ciałem porusza i prawa mu daje. Jestem bezwładny, jak trup, boleść mi wszystką władzę wyżarła. Jakieżby u mnie jeszcze mogło być życie! Jestem umierającym starcem w młodzieńczem ciele. Ze strachem kładę się do snu, bo we śnie najstraszliwsze mary się nade mną wieszają, powykrzywiane twarze ze zwierzęcemi oczyma, pootwierane paszczęki bez zębów, z nich długie czerwone wyskakują języki i liżą mnie po policzkach, przyciskają mi swoje długie uszy do piersi, aby podsłuchać, czy jeszcze serce w niej bije, kłują mnie w gardło swemi djabelskiemi rogami, ażeby tę resztę krwi ze mnie wypuścić. O Wa-

ra, nie życzę takiej jednej nocy mojemu najzawziętszemu wrogowi. A moja śliczna Jagienka nigdy mi się nie pokazała! Natomiast Ofka wciąż mi się jawi. A tymczasem Ofka podobno żyje...

— Żyje — rzekł Wara, rad go weselszą myślą rozerwać — żyje i wcale dobrze jej się powodzi. Jak słyszę, Daszkiewicz uwziął się na to, aby ją z ojcem pogodzić i pewnie mu się to uda. A oprócz tego jest jeszcze inna dobra wiadomość: Ofka kawalera znalazła i ślub się układa.

— To pewnie Włostek? — zapytał Wilczek.

— Podobno Włostek — rzekł Wara — ale to jeszcze sekret dotychczas.

— Słysz, Wara — powiedział mu Wilczek — ktokolwiekbądź, wiedz o tem, że mu rad będę. Sam na wesele nie pójdę i widzieć jej nie chcę, ale jej mężowi chętnie pomogę, a dla niej sowite wiano wyznaczę.

— Jeszcze podobno czas na to — rzekł Wara.

— Czas — rzecze Wilczek — ale im prędzej, tem lepiej; może mi się przestanie jawić po nocach.

A na to Wara z misternym uśmiechem:

— Więc się to, ile możności, przyśpieszy.

Wilczek myślał nad tem przez chwilę, ale potem znów zapadł w swoje czarne widzenia.

— Po takich nocach — powiadał dalej — łatwo zrozumiesz, że wstaję rano, jak z krzyża zdjęty, albo i gorzej, bo właśnie, jak gdyby mnie spuszczono z tortury. A kiedy już czuwam, jeszcze się nocne widzenia nade mną wieszają. I potem już taki dzień cały! Do południa wspomnienia tych mar, co je przeszłej nocy widziałem, a od południa strach mnie bierze przed temi, które w przyszłej obaczę. A w ciągu całego dnia w głowie taka próżnia, że

ani jednej myśli uchwycić nie mogę. W sercu się odzywają życzenia, ale czuję zarazem, że żadna ludzka potęga ich spełnić nie zdoła. I to jest życie? Niechże w nie raczej wszystkie pioruny uderzą! Nieznośnym ciężarem mi jest takie życie! Śmierci mi trzeba — i tylko śmierć mnie może wybawić.

Wilczek był tak strasznym, kiedy to mówił, że Wara nie śmiał się do niego odezwać.

Lecz Wilczek mówił dalej:

— Gniewosz mi ją mógł dać pod Suczawą, błagałem go o to, lecz nie chciał! Teraz, kiedy zapewne w szczęściu opływa, ja, śmierć, chodząca po ziemi, kościstą ręką do jego komnaty weselnej zapukam i sam ją jemu przyniosę!

Wara, wyborny znawca serc ludzkich, wiedział o tem dobrze, że, aby Wilczka do zwykłego powrócić życia, dosyćby było, gdyby go tylko napowrót wtrącić pomiędzy ludzi. Otarłszy się o nich, rozbudziłby w sobie prędko dawnego człowieka. Spór jaki z kimkolwiek byłby oczywiście najlepszym środkiem do tego. Ale Warze jeszcze to było za wcześnie, bo dotąd jeszcze nie pomyślał o sobie, a wiedział także, że, jak Wilczek znów w świat wyleci, to i jego łaska dla niego może się skończyć. Zaczem usiłował go odwieść od tej myśli na teraz i rzekł:

— Co tam Gniewosz winien temu wszystkiemu? Był to czysty przypadek...

— Żonę mi zabił! — zawołał Wilczek, klekocąc zębami ze złości. — Nigdy tego mu nie daruję! A ty mi się w moje sprawy nie mieszaj, boś do nich nie urósł!

Wara niemal z pogardą spojrzał na niego, ale zacisnął zęby — i zmilczał.

A wtem muzyka dała się słyszeć w zamkowym dziedzińcu.

Na odgłos muzyki Wilczek zbladł i zawołał:

— Muzyka u mnie? Co to ma znaczyć?

Wara wstał i powiedział:

— Pójdę obaczyć.

— Nie odchodź — rzekł Wilczek głosem gromkim, w którym się jakoby przestrach przebijał.

A w tej chwili wszedł Kukuć bardzo wesoły, z radośnym uśmiechem na twarzy, bo też radośną przynosił wiadomość.

— Panie starosto, — rzekł — Ofka, córka Biłowusa, idzie zamąż za Włostka. Przecie nam się szczęśliwie udało to małżeństwo skojarzyć! Weselnicy przyszli właśnie z korowajem na zamek i chcieliby się swojemu panu pokłonić.

Wilczek jakoś dziwnie był roztargniony. Stał na środku komnaty i zdało się, jak gdyby sam nie wiedział, co ma robić. Chwiejąc się tak przez chwilę, odpowiedział mu: — Czekaj! — i wyszedł do przyległej komnaty.

Niebawem wrócił ze skórzanym woreczkiem w ręku, przystąpił z nim do Kukucia, dał mu go i rzekł, ale głosem tak prędkim, że prawie się jąkał:

— Słysz, Kukuć! Daj to Biłowusównie na wiano ode mnie i powiedz weselnikom, że ich przyjąć nie mogę, bom chor, ale im błogosławię... błogosławię, szczerze im błogosławię.

Kukuć odszedł. Ale jeszcze był zaledwie za drzwiami, kiedy Wilczek wybiegł za nim i zawołał:

— Kukuć, a zrób tak, aby sobie zaraz precz

poszli. I muzyka niech więcej nie gra, rozumiesz! Muzyka niech nie gra, bo u mnie żałoba.

Kiedy Wilczek wracał, Wara znowu do drzwi się zerwał, mówiąc:

— Pójdę ja sam i wyproszę ich grzecznie, a starostę wyekskuzuję.

— Nie odchodź! — zawołał znów Wilczek. — Nie odchodź! Mam ja ważniejsze rzeczy na głowie.

Słowa te powiedział znów w roztargnieniu, ale zarazem, jakby był czemś zaniepokojony.

Wara rzekł trochę złośliwie:

— Przecież Wara, choć głupi, jeszcze na coś się przyda.

Wilczek poszedł ku oknu, a idąc, powiedział do Wary:

— Nie chciałem cię przecież obrażać.

Zaczem przystąpił ku oknu, pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Słysz, Wara! Ty się przecie znasz na tych rzeczach, powiedzże mi, co ty o tem rozumiesz? Kiedym go spotkał w puszczy przy Chryzostoma eremie, tom sam mu powiedział, że wtedy ma prawo wziąć duszę moją, kiedy muzyka zagra na moim zamku. Zakazałem muzyki, kiedym tu osiadł z Jagienką, ale teraz się zapomniało i owo wszyscy djabli to weselisko przynieśli. Cóż ty o tem rozumiesz?

Na to Wara przystąpił ku niemu i rzekł:

— Jakże to było? Dałeś mu to jegomość na piśmie?

— Słowo rycerskie warte więcej, niż pismo — rzekł Wilczek.

— Więc to tam furda! — zawołał Wara — W piekle, a między nami mówiąc, to nawet i w nie-

bie, na słowo rycerskie nic nie dają. Ja w takich kwestjach trzymam się teologji, a ta nas uczy, że djabłu duszy zapisać nie można ani pismem, ani słowem, jeno mu się ją zapisuje swemi własnemi grzechami. A nie wiem, jakie to grzechy jegomość masz na swojem sumieniu, za które djabeł mógłby wziąć duszę jegomością. A zresztą weselnicy już sobie poszli...

— Ale przecie zagrali — rzekł Wilczek.

— Taka tam kołomyjka się nie rachuje — odpowiedział mu Wara, usiłując go uspokoić.

Wilczek umilkł, ale był wciąż roztargniony i w tem roztargnieniu patrzał przez otwarte okno na wyniosłe szczyty Bieszczadów.

Słońce wtedy już się zniżało ku zachodowi. Mocno poczerwieniało, ale jeszcze jasno świeciło. Jego czerwone promienie, padając na ziemię, okrytą świeżą zielenią, i zlewając dwa sprzeczne ze sobą kolory, tworzyły światło niestrojne i przykre dla oka. Ciężka duszność panowała w powietrzu. Niebo było jasne, lecz blade, jak gdyby błękit spłowiały. Na to niebo u samego szczytu Bieszczadów wypłynęła maleńka chmurka, zrazu szarawa, ale, ciemniejąc ciągle, przybrała najprzód kolor żelaza, a potem stała się prawie czarną; postać jej była dziwna, wyglądała bowiem, jak nawa okrętu bez masztów i steru, której porozdzierane brzegi w czerwonych promieniach słońca się, jak ogień, złociły. Było coś dziwnie strasznego w tej chmurze, bo na jasnem niebie tak wyglądała, jak gdyby była istotnie okrętem, który z zaziemskich światów wypłynął i przelatuje nad ziemią.

Takie gradowe chmury, zjawiające się nagle na czystem niebie, można często widywać w Bie-

szczadach; ta wszakże zwróciła całą uwagę Wilczka na siebie, jakoż rzekł do Wary:

— Widzisz tę chmurkę? Powiedziałby kto, że to jest jakiś statek nadpowietrzny, którym jakieś duchy sterują.

Wara się tej chmurce przypatrzył z uwagą i chciał coś powiedzieć; ale wtem w samym brzuchu tej chmurki błysnęło, błyskawice się w niej skrzyżowały i piorun z jej brzucha wystrzelił.

Wara się tego huku tak przestraszył, że się przeżegnał i rzekł:

— A słowo stało się ciałem...

A wtem na zamkowym folwarku, który zwano Posadą, płomień podniósł się wgórę: oczywiście piorun tam strzelił i strzechy zapalił.

Wara zawołał:

— Dla Boga! Folwark się pali! Niechże biegną ratować!

A to mówiąc, rzucił się ku drzwiom.

Ale Wilczek go chwycił za ramię, mówiąc:

— Nie chodź! Żołnierze wiedzą, co mają robić.

Wara mu się instynktowo wyrywał, Wilczek bezwiednie go trzymał, a wtem piorun uderzył w dziedziniec, zapewnie w kamienną posadzkę, bo z tak ogromnym hukiem i trzaskiem, jak gdyby kto z działa w dziedzińcu wystrzelił, a echo strzału się o cztery zamkowe ściany odbiło.

Takie same czarne chmury się zapewne tymczasem zgromadziły nad zamkiem, ale Wilczek i Wara nie mogli z tego okna ich dojrzeć.

Wilczek, trzymając Warę za ramię, rzekł:

— Widzisz! To burza się zbliża, trzeba ją spokojnie przeczekać.

Wara był blady, jak śmierć, sam nie wiedział

co robić, a wtem uderzył w zamek drugi piorun i trzeci, i czwarty, i piąty, tak, że się zdało, że cały zamek się już trzęsie na swoich podstawach.

Wara zrobił ruch rozpaczliwy, chcąc się wydrzeć Wilczkowi, ale Wilczek wpoił swoje żelazne palce, jak kły, w jego ramiona i zawołał:

— Głupiś! Gdzie się rwiesz? Przecie ten zamek jest zbudowany ze skał i kamienia.

I w tej postawie zostali obydwa na środku komnaty.

Tymczasem pioruny, uderzające jeden po drugim w mury zamkowe, wystraszyły wszystkich ludzi z zamku. Ani jedna żywa dusza w nim nie została. Wszyscy, jak stali, kobiety, żołnierze, pacholikowie i chłopcy, wylecieli za bramę i biegli, gdzie ich oczy poniosą, nie wiedząc sami, gdzie lecą, a tylko to czując w strachu, że trzeba jak najdalej uciekać. Ale, że tylko jedna była szeroka droga, do której wszyscy nawykli, wiodąca popod biłowusową zagrodę do miasta Tustania, więc wszyscy nią biegli bez odetchnienia. Pędząc co im tchu stało, dopędzili jeszcze weselników i z nimi się połączyli.

Tak znalazłszy się razem i w większej kupie, nabrali cokolwiek odwagi i zatrzymali się niedaleko od biłowusowej zagrody. Tam naradzili się z sobą. Co odważniejsi, zrobili uwagę, że gromy biją tylko w sam zamek, więc mogą się stąd temu widowisku bez niebezpieczeństwa przypatrzeć. Nieopodal od drogi było wzgórze, z którego można było objąć okiem całe zamkowe obejście. Tam więc wyleźli i stamtąd patrzali, otwierając szeroko oczy i usta, strachem i zgrozą przejęte.

Choć wtedy słońce dopiero co zachodziło, sro-

ga ciemnica całą ziemię zaległa. Całe niebo było tak czarne, jak gdyby je kto kirem obciągnął. Tylko nad samym zamkiem srogie błyskawice biegały, olśniewając oczy patrzących tak, że je musieli zamykać, a zarazem i oddech w piersi zapierać. Kobiety trzymały w strachu żołnierzy za poły, inni bili się w piersi, ci klęczeli ze złożonemi rękami, a drudzy leżeli krzyżem na ziemi. Zdawało się wszystkim, że sąd boży się zapowiada i przychodzi dzień ostateczny.

Tymczasem z błyskawic pioruny biły bez upamiętania jeden za drugim. Już uderzyło ich dziesięć i pięćdziesiąt i sto, aż wreszcie niebo się zapaliło nad zamkiem, a z tego płomiennego otworu już się ognie sypały, właśnie, jak gdyby strumień ognisty się wylewał na zamek.

W tem oświetleniu piekielnem widać było, jak w biały dzień, jako południowe skrzydło zamku, gdzie właśnie Wilczek schował się z Warą, rozsypało się w proch i tylko przy samej ziemi szczerbate szczątki murów z niego zostały.

Za chwilę runęło skrzydło zachodnie, zostawiając tylko wał gruzów po sobie.

Potem ogromny huk dał się słyszeć i snop płomieni, wyżej niż wszystkie wieże, wystrzelił z zamku do nieba: to prochy się zapaliły w piwnicach i wysadziły wschodnie skrzydło zamkowe, zrzuciwszy wszystkie te mury w przepaść i wymiótłszy z gruzów dziedziniec.

A potem już i łyskania i pioruny ustały — i puściła się taka sroga ulewa, że wody strumieniami lały się z nieba, jak gdyby już miały cały świat zatopić.

Zamkowi ludzie i weselnicy uciekli ze wzgórza i schronili się do miasta Tustania.

Ulewa trwała do samej północy, albo i dalej.

Ale nazajutrz znów piękna zajaśniała pogoda.

Słońce zeszło na jasnym błękicie nieba, promieniste, wesołe, śmiejące się radośnie ku ziemi, jak gdyby się nic na niej nie stało.

Lecz kiedy swojemi promieniami oświeciło to wzgórze, na którem od wieków stała, żadną siłą ludzką niewzięta, starostów tustańskich siedziba, to tam z tego wszystkiego, co ludzka ręka stworzyła, leżały tylko prochy rumowisk na ziemi, — gwałtownemu wybuchowi żywiołów tylko to się oparło, co zrodziła natura, a z całego, tak niegdyś dumnego i bogatego zamczyska zostały tylko te same skaliste ruiny, które widziałeś u wstępu.

Jak dziś, tak i wtedy, świat toczył się zwykłem swem kołem. Jedni ludzie ginęli, a ich myśli i czyny zlewały się z czasów potokiem — a obok ich grobów i ruin ich zamków zuchwałych inni budowali sobie swoje siedziby i rozpoczynali wesoło bieg swego żywota.

W kilka dni potem Ofka poszła za Włostka i osiadła z nim w nowem dworzysku, zbudowanem na miejscu dawnej biłowusowej zagrody, chociaż było dopiero do połowy skończonem. Biłowus, nimby sobie jaką wieś kupił, na którejby mógł, jak szlachcic, panować, siadł przy nich, ciesząc się tymczasem ich szczęściem, pułkownikostwem swojego syna i swojem własnem bogactwem.

O straszliwem zniszczeniu zamku, czy ono było

karą bożą, jak rozumieli ludzie pobożni, czy też sztuką djabelską, jak utrzymywał prawie cały lud okoliczny, czy wreszcie tylko niezwykłym wypadkiem wzburzonych żywiołów, przyczem się koniecznie upierał rozsądny Daszkiewicz, bardzo wiele, ba, nawet ustawicznie gadano.

Wszyscy byli ciekawi wnętrze ruin zamkowych obaczyć, bo i nie każdemu chciało się wierzyć, ażeby tyle bogatych sprzętów, tyle żelaznych i stalowych narzędzi, tyle naczyń srebrnych i złotych, ażeby to wszystko także bez śladu zginęło. Były tam przecież wielkie bogactwa w srebrnych i złotych pieniądzach, zamknięte w skrzyniach żelaznych: azaliż i to się spaliło? A choćby je nawet ogień roztopił, to przecież kruszec złota i srebra zawsze ma wartość. Niejednemu też na to wspomnienie ślinka do ust płynęła. Jakże radby się tam dostał! — Ale mimo to, nikt nie miał odwagi ani nawet zbliżyć się do tej zaklętej ruiny; albowiem szła wieść między ludźmi, przez nikogo niezaprzeczona, że tam mieszkają złe duchy, które tych skarbów pilnują, a ktoby tam tylko nogę postawił, zaraz go śmiercią porażą. Nie można nawet było wątpić o tem, bo, jak tylko się zmierzchło, widziano zawsze Wilczka, jako zamieniony w skałę, w rycerskim pancerzu, a w mnisim kapturze, stoi na wierzchu wieży i niby chce rzucić się w przepaść, a tymczasem dumnem spojrzeniem grozi całemu światu; toż i Jagienka tam stoi, także wykuta ze skały, stoi nieruchoma z załamanemi rękami, ale widocznie chce zstąpić w dziedziniec. Niechby Bóg bronił tego, któregoby jedno z nich tylko ręką dotknęło! Zginąłby, jak mysz, pod takiem kamiennem dotknięciem...

Toż ludzie tylko w dzień biały stawali czasem na wzgórzach pobliskich i zaglądali ciekawie wewnątrz zamku. Cisza tam była zazwyczaj, jak na cmentarzu, i nie było widać żadnego ruchu. Wszelako byli tacy, którym się zdawało, że widzą jakąś postać, przechadzającą się po zamkowym dziedzińcu. Drugim zasię się wydawało, że ta postać się wydrapuje na skalistą podstawę tej wieży, z której spadła Jagienka, i tam nieraz po całych godzinach wisi przy ścianie wewnętrznej, właśnie jak ptak, co się gałęzi uczepił. Co jedni widzieli, to zaraz i drudzy dojrzeli, ale nikt nie mógł dojrzeć, jak ta postać wygląda i do kogo podobna. Zaczem różne chodziły domysły: jedni mówili, że to musi być jakiś złodziej odważny, co się chce dostać do skarbów, ale drudzy byli pewni, że to jest ten sam zły duch, co zamek piorunami potrzaskał: przechadza się teraz po tych ruinach i cieszy się swojem dziełem, — a jest to tem więcej podobne do prawdy, ile, że Kostruban właśnie w dzień tego nieszczęścia gdzieś sczezł bez śladu i dotąd o nim nie słychać.

Wśród takich gadek minęło ze dwa tygodnie, albo i więcej.

Przez ten czas było tu kilku panów z sąsiedztwa, był także i Kundrat, co umyślnie przyjechał z Tustania, ale nikt z nich do zamku nie chodził. Panowie przypatrzyli się z konia ruinom i odjechali, a Kundrat zdaje się, że tylko poto przyjechał, aby się dokumentnie przekonać, że Warę także djabli wzięli żywego. Albowiem, kiedy mu zamkowi żołnierze opowiedzieli, jak to było, to zatarł ręce i czapkę na bakier przekrzywił i rzekł:

— Kręt szelma, ale tu przecie się nie wykręcił.

Masz zatèm poczęstne za śmierć starego Kijasa i za moje dukaty!

A potem bardzo wesół odjechał, i odtąd już nikt nie przyjeżdżał.

Aż jednego dnia, już po zachodzie słońca, znowu tak nagła spadła ulewa, choć teraz już bez piorunów. Jednak niebo się straszliwie zaćmiło, wicher łamał gałęzie drzew, a deszcz z gradem, jak kurze jaja, nieznośnie w błony chałup uderzał. W biłowusowem dworzysku Włostek i Ofka się przytulili do siebie ze strachu i razem pacierz mówili, aby Bóg litościwy nie dopuścił jakiego nowego nieszczęścia, a Biłowus siedział przy ścianie za stołem i, jako niebardzo nabożny, całkiem spokojnie posilał się miodem domowym. A wtem zapukało coś do drzwi.

Włostek i Ofka wzdrygnęli się, Biłowus odsunął na bok kaganiec, stojący przed nim na stole, aby mógł drzwi lepiej obaczyć, kiedy tymczasem drzwi się otworzyły nieśmiało i do świetlicy wszedł jakiś człowiek, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony.

Na te słowa Włostek i Ofka ochłonęli ze strachu, odpowiedzieli: — Na wieki wieków! — i spojrzeli na tego nieproszonego przychodnia, lecz wtedy się całkiem uspokoili.

Był to bowiem człowiek, wprawdzie dosyć smukłego wzrostu, ale bardzo pokornie, a nawet i dosyć mizernie wyglądał. Miał na sobie kaftan z prostego pakłaku i buty mocno zbłocone, na kaftanie opończę bardzo już wyszarzałą, jaką miewają ci ludzie chudobni, co się nią w nocy nakrywają, żadnej broni przy nim nie było, natomiast

zaś niósł sporą torbę skórzaną w prawicy, po której widać było, że jest mocno napchana jakiemś rupieciem. Człowiek ten był przytem bardzo młody, ledwie, że mu się rzadki wąs puścił i bródka jasnolnianego koloru, twarz miał niezmiernie bladą, prawie jakby schorzałą, tylko oczy mu się, jak świętojańskie robaczki, świeciły; natomiast zaś włos miał bardzo bogaty, jasny i miękki, który mu też w długich kędziorach, teraz cokolwiek zmoczonych, wdzięcznie spadał na plecy.

Kaganiec bardzo chmurno oświecał świetlicę, Włostek nie mógł go wziąć dobrze na oko, mimo to wszakże rzekł do niego z dobrego serca:

— Wy z drogi, może i głodny, siadajcie sobie, moja żona wam chleba przyniesie.

Tymczasem młody przychodzień tak mocno się zakaszlał, że przez chwilę nie mógł słowa przemówić — a wtedy Biłowus rzekł:

— Jakiś charłaczyna. Dajcie mu mleka i kawałek kołacza i niech się prześpi w stodole.

Młodzieniec, wykaszlawszy się i zaczerpnąwszy powietrza, pokłonił mu się i rzekł grzecznie:

— Dziękuję wam, rad u was spocznę i za gościnę zapłacę, co chcecie.

Ale Biłowus na to rozłożył nogi przed sobą, oparł się plecyma o ścianę i rzekł górnie i chmurnie:

— Tu nie gospoda! Tu nikt za gościnę nie przyjmie zapłaty. I w chłopskiej chałupie chrześcijanina za darmo ugoszczą, a nie dopieroż w pańskiem dworzysku.

Wszelako tymczasem Włostek przypatrzył się bliżej podróżnemu, a wtedy klasnął w obydwie ręce i zawołał:

— Dla Boga! Taż to miłościwy pan Pretficz! Nigdybym jegomości nie poznał.

I zaraz się obrócił do teścia i dodał:

— Syn pański z Sokołowa i sam na rycerza pasowany przez króla.

Natenczas Ofka przybliżyła się do niego, a wziąwszy rąbek fartuszka w rękę, przypatrywała mu się ciekawemi oczyma. Ale Biłowus rzekł:

— Może tam panem był kiedyś, ale teraz przyszło mu na pohybel. I tak im wszystkim przyjdzie swojego czasu!

I z temi słowami odwrócił się od nich i już więcej na nich nie patrzał.

Włostek zaciągnął Lubka w drugi kąt wielkiej świetlicy, a Ofka zastawiła zaraz przed nim mleko, miód przaśny i kołacz, pytając go, azaliby nie wolał posilić się jaką ciepłą strawą.

Ale Lubek jej podziękował, mało co się posilił i prosił Włostka, aby mu pozwolił przespać się w stodole, bo, jak powiadał, bardzo jest strudzony, burza go napadła w ruinach zamku, a stamtąd szedł pieszo wśród deszczu i gradu aż do biłowusowej zagrody.

Włostek odpowiedział mu na to:

— Jużbym też oczu nie śmiał ludziom pokazać, gdybym panicza do stodoły odesłał. Mamy przecież jednę komorę i drugą, i łóżko także się znajdzie.

To powiedziawszy, a będąc bardzo ciekawy, co to się stało takiego, że Lubek, którego sam widywał w takich błyszczących pancerzach, że i sam starosta nie miał piękniejszych, w takie popadł

ubóstwo i tak się opuścił, zaczął o to go wypytywać.

Ale Lubek dawał mu odpowiedzi wymijające, z których nic nie mógł zrozumieć. Kaszlał przytem co chwila i widać było po nim, że rozmowa go męczy. Zaczem po chwili wstał i, położywszy rękę na ramieniu Włostka, rzekł głosem człowieka, co nie chce się z swoich tajemnic wywnętrzać, a przytem czuje się w prawie niedopuszczania lada kogo do swojej poufałości:

— Słysz, Włostek! Jeżeli chcesz mi się przysłużyć, to zaprowadź mnie do tej tam komory, którą mi dacie na nocleg, bom bardzo zmęczony.

Trudnoż mu było nie usłuchać tej prośby, która też prawie była rozkazem. Zaczem Włostek, wziąwszy jego torbę do ręki, zaprowadził go do odległej komory, gdzie było łóżko dosyć wygodne, i tam go zostawił samego.

Lubek się położył na łóżku, i może być, że przysnął cokolwiek, ale niebawem kaszel go zbudził. Zaczem wstał, siadł na brzegu łóżka, wziął głowę w obydwie ręce, łokcie oparł na kolanach i tak długi czas siedział w milczeniu. Wyglądał on wtedy jak jakieś nieszczęśliwe stworzenie, które, ciężką złożone chorobą, oczekuje zmiłowania Bożego, ale go oczekuje z pokornem poddaniem się swemu losowi i ze spokojnem sumieniem.

Ale być może, że tylko tak wyglądał zewnętrznie, a w głębi jego zbolałej duszy srogie szalały burze, nad któremi jednak umiał panować.

Tak też było w samej istocie.

Wyobraźnia jest siłą cudowną ludzkiego umysłu, która najdrobniejszą myśl, albo najlżejsze

uczucie sto, tysiąc i miljon razy powiększa i tworzy całe światy, które nie istnieją, chociaż czasem istniećby mogły. Jeżeli opanuje umysł takiego człowieka, co, ufny w swe siły, wesołem okiem na ten świat patrzy, to w najtrudniejszych położeniach, gdzie rozum już ustępuje rozpaczy, otwiera mu coraz to nowe widoki, rodzi w nim niezwyczajną odwagę i często do zwycięstw prowadzi. Ale jeżeli się rozwinie w takim umyśle, który nie ma energji, a skłonny jest do czarnego zapatrywania się na świat i ludzi, natenczas lada drobny wyrzut sumienia rozpiera do potwornych rozmiarów, przywodzi rozpacz za sobą, a za rozpaczą bezwładne i korne poddanie się przeciwnemu losowi. Lubek, nadzwyczaj tkliwy i łatwo przystępny wszelakim wrażeniom, umiał sobie w swej wyobraźni wszystkie swoje uczucia malować najkraśniejszemi barwami, ale niewielką miał ufność w swe siły, a brakowało mu prawie zupełnie siły oporu.

Kiedy się dowiedział, że Jagienka na widok Gniewosza spadła z wieży i śmierć znalazła w przepaści, to został jak gdyby piorunem rażony. Jakaś błyskawica olśniła mu oczy czerwonym płomieniem i całą jego duszę zanurzyła w ciemnościach. Jagienka nie żyje, zdmuchnięta, jak błędny ognik, ze ziemi; tej straty nie mógł zrazu objąć swoim umysłem, choć mu się serce krajało z bolu. A pod tym bolem i w tej duchowej ciemnicy zaczęła grać wyobraźnia. Nie aksamitne ciałko Jagienki, jak u Wilczka, budziło w nim niezgłębiony ból i rozpaczającą tęsknotę, ale jej dusza; ta dusza według jego uczucia tak piękna i wzniosła i tak serdecznie jemu przyjazna — jedyna i ostatnia, jaką miał na tej ziemi! I dusza ta uleciała do nieba. Cóż

mu dziś jeszcze zostaje? — Ziemia pustynią, cały świat niczem, cała ludzkość bezmyślnem, a jemu obcem mrowiskiem. O, jakżeby i on rad swoją duszą ulecieć w te światy, gdzieby się z nią mógł połączyć! Życie mu się stało ciężarem, śmierć wybawieniem.

Jednak, miewając czasami jaśniejsze chwile i rozmyślając nad tem, co się stało, zaczął uczuwać dreszcze, które go przerażały.

Wszakże to w gruncie rzeczy Gniewosz strącił Jagienkę z wieży nie własną ręką, ale swojem zjawieniem się przed bramą zamkową.

Na tę myśl zatrzęsło się jego tkliwe sumienie, a wyobraźnia reszty dosnuła. Krew w nim zakrzepła na widok tych obrazów, które mu się teraz zaczęły przedstawiać. A przecie to on, chociaż Gniewoszowi dał słowo rycerskie, że będzie milczał, nierozmyślnie wypaplał przed ojcem, że Gniewosz żyje i jest w niewoli, a ojciec posłał tę wiadomość Formozie. Na Boga żywego! Dlaczegoż to zrobił? Gdyby był tajemnicy nie zdradził, Gniewosz byłby nie wrócił, choćby kiedyś tam wrócił, to byłoby się to stało wśród innych okoliczności i Jagienka jego powrotu z pewnością nie byłaby opłaciła swem życiem. On złamał słowo rycerskie, zaczem jest spodlonym człowiekiem, niegodzien broni nosić przy sobie, niegodzien nawet wdziać rycerskiego kaftana, on Gniewosza sprowadził, zaczem otworzył Jagience wrota do śmierci.

Wszelako, grzebiąc tak coraz głębiej w swoich wspomnieniach, na inną myśl już się wstrząsł cały do głębi, bo się siebie samego przestraszył. A wszakże to on Gniewoszowi dał radę, ażeby, nie

uprzedziwszy Wilczków, sam jechał na Tustań. Przebóg! To on własną ręką zabił Jagienkę! Bo, gdyby była uprzedzoną o jego powrocie, to byłaby się go nie przestraszyła i z wieży nie spadła. On sam jest Jagienki zabójcą!

A wtedy jego zbolała dusza się do dna rozdarła, a czarna rozpacz cały jego umysł zaćmiła.

Zhańbiony złamaniem słowa, pozbawił się godności rycerza, otworzywszy wrota gniewoszowej niewoli, uścielił drogę nieskończonym nieszczęściem, wyprawiwszy Gniewosza na Tustań, swą własną ręką zamordował Jagienkę. Wytrąciwszy się z pomiędzy rycerstwa, nie jest nawet godzien stąpać po tej ziemi, bo już na jego czole jest wypisano: Przeniewierca i zbrodzień.

Te rozpaczliwe wyrzuty sumienia żarły mu serce, jak rdza jadowita, i paliły się w piersiach piekielnemi ogniami. W tym stanie duszy nie chciał się już własnym rodzicom pokazać, unikał wzroku ludzi obcych, a nawet i w swoim domu nie mógł usiedzieć. Przywdział ubogie szaty na siebie i wyszedł, zrazu sam nie wiedząc, gdzie idzie.

Jakaś siła niewidoma go pociągnęła na zamek, błąkał się przez dni kilkanaście w jego ruinach — a teraz, wypędzony stamtąd gradową burzą, wprosił się na nocleg do Włostka.

Ale nie spał przez całą noc, tylko męczył się z sobą, a jak tylko pierwszy brzask w okno uderzył, okrył się swoją opończą, wziął torbę do ręki i wyszedł milczkiem, tak, że go nikt wychodzącego nie spostrzegł.

Kiedy Włostek nazajutrz rano przyszedł do tej komory, ażeby mu przy ubraniu posłużyć, niesły-

chanie się zdziwił, że go już w niej nie było. Zdało mu się nawet, że łóżko było nietknięte.

Bardzo więc nad tem się zamyślił i powiedział to zaraz żonie i Biłowusowi, mówiąc:

— Dziwna to rzecz, bo już teraz sam nie wiem, czy to był Pretficz, czy tylko duch jego, bo tak tylko duchy znikają.

Ofka była zdania, że to pewnie był duch, bo też był taki blady i oczy tak mu się świeciły, że wcale na ducha wyglądał.

Ale Biłowus kiwał na to głową z niedowierzaniem i mówił:

— Jużci upiory a duchy to u nas nie nowina, teraz nawet będzie ich jeszcze więcej od czasu, jak djabeł się znowu rozgospodarował na zamku. Ale ten charłaczyna, co tu był wczoraj, to prędzej na złodzieja wygląda, co grzebie w gruzach zamkowych, aby się jakiego skarbu dogrzebał.

Na tę uwagę Włostek całkiem zapomniał, że ten rzekomy złodziej miał postać młodego Pretficza, bo go nawet sam poznał, natomiast zaś przypomniało mu się, że, kiedy wczoraj wieczorem niósł za nim torbę do komory, to widział na własne oczy, że z niej wyglądały młotki i jakieś inne żelazne narzędzia.

— Widzisz! — zawołał na to Biłowus. — Może był kiedy panem, ale teraz kraść chodzi.

Więc naradzano się nad tem przez jednę godzinę i drugą, a wreszcie postanowiono, aby o tem dać znać do miasta.

Daszkiewicz, kiedy mu to doniesiono, ile że w duchy niebardzo wierzył, zaraz się dał przeko-

nać, że to może był złodziej, zwłaszcza, że nosi ze sobą żelazne narzędzia; mimo to wszakże poddał tę sprawę pod sąd ławników i rajców.

Ławnicy i rajcy zgromadzili się jeszcze przed wieczorem u niego i przez cały wieczór nad tem radzili.

Dopóki słońce świeciło, prawie wszyscy byli tego zdania, że to muszą być złodzieje, ale, kiedy się zmierzchło, zdania zaczęły się dzielić, a kiedy noc ciemna zapadła, to wprawdzie nie zaprzeczano, że mogliby to być złodzieje, ale przecie daleko większe prawdopodobieństwo widzieli, że to są duchy. Zaczem ci i owi mówili:

— Ktoby tam chodził do tych ruin po nocy!

Na co Daszkiewicz się zniecierpliwił i rzekł:

— Ależ was tam nikt nie wysyła w ten czas, jeno jutro po dniu tam pójdziemy. Zbierzcież się jutro raniutko na ratuszu, a tam uradzimy, co robić.

Nazajutrz rano dzień wstał słoneczny, zaczem znów wszyscy byli zdania, że to są złodzieje.

A tak przed południem wybrali się wszyscy rajcy i ławnicy, a wziąwszy ze sobą pisarza i dwudziestu halabardników dla bezpieczeństwa, poszli pod przewodem Daszkiewicza na zamek.

W bramę, która się także w proch rozsypała, ale z niej dwie baszty zostały, wchodzili bardzo ostrożnie, bo djabeł nie śpi i we dnie; lecz widząc, że na dziedzińcu, zawalonym gruzami, cisza, jak w grobie, szli dalej śmiało.

I obeszli cały dziedziniec — i nic nie zoczyli.

Aż kiedy przyszli pod ścianę owej skalistej wieży, z której spadła Jagienka, a w której wnętrzu

na dole znajdowała się zamkowa kaplica, spostrzegli człowieka, leżącego na ziemi.

Był to człek młody, wysmukły, miał na sobie wytarty kaftan z prostego pakłaku i leżał nawznak na rozpostartej opończy. Jego blada twarz teraz się wypełniła i wyglądała tak świeżo, jak gdyby był pełen zdrowia i zasnął snem słodkim na chwilę; ale miał on oczy zamknięte na zawsze i zasnął snem śmiertelnym na wieki. Jego zbolałej głowie służyły bogate, jasne kędziory za pościel, lecz jego dusza klęczała już wtedy u stóp duszy Jagienki, błagając ją o przebaczenie za to, że jej otworzył podwoje śmierci.

Włostek zaraz go poznał, zawołał żałośnym głosem: To Pretficz! — i usiłował go zbudzić, ale tylko gorzko zapłakał, mówiąc:

— Bóg się nad nim zlitował i wziął go z tej ziemi, gdzie wszystkie jego drogi były cierniem wysłane.

A potem opowiedział krótkiemi słowy mieszczanom, czego się o nim domyślał, jako kochał Jagienkę miłością świętą i niczego od niej nie pragnął, ciesząc się tylko jej szczęściem — i jako nie mógł przeżyć jej śmierci i umarł tam, gdzie ona grób swój znalazła.

Zaczem jedni mieszczanie tylko ciekawie słuchali, a drudzy się litowali, inni zaś się rozpatrywali po tej ścianie skalistej, gdzie już wtedy były jakieś napisy. Daszkiewicz zaś spostrzegł przy najniższym napisie drabinkę, zaczem rzekł:

— To on musiał wyryć ten napis. Gdyby to kto przeczytał?

A wtedy pisarz miejski się przybliżył do ścia-

ny i czytał najprzód ten napis, co go Wilczek kazał ryć dla Jagienki: *D. O. M. Generosae Dominae...*

A potem zasię czytał te słowa:

Duscha moya sstrhrapyona, ssłuszebnitsa Boża,
Zyemsską sthrzałą zranyona, padła na besdroża.
Nath żytsiem bez dzyenki, ssmiłuj ssyę, o Panie!
Day ssmyerc z thwoyey renki..

Ostatnich słów brakowało: Bóg się tymczasem zlitował nad życiem bez dzięki — śmierć mu je przerwała.

Paryż, 12 lipca 1887 roku.

KONIEC.

»WIELKA BIBLJOTEKA«

ARCYDZIEŁA LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ.

Nr. 1. Z. Krasiński: „IRYDJON“
„ 2. A. Mickiewicz: „KONRAD WALLENROD“
„ 3. St. Wyspiański: „WESELE“
„ 4. A. Dante: „BOSKA KOMEDJA“ I. Piekło
„ 5. „ „ „ „ II. Czyściec
„ 6. „ „ „ „ III. Raj
Przekład E. Porębowicza
„ 7. J. Słowacki: „ANHELLI“
„ 8. J. Kochanowski: „TRENY“
„ 9. J. Kasprowicz: „HYMNY“
„ 10. I. Krasicki: „SATYRY“
„ 11. K. Brodziński: „WIESŁAW“
„ 12. W. Shakespeare: „KRÓL LIR“
Przekład J. Kasprowicza
„ 13. H. Rzewuski: „PAMIĄTKI SOPLICY“
„ 14. J. Gordon Lord Byron: „DON JUAN“ T. I.
„ 15. „ „ „ „ „ T. II.
Przekład E. Porębowicza
„ 16. J. Słowacki: „W SZWAJCARJI“
„ 17. A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ“
„ 18. C. K. Norwid: „PROMETHIDION“
„ 19. A. Mickiewicz: „GRAŻYNA“
„ 20. A. Fredro: „ZEMSTA“
„ 21. W. Syrokomla: „URODZONY JAN DĘBORÓG“
„ 22. H. Ibsen: „PEER GYNT“. Przekł. J. Kasprowicza
„ 23. „ „ „BRAND“. Przekład J. Kasprowicza
„ 24. Z. Krasiński: „NIE-BOSKA KOMEDJA“
„ 25. J. Słowacki: „LILLA WENEDA“
„ 26. J. U. Niemcewicz: „POWRÓT POSŁA“
„ 27. J. I. Kraszewski: „DZIECIĘ STAREGO MIASTA“
„ 28. A. Fredro: „ŚLUBY PANIEŃSKIE“
„ 29. W. Syrokomla: „UŁAS“
„ 30. J. U. Niemcewicz: „ŚPIEWY HISTORYCZNE“
„ 31. J. Słowacki: „JAN BIELECKI“
„ 32. F. Schiller: „DZIEWICA ORLEAŃSKA“
„ 33. A. Asnyk: „ALBUM PIEŚNI“
„ 34. C. K. Norwid: „KRAKUS — WANDA“
„ 35. J. Słowacki: „BALLADYNA“
„ 36. J. Korzeniowski: „KARPACCY GÓRALE“
„ 37. J. Słowacki: „OJCIEC ZADŻUMIONYCH“
„ 38. St. Wyspiański: „WARSZAWIANKA“

Nr. 39. St. Witkiewicz: „MICKIEWICZ JAKO KOLORYSTA"
„ 40. K. Ujejski: „SKARGI JEREMIEGO"
„ 41. A. Mickiewicz: „DZIADY"
„ 42. J. Kochanowski: „PIEŚNI"
„ 43. S. Pellico: „MOJE WIĘZIENIA"
„ 44. J. Kochanowski: „ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH"
„ 45. A. Mickiewicz: „BALLADY I ROMANSE"
„ 46. A. Mickiewicz: „SONETY I SONETY KRYMSKIE"
„ 47. J. Kochanowski: „POEMATY"
„ 48. K. Brodziński: „O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI"
„ 49. K. Brodziński: „O NARODOWOŚCI POLAKÓW"
„ 50. J. I. Kraszewski: „PAMIĘTNIK MROCZKA"
„ 51. A. Fredro: „PAN GELDHAB"
„ 52. K. Ujejski: „MELODJE BIBLIJNE"
„ 53. J. Gordon Lord Byron: „GIAUR"
„ 54. J. Korzeniowski: „SPEKULANT"
„ 55. A. Feliński: „BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA"
„ 56. St. Wyspiański: „NOC LISTOPADOWA"
„ 57. A. Asnyk: „W TATRACH. NAD GŁĘBIAMI"
„ 58. J. Słowacki: „KORDJAN"
„ 59. K. Brodziński: „POSŁANIE DO BRACI WYGNAŃCÓW"
„ 60. J. Słowacki: „MINDOWE"
„ 61. G. Carducci: „ODY BARBARZYŃSKIE
„ 62. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE" T. I.
„ 63. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE" T. II.
„ 64. Z. Kaczkowski: „OLBRACHTOWI RYCERZE" T. III.
„ 65. Z. Krasiński: „PRZEDŚWIT"
„ 66. Kl. z Tańskich Hoffmanowa: „DZIENNIK FRANCISZKI KRASIŃSKIEJ"
„ 67. J. Kochanowski: „PSAŁTERZ DAWIDOWY"
„ 68. W. L. Anczyc: „TYRTEUSZ, UCZTA WYZWOLEŃCA"
„ 69. K. Przerwa-Tetmajer: „KSIĄDZ PIOTR"
„ 70. M. Czajkowski: „WERNYHORA" T. I.
„ 71. „ „ T. II.
„ 72. J. Słowacki: „MARJA STUART"
„ 73. Molier: „SKĄPIEC"
„ 74. J. A. Kisielewski: „KARYKATURY"
„ 75. L. Staff: „SNY O POTĘDZE"